

OLIVIA GOLDSMITH

NIEDOBRY CHŁOPIEC

(Bad Boy)

Przekł. Jarosław Mikos

Niebo nad Seattle miało ten sam szarobiały kolor, co odłuszczone mleko, którego Tracie dołała sobie do kawy. Ale jeśli kochała to miasto, to właśnie dlatego, że w niczym nie przypominało jej rodzinnego Encino w Kalifornii, gdzie niebo było zawsze nieskazitelnie błękitne – i równie puste jak dom jej rodziców. Jako jedynaczka i córka wiecznie zapracowanych ludzi „z branży”, Tracie spędziła w życiu zbyt wiele godzin, samotnie kontemplując bezchmurne niebo nad głową. Nic dziwnego więc, że miała serdecznie dość widoku wspaniałych błękitów. Patrząc na nie, miała zawsze wrażenie, że powinna się czuć szczęśliwa nawet wtedy, gdy chciało jej się płakać. Tymczasem tu, w Seattle, każda chwila szczęścia wydawała się nagrodą wydartą życiu na przekór ciężkiej powłóce chmur wiszących nad miastem.

Przed przyjazdem na studia do Seattle zastanawiała się, czy nie spróbować szczęścia na którymś z uniwersytetów Wschodniego Wybrzeża, jednak nie czuła w sobie dość odwagi, by się z nimi zmierzyć. Oczywiście czytała o Dorothy Parker, o Sylvii Plath, o Siedmiu Siostrach*. No cóż... Wiedziała jednak, że musi się wyrwać z Kalifornii, i to wyrwać się daleko, wystarczająco daleko, żeby nie było mowy o weekendowych wizytach

* Seven Sisters – zwyczajowa nazwa siedmiu prestiżowych żeńskich college'ów na Wschodnim Wybrzeżu: Smith, Radcliffe (część Harvardu), Barnard, Mount Holyoke, Bryn Mawr, Wellesley, Vasar (przyp. tłum.).

z domu. Na przekór bajkom nie mogła powiedzieć, że miała złą macochę. Ówczesna żona jej ojca była najwyżej bierno-agresywna. Ostatecznie Tracie wybrała uniwersytet stanu Washington, w Seattle, po czym jakby w nagrodę okazało się, że oprócz dobrego wydziału dziennikarstwa znalazła tu dobrych przyjaciół, dobrą pracę i zakochała się w samym mieście. Nie mówiąc już o tym, że kiedy świat oszalał na punkcie tutejszej sceny rockowej, wokół zaroilo się od zabójczo przystojnych facetów. Z pierwszym łykiem porannej kawy Tracie Leigh Higgins pomyślała, że to w końcu nic dziwnego, skoro Seattle słynie ze „złych chłopców”, dobrej kawy i milionerów z branży elektronicznej. I kiedy ponownie spojrzała na szczelnie zasnutę chmurami niebo, musiała szczerze przyznać, że ma kompletnego bzika na punkcie

wszystkich trzech specjalności miasta naraz.

Chociaż czasami ogarniał ją niepokój, czy przypadkiem nie uszeregować ich w niewłaściwej kolejności. Może powinna dać sobie spokój z „niedobrymi chłopcami”, pić mniej kawy i zacząć umawiać się z milionerami z branży elektronicznej? Jednak na razie szalała za „złymi chłopcami”, pochłaniała hektolitry kawy i co najwyżej pisywała artykuły o geniuszach mikroelektroniki.

Tracie ponownie spojrzała w niebo. Nie da się ukryć, że jej chłopak, Phil, znowu załaził jej za skórę. A może powinnam rzucić kawę, zacząć umawiać się z geniuszami od komputerów i pisać powieści o „złych chłopcach” – pomyślała, dolewając sobie trochę chudego mleka. Przez moment zastanawiała się, czy nie wziąć jednej z tych biszkoptowych babeczek z czekoladą, ale zaraz dała sobie w myślach po łapach – rany, jakby zapomniała, jak łatwo się od nich uzależnić, a przecież ona, Tracie, skończyła z nimi na dobre. Przyszło jej do głowy, czy to aby nie myśl o porzuceniu Phila albo o pisaniu powieści tak bardzo ją podminowała, że nagle zapragnęła sprawić sobie jakąś przyjemność. Czy ma dość odwagi, żeby rzucić etatową pracę i zacząć pisać książki? I o czym miałyby pisać? Pisanie o byłych narzeczonych byłoby jednak trochę krępujące. Tracie uwielbiała tę ostatnią poranną chwilę spokoju, gdy mogła bez pośpiechu zatopić się w lekturze gazet spoza Seattle albo zagapić się w okno kafeterii, ale wiedziała, że jeśli się zaraz nie pozbiera, spóźni się do pracy. Czekwała na nią kolejna sylwetka sieciowego geniusza. Boże, co za nuda!

Łyknęła jeszcze trochę kawy i zerknęła na zegarek. Zaraz. A może powinnam dać sobie spokój z „niedobrymi chłopcami” i napisać coś o kawie... Nie, nie sposób logicznie myśleć o tej porze. Tracie nie była rannym ptaszkiem. Nie będzie przecież rozstrzygać z samego rana zasadniczych kwestii swojego życia. Najlepiej poczekać z tym do Nowego Roku. Wtedy jest dobry moment na ważne postanowienia. A dziś? Dziś wypadał termin oddania artykułu. Musi skończyć jeszcze jedną opowieść o cudownym dziecku cyberprzestrzeni.

A potem spotka się z Philem.

Na tę ostatnią myśl przeszedł ją dreszcz. Sięgnęła znów po kawę, jednak kawa była już tak chłodna, że praktycznie nie nadawała się do picia. Mimo to wypila jeszcze jeden łyk, zastanawiając się, czy zdoła wyjść wcześniej, żeby zdążyć do fryzjera przed spotkaniem z Philem.

Wyciągnęła bloczek żółtych karteczek samoprzylepnych i zapisała: „zadzwoń do Stefana: strzyżenie, mycie i układanie”, po czym zebrała swoją portmonetkę, plecak i ruszyła do drzwi.

W głównym holu „Timesa” natknęła się na Beth Conte, mistrzynię świata w przewracaniu oczami.

– Marcus cię szuka – syknęła Beth.

Tracie wiedziała, że Beth zawsze strasznie przesadza i z wszystkiego robi dramat, jednak poczuła lekki skurcz w żołądku, aż odbiła jej się wypita przed chwilą kawa. Ruszyły w stronę boksu Tracie.

– Jest na wojennej ścieżce – dodała Beth zupełnie niepotrzebnie.

– Czy ten zwrot jest aby politycznie poprawny? – spytała Tracie. – Czy może raczej uznano by go za obelgę pod adresem rdzennych mieszkańców naszego kontynentu?

– Zaliczanie Marcusa do jakiegokolwiek grupy etnicznej byłoby dla niej obelgą. A swoją drogą to ciekawe, skąd on pochodzi? – spytała Beth, kiedy szybko przemknęły przez korytarz. – Na

pewno z pochodzenia nie jest Włochem. To wiem z całą pewnością – dodała, unosząc ręce ku górze, jakby zamierzała bronić swojej własnej grupy etnicznej.

– Wskoczył z głowy Zeusa – rzuciła Tracie, kiedy wreszcie, pokonując ostatni zakręt, wpadły do jej boks.

– Z głowy Zeusa? – powtórzyła Beth jak echo. – To Marcus jest Grekiem? O czym ty mówisz?

Tracie zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy, powiesiła go na wieszaku i wcisnęła torebkę pod biurko.

– Wiesz, jak Diana. A może to była Atena?

– Księżna Diana? – spytała Beth bez sensu, jak zawsze spóźniona o jedno tempo.

Cóż, trudno liczyć na inny finał rozmowy na tematy mitologiczne z Beth przed dziesiątą rano (a także po dziesiątej, ściśle biorąc). Tracie ściągnęła tenisówki, wrzuciła je pod biurko i zaczęła gorączkowo rozglądać się za swoimi biurowymi pantoflami. Właśnie miała wyjaśnić Beth swój żart, kiedy w wejściu do boks pojawiła się masywna postać Marcusa Stromberga. Tracie natychmiast wyciągnęła głowę spod biurka z nadzieją, że nie miał okazji dłużej niż kilka sekund patrzeć na jej tyłek. Z powrotem wsunęła stopy w tenisówki. Za nic nie chciałyby rozmawiać z Marcusem, stojąc boso na podłodze.

– Och, dzięki za oświecenie – zapiszczała Beth i cicho wymknęła się z boksu.

Tracie posłała Marcusowi swój najlepszy uśmiech prymusa i usiadła na krześle, starając się zachować całkowity spokój. Nie miała zamiaru dać się zastraszyć. W końcu Marcus nie był znowu takim wielkim twardzielem. A już na pewno nie mógł się równać z tymi wszystkimi facetami, z którymi jej ojciec miał do czynienia w Los Angeles. Nawet nie był takim ostrym zawodnikiem jak jej ojciec. Och, nawet jeśli Marcus marzył kiedyś, że zostanie drugim Woodwardem albo Bernsteinem, to w końcu nie jej wina, że został tylko Strombergiem.

– To naprawdę miło, że wpadłaś – powiedział Marcus, spoglądając na swój zegarek. – Mam nadzieję, że nie koliduje to z twoimi obowiązkami towarzyskimi.

Zachowywał się zawsze wobec niej tak, jakby sama uważała się za jakąś smarkulę, tuż po studiach.

– Dostaniesz tę sylwetkę na czwartą – powiedziała spokojnie. – Mówiłam ci wczoraj.

– To się zgadza. Ale widzisz, tak się składa, że mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

Cholera jasna! Jak gdyby i bez tego nie miała co robić.

– O czym? – spytała, starając się zachować niewzruszony spokój.

– Dzień Matki. Chcę dostać dobry tekst, na jutro.

Zasadniczo do jej obowiązków należały wywiady z potentatami branży elektronicznej oraz przyszłymi potentatami, ale jak każdy dziennikarz w gazecie dostawała od czasu do czasu inne, dodatkowe zlecenia. Co gorsza, Marcus miał jakiś osobliwy talent do przydzielania każdemu dokładnie takiego tematu, który potrafi zrujnować człowiekowi dzień. Na przykład Lily, zdolnej dziennikarce z nadwagą, zawsze przydzielał historie o siłowniach, fitness-clubach, anoreksji, konkursach piękności i temu podobne. Tim, który miał skłonności do hipochondrii, dostawał teksty o otwarciu nowego oddziału szpitalnego albo o nowych lekach i terapiach. Jakimś szóstym zmysłem Marcus zawsze wyczuwał ich słabe punkty, nawet wtedy, gdy nie było to aż takie oczywiste, jak w przypadku Tima czy Lily. Ponieważ Tracie rzadko spotykała się ze swoją rodziną i niespecjalnie lubiła wszelkie święta, zwykle musiała pisać o różnych specjalnych okazjach. A teraz Dzień Matki!

Jej matka zmarła, kiedy Tracie miała cztery i pół roku. Ojciec zdążył się

od tamtej pory ponownie ożenić, rozwieść i znowu ożenić. Tracie ledwo pamiętała swoją matkę i starała się usilnie zapomnieć o swojej aktualnej macosze. Spojrzała niechętnie na kwadratową szczękę Marcusa i na jego obfity zarost.

– Pod jakim kątem? – spytała. – Bo może chodzi o subtelny esej o tym, jak zamierzam spędzić Dzień Matki?

Marcus kompletnie ją zignorował.

– Napisz, jak Seattle czci swoje matki. I nie zapomnij wymienić jak najwięcej restauracji, kwiaciarni i wszelkich innych potencjalnych reklamodawców. Dziewięćset słów na jutro rano. Pójdzie w niedzielę.

Boże! Dziewięćset słów na jutro wystarczyło, żeby pogrzebać dzisiejszy wieczór z Philem. Tracie jeszcze raz spojrzała na Marcusa, na jego ciemne, kręcone włosy, rumianą twarz i małe niebieskie oczy, i pomyślała, nie pierwszy raz, że doprawdy szkoda, że jest taki przystojny i równocześnie taki odrażający. Pomijając jednak kwestię jego urody, Tracie zawsze pilnowała się, żeby mu nie dać tej satysfakcji, że udało mu się wyprowadzić ją z równowagi. A więc i tym razem, zgodnie ze swoją polityką, uśmiechnęła się gładko. Wiedziała, że to go wkurzy, postarała się więc o uśmiech naiwnej dziewczeczki.

– Jak sobie życzysz, powiedział Wesley do księżniczki – dodała.

– Poza tobą nie ma tu żadnej innej księżniczki – burknął Marcus i oddalił się, żeby rzucić cień na boks jakiegoś innego nieszczęsnego dziennikarza. – I postaraj się – rzucił przez ramię – żeby w tekście o Genie Banksie nie było wody. Nie chcę czytać o jego sznaucerze.

– On nie ma sznaucera! – zawołała Tracie za nim, po czym, już ciszej, dodała: – On ma czarnego labradora.

To prawda, że w swoich artykułach wspominała o ulubionych zwierzętach i różnych niewinnych hobby tytanów mikroelektroniki, ale chodziło jej tylko o jakiś humanizujący akcent. A poza tym lubiła psy. Rozległ się dzwonek telefonu, co przypomniało jej, że musi skontaktować się z Philem, żeby umówić się na wieczór, ale pięć po dziesiątej rano to nie mógł być on. Phil nigdy nie wstawał przed południem. Podniosła słuchawkę.

– Tracie Higgins – powiedziała najbardziej rześkim i energicznym głosem, na jaki ją było stać.

– Za co jestem winien bogom nieskończoną wdzięczność – zaartował

Jonathan Delano, po czym szybko spytał: – Co się stało?

– Nic, tylko Marcus miał atak apopleksji – odparła.

– To akurat nie byłoby takie złe – powiedział Jon.

Tracie roześmiała się. Jonathan zawsze potrafił ją rozbawić, niezależnie od okoliczności. Od lat był jej najlepszym przyjacielem. Spotkali się na zajęciach z francuskiego na uniwersytecie. Jonathan miał bez wątpienia najbogatszy zasób słów i najgorszy akcent ze wszystkich znanych jej osób. Tracie miała doskonały, paryski akcent i nie potrafiła odmienić najprostszego czasownika. Ona pomogła mu opanować wymowę, on pomógł jej przebrnąć przez gramatykę. Oboje zdali francuski na piątkę i od tamtej pory ich spółka kwitła w najlepsze. Tylko Jon i jej przyjaciółka Laura potrafili już po czterech pierwszych sylabach poznać, że jest zła albo zmartwiona.

– Umówiłam się na wieczór z Philem, tymczasem Marcus wcisnął mi kolejny duży artykuł. Do tego grozi mi wizyta Laury, więc muszę posprzątać mieszkanie.

– Sławna Laura, twoja przyjaciółka z Sausalito?

– Sacramento, jeśli już o to chodzi, ale nieważne. Zerwała ze swoim świrniętym facetem i potrzebuje trochę czasu, żeby się pozbierać.

– Jak my wszyscy. Co to za czubek?

– Och, jak zwykle, jeden z tych, co to mówią: „Przepraszam, że nie dzwoniłem, ale czy możesz pożyczyć mi trzysta dolców?”. I dodają: „Naprawdę nie zamierzałem się przespać z twoją najlepszą przyjaciółką”. Te klimaty.

– No tak. Czyli świr podobny do Phila.

Tracie poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, jak gdyby nagle znalazła się w windzie „Igły”.

– Phil wcale nie jest taki, tylko ma teraz trudny okres, bo dużo pracuje nad swoją muzyką i nad swoją literaturą. Czasami potrzebuje pomocnej dłoni, to wszystko.

Prawdę mówiąc, Tracie najczęściej odnosiła wrażenie, że Phil nie potrzebuje od niej żadnej pomocy. Podczas gdy ona zawsze go prosiła, żeby przeczytał jej tekst, Phil rzadko pokazywał jej swoje utwory. Nie umiała jednak powiedzieć, czy robił to dlatego, że źle znosił krytykę, czy po prostu miał gdzieś jej opinie. Tak czy inaczej, Tracie podziwiała go, że tak potrafi.

Jego samowystarczalność w niczym nie przypominała jej własnego aż

nazbyt widocznego głodu uznania i aprobaty. Phil był swobodny, wyluzowany. Ona nie. Jon prychnął.

– Phil tylko odciąga cię od tego, co naprawdę ważne.

– Co masz na myśli?

– No wiesz. Na przykład historia o przedwczesnej śmierci twojej matki. O twoich złożonych stosunkach z ojcem. Myślę o twoim prawdziwym pisarstwie.

– Jakim pisarstwie? – spytała, udając, że nie wie, o co chodzi, chociaż dokładnie o tym samym rozmyślała przy porannej kawie. Jon chciał jak najlepiej. Wierzył w nią, ale czasami... no tak, czasami posuwał się za daleko.

– Nie piszę żadnej prawdziwej literatury.

– Czasami coś z tego przebija się nagle w środku tej gazetowej sieczki – powiedział Jon. – Twoje prawdziwe kawałki są naprawdę dobre. Gdyby ci tylko dali stałą rubrykę.

– Akurat! Mogę sobie czekać do końca świata. Marcus nigdy mi nie da własnej kolumny – westchnęła Tracie. – Gdyby chociaż przestał tak niemiłosiernie szatkować moje teksty i puścił kilka w tej postaci, w jakiej je napisałam...

– Jeszcze będziesz wielką pisarką. Lepszą niż Anna Quindlen.

– Daj spokój. Quindlen dostała Pulitzera.

– Ty też dostaniesz. Tracie, twoje teksty są takie świeże, że możesz zaćmić wszystkich. Jeszcze nikt nie przemówił głosem naszej generacji. To może być twój głos.

Tracie jak zahipnotyzowana wpatrywała się w słuchawkę telefonu.

Przez chwilę oboje milczeli, po czym Tracie z powrotem przyłożyła słuchawkę do ucha. Czar prysł.

– Daj spokój. Marcus wycina nawet moje puenty. Będę do śmierci pisywała głupie kawałki do wydania niedzielnego.

Jon odchrząknął.

– Wiesz, może gdybyś skoncentrowała się bardziej na swojej pracy... Zadzwoił telefon na drugiej linii.

– Zaczekasz minutkę? – spytała Jona.

– Jeśli to Marcus, zaczekam, ale jeśli to Phil, spadam – odparł. – Mam swoją dumę.

Tracie nacisnęła przycisk i w słuchawce rozległ się sopran Laury.

– Halo, halo, Tracerino. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że właśnie

wsiadam do samolotu.

– Nie żartuj. W tej chwili? – spytała Tracie. – Myślałam, że przylatujesz w niedzielę.

– Trudno. Pewnie myślałaś, że w ogóle nie przyjadę. Ale przyjeżdżam. Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że już spakowałam wszystkie swoje manatki, a graty kuchenne zostawiłam u Susan.

– Więc jednak koniec? Powiedziałaś Peterowi?

– Chyba nie muszę mu nic mówić. Widział moją minę, kiedy przyłapałam go w naszej sypialni z głową między nogami sąsiadki. A poza tym powiedział, że Quincy to dupek.

Jeszcze w szkole średniej Laura zakochała się bez pamięci w Jacku Klugmanie. Tracie nigdy nie mogła pojąć, dlaczego, ale czasami obie jechały do Benedict Canyon i wystawały przed domem, w którym ponoć, jak im powiedziano, mieszkał Klug-man. Nigdy go tam nie widziały, ale Laura i tak znała na pamięć wszystkie epizody serialu Quincy.

Tracie otworzyła szeroko oczy ze zgrozy. Peter był okropny. Nigdy nie zasługiwał na taką dziewczynę jak Laura.

– Nie lubił Quincy'ego? – spytała, udając wzburzenie. – I dobierał się do waszej sąsiadki? – ciągnęła dalej. – Czy ta wasza sąsiadka to była kobieta czy mężczyzna?

Laura roześmiała się wreszcie. Lepsze to niż łyzy. Tracie uważała, że Laura wylała już przez Petera o kilkanaście galonów łez za dużo. Nie był tego wart.

– A więc, jaki jest numer twojego lotu i o której mam po ciebie wyjść? Kiedy Laura próbowała przypomnieć sobie wszystkie niezbędne informacje, Tracie pomyślała o terminie oddania artykułu i o swojej randce, ale Laura była od lat jej najlepszą przyjaciółką.

– Spotkamy się na lotnisku – powiedziała Tracie, żeby jakoś uciszyć swoje poczucie winy.

– Nie musisz po mnie wychodzić. Jestem dużą dziewczynką – odparła Laura i roześmiała się. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i nie należała do chudzielców. – Po prostu przyjadę z lotniska autobusem – dodała.

– Na pewno dasz sobie radę?

– Jasne. Poradzę sobie. Poza tym masz na głowie pracę. Czy idą u was w Seattle powtórki Quincy'ego w telewizji? – dorzuciła.

Tracie uśmiechnęła się. Laura wciąż kochała się w Jacku Klugmanie.

– Jasne.

– To świetnie. Kończę już. Nie chcę blokować telefonu. Tracie pacnęła się w czoło.

– O nie! Cały czas mam Jona na drugiej linii! – krzyknęła.

– Nic się nie martw. Na pewno na ciebie czeka. Słuchaj, muszę wreszcie poznać tego nudziarza. – Laura roześmiała się. – To na razie – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Tracie przełączyła telefon na pierwszą linię i rzeczywiście w słuchawce odezwał się głos Jona.

– I jak tam? – spytał.

Jesteś pewna, że nie sprawię kłopotu? – spytała Laura.

Chwilowo było widać tylko jej dość okazałą tylną część ciała, ponieważ bez reszty pochłaniało ją układanie podkoszulków w dolnej szufladzie komody, którą Tracie opróżniła dla przyjaciółki. Tracie nigdy nie mogła się nadziwić staranności, z jaką Laura składała swoje podkoszulki. Oczywiście skoro tylko którąś na siebie włożyła, wszystko robiło się zaraz równie poplątane, jak jej bujne, ciemne włosy. Patrząc na Laurę, Tracie uświadomiła sobie, jak bardzo stęskniła się za prawdziwą przyjaciółką od serca. Przyjaźniła się z Beth i kilkoma innymi dziewczynami z redakcji, ale to były tylko przyjaciółki z pracy. Oczywiście był jeszcze Jon, jej naprawdę bliski kumpel, ale chociaż go uwielbiała, musiała przyznać, że nie mogła się doczekać przyjazdu Laury.

– Oczywiście, że będzie niewygodnie. Mieszkanie w jednej sypialni z przyjaciółką, nie wspominając już o moim chłopaku, który bywa tu częstym gościem, na pewno będzie bardzo niewygodne, ale to nie znaczy, że nie będzie zabawne. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że tu jesteś. – Tracie zapiszczała tak, jak to robiły w szkole średniej, i wyciągnęła ręce w stronę Laury.

Laura uściskała ją z całego serca. Czasami Tracie miała wrażenie, że gdyby nie cierpliwość Laury, która wysłuchiwała wszystkich jej żalów, i gdyby nie jej serdeczne uściski, to nie wiadomo, czy w ogóle przetrwałaby szkołę. Spotkały się

w siódmej klasie i przez następne sześć lat spędziły razem więcej czasu niż niejedno małżeństwo. Przez ten cały okres ani razu się nie pokłóciły – jeśli nie liczyć jednego przypadku, kiedy Laura postanowiła wystąpić na zakończeniu roku szkolnego w sukience i bolerku ze sztucznego futerka. Tracie absolutnie zabroniła jej tego pomysłu, ponieważ – choć nie mogła powiedzieć tego na głos – Laura wyglądała w niej zupełnie jak goryl.

Tracie sądziła, że zbliżyły się ze sobą, ponieważ były tak bardzo od siebie różne i obie potrzebowały w tym czasie wsparcia kogoś bliskiego. Laura była wysoka, a Tracie niska. Laura dość pulchna – Bóg jeden wie, ile ważyła – a Tracie szczupła – ważyła 49 kilo, ale etap bulimii miała już za sobą, odkąd obiecała Laurze, że nie będzie

wymiotować. Tracie miała w sobie coś chłopięcego, prawie nie miała biustu i nosiła krótko ostrzyżone włosy z blond pasemkami. Laura była macierzyńską brunetką, miała duży biust i gęste, długie włosy. Laura uwielbiała gotować, Tracie nie była pewna, czy w ich domu w Encino w ogóle było coś takiego jak kuchnia.

– Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. Ale pod warunkiem, że nie będziesz piekła tłustych czekoladowych babeczek – powiedziała Tracie, kiedy już się wyściskały. – Myślę, że powinnaś zostać w Seattle na stałe. Ale zrobisz, co zechcesz, bylebyś tylko nie wracała do Petera.

– Piotrze, Piotrze, kto ci się oprze? Nawet z sąsiadką poszło ci gładko – zaśpiewała Laura.

– Naprawdę to robili, kiedy ich przyłapałaś? – spytała Tracie, wstrzymując oddech.

– A co myślałaś. W pewnym sensie poczułam się o wiele gorzej, niż gdyby się po prostu pieprzyli – powiedziała Laura. Przerwała rozpakowywanie się i usiadła na brzegu łóżka Tracie. – Facet może pieprzyć dziewczynę, nawet jeśli jej nie lubi, ale miłość francuska... – urwała i pokręciła głową. – Chryste, nawet ze mną prawie nigdy tego nie robił. – Westchnęła i sięgnęła do torby po jeszcze jeden idealnie złożony podkoszulek.

– Och, nie myśl już o tym – powiedziała Tracie. – Po prostu nigdy więcej nie zobaczysz go na oczy. Jeszcze za tobą zatęskni.

– Nie wiem, czy zatęskni za mną, ale na pewno będzie tęsknił za moimi cielecymi żeberkami z duszoną kapustą i sosem mango wo-jabłkowo-żura winowym – zaśmiała się Laura. – Ale nie mówmy już o Peterze. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak wygląda sławny Phil.

Tracie poruszyła brwiami w nieudolnej imitacji Groucha Marxa.

– Nie będziesz musiała czekać długo. Zanim skończysz się rozpakowywać, popracuję trochę nad tym głupim artykułem, a potem coś zjemy i zabiorę cię do Cosmo, gdzie poznasz Phila.

– Co to jest Cosmo?

– Łatwiej tam pojechać, niż to wyjaśnić – powiedziała Tracie. – Sama zobaczysz wieczorem.

Kiedy Tracie i Laura dotarły wreszcie do Cosmo i przeszły przez podwójne drzwi wejściowe z czarnego szkła, w klubie było już tłoczno. Cosmo było ogromną dyskoteką – z trzema oddzielnymi parkietami do

tańca – całą w czerniach i oświetloną jedynie przez neonowe lampy biegnące wzdłuż ścian oraz lampy stroboskopowe i czarne reflektory włączające się w przerwach, jeśli w ogóle takowe były. Laura rozejrzała się po sali.

– Koszmar epileptyka – rzuciła, kiedy przedzierały się do zatłoczonego baru.

– Poczekaj na komputerowy pokaz efektów świetlnych, to dopiero zobaczysz! – wrzasnęła Tracie, usiłując przekrzyczeć hałas.

– Ciepłych?! – próbowała odkrzyknąć Laura.

– Świetlnych – światło! – powtórzyła Tracie i radośnie pokiwała głową, widząc uśmiech zrozumienia na twarzy przyjaciółki.

W dyskotekę kłębił się tłum stałych bywalców, młodych ludzi poniżej trzydziestki, dogłębnie przekonanych, że w dziedzinie mody są absolutnie na topie. Osobiście Tracie zawsze uważała, że jest coś dziwnego w sposobie bycia tutejszej złotej młodzieży. Mieli o wiele więcej pieniędzy i o wiele mniej poczucia smaku niż ich rówieśnicy z Los Angeles czy innych miejsc, w których bywała, ale za to właśnie ich lubiła. Wyglądali zawsze

tak, jakby albo zapomnieli się przebrać, idąc na miasto, albo przyjechali tu na jakąś konferencję. W istocie większość młodych ludzi w Seattle przypominała zagorzałych fanów filmów s.f., którzy właśnie przerzucili swoją maniackalną pasję w jakąś inną sferę zainteresowań. Grała orkiestra swingowa i wszyscy tańczyli parami. Na parkiecie widać było sporo charakterystycznych garniturów z lat czterdziestych, w stylu zoot, z przedłużonymi rękawami i nogawkami, oraz sukienek z epoki. Tracie uważała, że sukienki są zupełnie w porządku, ale poza tym kompletnie nie pojmowała, jak można się bawić przy takiej muzyce.

– Ja też nie – rzuciła nagle Laura, jak gdyby Tracie wypowiedziała swoje myśli na głos.

Tracie wzięła swojego drinka, szybko wypiła i właśnie zamierzała zamówić następnego. Phil spóźnił się jak zwykle.

– Hej, który to już dziś wieczorem? A jeszcze nie ma północy – skomentowała Laura.

– Wiesz... jestem trochę spięta. Zawsze czuję się nieswojo, kiedy się zbliża Dzień Matki – przyznała Tracie. A do tego ten artykuł. I Marcus. I Phil, który się spóźnia. I...

– Słuchaj, z własnego doświadczenia mogę cię zapewnić, że posiadanie

matki także może człowieka zdołować – powiedziała Laura i objęła Tracie ramieniem.

Tracie wspięła się na szczebel barowego stołka i spojrzała ponad tłumem. Jednak opadające włosy zasłoniły jej oczy, światła migały jak oszalałe i w rezultacie niewiele zobaczyła. Phila ani śladu. Skinęła więc tylko na barmana, żeby zamówić kolejnego drinka, i tym razem barman ją dostrzegł.

– Chciałabym się tylko upewnić, że wrócę dziś do domu z Philem i będę się jutro rozkosznie wylegiwać w łóżku.

– Podczas gdy ja będę cicho płakać na mojej połówce – powiedziała Laura, po czym dodała: – Słuchaj, naprawdę na to zasłużyłaś, przecież tak ciężko pracowałaś nad tym artykułem o Dniu Matki. Marcus nie powinien ci przydzielać tego tematu. Zupełnie cię to wybiło z nastroju.

– No cóż, redaktorzy w gazetach raczej nie słyną z wrażliwości. A moje współlokatorki zawsze gadają za dużo.

– Nie jestem twoją współlokatorką. Przyjechałam do ciebie, żeby dojść do siebie po zerwaniu z Peterem.

– Boże! Ależ to potrwa lata.

– Nie. Lata zajęło mi odchorowanie Bena. – Laura urwała i zamyśliła się na chwilę. – Na Petera potrzeba mi tylko kilku miesięcy. Chyba że zadzwoni i będzie mnie błagał.

– Powiedz mu, niech spada.

– Co?

– Powiedz mu, żeby się pocałował gdzieś.

– Mam żałować?! – Laura znowu usiłowała przekrzyczeć hałas.

Tracie wyciągnęła swój żółty bloczek – nigdy nie ruszała się bez jednego z nich – napisała coś dużymi literami i położyła kartkę na barze. Napis był krótki: „Po prostu powiedz: Nie”. W boksie w rogu sali siedziała grupa zdeklarowanych punk rockowców. Powoli sączyli piwo.

– „Nabrzmiałe Gruczoły” – powiedziała Tracie i wskazała w ich stronę.

– Zespół Phila.

– Nie wyglądają na facetów w moim typie, ale lepsze to niż siedzieć tutaj. Przy siądźmy się do nich – zaproponowała Laura. – Może fundną nam piwo.

– Tak, i może dostaną od Kongresu Order Zasługi. Przepchnęły się przez tłum i podeszły do grupy siedzącej

w rogu.

– Cześć, chłopaki – powiedziała Tracie. – „Gruczoły”, to jest Laura.

Lauro, to są „Gruczoły” – dokonała prezentacji i usiadła obok Jeffa.

– Ale denna muzyczka – stwierdził Jeff, stały basista „Gruczołów”.

– Denna, co nie, Tracie? – spytał Frank, perkusista, kiedy Laura usiadła obok niego. Zapadła cisza, którą przerwał dopiero widok przechodzącej obok pięknej blondynki.

– Ej, lala, chodź do tatusia. Mam coś dla ciebie! – krzyknął Jeff.

– Zapomnij o niej, Jeff. Ona pracuje ze mną w „Timesie”. To barakuda.

– Ej, mam coś, na co mógłbym ją złapać – powiedział Jeff.

– Tak, teraz przynajmniej wiem, co z ciebie za gruczoł – odezwała się

Laura, po czym zwróciła się do Franka: – A ty? Limfatyczny może?

W tym momencie przy wejściu zrobił się ruch. Tracie pojaśniała na widok Phila. Spojrzała znacząco na Laurę, która odwróciła się w stronę drzwi.

– Boże, ale wysoki. I przystojny.

Tracie kiwnęła głową. Jej chłopak potrafił być miły i czarujący – jeśli

miał na to ochotę. W rękę trzymał gitarę basową, ale Tracie

z niepokojem skupiła wzrok na idącej obok niego niezwykle szczupłej,

ślicznej kobiecie. Oboje przecisnęli się przez tłum i podeszli do stolika

w rogu.

– Nie idzie, tylko kroczy – powiedziała Laura. – A co to za laseczka?

Boże, on jest gorszy niż Peter.

– Odczep się, Laura. Jeszcze nie zdążyłaś zamienić z nim jednego

słowa – powiedziała Tracie. Ale sama z niepokojem patrzyła na tak

zwaną laseczkę.

– Hej, dziewczyno. Miałem próbę do późna. – Phil objął Tracie

ramieniem.

– Phil, to jest Laura – przedstawiła przyjaciółkę Tracie. Wystarczyło jej

jedno spojrzenie w stronę Laury, żeby się

zorientować, co jest grane. Było jasne, że Laura nie zamierza Philowi

popuścić. Patrzyła na niego nie jak na faceta, który się spóźnił,

przyprawdzając jeszcze ze sobą jakąś pannicę, ale jak na kogoś, kto

oblał twarz jej przyjaciółki kwasem solnym. Laura zawsze miała

skłonność do przesadnych reakcji w takich sytuacjach. Choć trzeba

przyznać, że Tracie dość podobnie reagowała, kiedy Laurze działa się

krzywda.

– Cześć, Phil. Ja też się cieszę, że cię poznałam. Och! A co to przyniosłeś ze sobą? Czyżby swój nowy stroik do gitary? – spytała Laura.

Tracie dyskretnie kopnęła ją pod stołem w kostkę. Kiedy Laura posuwała się za daleko w zwalczaniu paskudnej macochy Tracie – o której zawsze mówiły P.M., a nie Thelma – Tracie posługiwała się tym samym systemem sygnalizacyjnym. Nikt nie darzył jej macochy większą nienawiścią niż Laura – nawet sama Tracie.

Tymczasem jakby nie dość było kłopotów z Laurą, Philem i „laseczką”, którą ze sobą przyciągnął, znowu pojawiła się barakuda Allison. Och, tylko dlatego, że pracuje z nią w „Timesie”, nie musi jej zaraz wszystkim przedstawiać.

– Cześć, Tracie – powiedziała Allison.

Tracie nie przypominała sobie, żeby Allison kiedykolwiek odezwała się do niej – czy do kogokolwiek w redakcji – ludzkim słowem na powitanie. Nawet Marcusa traktowała z góry, choć nigdy nie wyznaczał jej sztywnych terminów.

Tracie wiedziała, że w pewnym sensie powinna odebrać to jako komplement, i rzeczywiście poczuła satysfakcję. Phil był taki atrakcyjny i tak bardzo zwracał na siebie uwagę. Jego wzrost, włosy, ubranie i ta cała jego swobodna postawa robiły wrażenie. Och, na niej zrobiły wrażenie jak diabli i Tracie złapała go bez wahania, a teraz czuła dreszcz zachwyty za każdym razem, kiedy na niego patrzyła. Ale inne dziewczyny także miały oczy i Tracie musiała zawsze mieć się na baczności, wypatrując potencjalnych rywalek i sondując, jakie wrażenie robią na Philu. Na szczęście był tak przyzwyczajony do zainteresowania ze strony kobiet, że zwykle nie zwracał na nie uwagi. Tracie westchnęła. Będzie musiała ich sobie przedstawić.

– Laura, Frank, Jeff, Phil, to jest Allison – powiedziała. I chociaż nie powinna tego robić, spojrzała na Phila, dodając: – A to jest...

– Melody – rzucił Phil. – Prosiła, żeby ją podwieźć.

– Skąd? Z twojego mieszkania? – spytała Tracie i zaraz chciała ugryźć się w język.

Laura przesunęła się nieco, tak żeby na ławie nie było miejsca dla żadnej nowej fanki zespołu. Tracie z uznaniem pomyślała o przyjaciółce. Phil objął Tracie mocniej ramieniem i nadal ostentacyjnie starał się nie dostrzegać obecności Laury.

– Jesteś jak ciepły piec w mroźną noc – wyszeptał do ucha Tracie.

– Zobaczymy się później, dziecinko – zwrócił się do Melody, która, chcąc nie chcąc, powoli wtopiła się w tłum.

Tracie odprowadziła dziewczynę wzrokiem.

– Unchained Melody * – powiedziała do siebie Laura z zadowoleniem.

– „Righteous Brothers”. 1965. Wytwórnia Phillies – dorzucił Jeff.

– A więc grasz dziś wieczorem? – zwróciła się Tracie do Phila.

– Taa, Bob da mi zagrać w drugiej części.

Bob był liderem „Gruczołów”, ale jeśli Phil postawi na swoim, przywództwo Boba może nie potrwać długo.

– To świetnie! – powiedziała Tracie z roztargnieniem. Spojrzała w tłum, szukając wzrokiem Melody, ale na szczęście dziewczyna zniknęła z oczu. Tracie zasadniczo ufała Philowi, jednak tylko do pewnych granic. Uznała więc, że lepiej będzie, jak zostanie do końca wieczoru. Muzyka, alkohol i Melody to mieszanka, która mogła eksplodować poza te granice.

– Kiedy przyjdzie Bob?

– Tak, dobre pytanie – powiedział Phil, marszcząc brwi.

– A Bob to jaki gruczoł? – spytała Laura. – Przysadka? Nadnercza?

– To dupek – odparł Phil.

– Aha. A więc, ściśle biorąc, należałoby go nazwać „gruczołem analnym” – podsumowała Laura gładko.

Chociaż Phil dołączył do grupy niedawno, już walczył o pozycję lidera. Jednak Tracie nie miała pojęcia, dlaczego tak bardzo mu na tym zależało. Zajęcie zdawało się dość pracochłonne: te wszystkie niekończące się zabiegi o bezpłatne występy u właścicieli klubów, ciągłe rozmowy telefoniczne, żeby zorganizować próbę, błaganie przyjaciół o pożyczenie wana do przewiezienia sprzętu, a wszystko po to, żeby zagrać kilka kawałków. Też mi coś. Oczywiście Tracie domyślała się, że to może być frajda zagrać kilka kawałków, ale nie wyobrażała sobie Phila w roli organizatora całej reszty. Pomyślała, że chyba musi mieć jakąś ukrytą skłonność do odpowiedzialnych zachowań, która dotąd nie dała o sobie znać.

– Wiesz – Jeff podjął wątek wałkowany już chyba po raz setny – nie jestem całkiem pewny naszej nazwy.

Tracie spojrzała w sufit i westchnęła. Kiedy chłopcy akurat

Ang. unchained – uwolniona z więzów; melody – melodia (przyp.

Hum.).

nie bili się między sobą, nie pili albo nie mieli próby, większość czasu pochłaniały im spory o nazwę zespołu. W artykule, jaki Tracie udało się opublikować na ich temat w „Timesie” – mimo niesłychanych oporów Marcusa – użyła ostatniej nazwy, na jaką się wszyscy zgodzili: „Nabrzmiące Gruczoły”. Mimo to Jeff znowu zgłaszał swoje zastrzeżenia.

– Widziałem w górach ekstra znak drogowy – ciągnął Jeff. – Wszędzie tam stoją. Po prostu: „Uskoki na jezdni”. Świetna nazwa, co nie? I darmowa reklama. Zupełny odlot.

– A może lepsza byłaby: „Uwaga na zakręty”? – zażartowała Laura.

– E, tam – skrzywił się Jeff. – Bez jaj.

– To może: „Ustąp pieszym” – zaproponowała.

– „Nabrzmiące Gruczoły” są w porządku, nie ma się czego czepiać – oświadczył Phil. – Myślałem nad tym. Poza tym nazwa była już w gazecie. Chyba nie chcecie zahamować rosnącej fali publicity. Prawda, Tracie?

Tracie nie miała serca powiedzieć Philowi, że jeden artykuł trudno nazwać falą, a poza tym jutro będzie tekst o jakimś innym zespole.

– Racja – bąknęła tylko i zobaczyła, jak Laura przewraca oczami. Miała nadzieję, że Phil tego nie zauważył.

Na szczęście Phil akurat w tym momencie próbował przywołać barmana, żeby zamówić sobie drinka. Po chwili przysunął się do niej bliżej i szepnął jej do ucha:

– Cieszę się, że tu jesteś.

To prawda, że czasami Phil zachowywał się jak palant, poza tym wiedziała, że prawdopodobnie nie jest jeszcze gotowy na trwalszy związek. Ale był dziko przystojny i miał w sobie coś naprawdę ekscytującego – te jego włosy opadające na policzek i te proste palce, zakończone płaskimi, gładkimi paznokciami... W jej spokojne i uporządkowane życie wnosił element chaosu i namiętności, i czasami potrafił sprawić, że zapominała o jego wszystkich złych stronach.

Tracie zarumieniła się, słysząc jego słowa.

Na widok jej rumieńca Laura pokiwała głową.

– Myślę, że wbrew panującym tendencjom spróbuję zachować się zgodnie z wymogami zdrowego rozsądku i poderwę na przykład jakiegoś marynarza ze statku handlowego. Na razie – powiedziała

i kołysząc biodrami, zanurzyła się w tłumie.

– Co ją ugryzło? – spytał Phil.

Tracie wzruszyła ramionami i westchnęła. Trudno oczekiwać, żeby jej przyjaciółka i jej chłopak polubili się nawzajem. Włączyła swojego laptopa. W redakcji skończyła sylwetkę kolejnej gwiazdy informatycznej i zaczęła pisać artykuł o Dniu Matki, ale wciąż musiała nad nim trochę popracować.

Jedną z rzeczy, które pociągały ją w Philu, był fakt, że zajmował się także pisaniem. Jednak w przeciwieństwie do niej nie pisał tekstów komercyjnych. Był prawdziwym artystą. Phil pisał krótkie, ale to bardzo krótkie opowiadania. Czasami krótsze niż na stronę. Tracie często nie chwyciła ich sensu, ale wołała się do tego nie przyznawać. Szanowała jego pracę właśnie za to, że tak zupełnie nie przejmował się ewentualnymi odbiorcami, że traktował swoje pisanie tak całkowicie osobiście.

Tracie wiedziała, że chociaż Phil zawsze mieszkał z kumplem i zawsze miał jakąś dziewczynę, tak naprawdę był samotnikiem.

Prawdopodobnie potrafiłby spędzić pięć lat na bezludnej wyspie, a kiedy wreszcie zawinąłby do niej jakiś okręt, żeby go uratować, Phil spojrzałby tylko znad swoich zapisków i gitary i powiedział: „To nie jest najlepszy moment na to, żeby mi przeszkadzać”. W każdym razie ona sama słyszała to wystarczająco wiele razy, żeby nauczyć się szanować jego twórcze skupienie.

Czasami Tracie zastanawiała się, czy studia dziennikarskie i praca w gazecie nie zabiły jej własnego talentu. Toteż po latach wysłuchiwania uwag w rodzaju: „Zawsze pamiętaj o tym, kto będzie czytał twój tekst” postawa Phila wydawała jej się bardzo odświeżająca, nawet jeśli patrzył z góry na ludzi, którzy zarabiali pisaniem na życie. Doskonale wiedziała, kto może być czytelnikiem jej artykułu: mieszkańcy przedmieść przy porannej kawie, młodzi profesjonaliści żujący precele przy śniadaniu, stare kobiety w publicznej bibliotece. Westchnęła i schyliła się, żeby lepiej widzieć tekst na ekranie.

Ale już po minucie czy dwu Phil szturchnął ją w bok.

– Nie możesz tego zostawić i trochę się wyluzować? – zapytał obcesowo.

– Phil, mówiłam ci, że muszę skończyć ten artykuł. Jeśli nie prześlę go na czas, Marcus w ogóle przestanie mi dawać dłuższe teksty.

Z rozkoszą wykorzysta pretekst. Albo stracę pracę – odparła zniecierpliwiona.

– Mówisz tak przy każdym kolejnym artykule – odburknął. – Przestań żyć w ciągłym lęku.

– Słuchaj, ja nie żartuję. Ten artykuł jest dla mnie naprawdę ważny.

Staram się napisać coś nieszablonowego na temat Dnia Matki.

– Ej, ty przecież nawet nie masz matki – wtrącił się Jeff. Tracie zwróciła się do niego, jak gdyby był małym dzieckiem.

– Tak, Jeff, to prawda, że moja matka umarła, kiedy byłam bardzo mała. Ale widzisz, dziennikarze nie zawsze piszą o sobie samych.

Pamiętasz, jak napisałam artykuł o was? A przecież nie jestem żadnym z „Nabrzmiałych Gruczołów”. Nawet mlecznym. Czasami dziennikarze piszą o bieżących wydarzeniach. Albo reportaże o życiu innych ludzi. To dlatego nazywają nas reporterami.

– Jezu, czuję, że od tej ironii zaraz mi popękają pałeczki – rzucił Frank.

– Stary, o której wchodzimy do akcji? – spytał Jeff.

– Nie wcześniej jak o drugiej, facet – obwieścił Frank. Tracie z trudem powstrzymała się, żeby nie jęknąć na głos.

O drugiej! Nie wyjdą stąd przed świtem.

– Boże! To już nic lepszego Bob nie mógł załatwić?

– Mam nadzieję, że do tej pory te dupki się stąd zmyją i będziemy mieli prawdziwą publikę – powiedział Phil.

– Jestem pewna, że tak będzie. „Gruczoły” naprawdę<,mają już swoich fanów – zapewniła go Tracie.

Jednak sama wcale nie była o tym przekonana. W istocie tłum na parkiecie może zareagować bardzo nieprzyjaźnie, jeśli zostanie nagle pozbawiony swojej dawki bigbandowych standardów.

Z tłumu tańczących wyłoniła się Laura w towarzystwie niskiego faceta ubranego niczym bukmacher z lat czterdziestych. Tracie zauważyła, że bardzo często Laurę podrywali niscy mężczyźni. Jednak to upodobanie zdecydowanie nie było wzajemne.

– Możemy się przysiąc? Czy też zamieniacie się o północy w szczury i dynie?

– Szczury i dynie. To byłaby dobra nazwa – skomentował Frank.

Tracie spojrzała na zegarek.

– Boże! Muszę wysłać ten tekst. Znowu pochylała się nad laptopem.

Członkowie zespołu w milczeniu rzucali sobie ponure spojrzenia.

Powierzchnię stołu zasłały kolejne pety. Tracie zatrzasnęła laptop.

– Ta muzyka to kompletne dno – rzucił przed siebie Frank.

– Taa, kompletne dno – powtórzył Jeff.

– Dzięki za pouczające wprowadzenie w nocne życie Seattle. Tutejsza konwersacja jest naprawdę o wiele bardziej wyrafinowana niż w Sacramento – powiedziała Laura z przekąsem.

Tracie spojrzała na przyjaciółkę.

– Będzie lepiej, jak skończę tekst, a chłopcy zaczną grać – obiecała.

Zaczęła się zbierać do wyjścia.

– A ty gdzie idziesz? – spytał Phil.

– Muszę to przesłać faksem Marcusowi do domu – wyjaśniła Tracie.

– Hej, nie odchodź od stolika. – Phil chwycił ją za rękę. – Mamy zostać sami? To nie będzie dobrze wyglądało. Nie rozumiesz, że inne dziewczyny zrobiłyby wszystko, żeby się tu przysiąść?

Tracie wzruszyła ramionami i roześmiała się. Niełatwo znaleźć bar z dostępem do sieci. Nawet trudno byłoby o książkę telefoniczną ze spisem całodobowych punktów kserograficznych. Phil był słodki, ale robił trudności, a Tracie nie mogła sobie na to pozwolić, żeby dać Marcusowi najmniejszy pretekst do narzekań. Musiała więc za wszelką cenę wysłać tekst i pomodlić się, żeby Phil się nie wściekał. Jeśli zaraz stąd wyjdzie na miasto, zdąży wrócić, zanim zespół zacznie swój występ. Bo jeśli nie wróci na czas, będzie się miała z pyszna i przez resztę wieczoru będzie musiała ugłaskiwać nadętego Phila.

Kiedy wreszcie wróciła dwadzieścia minut później, na jej miejscu siedziała już jakaś młoda wielbicielka swinga.

– Zdążyłam dosłownie w ostatniej chwili – zaczęła Tracie, stając przy stoliku.

– Gratulacje – powiedział Jeff i wręczył jej piwo.

– Czy coś się wydarzyło od mojego wyjścia? – spytała, patrząc prosto na Phila.

– Och, muzyka jest wciąż denna, jak słyszę, a tu mamy, zdaje się, nową maskotkę – odpowiedziała jej Laura.

Tracie klepnęła dziewczynę w ramię, żeby zwolniła jej miejsce, po czym posłała Philowi ostre spojrzenie – w końcu to on powinien powiedzieć dziewczynie, żeby się wyniosła.

– Hej, to nie moja wina – zaprotestował Phil, kiedy młoda kobieta odeszła od stolika.

- Nie wiem, czemu te dziwki koniecznie chcą się ubierać jak Betty Crawford – zauważył Frank.
- Kompletne idiotki – zgodził się z nim Phil. Laura pochyliła się przez stół w stronę Franka.
- Nie ma Betty Crawford.
- Co?
- Nie ma żadnej Betty Crawford – poinformowała go Laura. – Ty pewnie jesteś perkusistą, co?
- Mhm – burknął Frank.
- Była Betty Gracie i była Bette Davis. Była także Joan Crawford, choć nie sądzę, żeby Joan Crawford kiedykolwiek tańczyła do muzyki swingowej – wyjaśniła Tracie.
- Co za różnica – wtrącił się Jeff.
- Jasne. Kogo to obchodzi? Wszystko jedno, stary – poparł go Phil, patrząc na Laurę.
- Orkiestra zaczęła grać Last Kiss.
- „Pearl Jam” – powiedział Jeff. – Epic Records. 1999.
- To była tylko nowa wersja – sprostowała Laura. – To stara piosenka z lat pięćdziesiątych.
- No co ty. Chłopcy z „Pearl Jam” sami piszą wszystkie swoje kawałki – zaoponował Jeff.
- Chcesz się założyć? – spytała Laura, unosząc brwi, jakby chciała go sprowokować.
- A może założymy się o taniec – odparł Jeff. – Wtedy, tak czy inaczej, jestem wygrany.
- Tracie spojrzała na Laurę, która otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Laura bez słowa wyciągnęła rękę i Jeff, który był od niej o połowę niższy, poprowadził ją na parkiet. Boże! – pomyślała Tracie, która prędzej oddałaby własną biżuterię Allison, niż zatańczyła z Jeffem.
- Gdzie ten Bob? – spytał Phil.
- No właśnie, gdzie jest Bob? – powtórzył Frank jak echo, najwyraźniej zde gustowany postępkami Jeffa. Widać było, że idzie im z Laurą całkiem dobrze. Tracie zupełnie zapomniała, jak Laura dobrze tańczy.
- Zastanawiam się, co by zrobili chłopaki z „Gun N'Roses”, gdyby się tu znaleźli? – ciągnął Frank.
- Wyciągnęliby pistolety maszynowe – powiedział Phil. Tracie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Człowieku, Axl Rose przewróciłby się w grobie, jakby to zobaczył – dodał Frank
- Czy Axl Rose nie żyje? – spytała Tracie. Członkowie zespołu spojrzeli na nią, jakby nagle oszalała.
- O czym ty gadasz? – spytał Frank.
- Powiedziałeś, że przewróciłby się w grobie, więc sądziłam... Phil objął ją ramieniem.
- Nie jest zbyt bystra, ale na pewno jest piękna – powiedział do Franka tytułem wyjaśnienia i ofiarował jej mocnego, soczystego całusa.

Jonathan Charles Delano przedzierał się na rowerze przez poranną mgłę wiszącą nad Puget Sound. Kręta droga ciągnęła się wzdłuż zamglonego brzegu zatoki. Jonathan miał na sobie firmową marynarkę Micro-Connection – dostawali je wyłącznie członkowie założyciele firmy posiadający ponad dwadzieścia tysięcy akcji – oraz bejsbolową czapkę. Kiedy wyjechał zza zakrętu, nagle uderzył go boczny wiatr i jego rozpięta marynarka rozdzęła się niczym balon z tworzywa sztucznego. Jon traktował jazdę na rowerze jako dobrą formę terapii. Kiedy wpadł we właściwy rytm, mógł uwolnić się od natrętnych myśli albo, przeciwnie, zanurzyć w spokojne rozmyślenia – wedle swojej woli. Tego ranka rozpaczliwie pragnął nie myśleć o wczorajszym wieczorze – który spędził, stojąc na deszczu, wystawiony do wiatru przez kobietę – ani o wyczerpującym dniu, jaki miał przed sobą. Prawdę mówiąc, jechał z mieszanymi uczuciami, niezbyt pewien, czy rzeczywiście pragnie dojechać do celu, mimo to pedałowal z całej siły, jakby uczestniczył w wyścigu Tour de France. Dzień Matki zawsze stanowił dla niego trudne wyzwanie. Od lat kultywował tego dnia pewną prywatną tradycję, którą sam kiedyś ustanowił pod wpływem zupełnie niepotrzebnego poczucia winy i współczucia. Wymyślił sobie bowiem, że jako syn Chucka Delano winien jest coś tym kobietom, a poza tym jako jedynak tylko w ten sposób mógł dowiedzieć się, jak to jest, kiedy się posiada większą rodzinę. W każdym razie tak sobie racjonalizował te wizyty.

Za następnym zakrętem nadbrzeżnej drogi mgła rozrzedziła się i nagle przed Jonathanem odsonił się wspaniały widok na całą zatokę. Seattle lśniło na tle otaczającej je bujnej zieleni niczym prawdziwie magiczne Szmaragdowe Miasto, jak je nazywano. Ukazał się nawet wierzchołek Rainiera, potężnego masywu górskiego, majestatycznie królującego nad Seattle, kiedy nieba nie skrywała gęsta warstwa chmur.

Jako jeden z czterech rdzennych mieszkańców Seattle – wydawało się, że wszyscy pozostali przyjechali tu „skądś tam ze wschodu” – Jon widział ten widok tysiące razy, ale zawsze odczuwał podobny zachwyty. Teraz jednak nie miał czasu na piękne widoki – czekała go dalsza droga przez wyspę Bain-bridge aż do domku ze spadzistym dachem. Jon zeskoczył z roweru, wyciągnął z koszyka bukiet i przecesał palcami

włosy. Spojrzał na zegarek, skrzywił się i ruszył szybko alejką wiodącą do frontowych drzwi. Na tabliczce widniało nazwisko: „Pani B. Delano”.

Zapukał do drzwi. Otworzyła mu masywna blondynka w średnim wieku, ubrana w dres zapinany na suwak. Jon nie mógł nie zauważyć, że Barbara przybrała na wadze od zeszłego roku. Na dres założyła kuchenny fartuch. Jon uśmiechnął się na ten widok. To było takie... typowe dla Barbary.

– Jon! Och, Jon! Nie spodziewałam się, że przyjedziesz – skłamała uroczo i uściśnęła go z całej siły.

Barbara była pierwszą żoną jego ojca i choć tylko trochę starsza od matki Jona, w jakimś sensie należała już do innego pokolenia.

Jon starał się zawsze poważnie traktować swoje obowiązki: nie tłumił uczuć, starał się być dobrym synem, wyrozumiałym szefem, lojalnym pracownikiem, dobrym przyjacielem... och, lista ciągnęła się w nieskończoność i kiedy o tym myślał, ogarniało go jakieś przykre znużenie. Rola obowiązkowego „pasierba” należała do tych szczególnie stresujących.

Jon czuł jakiś głęboki smutek na myśl o życiu pierwszej pani Delano.

Chodziło zapewne o ten jej nieubłagany radosny nastrój. Można by pomyśleć, że czuje się szczęśliwa w swoim małym domu w Winslow, ale Jon oczami wyobraźni widział, jak zaraz po jego wyjściu zaczynała tęsknić. Nie za nim – Jon wiedział, że nikt za nim nie tęskni – ale za Chuckiem, jego ojcem, mężczyzną, którego kochała i straciła, kiedy Chuck miał mniej więcej tyle lat, co Jon obecnie.

Jon nie miał powodów czuć się winnym za swojego ojca, a jednak się czuł i sądził, że nigdy się od tego poczucia nie uwolni, zawczasu więc przygotowywał się na ten dzień. Wyjął zza pleców bukiet kwiatów.

– Nie spodziewałaś się mnie? – spytał równie radośnie jak ona. – Jak to możliwe? Wszystkiego dobrego z okazji Dnia Matki, Barbaro. – Z rozmachem wręczył jej kwiaty.

– Boże święty! Róże i gladiole. Moje ulubione! Skąd wiedziałeś?

Jon pomyślał, że to nie jest odpowiedni moment na opowieści o automatycznym kalendarzu w komputerze, harmonogramie zadań czy palmtopie.

Barbara znowu uściśnęła go mocno. Poczuł jej obfite, miękkie ciało.

Z pewnością nie dlatego zakładała dres, żeby uprawiać jogging.

– Jesteś takim dobrym chłopcem, Jon. Usunęła się na bok, żeby przepuścić go do holu.

– Wejdz, proszę. Robię właśnie herbatniki na śniadanie.

– Nie wiedziałem, że potrafisz piec – skłamał z wahaniem. Nie miał ochoty na śniadanie, a poza tym kiedy już Barbara zaczynała mówić... Najbardziej bał się dwu pytań – rzuconego pozornie niedbale: „Miałeś ostatnio jakieś wieści od ojca?” oraz jeszcze gorszego: „Spotykasz się z kimś na poważnie?”. I chociaż Chuck rzadko odzywał się do Jona, a Jonowi równie rzadko trafiała się jakaś randka, Barbara nigdy nie zapomniała go o to zapytać. Prawdopodobnie robiła tak, ponieważ czuła się samotna. Nie miała dzieci z jego ojcem i nigdy ponownie nie wyszła za mąż. Jon odnosił wrażenie, że Barbara żyje w pewnej izolacji, nie tylko w sensie przestrzennym, na wyspie, ale także w ogóle w życiu.

– Na pewno masz ochotę na kawę – powiedziała.

– Tak, łyknę tylko kawy. Nie mam zbyt wiele czasu. Naprawdę powinienem...

Barbara chwyciła go za ramię i wciągnęła do środka.

– I jak, spotykasz się z kimś na poważnie? – spytała.

Jon z całej siły powstrzymał się, żeby się nie wzdrygnąć. Gdyby jakimś przypadkiem jeszcze nie wiedział, że jego życie prywatne, a ściślej, ta odrobina wolnego czasu, jaką na nie poświęcał, stanowi kompletną katastrofę, wczorajszy wieczór ostatecznie rozwiąłby jego wątpliwości. Razem z Tracie, jego najbliższą przyjaciółką, przez lata starali się ustalić, czyje życie uczuciowe jest mniej romantyczne. Jednak w tym tygodniu Jon bez wątpienia odniósł ostateczne zwycięstwo w konkursie. Czy może raczej poniósł ostateczną klęskę. Tak czy inaczej, wchodząc za Barbarą do kuchni, wiedział, że jakkolwiekby nazwał jego osiągnięcie, nie miał się z czego cieszyć.

Godzinę później Jon pchał swój rower, starając się nie najechać na pięty żadnemu z licznych pasażerów promu Puget Sound Ferry, wysiadających razem z nim na brzeg po stronie miasta. Miał wrażenie, że jest jedyną samotną osobą w tłumie składającym się z par zakochanych. Spacer z najdroższą w niedzielny poranek. Tak, wszyscy poza nim. Westchnął. Cóż, cały czas pracuje – bez wytchnienia, jak wszyscy młodzi geniusze z branży. Z nabrzeża widać było panoramę

Seattle z głupią Kosmiczną Igłą i lustrzanymi ścianami nowych wieżowców. Jon wsiadł na rower, szybko minął tłum spacerowiczów i z dziką zajadłością popedałował w głąb Piętnastej Alei Północno-Zachodniej.

Niecałe dziesięć minut później zahamował ostro przed luksusowym wieżowcem mieszkalnym. Zerknął na zegarek, wyjął następny bukiet z koszyka – tym razem same tulipany – i przypiął rower do parkometru. Wszedł do holu, przesadnie zdobionej przestrzeni pełnej luster, dobrze mu znanej z czasów, gdy ojciec zabierał go do siebie na weekendy. Wcisnął przycisk przy windzie, drzwi otworzyły się bezszelestnie, wszedł do

środka i nacisnął numer dwanaście. Chociaż jechał tylko kilka sekund, miał wrażenie, jakby odbył długą podróż.

Po wyjściu z windy Jon znowu westchnął i na moment przystanął, żeby zebrać siły. Po chwili zapukał do drzwi, na których nad mosiężną kołatką widniała tabliczka: „Pan i pani J. Delano”, przy czym słowo „Pan” było przekreślone. Otworzyła kobieta w średnim wieku – choć młodsza i znacznie bardziej zadbana niż Barbara – ubrana (z pewną przesadną starannością) w coś, co, jak się domyślał, określono by jako „elegancki kostium”.

– Jonathan – powiedziała słodkim głosem, odbierając od niego tulipany takim gestem, jak gdyby się ich spodziewała. – Jak miło z twojej strony.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Matki, mamó – powiedział do Janet, całując ją na powitanie, tak jak go tego nauczyła: w oba policzki, ale bardzo ostrożnie, żeby nie rozmazać perfekcyjnie zrobionego makijażu.

– Nie musisz mówić do mnie „mamó”, jestem chyba na to trochę za młoda – powiedziała z pewnym rozbawieniem.

Coś w jej głosie zawsze sprawiało, że czuł się przy niej skrępowany. Kiedy był młodszy, wydawało mu się, że Janet delikatnie sobie z niego szydzi. Dopiero całkiem niedawno zrozumiał, że Janet cały czas go kokietowała.

– Poczekaj, tylko wstawię je do wody – powiedziała. Otworzyła drzwi szerzej, żeby wpuścić go do środka. Nigdy nie czuł się swobodnie w jej towarzystwie.

Mieszkanie, podobnie jak jego właścicielka, cierpiało od nadmiaru ozdób. Janet miała na sobie za dużo złotej biżuterii, a jej kostium

z pewnością za wiele złotych guzików. W mieszkaniu było za dużo obrazów ze złotymi ramami i za dużo kryształów. Kiedy Jon miał dwanaście lat i odwiedzał ojca, Janet niemal przez cały czas trwania wizyty przestrzegała go, żeby niczego nie dotykał.

Od ubiegłorocznej wizyty Jona nic się tu nie zmieniło, nie licząc kwiatów od niego. To miejsce było jak zastygłe w czasie, niczym twarz Janet albo pałac w Śpiącej królowie. Jednak żaden książę nie pędził w te strony, żeby ją zbudzić. Jon lubił Barbarę.

Janet wzbudzała w nim tylko litość. Odświeżała teraz kwiaty w małym zlewie w swojej małej kuchence.

– Miałeś jakieś wiadomości od ojca? – spytała, starając się, żeby jej pytanie zabrzmiało możliwie neutralnie.

– Nie – odpowiedział Jon cicho.

Z całego serca nienawidził tego pytania, ponieważ miał wrażenie, że wszystkie byłe żony jego ojca, kiedy je zadają, stają się na moment całkowicie bezbronne, odsłaniając przed nim swoje cierpienie. Teraz zrobiło mu się jeszcze bardziej żal Janet i wiedział, że będzie musiał zostać u niej dłużej.

– Nie? Nic dziwnego – powiedziała i kokieteryjna nuta znikła z jej głosu.

Trochę za mocno wepchnęła ostatniego tulipana do wazonu i złamała mu łodyżkę, choć zachowywała się tak, jakby nie zwróciła na to uwagi.

– A jak tam twoje życie osobiste? – spytała i Jon pomyślał, że zapewne z góry wiedziała, że odpowiedź nie będzie najlepsza.

Obrzuciła go spojrzeniem od góry do dołu, popatrzyła na jego workowate spodnie w kolorze khaki, stare tenisówki, koszulkę z krótkim rękawem, i westchnęła.

– Cóż, może pójdziemy na lunch? Jon poczuł, jak wrasta w ziemię.

– Wiesz – bąknął niepewnie – myślałem, że może napijemy się kawy u ciebie. To znaczy, chodzi o to, że mogę sobie pozwolić na rzucenie kilku funtów...

– Chcesz powiedzieć, że ja mogę – rzuciła z uśmiechem. W jej głosie znowu pojawiła się ta zalotna nuta. – Zawsze jestem na diecie. Ale skoro mamy dziś Dzień Matki, to mogę wyjątkowo nie liczyć kalorii. Nawet jeśli jestem tylko twoją macochą.

Jon dał za wygraną i podporządkował się jej woli. Jego ojciec, dopóki jej nie opuścił, także zawsze ulegał Janet.

W niecałe dziesięć minut później znaleźli się przed wejściem do modnej kawiarni w centrum Seattle. Dzięki Bogu o tej porze nie było jeszcze kolejki, ale kiedy stamtąd wyszli i Jon pomachał swojej drugiej macosze na do widzenia, w ogonku do wejścia

czekało dobrze ponad dwadzieścia osób. Jon spojrzął na zegarek, przeraził się i wskoczył na rower. W szaleńczym tempie wyjechał z centrum, minął park, przejechał bogatszą część miasta, aż wreszcie dotarł do znajomych okolic, w których spędził dzieciństwo.

Na Corcoran Street wjechał na podjazd prowadzący w stronę dużego bungalowu z czerwonej cegły. Dom porośnięty był dzikim winem i otoczony kwietnikami. Jon przebiegł obok wypielegnowanego klombu, zatrzymał się, zawrócił do roweru i wyjął z koszyka kolejny bukiet, tym razem największy.

Szybko podbiegł z nim do drzwi. Nad przyciskiem dzwonka widniała mosiężna tabliczka z napisem „J. Delano”. Zanim zdążył zadzwonić, drzwi otworzyła atrakcyjna, ciemnowłosa kobieta, z wyglądu bardzo podobna do Jona.

– Jonathan! – powitała go matka.

– Wszystkiego dobrego z okazji Dnia Matki, mamó! – Jon objął ją z całej siły, zgniatając przy okazji bukiet, który trzymał przed sobą.

– W samą porę! – powiedziała matka. Wzięła od niego kwiaty i pogładziła go po policzku z widoczną czułością. – Och, skarbie.

Peonie! Boże, to jeszcze nie sezon na peonie. Musiały cię kosztować majątek.

– Nic się nie martw. Mam ostatnio większe kieszonkowe. Roześmiała się.

– A jak twój wyrostek? – spytała.

– Jeszcze nie odrósł. Ale poza tym wszystko w porządku. Trzy lata temu miał nagły atak wyrostka, co skończyło się operacją. Matka bardzo się wtedy przestraszyła i od tamtej pory wciąż pytała go o wyrostek, ale oczywiście pytanie stało się symboliczne i dotyczyło ogólnie jego samopoczucia.

– Widziałeś dzisiaj Rainiera? – zmieniła temat.

– Tak. I Mount Baker. Przeszli przez salon do kuchni.

– Przyjechałeś sam? – spytała.

– Tak. Czemu pytasz?

– Myślałam, że może przyprowadzisz Tracie.

Jon uśmiechnął się. Chociaż Tracie była od lat jego bliską przyjaciółką, matka wciąż zachowywała się tak, jakby miała nadzieję, że łączy ich coś więcej. Albo że pewnego dnia przyprowadzi do domu jakąś inną dziewczynę – prawdziwą narzeczoną. Chętnie uczyniłby zadość jej pragnieniom, ale...

– ...ten dzień jest zawsze dla niej ciężki – mówiła matka, wkładając kwiaty do wazonu.

Jon nigdy nie zwierzał się matce, że często myślał o Tracie – czasami wydawało mu się nawet, że zbyt często – tyle że Tracie była teraz zajęta tym swoim nowym dupkiem i swoją starą przyjaciółką z San Bernardino czy skądś tam.

– Jest bardzo zajęta. Ale będę się z nią widział dziś wieczorem. Wiesz, nasze śniadanie o północy.

– Aha, to pozdrów ją ode mnie serdecznie – powiedziała matka.

– Oczywiście – odparł i wyciągnął z kieszeni marynarki niewielkie, zapakowane pudełeczko. Położył je na blacie.

– Prezent? Och, Jon. To niepotrzebne.

– Wiem, że zgodnie z tradycją należy w Dzień Matki ukraść mamie kartę kredytową i zaszaleć, ale pomyślałem, że tym razem zachowamy się trochę nietradycyjnie.

Jon zarabiał mnóstwo pieniędzy. Oczywiście nie mógł się pod tym względem równać z czwórką pierwszych założycieli firmy, ale jak na faceta w jego wieku było to naprawdę dużo. Wydawał natomiast niewiele, ponieważ zwykle był zbyt zajęty, żeby mieć czas na zakupy. Poza tym niczego mu nie brakowało. Miał wszystkie zabawki, jakich tylko mógł zapragnąć – zestawy stereo, laptopy, sprzęt video – i bardzo mało czasu na to, żeby się nimi bawić. Kiedy nie pracował, myślał o pracy albo spał. Wydanie iluś tam dolarów na prezent dla matki nie stanowiło więc dla niego żadnego problemu. Kłopot polegał raczej na tym, jak odgadnąć, co jej się może spodobać. W końcu zdał się w tej sprawie na Tracie. Miała prawdziwy talent do robienia zakupów.

– Jesteś taki troskliwy i zawsze o wszystkim pamiętasz. Na pewno nie odziedziczyłeś tego po ojcu – odezwała się matka.

Na ułamek sekundy zapadła niezręczna cisza. Ojciec – to był in

edyjny temat, którego Jon nie chciał poruszać w rozmowach z nią. Po chwili jednak roześmiała się i rozwinęła podarunek. Podniosła do

światła jadeitowe kolczyki.

– Och, Jonathan! Jakie piękne!

Widać było, że naprawdę jej się podobają. Tracie zawsze potrafiła wybrać takie rzeczy. Matka podeszła do lustra w holu i przyłożyła kolczyki do uszu, po czym przez chwilę przyglądała się sobie z zadowoleniem. Jon poczuł się bardzo szczęśliwy.

– A więc idziemy do Babbette's na lunch? – spytała, kiedy wreszcie założyła kolczyki.

– Jak zwykle – odpowiedział bez wahania, mimo protestów żołądka, który miał już za sobą śniadanie u Barbary i wczesny lunch z Janet.

– Uwiecznijmy tę chwilę – zaproponowała matka i chwytając swój polaroid, poprowadziła Jona przed dom. Staęli koło krzewu wistarii. – Muszę tylko połapać się, jak działa ten automatyczny samowyzwalacz, i zaraz zrobimy sobie zdjęcie.

Po jakiejś pół godzinie – w tym czasie Jon starał się zachować możliwie największą cierpliwość – podbiegła wreszcie szybciotko do niego i po chwili usłyszeli trzask samowyzwalacza.

Z błyskiem flesza chwila została uwieczniona – i minęła.

Jon był kompletnie wyczerpany. Miał dopiero dwadzieścia osiem lat, ale zastanawiał się, ile jeszcze Dni Matki zdoła przetrwać, zanim któryś z nich wreszcie go zabije. Choć miał już za sobą trzy posiłki, czekały go jeszcze spotkania z trzema byłymi żonami ojca. Nic nie mogło go uchronić przed popołudniową herbatą, wczesnym obiadem i późną kolacją, zanim wreszcie będzie mógł pojechać na cotygodniowe spotkanie z Tracie o północy. Z ponurą miną wsiadł na rower i ruszył w deszcz zalewający Seattle.

Tracie uniosła głowę, szukając wzrokiem zegarka. W końcu go dostrzegła, ale co z tego, skoro najwyraźniej był wyłączony, po to, żeby Phil mógł podłączyć do jedyne go przeciążonego gniazdka swoją gitarę. Nic dziwnego, że zawsze się spóźniał.

Mieszkanie Phila wyglądało jak typowa nora poety-muzyka. Zajmował je z dwoma innymi facetami i wyglądało na to, że żaden z nich nie słyszał o istnieniu takich wynalazków, jak rozgałęziacze, przedłużacze, odkurzacze, ani o nadejściu ery płynów do mycia naczyń. Tracie zamknęła oczy, odwróciła się tyłem do całego tego bałaganu i przytuliła się do ciepłego boku Phila. Wiedziała, że musi się podnieść, ubrać i pójść na spotkanie z Jonem, tak jak to robiła w każdy niedzielny wieczór, ale w łóżku było tak rozkosznie. Poza tym dzisiaj był Dzień Matki. Poczowała nagły przypływ żalu nad sobą. Powiedziała sobie, że pragnie spędzić jeszcze kilka chwil w tej szarej strefie między snem a sennym znużeniem, jakie ogarnia człowieka po dobrym seksie. Przysnęła na chwilę, po czym zasnęła na dobre i kiedy ponownie się obudziła, za oknem paliły się już uliczne latarnie i wiedziała, że zrobiło się późno.

Zaczęła ostrożnie wygrzebywać się spod pomiętych prześcieradeł, starając się nie obudzić Phila. Ale kiedy była już na nogach, Phil, na wpół uśpiony, chwycił ją swoimi bardzo długimi nogami i pociągnął z powrotem na łóżko.

– Chodź tutaj – powiedział i pocałował ją.

Pachniał tak przyjemnie – snem, seksem i chlebowym ciastem – że Tracie nie mogła mu się oprzeć, ale po chwili z poczuciem winy oderwała od niego usta.

– Zaraz wrócę – obiecała.

Phil coś wymamrotał i odwrócił się na drugi bok.

Tracie wpełzła z łóżka, wsunęła się w swoje ubranie i wymknęła się na miasto, żeby kupić niedzielne wydanie „Timesa”. Zrobiło się piętnaście po dziewiątej! Boże! Nic dziwnego, że konała z głodu. Przydałoby się trochę kawy, jajka i chleb na grzanki. Jednak na myśl o tym, w jakim stanie znajdowała się kuchnia Phila, zrezygnowała z pomysłu. Może wystarczą drożdżówki z serem. Lepiej zostawić gotowanie Laurze. Tracie sprawdziła, czy ma jakieś drobne w kieszeni kurtki.

Potrzebowała tylko paru dolarów. Jednak przede wszystkim chciała kupić niedzielne wydanie gazety i zobaczyć, jak wypadł w druku jej artykuł na Dzień Matki.

To zabawne, pracowała w „Timesie” już od czterech lat, ale wciąż czuła dreszcz emocji na widok swojego nazwiska w nagłówku tekstu. Może właśnie to ją trzymało w tym zawodzie. Wiedziała, że prawdopodobnie mogłaby znacznie lepiej zarabiać jako autor specjalistycznych tekstów dla Micro/Conu albo jakiejś innej elektronicznej firmy z Seattle. Ale nie pociągało jej pisanie podręczników obsługi czy tekstów reklamowych. Miała wrażenie, że jest coś magicznego w rytmie pracy dziennikarza, i za każdym razem z równą niecierpliwością czekała na chwilę głębszej satysfakcji, jaką odczuwała na widok wydrukowanego tekstu, nad którym pracowała zaledwie dzień albo dwa dni wcześniej. Tracie poszła do najbliższych delikatesów. W sklepie nie było za czysto, a jedzenie wyglądało niezbyt zachęcająco, ale, jak ktoś powiedział o Everescie – było tam. Na drzwiach wisiał ręcznie wykonany napis: „Wszystkiego dobrego z okazji Dnia Matki”. Zamówiła kilka kaw i kupiła karton soku Tropicana, ale nie mogła przełamać się, żeby się skusić na bodaj jedno z niezbyt świeżo wyglądających ciastek, które leżały na tacy na ladzie. Uznała, że weźmie jeszcze gazetę, i starczy. I oczywiście natychmiast, zanim jeszcze wyszła ze sklepu, musiała spojrzeć na swój artykuł. Otworzyła gazetę na swoim dziale. Nie było go na pierwszej stronie. Zaczęła szybko przeglądać następne. Na drugiej ani na trzeciej też nic. Ani nawet na dwu następnych. Aż wreszcie go znalazła. Na dole szóstej. Okaleczony. Przeredagowany. Posiekany i poszatowany. Odmóżdżony. Pocięty na kawałki i na nowo pozszywany – równie niedorzecznie jak potwór doktora Frankensteina. Zebrało jej się na mdłości. Cholera jasna! Tracie jeszcze raz przebiegła wzrokiem tekst. Nie mogła uwierzyć, że coś takiego w ogóle może się wydarzyć. Ale się wydarzyło.

Rzuciła pozostałą część gazety na ladę, odwróciła się i wyszła, trzymając wciąż w rękach magazyn niedzielny. Miała ochotę cisnąć go do pierwszego napotkanego kosza na śmieci i nawet zmięta go w bezkształtną masę, ale była tak wściekła i oburzona, że jednak trzymała go dalej w rękach, żeby po prostu podzielić się z Philem swoim oburzeniem i jeszcze raz popatrzeć na to, co Marcus zrobił z jej

pracą. Szła w wiosenny wieczór z powrotem do mieszkania Phila. Dlaczego Marcus jej to zrobił? Czemu w ogóle przydzielał jej tekst, skoro i tak zamierzał go potem przerobić? Była gotowa przysiąc, że zrobił to z czystej złośliwości. O co tu chodzi? Nigdy nie będzie mogła wykorzystać tego tekstu w swoim portfolio. Potencjalni pracodawcy na jego widok uznaliby ją za jakąś kretynkę. Co się dzieje z Marcusem? Co się dzieje niedobrego z nią, że się na to godzi, że z nim wytrzymuje? Albo: czemu w ogóle jeszcze zależy jej na tej pracy? Po co w ogóle pracuje nad tekstami, zamiast oddawać byle co – i niech sobie Marcus poprawia, ile zechce?

Pod domem Phila uświadomiła sobie, że na śmierć zapomniała o kawie i o soku, ale w tej chwili nie miała najmniejszej ochoty zaprzętać sobie tym głowy. Chciała jedynie wypełznąć do łóżka i o wszystkim zapomnieć. Jak na złość miała jeszcze dziś wieczór spotkanie z Jonem. Zwykle nie mogła się doczekać ich cotygodniowego spotkania o północy, ale teraz pragnęła tylko zaszyć się w jakiejś dziurze i być sama. Nie mogła pójść

do siebie, ponieważ w domu czekała na nią Laura, radosna i pełna energii. Oczywiście gdyby pokazała jej gazetę, Laura dostałaby jeszcze większego szału niż ona i potem to Tracie musiałaby cały wieczór uspokajać przyjaciółkę. Laura z pewnością powiedziałaaby, żeby rzuciła gazetę i poszukała sobie nowej pracy, w której ją docenią. Tylko że wcale nie jest tak łatwo znaleźć podobną pracę, w której miałyby szansę pisać pod swoim nazwiskiem w „dużej wielkomięskiej gazecie”, jak to zwykle ujmowano w programie Superman. Prawdę mówiąc, bez grubego portfolio dobrze napisanych artykułów jej wartość na zawodowej giełdzie spadła od czasu, gdy skończyła studia z dyplomem z dziennikarstwa.

Tracie westchnęła i zaczęła wspinać się brudną klatką schodową do mieszkania Phila. Chciała, żeby ją ktoś wziął na ręce jak dziecko. Weszła do środka, minęła duży pokój, starając się nie zwracać uwagi na piętrzące się od miesiąca brudne talerze, sterty ubrań, pudełka od CD i całe to odrażające pobojowisko pozostawione przez trzech żałośnie niechlujnych młodych mężczyzn o mentalności małych chłopców.

Weszła do sypialni Phila.

– Hej, gdzie byłaś? – spytał. – Tak długo cię nie było, że zmarzły mi stopy. Masz kawę dla mnie?

Westchnęła. Czasami Phil potrafił być niewyobrażalnie egocentryczny.

– Cześć, Tracie. Jak ci się spało? Coś się stało? Wiem, że nie jest ci łatwo w Dniu Matki, co? – zaczęła, naśladując jego głos. – Boże!

Marcus, ten twój chamowaty redaktor, zrobił sieczkę z twojego artykułu na Dzień Matki? Tak mi przykro. I pomyśleć, że tak ciężko pracowałaś nad tym tekstem.

Phil nie przejawiał wprawdzie żadnych oznak wyrzutów sumienia, ale usiadł na łóżku i otworzył szeroko ramiona.

– Chodź tutaj do mnie, dziecinko.

Tracie zawahała się, ale na myśl o zwiniętej gazecie, którą trzymała pod pachą, poczuła się tak podle, że bardziej niż na dumie zależało jej na tym, żeby ją ktoś pocieszył. Kiedy Phil patrzył na nią w ten sposób, wszystko wydawało się lepsze. Och, potrzebował jej, pragnął, i Tracie poczuła się tak bardzo

pożądana, że nagle cała ta historia z pracą straciła wszelkie znaczenie.

Wczołgała się do łóżka obok Phila. Pocałował ją mocno, namiętnie.

Tracie rozpuściła się w jego ramionach.

– Życie jest zawsze ciężkie dla artysty, dziecinko – powiedział, przyciskając ją mocniej. Zaczął masować jej plecy. – Wiesz, skończyłem właśnie następne opowiadanie.

– Naprawdę?

Tracie wiedziała, że Phil potrafi pisać tylko wtedy, kiedy ma natchnienie. Nie znosił sztywnych terminów. Mówił, że zabijają w człowieku twórcze impulsy i dlatego nazywa się je „deadlines” *.

– O czym jest to opowiadanie? – spytała nieśmiało.

W głębi duszy miała zawsze nadzieję, że Phil napisze coś o niej. Ale jak dotąd nie napisał.

– Pokażę ci je kiedyś – powiedział i położył dłonie na jej plecach. To było takie kojące. Phil był o wiele większy od niej i czuła się cudownie, kiedy tak przyciskał ją do swojej szerokiej piersi, mocno obejmując ramionami. Tego właśnie pragnęła. Nie seksu, nie słów, ale po prostu ciepła jego ciała. Wtuliła się w niego mocniej. Obrócił jej twarz do siebie.

– Nikt tak nie całuje jak ty. Kochasz mnie? Tracie skinęła i ponownie go objęła z całej siły.

– Prasuję też nie najgorzej – powiedziała. – Ale teraz muszę iść. Mam spotkanie z Jonem.

– Pieprz Jona – rzucił, po czym zniżył głos: – Nie, lepiej pieprz mnie. –
Chwycił wargami płatek jej ucha. – Pragnę cię – wyszeptał.
– Phil, muszę iść, bo się spóźnię. Muszę się spotkać...
– ...z tym komputerowym fiutkiem. – Przycisnęła ją całym swoim
ciałem. – Nie lepiej zostać tutaj z moim? – zapytał.
– Phil, mówię serio. Naprawdę muszę... Chwycił ją znowu i przyciągnął
do siebie.

– Wyglądasz tak seksownie...

– Mówisz tak tylko wtedy, kiedy jesteś napalony.

* Deadline – ostateczny termin, dead – martwy (przyp. tłum.).

– Cały czas jestem napalony, więc zawsze wyglądasz dla mnie
seksownie.

Przez chwilę mocowali się, aż Phil znalazł się na górze. Tracie
pocałowała go mocno. Och, uwielbiała, kiedy jej tak dotykał. Gdy
zaczął rozpinać guziki jej koszuli, poddała się i przestała się opierać.
– Wiem, że mnie lubisz – wyszeptał. – Nic na to nie poradzisz, prawda?
– Nie – wymamrotała, a on uniósł jej biodra i ściągnął z niej dżinsy tak
szybko, jak gdyby była lekka jak niemowlę. Powoli przesunął językiem
po jej ciele od kolan aż do piersi.

– Takie różowe i takie śliczne – powiedział, a ona poczuła lekki
dreszcz, który przeszył ją od nasady szyi aż po koniec kręgosłupa.
Wsunął palec pod gumkę jej elastycznych majtek. – Zawsze
przypominają mi to coś z karbowanego papieru, w czym sprzedają
lukrowane babeczki. – Pocałował ją znowu. – Chodź do mnie, ty moja
mała lukrowana babeczko.

W tym momencie przez głowę przemknęła jej jakaś absurdalna myśl
o czekoladowo-serowych babeczkach Laury, za którymi tak przepadała,
ale kiedy Phil przesunął swój kciuk niżej, przestała myśleć
o czymkolwiek i wzięła się do dzieła.

I dzieło było dobre.

Tracie zamrugnęła, otwierając oczy. Nie miała zamiaru znowu zasypiać,
ale było jej tak rozkosznie z Philem i tak dobrze się czuła w jego
ramionach, że po głębokim, udanym orgazmie nie mogła się oprzeć
pokusie i zasnęła. W końcu to nie najgorszy sposób spędzania Dnia
Matki, a nawet każdego dnia, jeśli już o to chodzi.

Znowu przypomniała sobie o Jonie. Usiadła i zaczęła zbierać swoje
rzeczy. Phil jęknął, obrócił się na bok i chwycił ją z tyłu. Przyłożył

policzek do jej szyi, a jego usta znalazły się tuż obok jej ucha.

– Gdybyś nie musiała iść – wyszeptał, pieszcząc jej ramię – miałbym ochotę pocałować cię dokładnie w tym miejscu. – W milczeniu zaczął całować jej kark, a potem ramię. Oddychał coraz szybciej. – A potem całowałbym cię dalej, aż do twoich sutek, a potem... Tracie poczuła na swojej nodze jego nabrzmiałą męskość.

– Wciąż odgrywasz twardziela nie do zdobycia? – spytała.

– Tak czy inaczej, twardziela. A wiesz dlaczego? Przez ciebie, kochanie.

Tracie położyła rękę na wewnętrznej stronie uda Phila.

– O, tak – powiedziała zalotnie.

Chwyciła jego dłoń i zaczęła całować palce. Nagle przestała.

– A to, co to jest?

Uniosła jego rękę do góry. Oboje spojrzeli na jego dłoń – po wewnętrznej stronie niebieskim długopisem wypisany był numer telefonu.

– No tak.

Nastąpiła króciutka pauza, której prawdziwe znaczenie mogła zinterpretować tylko doświadczona narzeczona. Czy chodziło o to, żeby sobie odświeżyć pamięć, czy o to, żeby szybko wymyślić jakieś strawne kłamstwo?

– Nowy numer jednego z chłopaków. Z zespołu – powiedział Phil.

– Centrala 807? Chcesz powiedzieć, że to jest numer kogoś z „Gruczołów”? – spytała. – Franka? Jeffa? Śmiem wątpić. Od kiedy to mieszkają w Centrali? – Spojrzała na Phila, starając się dojrzeć prawdę w jego oczach.

– Jeff przeniósł się niedawno – bąknął i odsunął się od Tracie. Zsunął swoje długie nogi z materaca po drugiej stronie łóżka, usiadł i sięgnął do nocnego stolika po papierosa. – Muszę do niego jutro zadzwonić w sprawie próby – dodał.

– Czyj to jest numer, Phil? – spytała ponownie Tracie. Podniosła aparat, zamierzając wykręcić numer.

– Jeffa – powtórzył, nadal siedząc tyłem do niej. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Tracie nienawidziła go w tej chwili. W końcu nie była głupia. To był numer telefonu tej chudej, z którą przyszedł w piątek do Cosmo. Mogła się była domyślić! Zaczęła wykręcać numer.

– Phil, jeśli tam po drugiej stronie nie odezwie się Jeff, odetnę ci rękę, tak że twój penis na zawsze straci przyjaciela.

– Proszę bardzo, śmiało, dziecinko – powiedział cicho, wydychając dym nosem. – Oczywiście wyjdiesz na stukniętą sukę, a ja na dupka, ale proszę, nie krępuj się. Mam to gdzieś.

Tracie zawahała się. Naprawdę mu nie zależało, czy tylko udawał? Nie umiała odgadnąć. Phil znowu zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił dym.

– Oczywiście nic na to nie poradzę, jeśli odbierze dziewczyna Jeffa i dostanie szału. Strasznie się na niego wścieka o te telefony. Zwłaszcza od kobiet. I to jeszcze o tak późnej porze.

– Późnej? Jest dopiero wpół do jedenastej. – Boże! Spóźnię się na spotkanie z Jonem!

– Zamiast się wściekać, lepiej chodź do mnie, a dostaniesz to, czego naprawdę pragniesz.

Czasami szczerze go nienawidziła. Odłożył papierosa i wyciągnął szeroko ramiona w jej stronę.

– Już za tobą tęsknię, choć jeszcze nie wysłaś – powiedział i przeturłał się na nią. Znowu ją pocałował. Jego długie ciało nie było aż takie ciężkie, by naprawdę przygwoździć ją do łóżka, ale lubiła to poczucie prawie przygwożdżenia. Jego usta miały ostry zapach dymu tytoniowego, ale język był ciepły i żywy. Poszukiwał jej języka niczym przyjazny mały gryzoń szukający schronienia. Tracie odłożyła telefon i sięgnęła po butelkę z wodą, stojącą na szafce po jej stronie łóżka.

– Też bym się napił – powiedział Phil i uniósł się na łokciach.

– Jest cała twoja – odparła Tracie i oblała go wodą.

Tak na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że ją okłamywał.

Phil wrzasnął, ale Tracie nie zwracała na niego uwagi. Nie miała czasu na dalsze śledztwo – być może zresztą wołała nie dowiadywać się prawdy. Spóźni się jak diabli na spotkanie

z Jonem. Wciągnęła na siebie ubranie, wsunęła buty i ruszyła do wyjścia.

– Spływam stąd! – zawołała radośnie od drzwi.

Przed wyjściem rzuciła jeszcze okiem w stronę Phila, który usiłował właśnie wyplątać swoje tyczkowate ciało z szarego, mokrego prześcieradła.

Biuro Jona robiło spore wrażenie, zarówno pod względem wielkości, jak i usytuowania. Znajdowało się w głębi narożnej części pierwszego piętra niskiego biurowca na kampusie Mic-ro/Conu i rozpościerał się z niego wspaniały widok na ozdobny ogród. Zamiast typowych biurowych foteli i kanapy, jakie mu zaproponowano, Jon wykorzystał przysługujący mu budżet na zakup kilku modnych niegdyś foteli wypełnionych luźnymi kawałkami tworzywa sztucznego – dzięki czemu dostosowywały się do figury siedzącego – i pokrytych skrópodobnym materiałem zwanym naugahyde. W centrum pokoju stał stół do kawy – największa duma Jona – z blatem wykonanym z ziaren kawy zatopionych w przezrystej masie akrylowej. Całą jedną ścianę biura zajmowały wąskie regały, jednak na półkach, zamiast książek albo CD z oprogramowaniem komputerowym, znajdowała się ogromna kolekcja figurek typu GI Joe (miał na nie ogromny budżet w skali rocznej). Obok nich stały niezliczone dozowniki do cukierczków Pez (to już była jego prywatna kolekcja). Jon miał ich ponad czterysta, w tym niezwykle rzadki egzemplarz z podobizną Betsy Ross – jedyny, w którym wykorzystano wizerunek realnej osoby. Jon bardzo lubił aurę nonsensu dominującą w wystroju jego biura. W tym szaleństwie była metoda. Ludzie czuli się tu swobodnie, mieli ochotę do żartów, a to sprzyjało twórczemu myśleniu. Jednak na jego własnym biurku panował absolutny porządek. W rogu, na lśniącej powierzchni z tekowego drewna, stały tylko trzy zdjęcia: fotografia przedstawiająca jego matkę, zdjęcie jego i Tracie na uroczystości zakończenia nauki w col-lege'u oraz zdjęcie, na którym stoi razem z matką i ojcem, zrobione wkrótce po tym, jak zasadzili wistarię przy drzwiach wejściowych do domu, i tuż przed ucieczką Chucka.

Jon wyciągnął zdjęcie, które matka zrobiła rano polaroidem, i wsunął je w róg ramki tamtej starej fotografii. Spojrzał na nowe zdjęcie: oto Jon Delano, lat dwadzieścia osiem, obejmuje swoją matkę – i na moment wszystko zmieniło się przed jego oczami. Zobaczył czarno-biały obraz, z którego nagle znikła kwitnąca wistaria i zniknął dorosły Jon. Jego miejsce zajął bardzo mały Jon ściskający swoją młodą mamę, podczas gdy pan Delano z dwiema walizkami przemyka się za ich plecami. Jon

zamrugnął i ponownie ujrzał rzeczywisty obraz z polaroidu.

Zdenerwowany wstał i odszedł od biurka.

No cóż, był naprawdę zmęczony. A do tego przejeżdżony. Dzięki Bogu Toni, przedostatnia żona ojca, w ostatniej chwili odwołała spotkanie, ratując go przed niechybnym pęknięciem żołądka. Wyrzwał przez okno na jasno oświetlony ogród i otaczającą go ciemność. Była prawie dziesiąta wieczorem, ale w Mi-cro/Conie nawet w niedzielę nikt się nie oszczędzał. Pracownicy firmy byli wręcz dumni ze swojego obłąkańczo długiego tygodnia pracy i traktowali niedzielę tak samo jak normalny dzień roboczy. Nawet teraz na parkingu prawie połowa miejsc była zajęta. Jon poklepał się po brzuchu i zagłębił się w jednym z workowatych foteli, wierząc się tak długo, aż fotel dopasował się do jego postaci. Było coś w Dniu Matki, co wprawiało go w przygnębienie, i nie było to jedynie spotkanie z pasmem ludzkich nieszczęść, jakie pozostawił na swojej drodze jego ojciec.

Jon dorastał, słuchając opowieści nieszczęśliwych kobiet. Jednak nie były to wyłącznie kolejne żony jego ojca, ale także kobiety, które spotykały się przy kawie w domu jego matki. Niektóre z nich opowiadały nawet jeszcze gorsze historie o swoich byłych mężach, historie, którym przysłuchiwał się schowany za kanapą, kiedy miał lat siedem, dziewięć i czternaście. Wyglądało na to, że przyjaciółki jego matki po prostu nie potrafiły porzucić swoich mężów albo znaleźć takich, którzy by je dobrze traktowali. Do dziś nie umiał pojąć, czemu z nimi były. Pomyślał o Barbarze i o jej wypiekach. Po biskwitach padło nieuchronne pytanie: „Miałeś jakieś wiadomości od ojca?”. Pomyślał o szczupłych ramionach Janet, kiedy odwróciła się do niego plecami, udając, że ustawia kwiaty, i spytała: „Miałeś jakieś wiadomości od ojca?”.

Tak, to nie był Dzień Matki – pomyślał. A w każdym razie nie dla niego. Dla niego to był Dzień Czy-miałeś-jakieś-wiado-mości-od-ojca. A także Dzień Czy-spotykasz-się-z-kimś-na-po-ważnie. Pokręcił głową, zamknął oczy i zdjął okulary, żeby sobie pomasaować zaczerwienione miejsce na grzbiecie nosa. Miał przed sobą dwie godziny do tradycyjnego, cotygodniowego spotkania z Tracie o północy i chociaż czekało go jeszcze mnóstwo pracy, pomyślał, że nie byłoby najgorzej, gdyby zdrzemnął się minutkę, no, może dziesięć, nie więcej...

Jon ma jedenaście lat i siedzi naprzeciw ojca przy stoliku w barze, na

siedzeniu obitym imitacją skóry. Przed nim stoi talerz nietkniętych jajek – nie ścięte białko, gęstniejące żółtko – podczas gdy ojciec pracowicie rozrywa krawędzią widelca ka- wałki półrzadkiego białka, nakładając na paskudztwo na spalony

brzeg tostu i wkłada sobie do ust. Jon miał świadomość, że właśnie zasypia, jednak mężczyzna, którego widział przed sobą, był tak realny, tak prawdziwy, że nie sposób było wątpić w jego istnienie. Jon mógł policzyć wszystkie włoski na jego nieogolonej twarzy. Chuck skończył jeść jajko, wytarł talerz kawałkiem tosta Jona i zaczął metodycznie przeżuwać. Pochylił się do przodu.

– Pamiętaj, synu – powiedział. – Nie ma na świecie kobiety, która nie kupi twojego kłamstwa, jeśli chce w nie uwierzyć.

Jon obudził się nagle. Poczucił, że zaczyna się nie wyrabiać. Tygodnie nieustannej pracy nad projektem „Cliffhanger”, potem fatalny piątkowy i sobotni wieczór, a do tego jeszcze ta

niedziela, krwawa niedziela – w końcu nadszarpnęły jego odporność nerwową. Spojrzał na zegarek. Minuta po wpół do jedenastej. Gdyby teraz podniósł się z fotela, miałby jeszcze solidną godzinę pracy przed spotkaniem z Tracie, na którym jak zwykle będą omawiać, jak beznadziejnie wypadł im weekend. Jon miał wprawdzie kłopot z nadmiarem matek, ale pamiętał, że w ten weekend musi być szczególnie delikatny w stosunku do Tracie. Dla niej to był naprawdę trudny dzień. A do tego jeszcze ten artykuł. Boże! Zapomniał o jej artykule! Przesłała mu e-mailem końcową wersję, która była naprawdę dobra, ale nigdy nie wiadomo, jak to wyjdzie w druku. Był dzisiaj taki zajęty, że nawet nie miał czasu kupić „Timesa” czy choćby rzucić okiem na czyjś egzemplarz. Będzie musiał koniecznie to zrobić po drodze do kawiarni „Java, the Hut”.

Prawdę mówiąc, praca była jedyną sferą jego życia, nad którą panował. W przeciwieństwie do Tracie nie mógł narzekać na swoją karierę zawodową – odnosił sukcesy, a do tego lubił i szanował swoją szefową, szaloną kobietę, która pracowała w firmie od samego początku, jeszcze na etapie UniKornu. Bella była wspaniałym szefem, jego zespół był wspaniały, jego praca była wspaniała i do tego świetnie zarabiał.

Ostatnio powierzono mu kierowanie projektem „Parsifal” i jeśli rzecz się powiedzie, wszystkie drzwi staną przed nim otworem. A Jona stać było na pomyślnie sfinalizowanie tego przedsięwzięcia. Czuł to. Nazwa

„Parsifal” była kryptonimem projektu, o który Jon walczył od prawie sześciu lat, czyli od samego początku swojej pracy w Micro/Conie. Chodziło, mówiąc krótko, o skonstruowanie cyfrowego urządzenia, które połączy w sobie funkcje laptopa, odbiornika TV i telefonu. Prace nad tą rewolucyjną technologią były otoczone tak wielką tajemnicą, że nie miał prawa informować prawej strony swojego działu, nad czym pracuje strona lewa, i Jon wiedział, że ten projekt albo go stworzy, albo zniszczy. Nic dziwnego więc, że poświęcał mu dosłownie każdą minutę swojego życia. Ale jeśli „Parsifal” wypali, nikt już więcej nie kupi od Panasonica żadnego telewizora ani telefonu.

Tyle tylko, że w ciągu ostatnich trzech czy czterech lat po prostu nie miał czasu na życie osobiste, a jeśli już go wyskrobał... no cóż, bezpieczniej będzie powiedzieć, że było ono zdecydowanie nie najświetniejsze. Znowu przypomniał sobie fatalny piątkowy wieczór, a potem sobotnią katastrofę, i po twarzy przebiegł mu skurcz. Może jednak w jego rozumowaniu krył się jakiś błąd. Cały czas tłumaczył sobie, że ma takie beznadziejne życie osobiste z powodu wymagań, jakie stawia przed nim kariera zawodowa. Ale niewykluczone, że pracował na okrągło między innymi dlatego, że łatwiej przychodziło mu pracować, niż umawiać się na randki. Wystarczy popatrzeć, co się działo, kiedy próbował się z kimś spotkać – jak w tym tygodniu. Jon jęknął głośno i zapadł się głębiej w fotelu – jak tylko to było możliwe. Fotel ustąpił nieco i objął go pod właściwym kątem. Jon nie miał ochoty myśleć o niczym więcej, podobnie jak nie miał ochoty otwierać poczty, żeby zobaczyć, ile pilnych e-maili dostał w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, kiedy to uganiał się za kobietami i opiekował się swoimi matkami – rodziną i przybranymi. Czekало go morze pracy. Jon westchnął głęboko. Każdy z jego podwładnych uważał, że przypadło mu w udziale najtrudniejsze zadanie, którego nie sposób rozwiązać bez pomocy ze strony Jona – albo jego pochwały. Znowu westchnął. Kochał swoją pracę i musiał poświęcić najbliższe pół godziny na te wszystkie e-maile. Przynajmniej będzie miał jedną rzecz mniej do zrobienia rano. Ale przed jedenastą i tak wyjdzie z firmy. Spotkanie z Tracie stanowiło kulminacyjny punkt całego tygodnia.

„Java, the Hut” była po prostu jedną z sześciuset czterdziestu siedmiu kawiarni w Seattle, ale w oczach Jona była niepodobna do żadnej innej. Przenikały ją wspomnienia setek niedzielnych „śniadań” o północy, jakie spędził tu z Tracie – pięćdziesiąt jeden razy w roku od siedmiu lat. Od chwili, gdy po raz pierwszy spotkali się na zajęciach z francuskiego i zaszli do „Java, the Hut”, spędzili tu nad kawą mochaccino niezliczone godziny, skarżąc się na swój los, ucząc się, śmiejąc, kłócąc, a nawet płacząc (Jon tylko raz, ona z kilkanaście razy). Jon siedział teraz w ich kafeterii, chwilowo wolny od troski zarówno o swoje macochy, jak i o pracę, i czekał na Tracie.

Miał przed sobą rozłożony egzemplarz „Seattle Timesa” i kiwając głową, przebiegał wzrokiem sieczkę, jaką Marcus zrobił z artykułu Tracie.

– Wyglądasz jak mój labrador, kiedy mu woda naleci do uszu – powiedziała Molly, kelnerka, która zawsze obsługiwała ich stół. Molly była wysoka, szczupłą blondynką z londyńskiego East Endu, nieco po trzydziestce, pracowała w tej kawiarni od niepamiętnych czasów, a w każdym razie była tu, zanim zaczęli tu przychodzić. Wieść niosła, że była jedną z tych „rockowych dziwerek”, groupies, którym się udało – przed laty jeździła w trasy koncertowe i spała z dwoma ważnymi idolami rocka. Molly nigdy o tym nie mówiła, ale Jon słyszał, że jednym z nich był

ktoś z INXS. Tracie twierdziła potem, że był z „Limp Bizkit”. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że Molly w końcu wypadła z gry, wylądowała w Seattle i polubiła to miasto.

Chodziły słuchy, że w powstającym muzeum Experience Music Project cała sala, a może nawet skrzydło, zostanie poświęcone Molly i że wśród zgromadzonych tam ośmiu tysięcy eksponatów związanych z muzyką rockową znajduje się też jej pierwsza spirala. Jon nigdy nie wierzył w te plotki, ale nawet gdyby okazały się prawdziwe – otwarcie muzeum w czerwcu minionego roku zaprzeczyło im zdecydowanie – a więc nawet gdyby okazały się prawdziwe, w niczym nie zmieniłyby jego uczuć wobec Molly.

Molly była kobietą dowcipną, złośliwą, bystrą i ciepłą – przynajmniej w stosunku do Jona. I nawet jeśli nie mógł powiedzieć o niej, że była

jego przyjaciółką, to z pewnością była jego wieloletnią znajomą. Toteż za każdym razem, kiedy przejeżdżał obok lśniącego budynku EMP, widok dwudziestu jeden tysięcy metalowych płytek i powiewających na wietrze kolorowych flag przywodził mu na myśl Molly.

– A więc dziś samotny, złotko? – spytała, choć znała odpowiedź.

Jonathan przecząco pokręcił głową, gdy skinieniem wskazała na puste krzesło po drugiej stronie stolika.

– A więc to, co zawsze? Adam i Ewa na tratwie? Czy wolisz zaczekać na Pannę Tak-mi-przykro-że-się-spóźniłam? – spytała sarkastycznie.

– Zaczekam – odparł Jonathan.

– Wierny. Jak mój labrador. – Molly odeszła od stolika i po chwili wróciła z jego ulubionym napojem. – Jedna lekka mo-chaccino na osłodę, skoro wie, że i tak na nią zaczekasz.

Jon uniósł wzrok i spojrzał na Molly.

– Ty chyba naprawdę nie lubisz Tracie, co?

– Bingo! Co za przenikliwość. Widzę, że Micro/Con nie marnuje swojej forsy.

– Ale dlaczego? – spytał Jon niewinnie. – Ona jest taka miła.

– Jest koszmarnie głupia. Tępa jak but – powiedziała Molly rzeczowo, stawiając przed nim kawę, po czym wyrównała podkładkę pod talerz i sztućce przy drugim nakryciu.

– No co ty! To nieprawda. – Jonathan próbował bronić przyjaciółki. – W college'u miała średnią cztery ze wszystkich przedmiotów, no może z wyjątkiem rachunku różniczkowego. Skończyła studia z wyróżnieniem.

– Jasne, dyplom z głupoty – powiedziała Molly i odwróciła się w stronę wejścia. Właśnie w tym momencie w oknie wystawowym pojawiła się twarz Tracie, która zaglądała do środka. – Zostawiam cię w jej towarzystwie.

Tracie, cała rozpromieniona, szybko podbiegła do Jonathana.

Oczywiście wszyscy pozostali mężczyźni odprowadzili ją spojrzeniem, ale Tracie zachowywała się tak, jakby nie miała o tym zielonego pojęcia. Jon czasami zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę z tego, jakie wrażenie robi na mężczyznach. Szybko zmiął gazetę i usiłował ją schować, wyciągając na wierzch ostatni numer „Little Nickel”.

Uśmiechnął się, kiedy usiadła naprzeciw niego.

– Przepraszam, że się spóźniłam... – powiedziała. – To miłe z twojej

strony, ale już widziałam tę rzeźniczą robotę. Marcus zawsze wycina mi najlepsze kawałki. Czyżby mój szef był bliźniaczym bratem Edwarda Nożycorękiego, tym złym bratem? – Ściągnęła z siebie płaszcz i wzięła menu. Znał ją zbyt dobrze, by nie zauważyć, że coś ją gnębi, ale wiedział, że nie należy od razu zadawać trudnych pytań.

– Konam z głodu – rzuciła, po czym spojrzała na niego, jak gdyby dopiero teraz go dostrzegła. – Boże, wyglądasz jak wyżęty!

Jon uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Mój doroczny maraton z okazji Dnia Matki. Tracie opuściła menu.

– Boże! Byłam tak pochłonięta swoim artykułem i w ogóle... tym wszystkim. Zupełnie zapomniałam! Widziałeś wszystkie macochy? I jak ci się udało znaleźć czas dla swojej mamy?

– Zjadłem z nią lunch.

– Podobały się jej kolczyki? – Tracie spojrzała na Jona z nadzieją.

– Szalenie! – zapewnił ją. – Wszystkie pochwały spadły na mnie. Ale masz od niej gorące pozdrowienia. Przed spotkaniem z mamą i po nim widziałem swoje macochy od numeru pierwszego do piątego.

– Poszedłeś do tej ropuchy, która nie puściła twojego ojca na uroczyste rozdanie świadectw ukończenia szkoły średniej?

– Och, Janet wcale nie jest taka zła. Tracie prychnęła.

– Masz w sobie zdecydowanie za dużo współczucia i masz zdecydowanie za dużo matek. A mnie brakuje jednego i drugiego.

Jon nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Pewnie dlatego jesteśmy takimi dobrymi przyjaciółmi. Przeciwnieństwa się przyciągają. Czy tęskniłaś za swoją mamą w Dzień Matki? – spytał łagodnie.

– Trudno tęsknić za kimś, kogo właściwie nie pamiętasz. – Tracie podniosła menu, żeby na niego nie patrzeć. Przez te wszystkie lata ich przyjaźni nigdy nie mówiła o śmierci swojej matki. Jon poczuł się niezręcznie i zapadła cisza. – Tak czy inaczej – odezwała się Tracie – jest teraz u mnie Laura i piecze jakieś niewyobrażalne ilości antydietetycznych ciasteczek, które wystarczyłyby na wielki bal w przedszkolu.

W tym momencie pojawiła się Molly.

– A więc jak, złotko, jajka w koszulkach na toście? – spytała Jona.

– Tak, to dobry pomysł.

– A dla ciebie? – zwróciła się do Tracie, ściągając brwi w nieco

przesadnym, zdaniem Jona, geście skupienia uwagi.

Tracie przebiegła wzrokiem menu.

– A dla mnie... wafle z bekonem.

Molly nie zapisała zamówienia. Stała przy stoliku nieporu-szona, jakby czekała na korektę. Tracie zdecydowanym ruchem zamknęła menu.

Molly nadal nie ruszała się z miejsca. Tracie znacząco spojrzała na Jonathana. Molly dalej na coś czekała.

– Nie powinnaś jeść świń – powiedział Jon do Tracie. – Wiesz, że są znacznie inteligentniejsze niż psy.

– Nie zaczynaj – ostrzegła go Tracie. – Jeszcze chwila, a zaczniesz imitować głosy myszy śpiewających w filmie Świnka Babe. A więc ty masz za sobą udrękę Dnia Matki, a ja klapę artykułu na Dzień Matki. Ale to nie wszystko. Przygotuj się na koniec twojej zwycięskiej passy, ponieważ miałam najgorszy weekend w życiu.

Spojrzała na stojącą obok kelnerkę, która wydawała się równie nieporuszona jak londyńskie czerwone budki telefoniczne.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, na początek poproszę o kawę – powiedziała do niej Tracie.

Molly wreszcie ruszyła w stronę kuchni, ale Tracie – jak zwykle – wyciągnęła rękę i przytrzymała ją za ramię. Jon omal się nie roześmiał.

– Poczekaj. Myślę, że wezmę jednak naleśniki. Naleśniki z kawałkiem szynki. – Spojrzała na Jona. – Do diabła ze świniami. – Odwróciła się do Molly. – Tym razem mówię serio.

Molly westchnęła ciężko, najwyraźniej znudzona, po czym przyciągnęła sobie krzesło i usiadła.

– Przepraszam? – Tracie spytała szorstko. – Ale nie przypominam sobie, żebym cię zapraszała do stolika. Zdaje się, że złożyłam zamówienie.

– Przyznaj się – zaczęła Molly – że chcesz jajecznicę, dobrze wysmażoną.

– Powiedziałam, że wezmę naleśniki... – po czym zawahała się i zrezygnowana przyznała: – No dobrze. Wezmę jajecznicę.

– Bez frytek, do tego plasterki pomidora. – Molly triumfalnie pokazała Tracie zamówienie, które już wcześniej zapisała w swoim bloczku, i demonstracyjnie oddaliła się do kuchni.

Tracie odczekała chwilę, żeby odzyskać utraconą godność. Jon patrzył na nią w milczeniu. Od lat omawiali w każdą niedzielę swoje życie

uczuciowe, jakiegokolwiek ono było, a ponieważ Molly zawsze ich trochę podsłuchiwała, prawdopodobnie znała wszystkie podstawowe fakty nie gorzej od nich

– Tym razem zwycięstwo należy do mnie – oznajmiła Tracie. – Ten weekend to była naprawdę absolutna klęska.

– Niech zgodnę. W piątek wieczorem „Nabrzmiałe Gruczoły” nie zagrały ani razu, więc Phil się wkurzył i zalał się w trupa. W sobotę „Gruczoły” zagrały, ale bez Phila, więc znowu się wkurzył i zalał. Następnie zaczął flirtować z jakąś dziewczyną, więc wyszłaś z klubu w nadziei, że pójdzie za tobą. Ale nie zrobił tego, więc poszłaś do domu. W końcu Phil zjawił się u ciebie po nocy i padł jak długi na klatce schodowej.

– Myślisz, że wszystko wiesz, co? – spytała Tracie, trochę zirytowana, a trochę rozbawiona. – Ale nie zawsze masz rację. – Urwała, ale Jon ją wytrzymał. – No dobrze, więc nie padł nieprzytomny na klatce schodowej – skorygowała. – Ale reszta się zgadza.

Jon westchnął i pokiwał głową.

– Tracie, czemu nie pokażesz temu facetowi, gdzie są drzwi? W tym momencie wróciła Molly i ostrożnie postawiła przed Jonem jego talerz. Talerz Tracie popchnęła w jej stronę po blacie. Tracie popatrzyła na jajecznicę, lekko trzęsącą się na talerzu.

– Wiem, że to głupie... ale ja naprawdę go kocham.

– To nie miłość, ale obsesja – powiedziała Molly, nalewając jej kawy do kubka. – I to nawet niezbyt interesująca obsesja.

Tracie zwróciła głowę w stronę kelnerki, ale spojrzała na Jona.

– Ona mnie nie lubi – oznajmiła.

– To nieprawda. – Jon starał się, by jego głos zabrzmiał pojednawczo.

– Jednak chyba prawda – odparła Molly. – Od lat przysłuchuję się twoim opowieściom o kłopotach z facetami. Zamieniasz tylko jednego dupka na drugiego. Szczerze mówiąc, to beznadziejnie nudne. – I odeszła do następnego stolika.

– Molly, nie bądź złośliwa! – zawołał za nią Jonathan. Nieuchronnie nadeszła chwila, której obawiał się najbardziej.

– A więc jak wyglądał twój weekend? – spytała Tracie.

Jon miał pewien problem.

Opowiadał Trade o wszystkim lub prawie o wszystkim, co mu się przydarzyło dobrego. Ale nie miał ochoty wyglądać w jej oczach na jakiegoś idiotę, łamagę i żalną imitację mężczyzny. Potrzebował jej współczucia i zrozumienia, ale nie chciał wzbudzać litości. Zwykle żartował więc ze swoich cierpień i teraz zachował się podobnie – uniósł ręce do góry i złączył je w tryumfalnym geście zwycięzcy.

– Niepokonany mistrz świata w kategorii najgorsze życie osobiste w Ameryce...

– Cóż, Dzień Matki może...

– Nie. To poprzednie katastrofy, w piątek i sobotę, położyły mnie na łopatki.

Tracie uniosła brwi i natężyła wzrok w przesadnym geście przypominania sobie. Była naprawdę śliczna, kiedy tak robiła.

– O Boże! Tak mi przykro! Zupełnie zapomniałam! Nie udała ci się randka w ciemno? A co z wielką randką w sobotę?

Molly ponownie podeszła z dzbankiem kawy i napełniła kubek Tracie. Pokręciła głową i odeszła. Tracie pochyliła się nad stolikiem i zniżyła głos.

– Co się stało? Coś poszło nie tak w piątek? – Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. – Chyba nie założyłaś tej swojej marynarki w kratkę?

– Nie, założyłem granatową.

Tracie omal się nie zakrztusiła kawą, którą właśnie miała w ustach.

– Założyłaś granatową marynarkę na randkę w ciemno?

– Tak, ja...

– Nikt nie ubiera się elegancko na taką randkę. Cała rzecz w tym, żeby wyglądać swobodnie, na luzie. – Westchnęła zrezygnowana. Nie pierwszy raz. – No dobrze... i co było dalej?

– Wszedłem do baru i ona pomachała w moją stronę. Dość atrakcyjna, szczupła, rudowłosa. Podeszedłem więc i dałem jej kwiaty...

– Przyniosłeś kwiaty? – zawołała Tracie, machając rękami. – Boże! To przecież na kilometr pachnie desperacją.

– Pewnie dlatego wszystko trwało jedenaście minut. Ledwie zaczęliśmy rozmowę, kiedy powiedziała, że zapomniała wyłączyć suszarkę do

ubrań i nie chce, żeby jej się pogniotły.

– Jeszcze jeden kwiatek do kolekcji żalonych wymówek – podsumowała Tracie.

Oboje zamilkli na chwilę, po czym, jak zawsze, Tracie rozchmurzyła się. Jon był pewny, że jej optymizm miał podłoże genetyczne.

– Och, zapomnij o tym. I tak jestem pewna, że ruda była farbowana. Jon zdobył się na wymuszony uśmiech i Tracie uśmiechnęła się promiennie.

– Więc jak poszło w sobotę wieczór? Wiesz, spotkanie z tą kobietą z twojej pracy. Tą, za którą tęsknisz jak stu niewyżytych nastolatków. Jak ona ma na imię?

– Sam. Samantha – przypomniał jej Jon.

Przez chwilę zastanawiał się, jak to się dzieje, że on zawsze pamięta imiona, nazwiska i przezwiska jej przyjaciół i chłopaków, a ona... Westchnął.

– Prawdę mówiąc, było jeszcze gorzej – wyznał.

– Czy może być coś gorszego niż jedenastominutowa randka w ciemno?

– No więc po pierwsze, umówiłem się z nią na dworze. Po drugie, padało. A po trzecie, w ogóle nie przyszła.

Tracie otworzyła lekko usta ze zdumienia, po czym, żeby zamaskować przykry efekt, otworzyła je z teatralną przesadą.

– Kompletnie wystawiła cię do wiatru? Nawet się nie spóźniła? I jak długo czekałeś?

– Dwie godziny.

– Jon! Stałeś dwie godziny na deszczu?

– Tak. To nie byłoby takie straszne, gdybym nie musiał się z nią jutro widzieć w pracy.

– Uła! – Tracie skrzywiła się na myśl o czekającym go upokorzeniu, ale spróbowała jednak znaleźć coś na pocieszenie. – No to przynajmniej zadzwoniła i zostawiła na sekretarce wiadomość z jakimś przyzwoitym kłamstwem – jęknęła błagalnie.

– Nic. Żadnej wiadomości ani w domu, ani w pracy, ani nawet e-maila. A ja zostawiłem jej wszystkie trzy.

Tracie znowu się skrzywiła. Jon zaczerwienił się zakłopotany.

– Trzeba było tego nie robić – powiedziała. Jon przybrał postawę obronną.

– A co miałem zrobić? Tracie zmrugała oczy.

– Przypomina mi się jedno zdanie Dorothy Parker: „Zamknij się”. Teraz naprawdę zaczynała się na niego złościć. Jon zobaczył w jej oczach coś, co zbyt mocno przypominało mu litość.

– No dobrze. A co mogłem zrobić?

Zanim Tracie zdążyła odpowiedzieć, przy stoliku pojawiła się Molly, najwyraźniej zaciekawiona podsłuchanym fragmentem rozmowy.

– Szukasz dziewczyny, która będzie chciała z tobą chodzić? Może jakaś starsza kobieta? – wtrąciła się Molly i zatrzepotała rękami. Tracie nawet na nią nie spojrzała, ale Jon zdobył się na blade uśmiech. – No tak, rozumiem, że to głupi pomysł. W końcu nie chodziłam do college'u. – Molly zabrała puste talerze i bez słowa odplynęła do kuchni.

Tracie westchnęła.

– W porządku, Jon. Wygrałeś. Miałeś gorszy weekend. Zdaje się, że to już osiemdziesiąty trzeci z rzędu. Nowy rekord świata. – Napisała coś na samoprzylepnej żółtej kartce z bloczku, który wyciągnęła z torebki, i przyczepiła ją do koszuli Jona. Widniał na niej rysunek niebieskiej kokardy.

– Brawo. Zwycięzca wśród Przegranych.

Na moment zastygła w bezruchu, przypatrując mu się uważnie.

– Wiesz, to w końcu nie jest wyłącznie twoja wina. Kobiety mają skłonność do... popadania w kłopoty. Pociągają je.... trudni mężczyźni. W piątek przyjechała moja przyjaciółka Laura...

– Laura? Przyjechała nareszcie? No to będę miał okazję ją poznać? – Jon od lat słyszał od Tracie opowieści o Laurze.

– Jasne, ale rzecz w tym, że Laura przyjechała do mnie, ponieważ zerwała z Peterem. Ona ma świra na jego punkcie, ale mówi o nim, że to prawdziwy KUB.

– To znaczy?

– Kutas Unikacz Bliskości. Może więc kobiety wolą takich facetów, dopóki się od nich nie uwolnią.

– Ale to niesprawiedliwe. Naprawdę się starałem.

– Zostać kutasem?

– Nie. Nie zostać.

– Wiem. To był żart. Ale widzisz, może właśnie na tym polega zagadka, że za bardzo się starasz i jesteś... za dobry.

- Jak można być za dobrym?
- Ależ Jon, jesteś o wiele za dobry. Za bardzo się przejmujesz innymi. Popatrz na fakty. Dzisiaj odwiedziłeś nie tylko swoją mamę, ale także wszystkie wstrętne żony ojca. Jesteś za dobry.
- To niedorzeczne – zaprotestował Jon.
- Wiem, że może ci się to wydawać bez sensu – zgodziła się Tracie. – Nawet dla nas to bez sensu. I nie sędzę, żeby ktokolwiek lubił cierpieć. Ale wiem, że nikt nie znosi nudy. Weźmy na przykład Phila. On mnie fascynuje. Dzięki niemu moje życie jest interesujące.
- Na Boga, przecież to tylko gitarzysta basowy! – zawołał Jon, lekko zirytowany. – Głupi jak nieszczęście. A do tego skupiony wyłącznie na sobie. Egoista. I ty mówisz, że to jest interesujące? – dodał, ale po chwili zorientował się, że prawdopodobnie posunął się za daleko i być może uraził jej uczucia. Ale Tracie tylko się uśmiechnęła.
- Masz coś przeciwko facetom grającym na czterostrunowych instrumentach?
- Jon nieco ochłonął.
- Nie przeciw wszystkim. Tylko przeciwko niemu. Nie jest ciebie wart.
- Ale on jest taki słodki. No i seks! – zarumieniła się.
- Jon odwrócił głowę. Spotkała go kara za to, że posunął się za daleko. Lepiej dla niego, żeby o pewnych sprawach niczego nie wiedział. Westchnął.
- Dałbym wszystko za to, żeby podrywać dziewczyny tak jak faceci pokroju Phila. Gdybym tylko wiedział, jak zamienić się w durnia. Albo udawać, że potrafię myśleć tylko o sobie... – Zawahał się. – Słuchaj, Tracie. Mam pewien pomysł.
- Ty zawsze masz jakieś pomysły – powiedziała, zbierając się do wyjścia. – To dlatego jesteś Intergalaktycznym Alchemikiem Rozwoju Kosmologii i Twórcą Wszechświatowych Systemów, czy kim tam jesteś w tym swoim Microlandzie.
- Nie, nie. Nie chodzi o takie pomysły – sprostował. Nie mógł jej teraz tak po prostu puścić do domu. – Chodzi o pomysł związany z moim życiem.
- Bomba. Czy możemy to omówić w przyszłym tygodniu? Muszę jeszcze wpaść do supermarketu.
- Po co? Po rajstopy?

Tracie od lat nie była w supermarkecie.

– Nie. Po sodę do pieczenia. I po mąkę.

– Robisz jakieś badania naukowe? Czy może to coś do włosów?

– Do pieczenia – odparła Tracie z powagą, choć nie całkiem jej się to udało.

– A od kiedy to potrafisz piec? I dlaczego miałabyś się do tego zabierać o północy? – Jon znał Tracie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że, jej zdaniem, ta czarna dziura z drzwiczkami w kuchence gazowej to nic innego jak dodatkowa szafka na

buty. – Czy to jakaś sztuczka, żeby dać Philowi znak, że przyszła pora, aby się zmył? Ponieważ twoje wypieki na pewno go zabiją... co nie byłoby zresztą takie złe.

– Nie zamierzam zaszczycać tych nonsensów odpowiedzią – odpaliła Tracie, wstając od stolika.

Jon także wstał. Za nic nie chciał pokazać, jak bardzo potrzebował teraz jej towarzystwa. Poza tym zafrapowały go te nagłe kulinarne zainteresowania u Tracie. I wtedy wreszcie zaświtało mu, o co chodzi.

– Aa, to dla tej twojej przyjaciółki z San Antonio. Czy Laura jest szefem kuchni?

– A nawet jeśli tak, to co z tego? – odpowiedziała Tracie zaczepnie, narzucając kurtkę. – To wcale nie znaczy, że nie potrafię sama czegoś zrobić.

– Och, potrafisz robić mnóstwo rzeczy – zgodził się Jon. – Masz naprawdę dobre pióro, jesteś dobrą przyjaciółką i potrafisz się ubrać. Masz wielki talent do wyszukiwania prezentów dla matek. Ale pieczenie...

Tracie zmierzyła go wzrokiem.

– Ona jest z Sacramento – poprawiła go, przyznając w ten sposób, że miał rację.

Jon uśmiechnął się.

– Pomogę ci zrobić zakupy – zaproponował.

– Jak to? Nie musisz iść do pracy albo położyć się spać? Zawsze musisz robić jedno albo drugie. Poza tym zakupy w supermarkecie to najnudniejsza rzecz pod słońcem.

– Nie dla człowieka, który zaproponował, że poskłada pranie, i został bezlitośnie odtrącony – powiedział Jon w desperacji. – Mogę pchać ci wózek.

– Jeśli tego właśnie chcesz... – Tracie wzruszyła ramionami i pomaszerowała w stronę drzwi, podczas gdy Jon gorączkowo zaczął przeszukiwać kieszenie i w pośpiechu rzucił na stolik dwudziestodolarowy banknot.

– Jak zwykle przesadzasz z napiwkami – powiedziała, nie odwracając się do niego. – Sam widzisz. Twój problem polega na tym, że jesteś za dobry. – Z dezaprobatą pokręciła głową i ruszyła dalej krętą ścieżką wśród opustoszałych stolików. – Kobiety nie lecą na porządnym facetów.

Jon czuł się coraz bardziej podekscytowany. No właśnie. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? To był wspaniały pomysł i pojawił się w jego umyśle od razu w gotowej postaci, tak jak projekt „Parsifala”, doskonale przemyślany od początku do końca. Musiał tylko przekonać do niego Tracie, namówić ją, żeby go zaakceptowała i pomogła mu go zrealizować. Ale w tym Jon był dobry.

– Do zobaczenia za tydzień! – zawołał do Molly i dogonił Tracie w drzwiach kawiarni.

– Więc co to za pomysł? – spytała Tracie, biorąc w supermarkecie wózek. – Bo jeśli planujesz kolejny internetowy niby--kalendarz z serii „Dziewczeta z Silikonowego Lasu”, to ja się nie piszę.

– Daj spokój, Tracie. Mówię poważnie. Muszę coś zmienić w swoim życiu, zanim będę potrzebował viagry.

– Och, nie przesadzaj – powiedziała, gdy przechodzili obok działu papirniczego i działu środków paramedycznych.

Spojrzała na niego kątem oka, kiedy mijali ladę z nabiałem.

– Twoja data ważności nie minęła. Jeszcze się nadajesz do użytku przez najbliższe dwa – trzy lata.

– Wcale nie przesadzam, tylko jestem realistą. – Wziął głęboki oddech. Musiał namówić ją do współpracy. – Chcę, żebyś mi powiedziała, jak zostać „złym chłopcem”.

Mijali właśnie dział z kosmetykami do pielęgnacji włosów, kiedy Tracie zatrzymała się gwałtownie i obróciła, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Że co proszę?

Jon poczuł, jak serce wali mu w klatce piersiowej. Nerwowo przełknął ślinę.

– Chcę, żebyś zrobiła ze mnie jednego z tych facetów, którzy mają

zawsze powodzenie u dziewczyn. No wiesz, jednego z tych, z którymi sama się zadajesz. Teraz Phil. Przedtem Jimmy. A pamiętasz Rogera? Tego ćpuna. To był dopiero „niedobry chłopiec”. A przecież świrowałaś na jego punkcie.

– Chyba sam ześwirowałaś – zachnęła się i popchnęła wózek, zostawiając Jona za sobą. Wzięła szybko z półki butelkę szamponu Pert – nigdy by go nie wybrała, gdyby nie była zdenerwowana – i Jon szybko dogonił ją w niemal wyludnionym dziale środków do pieczenia.

– Tracie, proszę. Naprawdę mi na tym zależy.

Musiał ją uspokoić i równocześnie zarazić swoim entuzjazmem.

Przypomniał sobie, że wie, jak tworzy się zespoły pracujące nad jakimś projektem.

– Nie bądź śmieszny. Czemu miałbyś zostać kimś takim? A poza tym to i tak niemożliwe. Nigdy nie potrafiłbyś zachowywać się jak...

– Potrafiłbym. Na pewno bym sobie poradził, gdybyś mnie nauczyła. – Trzeba przezwyciężyć jej zastrzeżenia, powiedział sobie. A potem odwołać się do jej talentów. – Pamiętasz, jakim byłem pojętnym uczniem w szkole? Tracie, nie daj się prosić. Potraktuj to jako wyzwanie, sposób na spożytkowanie doświadczeń, jakie zebrałaś, zadając się z tymi wszystkimi wytatuowanymi chłopakami. – Dostrzegł jej zainteresowanie. Teraz trzeba stworzyć pożądaną opozycję. – Chyba że... – powiedział niby to mimochodem. – Molly ma rację.

Na dźwięk imienia kelnerki Tracie znowu się zatrzymała i spojrzała w jego stronę.

– Jaką rację? – spytała z nutą zniecierpliwienia, po czym odwróciła się do półki z mąką.

– Kompulsywne powtarzanie się – wyjaśnił z bijącym sercem. Miał ją, złapała się. – Przez ostatnie siedem lat ciągle się powtarzasz, zupełnie bez powodu. Marnujesz czas. Ale gdybyś mogła przeistoczyć się w alchemika...

Ukucnęła, żeby odczytać nalepkę na torbie z mąką.

– Kto by pomyślał, że jest aż tyle różnych rodzajów mąki? – spytała, stosując zwykłą metodę odwracania uwagi. Jon musiał spokojnie przeczekać. – Jak myślisz, czy ona potrzebuje drobnej bielonej czy niebielonej, czy też grubej niebielonej czy bielonej?

Jon przypomniał sobie biszkopty Barbary, które jadł piętnaście godzin

temu, i chwycił torbę z mąką drobną bieloną.

– Weź to – powiedział, wręczając jej paczkę. – Więc jak? Nauczysz mnie?

Wzruszyła ramionami, włożyła mąkę do wózka i poszła dalej.

– No dobra – odezwała się wreszcie. – Może potrafię napisać dobry artykuł i ułożyć sobie z pomocą suszarki włosy w deszczowy dzień w Seattle, tak żeby mi się nie posklejały. Ale nie potrafię nic upiec i nikt nie potrafi nauczyć cię, jak zostać „złym chłopcem”. Ty po prostu nie możesz być zły, więc nie mogę tego traktować serio.

Odwróciła się.

Jon nagle poczuł, że ogarnia go rozpacz. Wyobraził sobie poranne spotkanie z Samanthą w pracy i wszystko w nim zamarło. A do tego Tracie miała rację – będzie jeszcze gorzej właśnie dlatego, że zadzwonił. Nie mógł pojąć, czemu czasami był takim kompletnym durniem.

A jednak wiedział, że mimo swoich zaprzeczeń Tracie mogłaby mu pomóc, gdyby tylko zechciała. Trzyma w ręku klucz i nie chce mu go oddać. Co z niej za przyjaciółka? Powiedział sobie, że musi ją mocniej przycisnąć. Potrafił doprowadzić do realizacji projektu wymagającego milionowych nakładów. Potrafi i to. Chwycił ją za ramię i obrócił dookoła. Spojrzał jej prosto w oczy.

– W życiu nie mówiłem tak serio. A ty jesteś jedyną osobą, która może tego dokonać. Znasz wszystkie moje głupie nawyki i zrobiłaś już doktorat z „niedobrych chłopców”. Zajmowałaś się nimi w college'u, a teraz pracujesz nad nimi w „Seattle Times”.

– Tak, nie wątpię, że to byłoby wyzwanie – powiedziała i uśmiechnęła się do niego. Z czułością. Tak! – zawołał w duchu triumfalnie, choć nic nie dał po sobie poznać. Tracie uniosła brwi i zgłosiła ostatnie zastrzeżenie.

– Ale dlaczego jakikolwiek alchemik miałby zamieniać złoto w ołów? – spytała i czule wzięła go za rękę.

– Ponieważ złoto samo chciałoby tej przemiany – odparł. – A gdyby złoto błagało alchemika o przemianę?

Od razu zorientował się, że przedobrzył. Tracie puściła jego rękę.

– Nie sądzę, Jon, żeby to był dobry pomysł. Kocham cię takiego, jaki jesteś – powiedziała głosem, który do złudzenia przypominał głos jego matki.

– Tak, ale jesteś w tym raczej osamotniona – przypomniał jej, ale było już za późno.

Wzruszyła ramionami i poszła dalej w głąb działu piekarniczego.

– Nie mogłabym tego zrobić. Słuchaj, mówiłam o sodzie czy o proszku do pieczenia? – spytała, patrząc na dziesiątki torebek równo poukładanych na półkach.

– Powiedziałaś: soda – przypomniał jej Jon. – Gdybyś tylko zechciała, na pewno mogłabyś mnie przemienić.

Tracie zatrzymała wózek. Jon miał nadzieję, że zastanawia się nad jego prośbą, ale po chwili Tracie pokręciła głową.

– Chyba powinnam wziąć sodę do pieczenia. Ale może to miał być proszek?

Jon westchnął.

– A co za różnica? – spytał zrezygowany.

– Używa się ich do różnych rzeczy.

– Aha. A co to za rzeczy? – spytał. Był na nią zły i nie miał zamiaru pozwolić, żeby się z tego wywinęła tak gładko. – I pod jakim względem się różnią?

– Proszek do pieczenia powoduje, że ciasto rośnie.

– Też potrafię czytać, co napisali na opakowaniu, Tracie – powiedział.

– A soda?

– Och, możesz wybielić nią zęby albo włożyć ją do lodówki, żeby wyciągnęła brzydki zapach.

– A twoja przyjaciółka z Santa Barbara zapomniała swojej pasty Crest, czy zwałił ją z nóg smród wydobywający się z twojej lodówki?

Tracie zmierzyła go wzrokiem, po czym wzruszyła ramionami i wrzuciła oba produkty do wózka. Zawróciła w stronę wejścia do sklepu i odmaszerowała. Jon ruszył za nią. Nie zamierzał zrezygnować ze swojego genialnego pomysłu. Nie zaszedłby w Micro/Conie tak daleko, gdyby nie był wytrwały. Może humor zadziała. Ukucnął, trzymając się rączki wózka, i zaczął ją błagać, tak jak dzieci błagają mamę we wszystkich sklepach świata, żeby kupiła im coś słodkiego.

– No proszę. Błagam. Dobrze? No proszę. Zrobię wszystko, co zechcesz. Obiecuję.

Tracie rozejrzała się dookoła, wyraźnie zakłopotana.

– Wstań! – syknęła.

Wiedział, że nie znosi publicznych scen, i na to liczył.

– Jon, masz wspaniałe mieszkanie, cudowną pracę i będziesz bardzo bogaty, jak tylko zamienisz na gotówkę swoje opcje akcji Micro/Conu. Starła się nie zwracać uwagi na starszą kobietę z koszykiem w rękę i wysokiego młodego mężczyznę z wózkiem pełnym piwa.

– Wstawaj. Bardzo wiele dziewczyn cię lubi. Jon nie zamierzał się podnieść.

– Ale nie w tym sensie – jęknął. – Nie tak. Kobiety zawsze traktują mnie jak przyjaciela, mentora albo brata.

Starł się, żeby w jego głosie nie zabrzmiała nuta rozgoryczenia.

Rozgoryczenie nie działa zachęcająco. A poza tym Tracie była jedną z tych kobiet, zwłaszcza ona, ale tego nie musiał dodawać.

– Przestań. Wstań wreszcie – poprosiła ponownie. – Ludzie na nas patrzą.

Jednak, prawdę mówiąc, tamta dwójka gdzieś zniknęła i w pobliżu nie było nikogo oprócz pracownika, który i tak na nich nie patrzył, zajęty nalepianiem cen na grejpfruty. Tracie zostawiła go na lodzie. Świetnie.

Obróci przeciw niej jej własne zakłopotanie. Wykorzysta je na swoją korzyść. Tracie pchała wózek w stronę rzędu kas u wejścia do sklepu.

Bardzo dobrze – przy kasach zwykle jest pełno ludzi. Jon pomógł Tracie układać warzywa na taśmie. Nie wstając z kolan, zajączał głośno.

– Chcę interesujących dziewczyn. Ostrych, seksownych dziewczyn. Ale one wszystkie latają za „złymi chłopcami”.

– Wstań – syknęła. – Grubo przesadzasz.

Niestety, było za późno, by Jon mógł liczyć na to, że wokół nich zbierze się mały tłumek ciekawskich. Musiał sięgnąć po swoją kartę atutową – jej wrodzoną uczciwość.

– Daj spokój, Tracie. Przecież wiesz, że to prawda.

Kasjerka wreszcie spojrzała w ich stronę. Wzruszyła ramionami i zaczęła podliczać należność. Tracie sięgnęła do torebki po pieniądze.

Jon westchnął, wstał i wlepił puste spojrzenie w stojak z kolorowymi pismami i magazynami dla kobiet. Bolały go kolana od tego kucania.

Błaganie to ciężkie zajęcie. I wtedy zauważył magazyn „GQ”. Na okładce widniała fotografia jakiegoś młodego gwiazdora filmowego, który niedawno rzucił swoją dziewczynę. Jon odwrócił się do Tracie i pokazał na okładkę magazynu.

– Chcę wyglądać jak jeden z tych facetów – powiedział.

– Nie chodzi tylko o wygląd – odparła, biorąc torbę z zakupami. – Choć jesteś całkiem przystojny... jak na porządnego faceta.

Wziął od niej torbę i ruszyli w stronę wyjścia.

– Racja. A ten facet nie wygląda na porządnego chłopca. Wygląda seksownie. Na pewno nie zabrał nigdzie swojej macochy w Dzień Matki. – Odwrócił się i pokazał w stronę faceta z okładki. – A co on takiego zrobił? Przecież wiesz.

Tracie spojrzała na kolorowe pismo i wzruszyła ramionami.

– Po prostu powiedział swojej dziewczynie, że chce się spotykać z kimś innym – wyjaśniła i poszła do wyjścia.

Jon pośpieszył za nią.

– Też bym tak potrafił! Gdybym miał dziewczynę. I gdybyś mi pomogła! – zawołał błagalnie. – Potraktuj to jako swoją dysertację.

Zawrócił, chwycił kolorowe pismo jako pomoc naukową, rzucił pięciodolarowy banknot na ladę i pobiegł za Tracie.

– Jesteś ekspertem – powiedział. – Tylko ty mogłabyś wy-destylować istotę tego paskudztwa, które cię tak zachwyca, i zrobić mi z niego zastrzyk.

Tracie stała przy drzwiach samochodu, manipulując kluczykami.

Wzięła od niego torbę, otworzyła drzwi i wsiadła do środka.

– Zapomnij o tym, dobrze? – poradziła. – Masz po prostu silniejszy niż zwykle atak swojej cotygodniowej niedzielnej nienawiści do samego siebie. Jutro poczujesz się lepiej.

– Tak. Zwłaszcza kiedy zobaczę Samanthę – przytaknęła posępnie. – Wtedy na pewno poczuję się bosko.

– Och, Jon. Po prostu wsiądź na rower i pojedź do domu – powiedziała. I tak też zrobił.

Dwupokojowe mieszkanie Tracie było słoneczne, długie i wąskie. Ścisłe biorąc, nie było wcale takie małe, ale kuchnia składała się jedynie ze zlewu, niedużej lodówki i starej czarnej kuchenki gazowej – Tracie rzeczywiście używała piekarnika jako szafki na buty. Dla zachowania odrobiny intymności Tracie wstawiła parawan, który tymczasowo oddzielał „pokój gościnny” Laury. Oprócz połowego łóżka, parawanu i kanapy jedynym prawdziwym meblem w pokoju dziennym było biurko Tracie pokryte fotografiami i notatkami dotyczącymi różnych pomysłów na teksty. Prawdę mówiąc, całe mieszkanie oblepione było samoprzylepnymi żółtymi karteczkami z notatkami.

Kiedy tuż przed drugą w nocy Tracie dotarła wreszcie do domu, po dniu seksu z Philem i zwariowanym spotkaniu z Jonem, była naprawdę zmęczona. Weszła do mieszkania najciszej, jak tylko mogła, jednak Laura była wciąż na nogach. Pracowicie mieszała ciasto w misie i przygotowywała blachy do pieczenia. W dodatku Tracie ku swemu kompletnemu zaskoczeniu zobaczyła także Phila, który leżał na kanapie i brzdąkał na gitarze basowej. Odrywając wzrok od gitary, spojrzał na Tracie.

– Gdzie się podziewałaś tak długo? Zarwałem próbę, żeby tu wpaść. Do tego Bobby dostał właśnie zwrot podatku i miał mi postawić kilka drinków.

Zanim Tracie zdążyła odpowiedzieć, usłyszała głos Laury, opiekuńczej jak zawsze.

– Ciężkie masz życie, nie ma co – powiedziała radośnie do Phila. Tracie uznała, że nie będzie zwracać na niego uwagi. Wyglądał naprawdę seksownie, kiedy tak leżał wyciągnięty na kanapie, ale oczywiście świetnie o tym wiedział, więc postanowiła zachować spokój.

– Co robisz? – spytała Laurę, która wbijała naraz dwa jajka do misy.

– Spawam wał korbowy.

– Coś gotujesz, no nie? – odezwał się Phil takim tonem, jakby właśnie odkrył DNA.

– Nie gotuję, tylko piekę – oświeciła go Laura. Uśmiechnęła się do Tracie.

– Czy dostałaś sodę do pieczenia?

Tracie skinęła głową. W Encino w każdy weekend Laura piekła albo kruche ciasteczka, albo czekoladowe. Już wtedy potrafiła zawsze upiec coś z niczego. Wkład Tracie polegał na wylizywaniu misek.

– Moja matka też piekła – obwieścił Phil. – Kurczaki, szynkę. Laura przewróciła oczami i wyjęła z piekarnika blachę z ciasteczkami. Wzięła jedno i pomachała w stronę Phila.

– Chcesz jedno, głupku? – spytała z radosnym uśmiechem. Tracie nie mogła uwierzyć własnym oczom. Spodziewała się, że Phil zabije Laurę spojrzeniem, ale on wyciągnął tylko rękę po ciastko. Tracie patrzyła jak zaczarowana. Może rzeczywiście droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek?

– Rany! – jęknął Phil, pochłaniając cukrowe ciasteczko. – Są doskonałe!

– Jasne. Tłuszcz i cukier potrafią zdumiewająco poprawić człowiekowi nastrój – stwierdziła Laura. – Jestem uzależniona. – Poklepała się po biodrze.

Tracie nie znosiła u niej tych gestów samoponizania się.

– Lauro, na czym polega różnica między proszkiem do pieczenia i sodą? – spytała.

– To proste – odezwał się Phil. – Jedno jest w płynie, a drugie nie. Banalne.

Laura prychnęła.

– Może trudno w to uwierzyć, ale soda do pieczenia nie ma nic wspólnego z wodą sodową. Nie pieni się i nie można jej wypić przez słomkę – wyjaśniła.

Następnie odwróciła się do Tracie.

– Wiesz, z sodą do pieczenia, albo inaczej oczyszczoną, jest jak z winnikiem. Nie używa się jej zbyt często, ale kiedy jest potrzebna, nie jej nie zastąpi. Jezu, w Sacramento przed Wielkanocą gospodynie, którym skończył się zapas winnika, płaciły za niego więcej niż za kokainę. Po prostu szalały.

Tracie uśmiechnęła się. Zapomniała już, jak nietypowe i niezwykle było poczucie humoru Laury. Kto jeszcze potrafiłby ułożyć zdanie, w którym spotkałby się winnik z kokainą?

– Czas na sprzątanie! – ogłosiła Laura, ale Phil tylko sięgnął po następne ciasteczko.

Tracie wzruszyła ramionami. Phil u siebie też nie sprząta. Laura wzięła się do zmywania, więc Tracie pozbiierała i odłożyła na miejsce resztę składników do pieczenia.

– Czemu cię tak długo nie było? – spytał Phil, wycierając ręką okruszki z warg.

Tracie odsunęła Laurę od zlewu, trącając ją biodrem, i umyła ręce.

– To był kompletnie zwariowany wieczór. Jon poprosił mnie, żebym mu pomogła zmienić się w kogoś innego.

Phil roześmiał się.

– Zmienić komputerowego nudziarza? I kim chciałby zostać?

– Kimś podobnym do ciebie – powiedziała Tracie, siadając na kanapie i zrzucając buty.

– Mister Micro T. Akcje firmy? Nie ściemniaj, to niemożliwe – zauważył Phil. – Ten facet urodził się po to, żeby nosić okulary i mieć etat. A praca na etacie została wymyślona właśnie dla takich jak on.

Tracie już miała ochotę rzucić się w obronie Jona, ale zauważyła, że Laura zostawiła dla niej na małym blacie kuchennym szklaną misę do wylizania. Z wdzięcznością wzięła ją i zaczęła wybierać resztki palcem, który następnie oblizywała.

– A tak w ogóle, to ile on ma tych udziałów? – spytał Phil.

– Myślę, że gdzieś około trzydziestu tysięcy – powiedziała Tracie, czując rozkoszną słodycz na języku.

– Rany! To znaczy, że jest bogaty. Wydawałoby się, że nie powinien narzekać na brak towarzystwa – stwierdziła Laura. – Kiedy go poznam?

– Beznadziejna sprawa – odpowiedział jej Phil. – Lepiej wyjdiesz na swoje z Jeffem. Może ma dwucyfrowy iloraz inteligencji, ale przynajmniej ma poczucie rytmu. Ciągłe o tobie mówi.

– Jon po prostu nie miał szczęścia spotkać kobiety w swoim typie – powiedziała Tracie.

– Za dużo szmalu i nie ma balu – dorzucił Phil. – I ten facet chciałby zostać kimś takim jak ja? – Roześmiał się.

– Może ja jestem w jego typie – zacięła się Laura. Tracie zignorowała jej słowa.

– A skąd u ciebie to przekonanie, że jesteś taki niepowtarzalny? – spytała Phila.

– Znikąd. Ale to taki beznadziejny typ. Zupełnie bez jaj.

– Taak – powiedziała Laura. – Trzymaj się z dala od facetów przed

trzydziestką, którzy mają stałą pracę i fortunę w akcjach. To moje motto.

Phil nie chwycił jej sarkazmu i przytaknął.

– Poza tym to beznadziejne. I tak ci się nie uda – zwrócił się do Tracie.

– On uważa, że mogłoby mi się udać – odparła Tracie. Czemu Phil był taki okrutny, ilekroć mówił o Jonie?

– Och, techno-nudziarz wierzy, że potrafisz wszystko.

– Gdyby tylko chciała, mogłoby jej się udać – powiedziała Laura na przekór Philowi. Spłukała ostatnią blachę i wzięła od Tracie wylizaną misę.

– A żebyś wiedział. Jon wierzy we mnie bardziej niż ty – podchwyciła Tracie. – A co będzie, jeśli naprawdę go zmienię i zrobię z niego seksownego faceta?

– Powinnaś spróbować, a poza tym to się nadaje na artykuł – powiedziała Laura. – Wiesz, coś w rodzaju dziennika, dzień po dniu. Ludzie uwielbiają takie przemiany.

Pomysł był naprawdę dobry. Poza tym Phil się wścieknie, a właśnie w tej chwili chciała mu zrobić na złość.

– Jasne! – zapaliła się Tracie.

– Co? Czyś ty zwariowała?! – wykrzyknął Phil. – Po co miałabyś tracić czas na pisanie o takich żalonych idiotyzmach?

– Och, sama nie wiem... – odparła Tracie. – W końcu wszyscy interesują się takimi transformacjami. To archetyp. Wiesz, jak u Junga.

– Phil wielbił Junga. – Stara historia o kopcuszkę.

– Ale zdawało mi się, że ty nie interesujesz się starymi historiami – powiedział. – Interesują cię nowe.

– Właśnie – wtrąciła się Laura. – Phil pokazał mi jedną ze swoich nowych historii. – Rzuciła Tracie porozumiewawcze spojrzenie i złożyła wargi w ryjek, jak zawsze, kiedy starała się powstrzymać od śmiechu.

– Naprawdę? – spytała Tracie.

Mimo lekceważenia, z jakim Laura odniosła się do twórczości Phila, poczuła się urażona. Phil tak rzadko pokazywał jej którykolwiek ze swoich utworów.

– I co myślisz?

– Myślę, że dobrze by jej zrobiło wprowadzenie jakichś postaci i akcji – stwierdziła Laura. – Ale poza tym naprawdę świetne.

– Dzięki – powiedział Phil, jak gdyby nie zauważył, że został właśnie obrażony. – To coś na temat zbiorowej nieświadomości.

No cóż – pomyślała Tracie – prawdopodobnie wcale go nie obchodzi, co Laura myśli o jego pisarstwie. Czemu więc jej w ogóle cokolwiek pokazywał?

– Poza tym nawet gdybyś rzeczywiście chciała pisać o tych idiotyzmach, nie byłoby o czym, bo to niemożliwe – dodał. – Nie można zrobić z niego seksownego gościa. Równie dobrze mogłabyś próbować zamrozić Amazonkę. Ponad ludzkie możliwości. Niemożliwe.

– Chcesz się założyć? – spytała Tracie.

– Założyć? O co?

Wyciągnął palec, żeby otrzeć jej okruszek ciasta z ust, ale Tracie uchyliła głowę. Nie w tym momencie i na pewno nie w obecności samotnej Laury.

Ale zakład miał sens. Mogła w ten sposób jawnie dać upust swoim pretensjom, dać mu nauczkę, a może przy okazji popchnąć do przodu ich związek – albo go zakończyć.

– O pieniądze na utrzymanie – powiedziała Tracie w przyпіływie olśnienia.

– No, zaraz. Nie płacę na utrzymanie. – Mało brakowało, a upuściłby ciasteczko, które właśnie transportował do ust.

– Właśnie o to mi chodzi, Phil. Jesz tutaj i śpisz prawie codziennie, ale nie płacisz komornego i nawet nie dorzucasz się do jedzenia.

– Wiesz, że nie mogę, dziecinko. – Spojrzał w stronę Laury, po czym objął Tracie ramieniem i zaprowadził do parawanu. Zniżył głos. – Wciąż splanam wzmacniacz i w tej chwili zalegam nawet chłopakom za komorne u siebie – powiedział i delikatnie popchnął ją w stronę łózka Laury.

– Nie tutaj! – zareagowała ostro Tracie. Co mu chodzi po głowie? – A poza tym, gdybyś zrezygnował z mieszkania u siebie...

– Zdaje się, że nadszedł ten moment rozmowy, w którym powinnam dyplomatycznie zniknąć ze sceny, żeby dać wam odrobinę niezbędnej intymności, jak widzę – oświadczyła Laura, wycierając ręce o żalony kawałek materiału udający ścierkę do naczyń. – Wezmę teraz porządną, długi, głośny prysznic – dodała i znikła w łazience.

Phil wziął Tracie za ramię, wszedł do sypialni, ściągnął buty i pociągnął

ją na łóżko.

– Chodź tutaj – powiedział i wyciągnął do niej ramiona.

– Phil. Przestań. Mówię poważnie! Posłuchaj mnie przez chwilę – sprzeciwiła się Tracie, kiedy chwycił ją za ramiona i pociągnął ku sobie. – Gdybyś się do mnie wprowadził...

Puścił ją i wsunął rękę pod poduszkę. W jednej chwili temperatura między nimi spadła o pięćdziesiąt stopni.

– Słuchaj, potrzebuję własnej przestrzeni – powiedział i odwrócił się do ściany, dając jej wyraźnie do zrozumienia, żeby zmieniła temat albo najlepiej poszła spać.

– A przed chwilą byłeś taki pewny swego, jeśli chodzi o Jona. Boisz się zakładać? – nie dawała mu spokoju. – Czy jeśli uda mi się zrobić z Jona seksownego faceta, wyprowadzisz się od siebie i będziesz płacił tutaj połowę komornego?

– To się nie stanie.

– Ale gdyby mi się jednak udało?

Odwrócił się, spojrzął na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zrobię wszystko, czego zapragniesz. Ale co będzie, jeśli ci się nie uda?

Tracie zastanowiła się przez chwilę.

– Wtedy możesz traktować to miejsce jako darmowy hotel, w którym zostawiasz swoje pranie, jesz posiłki i nigdy nie musisz słać po sobie łóżka. – Zrobiła krótką przerwę. – Ale zaraz. Przecież ty i tak już tak robisz.

Phil usiadł na łóżku.

– Słuchaj. Mówiłem ci, że trwałe związki są trudne dla muzyka.

Wiedziałaś o tym od początku. Tak? – Skinęła głową. – Ze związkiem jest jak z kąpielą. Początkowo jest w porządku, ale po pewnym czasie już nie jest taka gorąca.

– Więc tak o nas myślisz? Że już nie jest tak gorąco? – spytała, wstając z łóżka. Nie miała na niego ochoty, jeśli rzeczywiście tak myślał.

– No co ty, dziecinko – powiedział pojednawczo. – Jak możesz tak mówić po dzisiejszym popołudniu? – Jego głos nabrał matowej barwy. Chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie, chociaż stawiała opór, usztywniając całe ciało.

– Ej, to tylko takie żarty. Popatrz. Coś ci przyniosłem. Wyciągnął rękę i otworzył zaciśniętą dłoń. Tracie zobaczyła

czarne, aksamitne pudełeczko na pierścionek. Serce jej skoczyło i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Och, Phil! – zawołała.

Tracie stała przed lustrem w damskiej toalecie w redakcji „Seattle Times” i nakładała sobie tusz na rzęsy. Beth przyglądała się przyjaciółce. Tracie miała ciemne sińce pod oczami. Położyli się z Philem dopiero o czwartej nad ranem. Przedtem kłócili się, kochali ze sobą i znowu się kłócili. Boże, muszę iść do fryzjera i się ostrzyc – pomyślała. Powinna zadzwonić do Stefana i wy-błagać u niego wizytę.

– I co dalej? – spytała Beth.

– Powiedział coś w rodzaju „że musi mieć trochę własnej przestrzeni do życia”.

Beth westchnęła.

– Moja matka stwierdziła, że wynajmie magazyn dla tych wszystkich facetów, z którymi chodziłam i którzy potrzebowali „odrobiny własnej przestrzeni”.

Otworzyły się drzwi i do toalety weszła Allison, wysoka blondynka z Cosmo, która bez trudu wygrałaby konkurs na sobowtóra młodej Sharon Stone. Beth i Tracie obrzuciły ją niechętnym spojrzeniem. Allison podeszła do lustra.

– Cześć – rzuciła w ich stronę i lekko poprawiła swoją skądinąd idealną fryzurę.

– Cześć – odpowiedzieli równocześnie Tracie i Beth z dokładnie tym samym brakiem entuzjazmu.

Na moment zapadła cisza. Allison dalej poprawiała jakieś niedostrzegalne kosmyki włosów.

– I wtedy Phil – zaczęła Tracie – powiedział, że chce się ze mną ożenić, na co ja, że tak naprawdę to nie znam go zbyt dobrze i nawet nie jestem pewna, czy pasujemy do siebie. Ale pierścionek wzięłam – dodała, patrząc w lustro na odbicie swoje i przyjaciółki.

Beth przestała malować usta i omal nie upuściła szminki.

– Poprosił cię o rękę? – spytała. – Naprawdę zadał to słynne pytanie? Tracie ukradkiem zerknęła na odbicie Allison w lustrze. Właśnie skończyła poprawiać włosy.

– Cześć – powiedziała Allison.

– Cześć – powtórzyły jak echo Tracie i Beth, gdy Allison wychodziła z łazienki.

– Phil dał ci pierścionek? – spytała Beth, kiedy zostały same. – Naprawdę?

– Nie, to wersja dla Allison. Naprawdę to Phil dał mi pudełko na pierścionek. Z kostką do gry na gitarze w środku.

– Z kostką?

Tracie zaczęła naśladować głos Phila, żeby żartem zamaskować przykre wspomnienie rozczarowania.

– To moja pierwsza. Nie wiedziałem, że na basie nie gra się kostką. – Przerwała, tak samo jak Phil poprzedniego wieczoru, kiedy zobaczył kompletny brak zachwyty na jej twarzy. – Słuchaj, to dla mnie wielka pamiątka.

Wróciła do swojego normalnego głosu.

– Rzeczywiście, dla niego to wielka pamiątka. Wiesz, on żyje swoją muzyką i swoim pisaniem. Po prostu nie myśli o takich prozaicznych rzeczach jak pierścionek.

Beth nie odezwała się ani słowem.

– Tak. Nie myśli – powtórzyła Tracie, po czym pokazała Beth kostkę, w której Phil kazał jubilerowi wywiercić dziurkę, żeby mogła nosić ją na łańcuszku na szyi. – Czy ta Allison cię nie wkurza?

Beth znowu się ożywiła.

– Nawet nie wiesz jak. W ubiegłym tygodniu zaczęła chodzić z jednym facetem. I ten gość wydzwaniał do biura chyba z sześćset razy na dzień. W czwartek czekał już na nią przed budynkiem w porze lunchu i po pracy. A w piątek poszła do sądu i facet dostał formalny zakaz zbliżania się do niej.

– Nie ściemniaj! – zawołała Tracie, wsuwając tusz z powrotem do obudowy.

– Nie ściemniam! I to nie jest żaden czubek, tylko jakiś wielki ortodonta z Tacomy – dodała Beth. – Przysięgam, że ona ma dziwną zdolność mącenia facetom w głowach. A poza tym myślę, że teraz leci na Marcusa.

Niedawno Beth w przyływie neurozy ostrzejszej niż zwykle oraz wyjątkowo złego gustu w doborze mężczyzn – nie mówiąc już o potencjalnie samobójczych konsekwencjach dla swojej kariery – wdała się w biurowy romans z Marcusem i teraz codziennie się tym zadreślała. Tracie pomyślała, że Beth może mieć rację co do zakusów Allison na Marcusa, ale w tej chwili nie

warto było o tym wspominać.

– Cóż, powinnaś jej go podać na srebrnej tacy.

– Nieee – Beth jęknęła posepnie. – To znaczy, wiem, że to trudny facet. Ale ja go kocham. – Osuszyła szminkę na wargach i wyprostowała się, gotowa do wyjścia. – A poza tym nie jest mój, więc nie mogę go nikomu dawać.

– No to go sobie odpuść. Są siebie warci.

– Ale ja...

Tracie nie mogła uwierzyć, że Beth wciąż zawraca sobie głowę tym palantem.

– Ależ Beth! Spotykał się z tobą, a potem cię rzucił! Powinnaś go oskarżyć o molestowanie seksualne w pracy.

Tracie wrzuciła swoje kosmetyki do torebki.

– Czemu ci faceci są tacy okropni? Moja przyjaciółka Laura z Peterem? Ja z Philem? A ty z tym łajdakiem Marcusem? Czemu oni są tacy niedojrzali i tacy samolubni?

– Stanowią dla nas wyzwanie. – Beth pociągnęła nosem, kiedy szły korytarzem. – To znaczy, chodzi mi o to, że gdyby Phil i Marcus zawsze zachowywali się tak, jak tego pragniemy, to zrobiłoby się nudno.

Beth oczywiście zwariowała, ale Tracie musiała przyznać w głębi ducha, że chwyciła, o co jej chodzi.

– Spójrzmy prawdzie w oczy. Biegając za trudnymi facetami, czujemy się wyjątkowe. Wiesz, kiedy chodziłam z Marcusem, myślałam, że gdyby mi się udało i on by mnie pokochał, toby znaczyło, że jestem kimś niezwykłym.

Tracie pomyślała o Philu i o tym, jaki jest teraz trudny. A potem przypomniała sobie Jona i jego prośbę. Może miał rację. Ale czy ona potrafiłaby tego dokonać? I czy coś by z tego wyszło? Westchnęła.

– Czasami myślę sobie, że po prostu jesteśmy masochistkami.

A Marcus na pewno jest sadystą.

– Co tam Marcus – podchwyciła Beth. – Popatrz na Phila! Przecież on nie jest ciebie wart, Tracie. Przyznaję, że jest przystojny, ale poza tym to nic dobrego. I nigdy się nie zaangażuje. – Chwyciła kostkę do gitary kołyszącą się na szyi Tracie. – To żałosne – dodała.

– Sama nie wiem – powiedziała Tracie, czując, że właśnie zaświtał jej pewien pomysł. – Być może mam sposób, żeby go do tego zmusić.

A przy okazji będę miała świetny materiał na artykuł. – Doszły do rogu, na którym musiały się pożegnać.

– Nie licz na to – ostudziła ją Beth. Tracie uśmiechnęła się.

– Kto wie, a nuż się uda?

Tuż za progiem biura Jona na ogromnej powierzchni, wielkości niemal lotniczego hangaru, mieściły się dziesiątki boksów, z których dobiegały odgłosy niezliczonych telefonów, kopiarek, drukarek i komputerów, tworzące w sumie niezbyt głośny, ale nieustanny poszum. Jon był zmęczony swoimi obowiązkami z okazji Dnia Matki, pracą nad „Parsifalem” oraz nocną kolacją i zakupami z Tracie. Jednak teraz, siedząc wśród swoich pracowników, musiał wykrzesać z siebie maksimum uwagi. W końcu to był jego dział, jego królestwo. Grupa bystrych facetów z Micro/Conu prowadziła ożywioną dyskusję na temat technicznych założeń projektu, podczas gdy on, oświecony despota, łaskawie przysłuchiwał się rozmowie, starając się przede wszystkim odegnać ogarniającą go senność.

Jon podniósł wzrok i ponad głowami uczestników spotkania zobaczył zmierzającą w stronę jego biura Samanthę. Jego królestwo w mgnieniu oka załamało się i rozpadło – szybciej niż filipiński system pocztowy zaatakowany przez komputerowego wirusa „I love you”. Przypomniawszy sobie, że to on jest Królem Nieudaczników. A teraz nieubłaganie zbliżało się jego upokorzenie. Było coś takiego w Sam, czemu ani Jon, ani żaden inny facet, prawdę mówiąc, nie potrafił się oprzeć.

Rudowłosa, z drobnymi piegami, w pracy potrafiła być ostra, ale miała w sobie jakąś słodycz – a właściwie niewinność – która działała na mężczyzn jak magnes. Jon pragnął skatalogować jej wszystkie, nawet najdrobniejsze piegi, jak gdyby stanowiły konstelację gwiazd na wieczornym niebie. Nie wspominając już o idealnych proporcjach jej długich i szczupłych nóg.

Sam pracowała w Micro/Conie w dziale marketingu. Większość ludzi z marketingu była zupełnie bezbarwna, jednak Samantha wyróżniała się inteligencją i poczuciem humoru. Pod tym względem bardzo przypominała Tracie. Po raz pierwszy zobaczył ją na ubiegłorocznej konferencji, na której zaprezentowano publiczności gotowego Cryptona-2. Na sali siedziało około trzystu osób – w większości sztywni handlowcy – jednak Jon nie mógł oderwać wzroku od Sam, kiedy weszła na podium i zaczęła swoje wystąpienie od strasznie sprośnego dowcipu o karlicy i pralce. Nie dość, że faceci ryknęli śmiechem, to jeszcze zrobiła to z wdziękiem godnym wielkiej damy.

Nawet teraz Jon zachichotał na samo wspomnienie tej sceny. Miała klasę. Otaczała ją jakaś magiczna aura. Była wręcz niesamowita. Żadna ze znanych mu osób – nawet Tracie – nie potrafiłaby bezkarnie zrobić takiego numeru. Jon od miesiący rejestrował jej obecność na swoim radarze, zawsze świadomy tego, gdzie się znajdowała. W końcu zebrał się na odwagę i usiadł koło niej na kilku zebraniach. Posyłał jej zabawne liściki. Śmiała się rozbawiona. Pewnego dnia przysiadł się do niej w bufecie, a potem zaproponował jej randkę. Zgodziła się, po czym wystawiła go do wiatru.

Widząc ją teraz w korytarzu, Jon dałby wszystko za to, żeby uniknąć spotkania z nią twarzą w twarz. Chwilowo była zajęta rozmową z jakimś innym pistoletem z działu marketingu. Wszyscy byli tacy cholernie gładcy i elokwentni. Sama forma bez cienia treści. Jon zamarł, ale już po chwili poczuł narastające zdenerwowanie. Miał nadzieję, że siedzący obok faceci niczego nie zauważą. Samantha nie mogła udać, że go nie zauważyła. Z całego serca zapragnął w tym momencie zniknąć, wyparować albo chociaż schować głowę pod wykładzinę podłogową i zamienić się w strusia, jednak los nie zamierzał mu niczego oszczędzić.

– Och, cześć, Jon – odezwała się Samantha spokojnie i nie zwalniając ani na moment kroku, odeszła w głąb korytarza, prezentując swoje cudownie długie nogi.

– Cześć, Sam – odpowiedział Jon głosem przynajmniej o oktawę za wysokim. Boże, ta niewymuszona swoboda była jeszcze bardziej upokarzająca, niż gdyby go w ogóle nie zauważyła! Teraz już nie miał wątpliwości, że w sobotę kompletnie zapomniała o ich spotkaniu.

I wtedy Samantha zatrzymała się.

– Och, słuchaj. Przepraszam za sobotę – rzuciła przez ramię, jak gdyby właśnie sobie o tym przypomniała. Kto wie, może rzeczywiście tak było.

– Sobotę? – spytał Jon, starając się panować nad swoim głosem. Ej, on też może mieć amnezję.

– Nie byłam pewna, czy to aktualne, a potem coś mi wypadło i...

– Nie ma sprawy – przerwał jej Jon.

Następnie odłączył się od grupy i wszedł do swojego gabinetu. Zza drzwi dobiegły go stłumione głosy jego ludzi.

– Stary – odezwał się Denis – co ona takiego robiła z Jonem, że teraz

musi go przeproszać?

Ktoś rzucił jakąś dowcipną uwagę, której już nie dosłyszał, i wszyscy się roześmieli. Rozległ się dzwonek telefonu. Przez chwilę miał ochotę go zignorować, ale niestety nie mógł tego zrobić. To mogła być Bella, jego szefowa, z nowymi informacjami na temat pieniędzy na „Parsifala”. Podniósł słuchawkę.

– Lubisz niespodzianki? – usłyszał głos Tracie.

– Jasne, zasuwasz – westchnął. Wszystko było lepsze od jego rozmyślań o Samancie.

– Więc co byś powiedział, gdyby się okazało, że to nie jest Tracie, tylko Merlin? I że przyjmuję twoją propozycję?

Marlon? Brando czy Perkins? Jon był tak zmęczony, że mąciło mu się w głowie. O czym ona mówi? Czy wczoraj wieczorem był tak zdesperowany, że upił się i poprosił ją o rękę? Poczuli, że nic z tego nie rozumie. I wtedy go olśniło. Chodzi o przemianę. Rzucił na krzesło papiery, które trzymał w ręku, i usiadł.

– Tracie, zrobię wszystko. Naprawdę wszystko.

– Przede wszystkim musimy ci kupić jakieś przyzwoite ciuchy – powiedziała.

Jon natychmiast przypomniał sobie uwagę Emersona: „Nigdy nie ufaj przedsięwzięciu, które wymaga nowego ubrania”.

– Moja karta kredytowa jest do twojej dyspozycji – zadeklarował do słuchawki.

– Będziesz także musiał zmienić uczesanie.

Rany, miał ochotę zmienić całą swoją głowę, ale zaczął skromniej.

– Transplanty czy wystarczy farbowanie? Zrobię, co każesz – zapewnił ją.

Tracie zachichotała. Naprawdę uwielbiał ten chichot.

– Na początek wystarczy dobre strzyżenie. A poza tym musisz zacząć nad sobą pracować.

– Nie ma sprawy. Mogę pracować nad sobą, mogę nad czymkolwiek. Nic innego nie robię.

– Dobrze wiesz, że chodzi o siłownię! – zawołała. – Trochę, żeby nabrać kondycji, trochę, żeby zacząć bywać między ludźmi. Dobra. A zatem.... na początek musisz pozbyć się swojej automatycznej sekretarki w domu. Oraz e-maila.

Chyba zwariowała. Przecież jest kierownikiem całego działu bada

wczo-rozwoj owego, który pracuje nad priorytetowym projektem.

– Co?... Jak mam odbierać moje...

– To jest podstawa. Zasada numer jeden: niedostępność.

– Może dla kobiet. Ale muszę załatwić swoje sprawy zawodowe.

– Przez ostatnie sześć lat nic innego nie robiłeś, tylko pracowałeś. Jeśli chcesz kogoś poderwać, będziesz musiał zmienić obyczaj.

Pomyślał o Sam.

– Dobra. W porządku – powiedział. – Więc jakie są dalsze zasady?

– Zasada numer dwa: nieprzewidywalność. Wyrzucić zegarek. Jon zaczął odpinać pasek od zegarka.

– Wygląda dziadowsko, co? Powinienem zmienić markę? Na swatcha? Jęknęła tylko.

– Boże! „Zły chłopiec” w ogóle nie potrzebuje zegarka. Albo się tradycyjnie spóźnia, albo przychodzi za wcześnie, ale nigdy na czas.

Poza tym odpadają wszelkie logo. Żadnych małych aligatorów ani bumerangów. Jeśli ktoś chce sobie poczytać, niech kupi „Timesa”, zamiast gapić się na twój podkoszulek. I zapomnij o swoich firmowych ciuchach z Micro/Conu.

– Nie zawsze noszę coś ze znakiem Micro/Conu – próbował się bronić.

Spojrzał na swój podkoszulek. Napis na jego piersi głosił: „W sześćdziesiąt sekund od dyskietki do twardego dysku”. Prawdę mówiąc, nigdy nie zauważał, co ma na sobie.

– Chyba że śpisz nago. Ale ilekroć cię widziałam, zawsze miałeś na sobie coś ze znakiem firmy, a to jest takie żałosne.

Może miała rację?

– Założę normalną koszulę – obiecał.

– A zatem twoja praca domowa: jutro przychodzisz do pracy bez zegarka i bez ciuchów Micro/Conu. Potem spotkamy się u ciebie o siódmej.

Jon był pojętym uczniem. W szkole zawsze dostawał dodatkowe punkty i trafnie odpowiadał na podchwytliwe pytania. Tylko w życiu prywatnym jakoś zawsze udawało mu się wszystko schrzanić.

– Czy to jest test? Mam się spóźnić? Czy przyjść za wcześnie?

– Na czas – powiedziała surowym głosem. – Nie graj w te gry ze swoim alchemikiem.

Jon odłożył słuchawkę, uśmiechnął się i obrócił się naokoło w fotelu.

Tak! Jeszcze parę dni, a będzie miał u swoich stóp wszystkie Samantha

świata z ich wszystkimi piegami!

Tracie weszła do swojego mieszkania i omal nie zemdlała od unoszącego się w powietrzu zapachu rozmarynu i tymianku. Natychmiast poczuła, jak ślina napływa jej do ust. Nigdy nie trzymała w domu jedzenia, ponieważ gdyby coś trzymała, zaraz by to zjadła. Po prostu czasami trudno się oprzeć.

– Ach, kochanie. Jesteś już – zaśpiewała Laura.

Na stole zastawionym elegancką porcelaną Tracie stały już sałatki. Laura pozostawiła drzwi do kuchni uchylone, tak by Tracie mogła zobaczyć, że coś smacznego piecze się w piekarniku.

– Nie byłam pewna, co powiesz na kaczkę, więc zrobiłam kurczaka w pomarańczach – powiedziała.

Tracie zmarszczyła brwi. Pomyślała, że Laura musiała chyba poświęcić na to ładne parę godzin – choć szczerze mówiąc, sama nigdy nie przeczytała żadnego przepisu. Poza tym była śmiertelnie głodna, a równocześnie zaczynała się lekko niepokoić. Z tego, co wiedziała, Laura od trzech dni nie wychodziła z domu. Zresztą żadna z nich nie potrzebowała aż tylu kalorii.

– Kochanie, nie możesz dalej żyć w ten sposób – odezwała się, siadając przy stole.

Laura wyciągnęła z piekarnika mały talerz, na którym leżał niewielki kawałek chleba posmarowany czymś i ozdobiony kilkoma listkami.

– Spróbuj – powiedziała Laura radośnie, zupełnie nie zważając na słowa przyjaciółki.

Wcześniej nalała już sobie czerwonego wina, a teraz napełniła kieliszek Tracie. Tracie nie mogła się oprzeć tym wspaniałościom, choć wiedziała, że rano będzie na siebie wściekła. To było dość zabawne – w ciągu kilku dni od przyjazdu Laury zaczęły zachowywać się jak stare małżeństwo.

– Lauro, tak nie można – jęknęła, wsuwając serową zakąskę do ust.

A potem mogła już tylko wydawać zwierzęce odgłosy kulinarnej rozkoszy. Wszelkie myśli o diecie natychmiast ulotniły się bez śladu.

– Czy możemy zjeść to coś na obiad? – spytała. Laura roześmiała się.

– Nic się nie martw. Wszystko jest równie dobre.

Laura mówiła prawdę. Tracie oprzytomniała dopiero po waniliowym budyniu, który jej przyjaciółka zrobiła na deser. Dopiero wtedy – pełna

jedzenia i poczucia winy – zaczęła kręcić głową.

– Zaczynamy tyć. Nie mogę jeść takich tłustych potraw każdego wieczoru.

– Nie wygaduj głupot – powiedziała Laura w swojej najlepszej imitacji Julii Child. – Co jest niby takiego tłustego w odrobinie kwaśnej śmietany, trufli, foie gras i sera? – mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Przecież nie piekę czekoladowych babeczek.

Jednak prawdę mówiąc, gdyby je piekła, skutek byłby ten sam. Kuchnia Laury z pewnością nie była dietetyczna.

Tracie z niejakim wysiłkiem wstała od stołu i powlokła się na kanapę. Była przejedzona.

– W porządku – podsumowała. – Było pięknie i wystarczy. Zamykam garnki na klucz i od jutra spędzamy wieczory na siłowni.

– Nie jestem aż tak zaprzyjaźniona z salami gimnastycznymi, żeby mówić im po imieniu – powiedziała Laura wyniośle. – Nie bywam w takich miejscach.

– Nie bywałeś w Sacramento, ale tutaj będziesz – powtórzyła z naciskiem Tracie. – A tak nawiasem mówiąc, masz za duży talent, żeby w ogóle zrezygnować z gotowania. Powinnaś ruszyć się z domu i znaleźć sobie jakąś pracę w cateringu. Albo jeszcze lepiej jako szefowa kuchni w jakimś lokalu. Zawsze o tym marzyłaś.

– To nie ze mną masz zrobić te swoje czary-mary, kochana – zauważyła Laura. – Tylko z Jonem, a i to nie jest najlepszy pomysł. Skończy się łzami, jak mawiała moja matka.

– Twoja matka mówiła ci także, że seks to lipa – odparowała Tracie, usiłując znaleźć w talii miejsce, gdzie jeszcze kilka dni temu zapinały się jej spodnie. Chyba trzeba będzie przesunąć już nie tylko ostatni guzik, ale cały suwak w dżinsach. – Jon sam mnie o to prosił.

– Tak? Czy nie rozumiesz, że wszystkie twoje rewelacje będą brzmiały jak jedna wielka krytyka jego osoby? Zobaczysz, że w pewnym momencie zacnie ci mieć za złe. Może moja matka nie miała racji, ale jest takie stare chińskie przysłowie: „Czemu on mnie tak nienawidzi? Przecież nigdy nic dla niego nie zrobiłem”. W tym się kryje głęboka prawda.

– Nie mów głupstw – powiedziała Tracie. – Jon będzie mi wdzięczny za wszystko, co zrobię, żeby mu pomóc.

– Tak? A pamiętasz, jak próbowałaś zostać moją dietetyczką?

- Ale ty mnie o to nie prosiłaś! A poza tym przestałam!
- Słuchaj – próbowała wyjaśnić Laura – nawet jeśli Jon nie będzie ci miał za złe, to Phil na pewno zacznie się wściekać. Wiesz, nie można poświęcać za dużo uwagi innemu mężczyźnie.
- Chyba żartujesz?! – zawołała Tracie i zaczęła się zastanawiać, czy Phil wpadnie do niej tego wieczoru, tak jak zapowiadał. – Phil nie zwraca uwagi na to, co robię. Ucieszyłabym się, gdyby stał się zazdrosny.
- Zobaczmy – powiedziała Laura i zamrugała szybko jak sowa. Tracie nie znosiła, kiedy Laura odgrywała mądrą.
- Zobaczmy. Albo i nie zobaczymy. Ale na pewno pójdziemy na siłownię – oznajmiła Tracie. – Beth i kilka innych dziewczyn z pracy chodzą tam trzy razy w tygodniu. Zrobimy tak samo. Wstała i położyła rękę na ramieniu znacznie wyższej od siebie Laury.
- Będziesz wyglądała bosko na StairMasterze – zawyrokowała. Przy głośnych dźwiękach muzyki z lat siedemdziesiątych wypełniających Siłownię Simona kilkanaście kobiet ćwiczyło po kolei na poszczególnych przyrządach.
- Susan umówiła się z takim jednym gościem i kiedy zaczęli się kochać, okazało się, że facet ma peruczkę – odezwała się Sara, jedna z sekretarek w „Timesie”.
- I zaraz ci wszystko wiadnie – stwierdziła Beth.
- Jak to: wiadnie? – spytała Tracie, która siedziała na przyrządzie do wiosłowania, z głową między kolanami. Była tak zmęczona, że obawiała się, że zaraz zwymiotuje.
- To damski odpowiednik klapy – wyjaśniła Sara. Uniosła do góry palec i zgięła go, obrazowo pokazując spadek erekcji. – Na przykład księgowi.
- Kto jeszcze? – spytała Tracie, wciąż dysząc ciężko.
- Sprzedawcy butów – rzuciła Laura od StairMastera, unosząc lewe kolano na wysokość talii. Nadal leciała muzyka z lat siedemdziesiątych z albumu „Let's celebrate and have a good time”.
- Maklerzy i agenci nieruchomości. I ochroniarze – dodała Sara, robiąc dla rozgrzewki skłon w lewo.
- Czy kiedykolwiek umówiłaś się z ochroniarzem? – spytała Laura.
- Coś w tym rodzaju – odparła Sara, wykonując teraz skłon w prawo.
- No i komputerowcy – wtrąciła Beth, która zmieniała właśnie ciężarki

na kolejnym przyrządzie. Wyglądał dość przerażająco i kojarzył się nieco seksualnie. – W Seattle aż się od nich roi. Straszni nudziarze. Z jakiegoś powodu są święcie przekonani, że można poważnie traktować te ich porty szeregowe.

Muzyka na chwilę ucichła i kobiety zamilkły. Zaraz jednak popłynęła znowu z kolejnej płyty zespołu „Kool and the Gang”. Sara chwyciła ręcznik i otarła pot z czoła.

– Tak – przyznała. – Wszystkie matki mówią, że powinnyśmy ustawić się z facetem z branży komputerowej. Ale oni są jak trędowaci. Powinni obowiązkowo nosić dzwoneczki na szyi i krzyczeć: „nieczysty, nieczysty”, kiedy się do ciebie zbliżają.

– Matki? – spytała Tracie, przypominając sobie swój artykuł, i skrzywiła się.

– Nie. Komputerowcy – wyjaśniła Sara. – Oczywiście nie mówię o tych, którzy mają akcje swojej firmy.

Sara nigdy nie chwyciła dowcipów, ale poza tym była słodka. Laura, która z rzeczy słodkich lubiła tylko słodycze, przewróciła oczami.

– Nie mówię, że chcę się wydać za pieniądze – ciągnęła Sara – ale słyszałam, jak Allison z kimś rozmawiała, a ona dokładnie zna wartość wszystkich akcji. Powiedziała, że szuka faceta, który zrobił IPO *, cokolwiek to znaczy.

– Allison – prychnęła Tracie lekceważąco. – Jak gdyby bogaci oglądali się za takimi jak ona.

– Nie sądzisz, że jest piękna? – spytała Sara.

– Nie – energicznie zaprzeczyła Tracie. – Za bardzo przypomina Sharon Stone, choć ma lepszy tyłek.

– Hej, dziewczyny, jeśli już mowa o tyłkach – zawołała Beth – to czas na rowerki!

– Nie, najpierw biegnia.

– Chodźmy lepiej na lunch – zaproponowała Sara. – Konam z głodu.

– A może choćby mała przerwa? – spytała Laura, ocierając pot z górnej wargi.

Podeszły jednak do bieżni, zaprogramowały odpowiednie tempo i zaczęły maszerować.

– A więc wiemy, czego nie lubimy, ale co nas pociąga w face* IPO – Initial Public Offering – publiczna emisja akcji firmy prywatnej (przyp. tłum.).

tach, którzy nam się podobają? Dlaczego jesteśmy uzależnione od „złych chłopców”? – spytała Tracie.

– Tacy faceci to prawdziwe wyzwanie – powiedziała Sara. – Pełno ich w „Timesie”.

Maszerowały w zgodnym rytmie, synchronicznie wymachując ramionami.

– Tak. Niełatwo zmusić „złego chłopca”, żeby cię pokochał, ale przynajmniej wiesz, że gdyby ci się udało, to byłoby to jakieś osiągnięcie – dodała Beth.

– Myślę, że oni budzą w nas instynkt macierzyński – stwierdziła Laura.

– Spadaj! – wykrzyknęły równocześnie Sara i Beth. Tracie żałowała, że nie ma przy sobie karteczek samoprzylepnych.

– Nie. Posłuchajcie – ciągnęła Laura. – To tak, jakbyśmy na nich ćwiczyły. Wiecie, oni wymagają opieki jak dzieci.

– Myślę, że to dlatego, że z nimi jest łatwo – powiedziała Beth.

– Rany, ale z nimi właśnie nie jest łatwo – sprzeciwiła się Sara.

– Ale w pewnym sensie jest – upierała się Beth. – Nigdy nie można się do nich naprawdę zbliżyć, więc nigdy nie musimy sprawdzać, jak dalece same umiemy kochać.

Wszystkie nagle stanęły i umilkły. Przez chwilę żadna z nich nie chciała spojrzeć drugiej w oczy. Nawet Tracie, reporterka, czuła się nieswojo.

Zeszły z bieżni i pomaszerowały do rowerów.

Kiedy wróciły z siłowni, okazało się, że zrobiło się późno. Beth gorączkowo zbierała swoje papiery, usiłując jednocześnie poprawić włosy. Tracie weszła do jej boksu.

– Chodź, bo się spóźnisz. Włosy są w porządku. A zresztą Marcus i tak cię nie zauważy.

– Nie znoszę tych zebrań.

– Jak wszyscy. Ale dzisiaj zamierzam dopaść lwa w jego jaskini. Mam naprawdę świetny pomysł na artykuł.

Beth, wychodząc z boksu, popatrzyła na nią z powątpiewaniem. Kiedy szły już korytarzem, stwierdziła:

– Chyba oszalałaś. Czemu chcesz o tym mówić przy wszystkich i dać mu okazję, żeby cię upokorzył?

– Ponieważ sądzę, że wszyscy mnie poprą. To jest naprawdę dobry pomysł. Fajny. Zabawny.

– Wszyscy wiemy, jak bardzo Marcus uwielbia fajne i zabawne pomysły.

Wchodząc do sali konferencyjnej, Tracie zorientowała się, że zebranie trwa już od pewnego czasu. Posłała Beth spojrzenie mówiące, że mają przechlapane. Siadając na swoim miejscu, starała się unikać wzrokowego kontaktu z Marcusem, który siedział u szczytu stołu i mówił z nie zapalonym papierosem kołyszącym mu się w kąciку ust.

– To miłe z waszej strony, panie, żeście do nas wpadły. Beth, czy masz już tekst o nowym burmistrzu?

– Jeszcze nie, ale będzie na jutro.

– Lepiej, żeby był dobry. Zwrócił się w stronę Tracie.

– Jeśli o ciebie chodzi, to chciałbym dostać tekst o Dniu Pamięci.

Tracie starała się nie pokazać po sobie swojego podniecenia.

To było jedyne święto, na którym jej naprawdę zależało. Miała nadzieję, że dostanie ten tekst, i nawet zamierzała przeprowadzić kilka wywiadów z weteranami drugiej wojny światowej. Starała się jednak nie okazywać ekscytacji. Marcus tymczasem przydzielał zadania kolejnym dziennikarzom.

– Tim, chciałbym, żebyś na piątek napisał coś o weekendowych atrakcjach. A ty, Saro, zrobisz wywiad z pisarzem lub pisarką. Zdaje się, że w tym tygodniu Seattle gości Suzanne Baker Edmonds – dodał, ziewając.

Sara głośno westchnęła, widząc, jak Allison stara się zwrócić na siebie uwagę Marcusa i odrzuca do tyłu głowę z tą swoją idealną blond fryzurą.

– Marcus? Może przygotowałabym relację z koncertu „Radio-head”?

– Daj spokój. Chciałabyś się po prostu z nimi przespać – powiedział nonszalancko. – No dobrze, jeśli nikt nie ma żadnych innych pomysłów ani nic do powiedzenia, jesteście wolni, moje dzieci. – Wstał.

– Właśnie chciałabym...

– A... śliczna panna Higgins. Spóźnialska panna Higgins, tak? – spytał i stanął za jej plecami.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Tracie.

– Panna Bardzo Przepraszam Higgins. B.P. Higgins. Nie Redaguj Mnie Higgins. Czy tak? – Położył ręce na jej ramionach.

Nie znosiła, kiedy tak robił. Choć z drugiej strony, nie lubiła także patrzeć mu prosto w twarz.

- Mam pewien pomysł... na... na artykuł o zmianie wizerunku.
- Co? Jak te teksty w magazynach dla kobiet? Piękna Allison już kiedyś usiłowała mi wcisnąć coś takiego, ale nawet ona nie zdołała mnie do tego namówić... – Na pewno uśmiechnęła się w tym momencie do Allison, ponieważ rozpromieniła się jak córeczka, która została nagle dostrzeżona przez tatusia. – ...Choć rzecz była kusząca. Ale nie sam tekst. Jeśli chodzi o pannę Higgins, odpowiedź brzmi: nie.
- Zaczekaj! – zawołała Tracie i obróciła się w krzesło, żeby na niego spojrzeć. – Myślałam, żeby zrobić to nieco inaczej. Wiesz, chodzi o to, że jest tylu komputerowców z kasą, że moglibyśmy opisać takiego faceta... to znaczy zobaczyć, jak taki nudziarz zmienia się w kogoś, no wiesz... kogoś podobnego do ciebie.
- W żalostnego alkoholika – mruknął Tim pod nosem. Marcus zmierzył go surowym spojrzeniem.
- Słyszałem – powiedział. Spojrzał na Tracie.
- O czym ty właściwie mówisz, Tracie? Przełknęła ślinę.
- No wiesz, taka trochę parodia tych kobiecych przemian w poszukiwaniu nowej osobowości. Ale także normalny artykuł informacyjny, z którego taki burak może się dowiedzieć, gdzie sobie zrobić odłotową fryzurę, gdzie kupić odjazdowe ciuchy. Do których restauracji się chodzi, a które należy omijać szerokim łukiem. Możemy wybrać jakąś rzeczywistą postać i opisać prawdziwą Wędrownkę Pielgrzyma.
- Mogłoby być zabawne. Ale skąd weźmiesz kogoś, kto się na to zgodzi?
- Facet wyjdzie na kompletnego dupka – odezwał się Tim, wyrażając powszechne odczucia.
- Wysuwasz swoją kandydaturę? – Marcus ponownie zmierzył go wzrokiem, kierując się do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się jednak i zawrócił do stołu. – To mi o czymś przypomina. Przyszła pora, żebyśmy zrobili reportaż o najlepszych klopsach w mieście. Tracie, weźmiesz ten temat. – Spojrzał na nią. – Chcę mieć duży tekst z mnóstwem opisów miejscowych restauracji ukazanych w pozytywnym świetle.
- Tracie nie mogła uwierzyć własnym uszom.
- I wszyscy mają zająć pierwsze miejsce w konkursie? – spytała z przekąsem. – Nie chcemy doprowadzić do szału naszych

reklamodawców?

Marcus odparował bez zmrużenia powiek.

– Jeden zwycięzca, ale wielu wyróżnionych czterema gwiazdkami.

Allison? Możesz wpaść do mojego biura?

Złapał za klamkę i szybko wyszedł z pokoju.

Jon starał się zrobić porządek, powyrzucać pojemniki po gotowym jedzeniu, pudełka po pizzy i stare numery magazynów komputerowych, których miał całe sterty. W jego ogromnym pokoju dziennym znajdował się zakurzony wprawdzie, ale kompletny zestaw do ćwiczeń, bajeczny zestaw audio-video, kilka komputerów i mała kanapa. Kiedy kupi sobie nowego laptopa, wyłączy je wszystkie.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Jon spojrzął na zegarek, ale na ręce nie miał przecież zegarka. Czy była już siódma? Poszukał wzrokiem jednego z włączonych komputerów. Było dwadzieścia minut po siódmej. Wetknął pudełka po pizzach, które trzymał w rękach, do szafy w przedpokoju i podszedł do kanapy po resztę pism, które także wrzucił do szafy, po czym odwrócił się do lustra zajmującego całą długość drzwi wejściowych. Rozsunął drzwi.

Tracie weszła do środka, rozejrzała się dookoła i pacnęła się ręką w czoło.

– Rany, czy to twoje mieszkanie, czy jakaś sala operacyjna? Mógłbyś przynajmniej słuchać muzyki zamiast stacji dla biznesmenów. Twoje akcje spadają, czy co?

– Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, który kanał leci – powiedział Jon. – Zresztą, jakie to ma znaczenie? – spytał, starając się bez powodzenia ukryć nutę urazy w swoim głosie.

– Nie mam czasu powtarzać wszystkiego od początku – ciągnęła Tracie.

– Ale to nieważne. Zasada numer trzy: Nigdy nie pokazuj im swojego mieszkania.

Jon wyciągnął palmtopa „Wizard 2000” i zaczął wprowadzać do pamięci usłyszaną sentencję. Wcześniej zapisał sobie poprzednie przykazania przyjaciółki. Już miał wpisać tekst, gdy nagle usłyszał głos Tracie:

– Odłóż to!

– Ale używam go tylko do robienia notatek – zaprotestował. Tracie wyjęła mu palmtopa z ręki i zdecydowanym ruchem położyła go na aluminiowym stoliku do kawy.

– Już nie.

Zdjęła kurtkę i podała ją Jonowi. Chciał właśnie powiesić ją w szafie, kiedy przypomniał sobie o pudełkach po pizzy i szybko zmienił zamiar.

Pogładził miękki zamsz, złożył kurtkę i przewiesił ją przez oparcie kanapy. Tracie upuściła torebkę na podłogę, podeszła do okna i odwróciła się do Jona.

– A więc wracamy do zasady numer trzy: Nigdy nie pokazuj im swojego mieszkania. Żadna dziewczyna nie ma prawa tu się zjawić. To najlepszy sposób, żeby wszystko zepsuć.

– Teraz też żadna tu nie przychodzi – wyznał Jon. Naprawdę szkoda – pomyślał. Taki piękny widok z okien.

– Nawet moja matka tu nie zagląda – dodał.

Co nie znaczy, że on sam spędzał tu dużo czasu. Właściwie cały dzień siedział w pracy.

– A więc sam także ich nie odwiedzasz. Ale jeśli zaczniesz stosować się do moich porad, wkrótce wszystko się zmieni. Wiesz, jesteś naprawdę miłym facetem i zawsze jesteś taki dobry we wszystkim. Zaslugujesz na to, żeby w twoim życiu pojawiła się jakaś wspaniała kobieta.

– Jest taka. Ale nie śpię z tobą.

– Racja. Ale teraz możesz mieć jedno i drugie – zamilkła na moment. – To zabawne. Tak świetnie dajesz sobie radę w pracy, a nie umiesz poradzić sobie w życiu osobistym. Ja natomiast ciągle nie mogę na dobre wystartować w zawodzie.

– Chcesz powiedzieć, że twoje życie osobiste jest udane? Wybacz, ale zarówno twoja kariera, jak i twój chłopak potrzebują solidnego kopa. Tracie posłała mu mordercze spojrzenie. Jon wzruszył ramionami i podszedł do lodówki.

– Chcesz się czegoś napić? Mam sok z borówki i sok jabł-kowo-żurawinowy. Dobry na układ moczowy. Zdaje się, że mam także...

– Stop!

Wstała z kanapy i podeszła do niego.

– Zasada numer cztery: Nigdy im niczego nie proponuj. To one mają się o ciebie troszczyć. To klucz do całej sprawy. I nigdy nie używaj takich słów, jak „układ” czy „moczowy”, jeśli nie jesteś weterynarzem, ginekologiem albo fanatykiem religijnym.

Chwyciła go za poły marynarki. Przez moment – bardzo krótki moment

– Jon pomyślał, że Tracie chce go pocałować. To – albo cios głową.

– To one będą ciebie prosić, żebyś poszedł z nimi do łóżka.

– Z nimi? To będzie więcej niż jedna? – zapytał i uświadomił sobie, że

jego głos zabrzmiał o oktawę wyżej.

Tracie, nie zwracając na niego uwagi, pociągnęła go za kłapy, obróciła i ściągnęła z niego marynarkę.

– No, nie tak od razu – powiedziała. – To kurs wyższego stopnia, dla zaawansowanych.

Teatralnym gestem rzuciła jego marynarkę do kosza na śmieci.

– Zaraz! – zaczął protestować, ale przypomniał sobie jej przykazanie.

– Żadnych marynarek sportowych. Koniec. I żadnej kratki, drobnej ani grubej. Tylko jednolite kolory. Ciemne. Prawdę mówiąc, na początek zacniemy od starej formuły Henry'ego Forda: Każdy kolor, jaki chcesz, pod warunkiem, że jest czarny.

– Czarny? Ale ja nie... każdy... – urwał. – W porządku – przytaknął.

Tracie powoli obeszła Jona dookoła, jak oficer podczas inspekcji oddziału.

– Gdzie się tak ostrzygłeś? – spytała.

– U Logana.

– Nigdy więcej tam nie chodź, chyba że chcesz mu przyłożyć. Stefan próbuje to jakoś naprawić. Jeśli go ubłagam.

Spojrzała na jego nogi.

– Zapomnij o khaki. I nie próbuj kupować niczego w The Gap, Banana Republic, J. Crew czy L.L.Bean.

Jon rozpaczliwie usiłował zapamiętać jej słowa – żałując, że nie może sięgnąć po swojego palmtopa – i równocześnie nie czuć urazy.

– Słuchaj, jeśli będziesz się tam ubierał, po prostu kobietom wszystko zwiednie na twój widok.

– Zwiednie?

Tracie zrobiła wielkie oczy.

– Tak jak mężczyznom opada, tak kobietom wiedznie. Czasem mężczyzna tak wygląda, że na jego widok wszystko nam wiedznie... żebyśmy miały pewność, że nigdy nie będziemy nosiły w sobie ani odrobiny takiego materiału genetycznego.

– Okej. Więcej informacji, niż potrzebuję. – Zaczął się zastanawiać, czy coś, jeśli cokolwiek, zostało jeszcze z jego garderoby. – Więc skąd mam wziąć... – zaczął.

– Będziesz nosił albo odlotowe ciuchy z dobrych sklepów z używaną odzieżą, albo naprawdę drogie rzeczy włoskich projektantów – powiedziała. – I będziesz je ze sobą łączył. Zobaczmy, co tam masz

w szafie.

Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi do jego garderoby. Jon poszedł za nią. Jego ubrania wisiały starannie posegregowane według wzorów materiału. Te w grubą kratkę po jednej stronie, w drobną po drugiej, zgodnie ze skalą barwną od jasnych kolorów do ciemnych. Tracie zrobiła gest naśladujący ruch karabinu maszynowego koszącego żołnierzy. Ściągnęła z wieszaka pierwszą z brzegu sportową marynarkę i rzuciła na podłogę.

– Nie.

Wyciągnęła następną i też rzuciła na podłogę.

– Nie – i nie – i – no nie!

– Co jest złego w madrasie?

Tracie zignorowała jego słowa, posyłając mu mordercze spojrzenie. Otworzyła jedną po drugiej szuflady jego komody i przerzuciła szybko wszystkie jego rzeczy. Jon na moment wpadł w panikę, że już nic mu nie zostanie... ale nie miał czasu się zastanawiać, gdyż Tracie rzuciła mu czarny sweter z golfem, dzinsy i – w akcie rozpaczony – wyciągnęła własny pasek od spodni. Jon skurczył się w sobie.

– Nie! Tylko nie pasek! Czy złe ubranie to aż taka zbrodnia?

– Nie, ale kupowanie takiego chłamu powinno być karalne.

Zdecydowanie musimy pójść na zakupy. Wątpię, czy z tego, co tu masz, uda mi się złożyć choć jeden przyzwoity zestaw. Rozumiesz?

Rzecz w tym, że musisz wszystko zmienić: to, jak się ubierasz, co mówisz, gdzie się umawiasz, a nawet to, co jesz.

– Nawet to, co jem? Może jednak trochę przesadzamy z tymi zmianami – powiedział.

– Chwileczkę. Sam mnie o to prosiłeś. Tak? No to masz. – Tracie uniosła brwi. Bez słowa podała mu pasek i wskazała w stronę garderoby. Posłusznie poszedł się przebrać.

– Mam się przebrać? Zmierzyła go wzrokiem.

– Tylko spytałem – bąknął, wciągając dzinsy z wąskimi nogawkami.

– Nigdy nie kwestionuj słów alchemika! – zawołała Tracie z jakiegoś miejsca koło drzwi. – Inaczej magia nie będzie działać.

Jeszcze raz przejrzała jego płaszcze i marynarki. Zebrała wszystkie odrzucone ubrania i upchnęła je do plastikowej torby.

Jon wyszedł z garderoby. Czuł się teraz mały i słaby jak prawdziwy Oz. Tracie odstawiła torbę i uważnie mu się przyjrzała.

– Tak, teraz jest lepiej. Oprócz butów. Koniec z adidasami.

– Żadnych adidasów? Ale...

Tracie uniosła brwi i obróciła się na pięcie.

– To nie było „ale” – pośpieszył Jon z wyjaśnieniem. – To nie było nawet pytanie. Chciałem... tylko doprecyzować. Więc co mam nosić zamiast Nike'ów? Sandały?

Tracie odwróciła się do niego.

– Tylko nie myśl, że Jezus miał bogate życie osobiste. Słuchaj, buty są bardzo ważne. Porządni chłopcy noszą Niki, Topsidery, Kędy albo Conversy. Boże, co za nudziarstwo! Seksowni faceci noszą martensy albo buty wojskowe.

Tracie popatrzyła na niego, mrużąc oczy. Jon poczuł się... jakoś dziwnie. Z pewnością posuwała się za daleko.

– Słuchaj – zaczęła z westchnieniem – muszę ci coś powiedzieć na temat spodni.

– Spodni?

Tracie zdawała się nie słyszeć jego pytania.

– Mówię ci to naprawdę w wielkim zaufaniu, ale chyba powinieś to wiedzieć. Większość kobiet ma coś takiego, że biorą je spodnie.

– Co?! – wykrzyknął Jon.

Obawiał się, że Tracie zaraz powie, że musi sobie skarpetkami wypchać spodnie w kroku i że kobiety wybierają swoich kochanków i mężów na podstawie rozmiarów wypukłości w kroku. Pomyślał, że dłużej tego nie wytrzyma, ale zanim zdążył jej powiedzieć, żeby przestała, Tracie zadała pytanie zupełnie bez związku z tematem.

– Czy widziałeś Pożegnanie z Afryką?

– Film? – upewnił się.

– Tak. Z Robertem Redfordem i Meryl Streep.

– Nie – odpowiedział.

– A Wichry namiętności?

– Nie znam nikogo powyżej czternastu lat, kto by to oglądał.

– O, parę osób by się znalazło – stwierdziła Tracie. – Widzisz, właśnie w tych filmach szło o spodnie. Mnóstwo kobiet zwraca uwagę na spodnie.

– O co, do diabła, chodzi z tymi spodniami? Westchnęła.

– Łatwiej byłoby to wytłumaczyć, gdybyś widział te filmy – powiedziała. – Ale rzecz w tym, że tam szło o pewien rodzaj spodni.

Nie za ciasnych, bo za ciasne...

Jon poczuł falę ulgi, która zalała go jak woda podłogę w łazience stacji napraw. Nie będzie musiał wypychać spodni w kroku, choć nadal nie był pewien, jakiego typu spodni nie będzie musiał wypychać.

– ...ale i nie tych z zaszewkami. Boże, wszystko, tylko nie te khaki z zaszewkami, które sprawiają, że kiedy facet siada, jego spodnie wyglądają jak poduszka na kanapę. Chodzi o spodnie, które ściśle przylegają z przodu. Nie widziałeś, to nie wiesz, ale Robert Redford był już pomarszczonym chłopcem w średnim wieku, kiedy zagrał w Pożegnaniu z Afryką, a wyglądał tak świetnie w tych spodniach. Moja przyjaciółka Sara mówi, że biorą ją włosy zaczesane do tyłu, ale większość znanych mi kobiet twierdzi, że chodzi o spodnie.

– Skąd się bierze takie spodnie? – spytał Jon zafascynowany.

– Będę musiała pójść z tobą. Ponieważ chodzi nie tylko o to, jak leżą z przodu, ale także, jak opinają cię... z tyłu.

– Jak wysoko sięgają? – spytał Jon, wyobrażając sobie jakiś rodzaj jednoczęściowego kombinezonu. – Zakrywają całe plecy?

Tracie z rozpaczą pokręciła głową.

– Mówię o twoim tyłku. Czasami, muszę przyznać, kobiety patrzą na męskie pośladki.

– Nie na krocze? – spytał Jon.

– Nie bądź niesmaczny – powiedziała z naganą, po czym spojrzała w górę i na chwilę zapadło milczenie.

Nie miał pojęcia, co takiego zobaczyła na suficie, ale bez wątplenia patrzyła na to z upodobaniem. Może to był tyłek Roberta Redforda.

– To zabawne – powiedziała. – Ale chodzi także o materiał. Nic błyszczącego. Niee. Facet w lśniących spodniach to... – pokręciła głową, jakby chciała odegnąć od siebie jakąś myśl. – To musi być gładka, mocna tkanina. Widzisz, chodzi o pośladki, a zarazem nie chodzi o pośladki. Jeśli rozumiesz, o czym mówię.

Jon nie miał zielonego pojęcia. Ale nie chciał jej teraz powstrzymywać. Czuł, że lada moment będzie świadkiem jakiegoś biblijnego objawienia.

– Rzecz w tym, że większość nagich pośladków nie wygląda zbyt fajnie, ale w dobrych spodniach, takich, które je jakby obejmują, takie pośladki, nie za duże i nie za płaskie, raczej dość wąskie, ale pełne... Rany!

– Tracie, sama byś się zawstydziła, gdybyś posłuchała tego, co mówisz
– przerwał jej Jon. – Mam rozumieć, że odpowiedzialne, dorosłe kobiety dokonują wyboru mężczyzny na podstawie spodni i butów? Takich szczegółów?

Tracie jeszcze szerzej otworzyła oczy.

– Jezu! Jon. Nawet się nie domyślałam, że możesz być aż takim ignorantem. Znasz to powiedzenie: Diabeł tkwi w szczegółach. My, kobiety, godzinami omawiamy każdy detal. To wy zajmujecie się wielkimi sprawami, my siedzimy po uszy w detalach; jesteście detalami.

– Ależ ja się zajmuję detalami. Przez cztery lata byłem analitykiem komputerowym. Same detale.

Tracie pokiwała głową, ale nie był to gest aprobaty.

– No właśnie. Czy nie przyszła pora, żebyś porzucił swój celibat? Jon usiłował szybko przemyśleć sprawę, obawiając się, że Tracie może mieć rację.

– Słuchaj – ciągnęła dalej – w tej kwestii możesz mi zaufać. Nie mówię, że coś jest nie w porządku z twoją pracą. Po prostu nie jest sexy. Nie mów o niej nikomu.

Jon wzruszył ramionami, lekko urażony.

– A jeśli któraś z nich mnie spyta, czym się zajmuję?

– Każda zapyta. Kobiety lubią wszystko wiedzieć. Wtedy musisz być zagadkowy. Zagadkowość doprowadza kobiety do szaleństwa.

– W pozytywnym czy negatywnym sensie?

– W obu – roześmiała się. – Zajęło mi trzy miesiące, żeby się dowiedzieć, że Phil jest jedynakiem. Ale rzecz w tym, żeby wracały po jeszcze. Po prostu odchrząknij i powiedz, że zajmujesz się... handlem. Niech się same domyślają, czy chodzi o narkotyki czy remontowane silniki.

– Zaraz, niech nieco uporządkuję tę sprzeczność: kobiety uwielbiają zagadkowość, a równocześnie jak szalone grzebią się w detalach? Tak?

– Tak. Beth przez półtorej godziny omawiała dziś w pracy ścieg białego, „rybackiego” swetra, jaki założył na pierwsze spotkanie facet, z którym się umówiła, i czy ten ścieg oznacza, że facet był gejem.

– A oznacza? – spytał.

Rzuciła w niego czarną marynarką. Jon wcisnął ją na siebie.

– Tak, jeśli nie jest rybakiem – powiedziała Tracie i uśmiechnęła się do niego.

Widząc zadowolenie na twarzy przyjaciółki, Jon wykonał serię póz supermodela.

– W porządku. Teraz wyglądasz z grubsza jak człowiek. Jon podszedł do lustra i sprawdził swój wygląd. Rzeczywiście prezentował się inaczej – i znacznie lepiej. Sweter z golfem, który nałożył na samą koszulkę polo, w seksowny sposób opadał mu z ramion. A spodnie, choć nieco niewygodne, miały na tyle wąskie nogawki, że wydawał się w nich odrobinę wyższy.

– Popatrz na swój tyłek! – zawołała Tracie. – Ho, ho! Kto by pomyślał, że przez cały czas miałeś ukryty skarb.

Zaczerwienił się zawstydzony, jednak nie mógł się powstrzymać, żeby się nie obrócić i nie spojrzeć przez ramię w lustro.

– I jak? Mam to coś ze spodniami? – spytał z nadzieją, że tak jest.

– No cóż, spodnie nie są idealne, ale łatwiej dopasować spodnie niż pośladki. Okej, tak się będziesz od dzisiaj ubierał.

– Jak to? Codziennie? A jak się zabrudzi?

– Francuzi mają jeden komplet ciuchów i noszą go na okrągło.

– Ale oni są przyzwyczajeni do naturalnych zapachów – zaprotestował.

– Po prostu pierz je każdego wieczoru, dopóki nie kupimy ci nowych rzeczy. Warto się potrudzić.

– Nie możemy ich kupić przez Internet? – spytał. – W ten sposób robię większość zakupów.

– Tak... i dlatego wszystko wygląda, jak wygląda. Rób sobie zakupy przez Internet, jeśli chcesz mieć seks przez Internet. Ale jeśli chcesz spotkać się z kimś bardziej osobiście, musimy mieć możliwość dotykania towarów, dziecinko. – Jeszcze raz zlustrowała go wzrokiem.

– Teraz wyglądasz całkiem do rzeczy. Przyjrzał się sobie w lustrze.

Musiał przyznać, że o wiele bardziej przypominał teraz mężczyznę, a nie podopiecznego Armii Zbawienia.

– Myślę, że pasuje do mnie taki wygląd – podsumował.

– Spotkamy się jutro wieczorem i pójdziemy na zakupy – powiedziała

Tracie. – Jestem w tym naprawdę dobra. I weź ze sobą karty kredytowe.

Na początek Tracie zabrała Jona do „Second-Hand Rose's”, modnego sklepu z gustowną używaną odzieżą, położonego na północ od miasta. Jon nieufnie popatrzył na dziwnie wyglądających sprzedawców i rzędy stojaków pełne jeszcze dziwniej wyglądających ubrań.

– Tracie, te rzeczy są używane – powiedział. Nie miała czasu na wyjaśnienia.

– Nie. To są modne, markowe rzeczy – odparła i popędziła w stronę pierwszego stojaka.

Mogła kupić mu nowe koszule, swetry czy nawet džinsy, ale żeby zastąpić tę nieznośną marynarkę ze znaczkiem Mic-ro/Conu, potrzebowała czegoś, co nie wyglądało jak prosto ze sklepów Gapa. Uważała, że sekret prawdziwie interesującego stroju męskiego polega na tym, że nie powinien za bardzo odróżniać się od innych, z wyjątkiem jakiegoś jednego, znaczącego elementu, na przykład niezwyklej marynarki albo fantastycznej pary butów. Poza tym odpadało wszystko, co można zamówić z katalogu albo kupić w butiku – a więc rzeczy, które nie zdradzały oryginalności ani osobistych zainteresowań. Marynarka od Prądy kosztowała majątek, ale każdy dupek z platynową kartą kredytową mógł sobie ją kupić. Tracie szukała czegoś wyjątkowego, czegoś, co przykuwa uwagę.

Może dlatego tak trudno było znaleźć rzecz używaną, niepowtarzalną i w odpowiednim guście. Oczywiście w pewnym sensie człowiek nadal był tablicą reklamową, ale zamiast Billa Gatesa, Ben and Jerry's czy Micro/Con reklamował teraz samego siebie – swoje prawdziwe ja: „Oto kim jestem. Facetem, który dwadzieścia lat temu kupił tę czarną marynarkę z jagnięcej skóry i nosił ją tak długo, aż zrobiła się cienka i delikatna jak skóra niemowlęcia. I ją kocham”. Uważnie spojrzała na Jona, lekko mrużąc oczy.

Wróciła z powrotem do stojaka. No dobrze, więc jaka marynarka będzie mówiła ludziom, kim jest Jon – czy raczej, kim chciałby zostać? Tracie zaczęła z piskiem przesuwając wieszaki na stojaku, przelatując przez rozmaite krótkie marynarki do bowlingu, marynarki z tworzywa i różne kurtki od dresów. Nic. Nic. Nagle zatrzymała się. Jest coś. Czarny frak z wąskimi klapami. Kazała Jonowi go wziąć. Zobaczyła wyraz przerażenia na jego twarzy.

– To? – zapytał wysokim, niemal piskliwym głosem. – Mam to przymierzyć?

– Na początek – powiedziała ponuro i znowu zaczęła przeglądać ubrania na stojaku. Przed nią jakiś facet posuwał się tym samym szlakiem i wyglądało na to, że wie, co robi. Był dobrze, modnie ubrany i prawdopodobnie miał pieniądze. Zapewne wyłowi wszystko, co najlepsze.

Ze zdenerwowania zaczęła się spieszyć i omal nie przeoczyła skarbu: wąskiej, skórzanej koszuli powieszonyj na lewą stronę. Spojrzała na nią i zmierzyła wzrokiem Jona, który stał obok, nieruchomo jak manekin. Popatrzył na nią, jakby się nagle zsikął albo coś w tym guście.

Szukała i szukała. W końcu, mimo faceta grzebiącego przed nimi i mimo braku przyzwoitych propozycji, zgromadziła małą kupkę rzeczy, które warto było przymierzyć. Jon trzymał je z taką odrazą, jakby się obawiał, że się czymś zarazi. Znalazła nawet parę interesujących sztuczkowych spodni. Zaprowadziła Jona do rogu sali, gdzie znajdowały się przymierzalnie, i wskazała na jedną z nich.

– Do boju – powiedziała. – Musisz to przymierzyć. Jednak Jon nie ruszył się z miejsca.

– Czy to są rzeczy po zmarłych? – zapytał.

– Kto wie? – odpowiedziała pytaniem. – Po prostu je przymierz. Najpierw spodnie i długie marynarki.

– Czy wiesz, że epidemię dymienicy morowej roznosiły pchły gnieźdzące się w ubraniach? – zapytał.

Nie zważając na jego słowa, wepchnęła go do kabiny.

– Przymierz – powtórzyła. Tracie czekała i czekała.

– Co tak długo? – zawołała w końcu.

Wreszcie drzwi od przymierzalni otworzyły się powoli i ukazał się w nich Jon ubrany w kostium, do złudzenia przypominający ubiór, jaki nosił Lincoln w chwili swojej śmierci. Czarny frak sięgał Jonowi do kolan, a długie sztuczkowe spodnie... no cóż, Jon nigdy nie będzie Gothem. Tracie zrobiła mu zdjęcie i pokazała kciukami do dołu.

– Dzięki Bogu – wymamrotał Jon z wyraźną ulgą i zniknął w kabinie przymierzalni.

Kilka minut później pokazał się znowu. Tym razem miał na sobie lotniczy kombinezon w stylu komika Austina Powersa oraz koszulę z pikowanymi rękawami. Czyżby sama coś takiego wybrała? Tracie

była przerażona. Jon wyglądał jak kosmiczny gejowski clown.

– To nie dla ciebie – powiedziała. – Gdzie to znalazłeś?

– Wisiało na wieszaku – odparł, wzruszając ramionami.

Zajrzała do przymierzalni. Znalazła w niej jeszcze pomarańczowy roboczy kombinezon oraz spódnicę do pół łydki w kolorze akwamaryny.

– To też zamierzałeś założyć? – spytała, słysząc, że mówi dokładnie takim samym tonem, jakim jej macocha pytała ją, czy skoczyłaby z dachu, gdyby jej przyjaciele z Encino wpadli na ten świetny pomysł. Boże, robienie zakupów wyzwalało czasami w człowieku prawdziwego potwora.

Zabrała niepotrzebne rzeczy z kabiny i wskazała na ubrania, które sama dla niego wybrała.

– Tylko te – powiedziała. – Tamte szmaty zostawił chyba jakiś amator cyrku.

Czy Jon nie widział żadnej różnicy? Bo jeśli jej nie zauważył, to rzeczywiście był beznadziejny.

Przymierzył kolejne dwa zestawy i Tracie dwukrotnie wskazała kciukami do dołu. Za każdym razem Jon wzruszał tylko ramionami i posyłał jej spojrzenie pełne wdzięczności. Jednak posłusznie wracał do kabiny. Tracie zaczynała się już obawiać, czy to wszystko nie jest kompletną stratą czasu, kiedy w drzwiach przymierzalni pojawił się Jon w spranych niebieskich dżinsach i wąskiej, czarnej skórzanej koszuli. Tracie przyjrzała mu się uważniej.

Tak, nie było jeszcze idealnie, ale kierunek był dobry. Obeszła Jona naokoło, lustrując go badawczo. Dodała lodenowy płaszcz. Tak!

Wyglądał naprawdę interesująco. Może nawet dobrze. Wydała z siebie szkolny pisk radości, ale nagle zatrzymała się w połowie podskoku.

Teraz jedna z tych sportowych marynarek, ta, która wisi prawie na końcu stojaka. Obróciła się na pięcie i po chwili wróciła z dość znoszoną, ale stylową twee-dową marynarką, którą kazała mu założyć zamiast lodenowego płaszcza. Przyjrzała się swojemu dziełu. Nie do wiary. Teraz Jon wyglądał naprawdę seksownie.

Kiedy znaleźli się w sklepie z butami, Jon mógł nareszcie usiąść. Opadł na fotel, jakby go ktoś popchnął. Nigdy w życiu nie czuł się taki zmęczony. Kto by pomyślał, że zakupy mogą być równie wyczerpujące, jak dziesięciobój na olimpiadzie? Nic dziwnego, że młode kobiety są

takie blade. Nawet Tracie – swego czasu, w Encino, Mistrzynie Juniorek w Robieniu Zakupów – czuła w kościach tę rundę po sklepach. Pomyślała, że Jon, nowicjusz nie zaprawiony w bojach, musiał być autentycznie skonany. Jednak na liście, sporządzonej na samoprzylepnej karteczce, widniała wciąż jedna nie skreślona pozycja, a jeśli można było coś Tracie zarzucić, to na pewno nie brak sumienności.

I kto by przypuszczał, że Tracie może być takim zakupowym maniakiem. Była po prostu niezmordowana. W jej oczach płonąła jakaś pierwotna namiętność, kiedy rzucała się na coś, co wyglądało jak jeszcze jeden kawałek całkiem zbędnej, nudnej tkaniny. Jon miał wrażenie, że biegali po sklepach już od kilku godzin, i z pewnością wydał tego popołudnia na ubrania więcej niż przez minione dwadzieścia lat.

A teraz Tracie wymachiwała mu przed nosem parą butów, oczekując jego aprobaty. Były z zamszu i wyglądały koszmarnie. Jon wykrzywił twarz z niesmakiem. Tracie pokazała na kolejną parę. No tak, nie były złe, jeśli ktoś lubi buty na grubej podeszwie. Jon wyprostował się w fotelu, starając się okazać nieco zainteresowania. Tracie wręczyła mu lewy but. Wziął go bardzo ostrożnie.

– Niezłe – przyznał, próbując wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu. Obrócił but i spojrzął na metkę z ceną naklejoną na spodzie. Omal nie zemdłał. Za tę sumę można by utrzymać mołdawską rodzinę przez dziesięć lat.

– Tyle kosztują dobre buty – oznajmiła Tracie, jakby potrafiła czytać w jego myślach. Wiedział, że jeśli chce jej pomocy, powinien siedzieć cicho. Posłusznie przymierzył oba buty. Tracie wyciągnęła jego kartę kredytową i kazała mu je kupić. Na ścianie nad głową właściciela sklepu widniało motto: „Podeszwy są duszą ciała”. Tracie wskazała na hasło, skinęła na Jona i szturchnęła go, jak gdyby chciała mu powiedzieć: „Widzisz?”. Jon skulił ramiona pokonany i założył nowe buty.

Tracie stanęła obok Jona, kiedy wyszli ze sklepu z obuwiem. Miał na sobie odlotowe buty i świetną marynarkę, ale widać było, że jest zmęczony. Biedny facet. Jeszcze tylko kilka przystanków.

– Świetnie ci idzie – powiedziała i wzięła go za rękę.

Przeprowadziła go przez jezdnię, kierując się w stronę perfumerii. Na

przejściu dla pieszych minęła ich młoda kobieta, która odwróciła się, żeby popatrzeć na Jona. Tak! A jednak, choć Tracie zauważyła jej reakcję, on szedł dalej, jakby zupełnie niczego nie widział. Co się dzieje z jego radarem? Może kompletnie mu się rozleciał od długotrwałego nieużywania?

Szturchnęła Jona.

– Ktoś na ciebie patrzy – szepnęła.

Jon niczym szczeniak zaczął wyciągać szyję, rozglądając się na prawo i lewo. W końcu zobaczył dziewczynę. Uśmiechnął się do niej, po czym

– o zgrozo – powoli obrócił się dookoła, jakby chciał się pokazać.

– Czyś ty zidiociał? – syknęła Tracie i chwytając go za ramię, wciągnęła go do sklepu. – Nie wiesz, jak masz się zachowywać? – spytała go ze śmiertelną powagą, niczym mama strofująca dziewięcioletka. – Nigdy nie daj po sobie poznać, że się na nie patrzysz.

– To skąd mają wiedzieć, że jestem nimi zainteresowany?

– To nie ty masz być nimi zainteresowany. To one mają się tobą interesować.

– Ale w takim razie, jak mamy się spotkać? – zapytał całkiem rozsądnie, ale prawdę mówiąc, Tracie nie posunęła się tak daleko w swoich rozważaniach. Zastanawiała się, co zrobić, żeby wyglądał jak człowiek, i jak powinien się zachowywać przedtem i potem, ale myślał, że miałby oddalić się z dziewczyną spotkaną na przejściu dla pieszych, jakoś umknęła jej uwadze. Choć oczywiście to było clou całej sprawy.

– Dojdziemy do tego później – powiedziała i zaprowadziła go do działu z męskimi wodami toaletowymi i wodami po goleniu.

Natychmiast opadła ich chmara znudzonych sprzedawczyń, ale Tracie stanowczym gestem odpędziła wszystkie, wybierając tylko jedną – najstarszą, o najbardziej macierzyńskim wyglądzie. Sprzedawczyni zaczęła spsikiwać różnymi wodami – a było ich ze trzydzieści – wszystkie możliwe części ciała Jona: nadgarstki, przedramię, ramię, łokieć i szyję. Obserwując, jak Jon krzywi się przy każdym kolejnym zapachu, Tracie pomyślała, że kiedy go poznała w college'u, zachowywał się jak szczeniak, dość miły, ale jednak szczeniak. Teraz spostrzegła, że coś się zmieniło. Jon wyraźnie wyrósł z tej chłopięcej fazy swojego życia. Kiedy to się stało? Czy dopiero teraz, gdy założył na siebie modne ciuchy, czy może wcześniej, tylko tego nie zauważyła? – I co pan o tym myśli? – pytała Jona sprzedawczyni przy każdym

nowym zapachu, ale w tonie jej głosu nie było nic macierzyńskiego. Prawdę mówiąc, wokół Jona zebrała się grupka sprzedawczyń. Tracie spojrziała na przyjaciela. Odkąd zdarła z niego nieapetyczną warstwę sieroctwa, wyglądał całkiem nieźle, a teraz z taką ujmującą powagą słuchał uwag sprzedawczynie, że wzbudził zainteresowanie pozostałych. Jon był zbyt niedoświadczony, by wiedzieć, że w sprawach perfum niemal wszystko opiera się na modzie i wmówieniu oraz że sprzedawczynie potrafią powiedzieć klientce noszącej spódnice numer 14, że „wygląda świetnie” w spódnicy numer 10. Jak mawiała jej złośliwa, ale trzeźwo myśląca macocha: „kłamią tak naturalnie jak oddychają”. Koteria złożona z dwu młodszych sprzedawczyń, jednej blondynki i jednej ordynarnie ufarbowanej na rudo, zaczęła flirtować z Jonem i trzepotać do niego rzęsami.

– Myślę, że to mężczyzna w typie Aramisa – powiedziała blondynka, która reprezentowała tę linię kosmetyków.

– To znaczy jaki? – spytał Jon.

– Przystojny. Ważny. I samotny. – Blondynka spojrziała na Tracie. – Czy to twoja siostra?

– Nie. Jestem jego matką – odcięła się Tracie i popatrzyła na Jona, który jakby się lekko zaczerwienił. – Szukamy czegoś o wiele subtelniejszego niż to, co macie do zaoferowania – stwierdziła i odwróciła się do starszej kobiety.

W tym czasie ruda sprzedawczynie wzięła lewą rękę Jona i zaczęła go podszczypywać, zupełnie jakby wydłubywała ziarna z kolby kukurydzy. Jon uśmiechnął się do rudej nieco głupekowato. Tracie wyszarpnęła jego rękę.

Tymczasem starsza sprzedawczynie wyczerpała już wszystkie wolne miejsca na rękach Jona. Wzięła kryształową buteleczkę i uśmiechnęła się do niego.

– Ta może się panu spodobać – powiedziała. – Jest bardzo droga, ale myślę, że będzie do pana pasowała. – Psiknęła wodą toaletową na szyję Jona i odwróciła się do blondynki.

– Co o tym sądzisz, Margie?

Margie natychmiast przysunęła się do Jona, oparła twarz na jego piersi i przytknęła nos do jego szyi. Tracie nie mogła uwierzyć własnym oczom! Te kobiety były bezwstydne.

– Ten zapach ma w sobie coś z paczuli – stwierdziła Tracie. – Nikt tego

nie używa od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego.

– Teraz wraca – odparła Margie i spojrzała na Jona. – Mam nadzieję, że ty też. – Jon znowu oblał się rumieńcem.

Tracie poczuła, że sytuacja zaczyna się jej wymykać spod kontroli. Zdecydowanie się jej to nie podobało. Kiedy starsza sprzedawczyni wzięła następną buteleczkę i zaczęła rozpinać Jonowi koszulę, żeby spryskać wodą kolońską jego pierś, Tracie zdecydowanym ruchem powstrzymała jej rękę.

– Mamy już z czego wybierać – powiedziała do niej.

Jon zaczął pociągać nosem niczym pies gończy na tropie. W tym czasie pozostałe sprzedawczynie przyglądały mu się uważnie, ale już nie próbowały go dotykać. Wyglądało na to, że świetnie się czuje jako obiekt powszechnego zainteresowania i że dobrze się bawi – przynajmniej do chwili, kiedy zaczął kichać.

Nie skończyło się na jednym kichnięciu. Po pierwszym nastąpiły kolejne trzy, po nich jeszcze kilkanaście. Wkrótce Jon zaczął spryskiwać wszystkich naokoło cieczą tryskającą mu z nosa. Nawet blondynka wycofała się na bezpieczną odległość. Tracie wręczyła mu chusteczkę. Uwolniona od obecności fanklubu, wybrała wreszcie Lagerfelda. Sprzedawczynie wydały zgodny okrzyk zachwytu, a Jon, choć nadal męczyło go kichanie, uniósł swój zakup do góry niczym trofeum. Uśmiechał się radośnie i sam, bez przypominania, wyciągnął swoją kartę kredytową.

– Jestem wykończony – jęknął, kiedy znaleźli się już na ulicy.

Jon niósł większość pakunków.

– Tak, zakupy mogą człowieka wykończyć – zgodziła się Tracie, ale była wyraźnie podekscytowana. Kiedy przechodzili przez jezdnię, w jednym z samochodów stojących pod światłami starsza blondynka zdjęła okulary przeciwsłoneczne, żeby się lepiej przyjrzeć Jonowi.

– Jesteś gotowy – powiedziała Tracie.

– Gotowy? Do czego? Chyba do tego, żeby wziąć kilka aspiryn i położyć się na dzień do łóżka.

W kawiarni „Java, the Hut” Tracie i Jon, ubrany w nowe regalia, usiedli na swoim stałym miejscu, obłożeni pakunkami. Jon był zbyt zmęczony, by podnieść głowę i pozdrowić zbliżającą się Molly. Ściągnął swoje nowe buty. Już go bolały od nich nogi.

– Co tu robisz i gdzie jest Jon? – spytała Molly, patrząc na Tracie. Przez

chwilę Jon pomyślał, że może rzeczywiście rozpląnął się ze zmęczenia i zniknął. Ale Tracie uśmiechnęła się zadowolona, jak gdyby wiedziała, co się dzieje.

– Co ja wiem, ty musisz zgadnąć – powiedziała do Molly starą odzywkę z Encino.

Molly wręczyła Tracie menu i podała drugie Jonowi. Kiedy wyciągnął po nie rękę, zatrzymała się, przechyliła głowę i przetarła oczy.

– Cholera jasna! To ty? No nie. – Spojrzała na Tracie z uznaniem. – No, no, dziewczyno. Ekstra! – Znowu spojrzała na Jona. – Wstań, kopcieszku.

Po chwili wzięła go za rękę, wyciągnęła na przejście między stolikami i powoli obeszała go dookoła.

– Mój Boże! Wyglądasz rewelacyjnie. No cóż, teraz zaczną się kłopoty.

– Naprawdę?

– Najwyższy czas! Skąd wzięłeś tę marynarkę? I ten świetny pulower? – spytała.

Ponieważ nie miał pojęcia, o co jej chodzi, wzruszył tylko ramionami.

– Tracie mi pomogła – odparł.

– Rewelacja! Super! Wszystko jest ekstra, oprócz okularów.

Wybierzesz mi jakieś w stylu Elvisa Costello? – spytała Molly

i spojrzała na Tracie niemal z szacunkiem. – Wszystko wycofuję. Nie jesteś taka do niczego. – Jeszcze raz uważnie przyjrzała się Jonowi. –

Chyba jest zmęczony.

Tracie pokręciła głową, myśląc o tym, co powiedziała o okularach.

– Nie, nie. Ma za ładne oczy. Będzie nosił kontakty.

Jon poczuł się, jakby rzeczywiście zniknął. Czy właśnie to mają kobiety na myśli, kiedy mówią, że mężczyźni je „uprzed-miotawiają”? Jon nie był pewny, czy mu się to nie podoba, ale czuł się trochę dziwnie.

– Tracie, nie mogę nosić szkieł kontaktowych. – Zdjął okulary i potarł grzbiet nosa.

– Rany! – zawołały równocześnie Molly i Tracie.

– Chodzi o to, że nie może skupić wzroku? – spytała Molly. – Czy o to, że to jego oczy cię wzięły?

– Nie wiem, ale dla mnie tak jest lepiej – powiedziała Tracie kokieteryjnie. – Musisz wyrzucić te okulary – zwróciła się do Jona.

– Bez okularów będę rozbijał się o drzwi i ściany – jęknął.

– Świetnie! Blizny są bardzo seksowne – stwierdziła Tracie i wstała

z krzesła. Odeszła kilka kroków i spojrzała na niego pod innym kątem.

– A czy próbowałeś kiedyś nosić kontakty?

– Możesz powiedzieć, że jestem stuknięty, ale zimno mi się robi na myśl, że miałbym sobie wkładać maleńkie kawałki szkła do oczu.

– Słuchaj, albo szkła kontaktowe, albo będziesz się objął jak ślepiec, bo tego nie możesz nosić – powiedziała Tracie, obracając jego okulary w palcach. – Wyglądasz jak nowo narodzone szczenię, kiedy tak mrugasz.

– Pasuje do niego – wtrąciła Molly.

Jon poczuł, że się rumieni. Wziął z powrotem od Tracie swoje okulary. I wtedy Molly zauważyła kask motocyklowy leżący na stoliku. Och, nie, Molly, tylko nie to. Zostawmy to w spokoju – pomyślał.

– Kupiłeś sobie także motocykl, złotko? – spytała z zapartym tchem, jakby się nagle znalazła na koncercie Beatlesów na Shea Stadium.

– Nie. Tracie powiedziała, że wystarczy, jak będę to nosił ze sobą. Będzie wyglądało, jakbym miał motocykl.

– To jedno z moich niewielu ustępstw. Z powodów finansowych – wyjaśniła Tracie, niezwykle skora tego dnia do rozmów z kelnerką. – A poza tym pewnie i tak zaraz by się zabił i zniszczył moje dzieło.

– Dzięki za ten doprawdy wzruszający wyraz troski o moje dobro.

– Ma jakieś tatuaże? Dał sobie coś przekłuć? – dopytywała się Molly. Tracie westchnęła, nie kryjąc swego rozczarowania.

– Niestety, wyznaczył pewne granice. Spojrzała na Jona.

– Wiesz, nie zauważyłam dotąd, że masz taki gęsty zarost.

– Pewnie dlatego, że golę się dwa razy dziennie.

– Naprawdę? – spytała Molly, unosząc brwi. – To oznacza dużo testosteronu, mój drogi.

Tracie patrzyła na niego w zamyśleniu.

– Od dzisiaj nie będziesz się golił. No, powiedzmy co trzeci dzień – oświadczyła.

– Aha. Stary numer George'a Michaela. – Molly z uznaniem pokiwała głową. – Będzie działać.

– Ale ja tak nie mogę – sprzeciwił się Jon. – Nie mogę pokazać się w pracy w takim stanie, jakbym balował całą noc.

– Czemu nie? Kobiety zaczną się gorączkowo zastanawiać, jak wygląda twoje życie prywatne – sztychła Molly.

– Dokładnie. A wtedy może wreszcie zaczniesz jakieś mieć – dodała

Tracie.

Molly złożyła ręce na piersi i popatrzyła na nich z góry.

– Więc co zamawiacie, ofiary mody? Nigdy nie podawałam wam obiadu, więc jestem ciekawa.

– Dla mnie piwo – powiedziała Tracie.

– A ja wezmę mochaccino. Tracie skrzywiła się z dezaprobatą.

Molly poszła przynieść napoje. Tracie oparła się łokciami o blat stolika.

– Wyglądasz naprawdę dobrze, Jon. I byłeś taki cierpliwy. Ani razu nie zaprotestowałeś. W nagrodę... – urwała dla większego efektu – postawię ci kawę. Bo to będzie twoja ostatnia.

– Obiecanki cacanki – westchnął Jon.

Teraz, kiedy już było po wszystkim, można by pomyśleć, że ta cała epopeja miała w sobie pewien urok. Wyobraził sobie, jak za ileś tam lat będą wspominać z Tracie: „A pamiętasz ten dzień, kiedy robiliśmy zakupy, póki nie padłeś jak nieżywy? W czasach, gdy ludzie nie robili jeszcze wszystkich zakupów przez Internet?”

Tracie wstała od stolika.

– Dalszy ciąg wykładu, jak wrócę z toalety... – Kiedy znikła, Jon odetchnął z ulgą.

Molly przyniosła napoje. Usiadła naprzeciw niego i przyjrzała mu się ponownie.

– A niech to. Nie do wiary – powiedziała. A potem wzięła jego rękę.

– Czy nie sądzisz jednak, że to wszystko idzie trochę za daleko, Jon? To pewnie zabawne założyć od czasu do czasu jakieś odlotowe ciuchy, kiedy człowiek dostanie zaproszenie na rozdanie Oscarów czy coś w tym stylu. Ale żeby zmieniać całą swoją osobowość... wiesz, jak tak głębiej się nad tym zastanowić, to można się przestraszyć.

– Zwłaszcza jak popatrzę na siebie w lustro albo na rachunek od Mastercarda za ten miesiąc – przytaknął. – Ale wiesz, widziałem dziś pięć czy sześć kobiet, które się za mną obejrzały. Normalnie coś takiego mi się nie zdarza.

– Nigdy nie miałam marskości wątroby, ale chyba nie byłoby dobrze, gdyby mi się coś takiego przytrafiło – odparła Molly. – Chodzi mi o to, że nawet jeśli jakaś dziewczyna się teraz za tobą ogląda, to co z tego? Przecież nie za tym prawdziwym tobą, prawda? – Urwała na moment. – W pewnym sensie zdradzasz w ten sposób samego siebie. Znowu przerwała, czekając, aż jej słowa do niego dotrą. Jon był zbyt

zmęczony na takie rozmowy. Po prostu siedział, pocierając pod stołem nogą o nogę. Molly rozejrzała się po sali, jak gdyby to miało wyjaśnić, co miała na myśli.

– Nie chcę się wtrącać, ale czy byłeś kiedyś we Freeway Parku?

Miała na myśli piękny park z wodospadami, rozległymi trawnikami i terasami, zbudowany nad autostradą.

– Jasne – powiedział. – Przypatrywałem się, jak go budowali.

– Widzisz, nigdy nie potrafisz się tam naprawdę zrelaksować – powiedziała Molly. – I co z tego, że widzę piękne fontanny, a wokół panuje taka cisza i spokój, skoro pod spodem cały czas jak obłąkane gnają samochody. Chcę przez to powiedzieć, że nieważne, w jak eleganckie ciuchy się wbijesz. – Szczypnęła go w ramię. – Pod spodem i tak siedzi wciąż ten sam, dawny ty. Pomyśl o tym, co wy, Amerykanie, nazywacie waszym „wewnętrznym dzieckiem”. Czy ono nie płacze?

– Ja nie mam „wewnętrznego dziecka”, Molly. Mam „wewnętrznego durnia” i on właśnie dostał małego rozumu, ponieważ wydaje mu się, że nauczył się właśnie magicznego zaklęcia: „Sezamie, otwórz się”.

Molly pokręciła głową.

– Przewiduję, że w pewnym momencie ten twój „wewnętrzny dureń” zacznie się buntować przeciw temu „dzikiemu” zewnętrznemu ja – ostrzegła go Molly. – Zapamiętaj moje słowa.

– Co za świat! Dziewczyna idzie na dwie minuty do toalety, a w tym czasie jej tak zwana kelnerka zamienia się w psychiatrę! – zawołała Tracie.

Podeszła do stolika i charakterystycznym ruchem biodra przegoniła Molly ze swojego miejsca.

– Zdrajczyń! Coś przeczuwałam, że jesteś za milutka! Jon nie potrzebuje żadnych „dobrych” porad z zakresu potocznej psychologii.

– Masz rację. Dostaje aż nadto dobrych rad od ciebie. Tracie zignorowała jej słowa.

– Wiesz co? Pomyślałam właśnie, że potrzebujesz nowego imienia. Jon jest za słabe, a Jonathan jakies takie bez wyrazu.

– Doskonale! Więc już nie tylko ubranie i osobowość, ale nawet imię trzeba mu zmienić? – powiedziała Molly.

Tracie nadal nie zwracała na nią uwagi.

– Czy miałeś kiedyś jakiś przydomek albo przezwisko?

– Ojciec czasami nazywał mnie Jason, ale myślę, że to dlatego, że zapominał, jak mam na imię – odparł Jon. – A trzecia żona ojca mówiła o mnie „zaraza”.

– To słowo nie całkiem oddaje wrażenie erotycznego napięcia, o które mi chodzi – powiedziała Tracie. – Co byś powiedziała na Erica?

– Poczekaj, Tracie. Nie szalej. Nie mogę tak nagle zmienić imienia – zaprotestował Jon.

Molly zaczęła się śmiać.

– A może: Wielki Kołyszający się Fiut?

– Tak, to dobre – podchwycił rozbawiony Jon. – Albo Wielki Kołyszający się Kutafon, na bardziej formalne okazje.

– Byle nie Mały Kutafon, złotko – dodała Molly. I czy to ze zmęczenia, zdenerwowania czy też z rozbawienia, Jon roześmiał się razem z nią.

Tracie zignorowała ich oboje.

– Musi się coś znaleźć...

– Tracie, nie zamierzam zmieniać imienia – upierał się Jon.

– A może Jonny? – spytała. – Jonny brzmi ekstra. Johnny Depp, Johnny Dangerously, Johnny Cash. Noszą się na czarno i są tacy namiętni. To pożeracze serc.

– Jasne. Jak Johnny Carson – zgodziła się Molly. – Albo Johnny Holiday, ten francuski dupek.

Jon bąknął cicho:

– Zawsze chciałem, żeby nazywano mnie Bud.

– Bud? – spytała Molly. – Jak pączek na drzewie? Chyba nie mówisz serio.

– Nie, jak w serialu Father Knows Best. Stara rzecz z lat sześćdziesiątych – wyjaśniła jej Tracie. – Ja chciałam być księżniczką.

– Tak, to do ciebie idealnie pasuje – podsumowała sarkastycznie Molly.

– Dobra, starczy tego – ucięła Tracie. – Będiesz nazywał się Jonny. A teraz, skoro wyglądasz jak człowiek, chcę, żebyś dalej radził sobie sam i próbował wyrwać jakąś laseczkę.

Sławny Pike Market – labirynt setek małych sklepów spiętrzonych na jednym ze wzgórz Seattle i główne targowisko zaopatrujące miasto w świeżą żywność – roił się od producentów, sprzedających swoje towary, i ich klientów. Jednak dzisiejszy Pike Market to coś więcej niż targowisko. Wśród straganów przechadzały się dobrze ubrane japiszony i wybierały cykorię na obiadową sałatkę, popijając kawę z papierowych kubków z napisem Counter Intelligence. Seattle ogarnął istny szal na punkcie kawy espresso. Wielbiciele tego napoju mieli nawet swój własny slang – Milky Way, grandę, skinny, extra foamy, half-caf oznaczały różne jej rodzaje i odmiany. Jon prosił zawsze o McD's spill – co oznaczało, że temperatura napoju powinna być możliwie najbliższa wrzenia. Chociaż urodził się i wychował w Seattle, wciąż nie znał nazw większości modnych rodzajów kawy.

Jak wielu rdzennych mieszkańców Seattle, Jon nie znał też głównych atrakcji turystycznych swojego miasta. Nigdy nie płynął promem do Bremerton, położonego naprzeciw Pike Place, nie był jeszcze w muzeum Experience Music Project, nigdy nie przesiadywał w Gas Works Park i raczej unikał samego targu, częściowo dlatego, że kiedy był młodszy, miejsce nie było zbyt bezpieczne. Zwykle kręcili się tu marynarze, za którymi z kolei ciągnęły prostytutki. Nic dziwnego więc, że przy jego trybie pracy, nie wspominając już o nielicznych randkach, nie był na

Pike Place od lat. Kiedy nie pracował, odwiedzał zwykle Metropolitan Grill, ulubione miejsce wszystkich pracowników Mic-ro/Conu.

Tymczasem na targu zobaczył azjatyckie kobiety ubrane w sukienki od Gucciego, oficerów marynarki, kilka hipisek w ciuchach, które wyciągnęły być może z szaf swoich matek, Afroamerykanina w turbanie, z papugą, która chodziła mu po ramieniu, oraz zwykłych turystów. Jonowi zakręciło się w głowie.

Sam zjawił się tu po to, żeby „wyrwać laseczkę”, jak gdyby na rozkaz Tracie. Zatrzymał się przed stoiskiem z pieczywem. No dobrze, teraz albo nigdy. Przed sklepem stała niska, szczupła blondynka, ubrana cała na szaro. Wyglądała sympatycznie, spróbował więc pochwycić jej spojrzenie. Jednak wyraźnie unikała jego wzroku, dał zatem za wygraną. Zresztą, blondynki są zimne – powiedział sobie na osłodę.

Po drugiej stronie dostrzegł dość wysoką brunetkę w dzinsach i zielonym swetrze. Ona także wyglądała sympatycznie – przynajmniej dopóki się nie uśmiechnęła. Przez chwilę zastanawiał się, ile szminki przeciętna kobieta zjada w ciągu roku. Jedną? Dwie? Swoją drogą, ciekawe, z czego się to składa? Czerwony barwnik numer dwa? Czy i on zjadał to paskudztwo, kiedy się całował z dziewczyną? (Choć ostatnio z pewnością nie groził mu ten rodzaj zatrucia). Uznał, że szminka na zębach działa zdecydowanie zniechęcająco, ale – uśmiechnęła się do niego. Zebrał się w sobie i ruszył w jej stronę. I co teraz? Na chwilę ogarnęła go panika. Czemu nie przygotował sobie jakiejś gadki, kwestii, zagajenia? Boże, stał z otwartymi ustami jak głuptak. Myśl, Jon, myśl.

– Czy wiesz, która godzina? – wydusił z siebie w końcu. Uśmiech zniknął z twarzy brunetki. Zmierzyła go wzrokiem od góry do dołu.

– Nie – odparła. Odwróciła się i odeszła.

Zawstydzony schronił się obok wejścia do sklepu ze świecami, który znajdował się tuż za nim. Boże! Był taki beznadziejny!

Podszedł do trzeciej kobiety, tym razem nieco starszej i może nieco mniej atrakcyjnej.

– Wiesz może, jaki jest czas?

– A na co? – spytała, mrugnęła porozumiewawczo i poruszyła brwiami w nieudolnej imitacji Groucha Marxa, zupełnie jak to robiła Tracie. Jon zamarł na moment, nie spodziewając się takiej odpowiedzi. Kobieta, widząc, że milczy jak idiota, wzruszyła ramionami i odeszła.

Po drugiej stronie targu Tracie, Phil i Laura zanurzyli się w tłum otaczający stragany z jedzeniem.

– To miejsce to prawdziwy raj dla żywieniowca! – zawołała Laura.

– Tak, i koszmar dla zmęczonego muzyka. Pułapka na turystów. Jeśli znasz jakiegoś dupka ze stałą pracą, na pewno go tu spotkasz w sobotni poranek – zauważył Phil.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała Tracie do Laury. – Lepiej zobacz, czego tu nie ma. Może założysz jakiś biznes w Seattle zamiast wracać. – Zachichotała. – Poczekaj, aż zobaczysz ryby.

– O Boże! Tylko nie ryby – jęknął Phil. – Potem będzie fontanna.

– Jaka fontanna? – spytała Laura.

– Ta w Seattle Center. Woda jest choreograficznie zsynchronizowana

z muzyką – wyjaśniła Tracie. I żeby ukarać Phila, dodała: – Pójdziemy tam po wycieczce metrem, ale przed pójściem do Experience Music Project.

– Oj, tak, tak, mamusiu – powiedziała Laura. – A o co chodzi z tymi rybami? Duży wybór?

– Rzecz w sposobie ich dostarczania – odparła Tracie i wzięła Laurę pod ramię, prowadząc ją w stronę stoisk z owocami morza.

Laura spojrzała na wiszący u góry napis: „Uwaga na nisko latające ryby”.

– Żarty, co? – spytała. W tej samej sekundzie sprzedawca z krzykiem rzucił flądrę w kierunku kasjera siedzącego w centrum stoiska. Ryba omal nie trafiła Laury w głowę.

– O Boże! – wrzasnęła.

– No dobra, widziała rybę. Możemy wracać do domu? – zapytał Phil. – Wracajmy do łóżka. – Ziewnął.

Tracie dostrzegła zakłopotanie na twarzy Laury. Miała ochotę kopnąć Phila.

– Słuchajcie – odezwała się Laura. – Nie chcę sprawiać kłopotu. Mogę sobie sama położyć, a wy będziecie mieli mieszkanie dla siebie na całe popołudnie.

– Nie mów głupstw. Uwielbiam to miejsce. Jeśli będę potrzebowała odrobiny intymności, mogę pójść do mieszkania Phila.

– Nie, nie możesz. – Phil znowu ziewnął. – Bobby ściągnął chłopaków z jakiegoś zespołu i wylądowali w mojej norze.

– To nie ma znaczenia – powiedziała Tracie, zwracając się do Laury. – Chodzi o to, że chcieliśmy pokazać ci Pike Market i bardzo się cieszymy, że tu z nami jesteś. – Wyakcentowała liczbę mnogą i posłała Philowi ostrzegawcze spojrzenie.

– O, tak – odparła Laura. – Phil jest zachwycony. Słuchaj, spróbuję rzucić okiem na ten sklep ze świecami. Jakiś dupek usiłował mnie tam poderwać. Może za drugim razem mi się poszczęści.

– Świetnie. Zobaczymy się za chwilę – zgodziła się Tracie, gdy Phil pociągnął ją w przeciwnym kierunku.

– To było naprawdę niegrzeczne – upomniała go ze złością.

– Co? – spytał Phil. – Ziewanie?

– To, że powiedziałaś, że chcesz iść do domu.

Jak miała mu wyjaśnić, że romantyczne aluzje w obecności Laury są

bardzo niedelikatne. Boże, jeszcze tylko tego brakowało, żeby Laura zaczęła tęsknić za Peterem.

– Słuchaj, pracowałem wczoraj do późna w nocy – przypomniał jej, jakby tego nie wiedziała.

– Tak, ale ona jest moją przyjaciółką. I mieszka w moim domu.

Objął ją ramieniem i zniżył głos.

– W którym stoi twoje łóżko, ale może znajdziemy się tam razem.

Poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Phil, jakby wyczuwając, że słabnie, nachylił się do niej i chwycił ją wargami za ucho.

– Phil, muszę popracować dziś po południu. Naprawdę muszę wykrzesać z siebie kilka świeżych pomysłów.

Ujął jej twarz w dłonie. Uwielbiała, kiedy tak robił.

– Mam kilka świeżych pomysłów – szepnęła.

– Ale nie nadają się do opisania w „Seattle Times” – roześmiała się. Nie mogła powstrzymać napadu radości.

Prowadząc ją za ramiona, Phil wymanewrował ją do przejścia obok basenu z homarami. W tym momencie Tracie spojrzała w górę i poprzez homary dostrzegła marynarkę z logo Mic-ro/Conu. Przyjrzała się uważnie przez szyby akwarium. Jon. Zapomniała, że kazała mu „wyrwać” jakąś panienkę. Wyglądał smutno i samotnie. Wybiegła z przejścia. Jon na jej widok pojaśniał i ruszył w ich stronę.

– Cześć! – zawołała Tracie.

– Cześć – odparł Jon.

Phil nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

– Czy nie mówiłam ci, żebyś zapomniał o rzeczach z logo Micro/Conu?

– O marynarce też? – spytał Jon. – Ale to moja ulubiona marynarka!

– Jon, kochanie, musisz je przekonać, że nic w tobie nie jest Micro – powiedziała, naśladowując głos Mae West. – A poza tym jesteś człowiekiem czy tablicą reklamową?

– A co za różnica? – odpowiedział pytaniem. – Ciągłe mam kłopot z tymi nowymi ubraniami. Nigdy nie wiem, co do czego pasuje. Poza tym widziałem wczoraj w pracy Samanthę, ale chociaż miałem na sobie nowe ciuchy, nie zwróciła na mnie uwagi.

– Nic się nie martw – powiedziała Tracie głosem, który prawdopodobnie miał zabrzmieć uspokajająco. – Za dwa tygodnie będzie cię błagać o spotkanie. Jeszcze będziesz musiał... – Urwała na moment, jak gdyby nawet ona – jego fanka i guru – nie mogła sobie

chwilowo wyobrazić dalszego biegu wypadków. Była jednak jego prawdziwą przyjaciółką. – Zobaczysz, jeszcze będziesz musiał wystąpić do sądu, żeby wydał jej formalny zakaz zbliżania się do ciebie.

– Tak. Od dzisiaj nazywaj mnie Tommy Lee Delano – zażartował Jon. Phil roześmiał się.

– Jak gdybyś kiedykolwiek mógł wyrwać taką laskę jak Pamela Anderson. Słuchajcie, idę skołować skądś papierosa.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie. Tracie pozwoliła sobie na małe, stłumione westchnienie, patrząc na wystający tyłek Phila. Podobnie jednak, jak zauważyła, zrobiła jakaś inna dziewczyna.

– Jest nieznośny, ale czy nie ma ślicznego tyłeczka? – spytała Jona.

– Nie jestem ekspertem, ale ta ruda, zdaje się, podziela twoją opinię. Tracie rzuciła mu gniewne spojrzenie, wzruszyła ramionami, jak gdyby nic to ją nie obchodziło, i zatrzymała się przy najbliższym straganie, gdzie zaczęła z przesadnym skupieniem bardzo starannie wybierać pomidory.

Jon obserwował, jak Phil bez wysiłku podjął rozmowę z rudowłosą dziewczyną, która mu się przyglądała. Zaczął się zastanawiać, czy tyłek Phila wygląda dużo lepiej niż jego własny, czy może jednak coś jeszcze przyciągało uwagę kobiet.

– Jak ludzie to robią? Ja mam z tym same kłopoty, a dla innych to takie łatwe – powiedział, wciąż patrząc na Phila.

– Też się nad tym zastanawiam. Ale Laura gotuje od dziecka.

Zorientował się, że podczas gdy on mówił o Philu, Tracie miała na myśli Laurę. Miłość jest ślepa.

– To nie tylko wrodzony talent, ale także pewna umiejętność.

Ojciec ją wszystkiego nauczył. A teraz Laura chce mnie nauczyć.

Pomidor ma być dojrzały, ale jędrny.

Jon zobaczył, jak rudowłosa wyjęła papierosa z ust i podała Philowi, który wziął go od niej, włożył sobie do ust i zaciągnął się. Rudowłosa wyglądała jak bardzo dojrzały pomidor.

– Poza tym, jeśli ma być słodki, powinien być naprawdę czerwony.

Jon ocknął się ze swoich rozmyślań.

– Nie wiedziałem, że tyle można powiedzieć o pomidorze. Co gotujesz?

– spytał, choć szczerze mówiąc, nic go to nie obchodziło.

– Sos do spaghetti. Phil nie lubi jeść niczego z puszek. O Boże! Czy ona nic nie rozumie?

– Phil! Phil! Zapomnij o Philu. Tracie, jesteś kompletną idiotką. Zaslugujesz na kogoś... no, na kogoś o wiele lepszego.
Jon podniósł głos i zawołał do Phila, który odchodził właśnie od rudowłosej, zmierzając w stronę Tracie.

– Czy wiesz, co dostał gitarzysta basowy na teście na inteligencję?
– Ehe – mruknął Phil.

– Ślinotoku – powiedział Jon i spojrzał na reakcję Tracie. Zachichotała, ale ukryła rozbawienie, nachylając się przy wkładaniu pomidorów do koszyka.

– A jak nazwiesz gitarzystę basowego, który ma tylko pół mózgu?
– Utalentowanym gościem – rzucił Phil. – Słyszałem już wszystkie te kawały od chłopców z kapeli.

– Ale tego nie słyszałeś. Właśnie go wymyśliłem. Jaka jest różnica między gitarzystą basowym a świnia? – Tracie spojrzała na Jona, unosząc brwi, ale nie dał za wygraną. Odwrócił się do Phila: – Świnia nie próbowałaby przez całą noc pieprzyć gitarzysty basowego. – Spojrzała na Tracie. – Z wyłączeniem obecnych – dodał, jak gdyby mogło to cokolwiek uratować.

Phil pokazał mu wyciągniętym palcem, co o nim myśli.

– Idę po te fajki – burknął i odszedł.

– Okej – odezwała się Tracie i odprowadziła Phila wzrokiem. Odwróciła się do Jona.

– Jon. Proszę. Po co go drażnisz – powiedziała. Zamyśliła się na moment. – Wiesz, chciałam z tobą porozmawiać o jednym pomysle, który Marcus utracił. Ale teraz myślę, że napiszę to jako wolny strzelec i roześlę do różnych pism.

– To wspaniale – odparł. – Czy mogę ci jakoś pomóc? Mógłbym zrobić korektę, zredagować albo...

– Ściśle biorąc, nie to miałam na myśli – powiedziała Tracie. – Chodzi raczej o to, że chciałam ciebie umieścić w tym tekście.

– Co? Jeszcze jedna z tych twoich sylwetek? Niezbyt mnie to interesuje... chyba że projekt „Parsifal” wreszcie wypali. Wtedy znajdę się na pierwszej stronie działu naukowo-technicznego wszystkich gazet w kraju. Ale nic się nie martw, dostaniesz wywiad na wyłączność. Tego ranka nic mu nie szło. Jon wierzył, że należy odważnie stawiać czoło prawdzie, nawet jeśli jest bardzo nieprzyjemna. A więc najpierw został spławiony przez trzy kobiety, potem Tracie skrytykowała jego

marynarke, następnie musiał patrzeć, jak jeden głupi palant bez wysiłku odnosi sukces tam, gdzie jemu się nie udało, a teraz serdecznie wkurzył swoją najbliższą przyjaciółkę. Jak gdyby nie dość tego wszystkiego, na horyzoncie pojawiło się kolejne nieszczęście.

Jon spojrział w głąb rzędu straganów z warzywami i poczuł, jak włosy stają mu dęba z przerażenia. Z koszykiem pełnym produktów zbliżała się do nich brunetka ze sklepu ze świecami, ta sama, która posłała mu szyderczy uśmiech. Uśmiechała się teraz tak przyjaźnie, że przez chwilę miał wrażenie, że jest bardzo ładna. Jednak już w następnej sekundzie uświadomił sobie, że uśmiecha się nie do niego, ale do Tracie. Boże! A więc to lesbijka! To by wyjaśniało...

– Hej, gratulacje. Zamieniłaś Phila na nowy model? – odezwała się brunetka do Tracie.

Jon przeniósł wzrok z nieznamym na Tracie. Patrzyła na brunetkę z uwagą, ale nie była zaskoczona jej widokiem. Najwyraźniej się znały. Brunetka jeszcze raz omiotła go spojrzeniem.

– Wydaje się skądś znajomy – powiedziała. – Zdaje się, że próbowałeś kiedyś grać ze mną w dwadzieścia pytań – zwróciła się do Jona z uśmiechem. – Cóż, widzę, że Tracie udzieliła ci właściwych odpowiedzi. Gratulacje. To świetna dziewczyna. Czy musiałeś zabić Phila, żeby ją zdobyć? Czy tylko dałeś mu wycisk?

– O czym ty mówisz? – spytała Tracie, ale Jon miał nieprzyjemne poczucie, że wie, o czym ona mówi. – Czy myślisz, że on jest...

– Nic nie myślę – odparła brunetka gładko. – W ogóle rzadko kiedy myślę. Po prostu ładnie wyglądacie razem. Ale co z wami, mowę wam odebrało?

Jon nie tylko zaniemówił, ale cały zamarł w poczuciu potwornego zakłopotania i zawstyżenia, jakie zdarzało mu się przeżywać tylko w snach, kiedy śni się człowiekowi, że stoi nago na scenie i okazuje się, że zapomniał swojej kwestii. Z rosnącym przerażeniem uświadomił sobie bowiem, że kobieta, którą niedawno usiłował poderwać, jest najlepszą przyjaciółką Tracie.

– Lauro, to jest Jon. Jon, to Laura – przedstawiła ich sobie Tracie przy wózkach na zakupy.

– Sławny Jon – powiedziała Laura zalotnie, prawie ze śmiechem.

Tracie mogłaby przysiąc, że Jon się zarumienił. Boże, on jest naprawdę niemożliwy! Nawet nie potrafi się normalnie przywitać z jej

przyjaciółką, żeby zaraz nie zacząć zachowywać się tak, jakby to było nie wiadomo co. Tracie nie mogła sobie przypomnieć, czy Jon już w szkole był takim tumanem.

– Sławna Laura. Jesteś tą kucharką z Sacramento, tak? – wymamrotał, wciąż czerwony na twarzy.

– Laura pracuje w cateringu – sprostowała Tracie. Tego tylko brakowało, żeby tych dwoje się na siebie najeżyło.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Zdaje się, że znowu w czymś przeszkodziłam – odezwała się Laura.

– Rozmawialiśmy właśnie o pisarstwie Tracie. O tym, jak wiele mogłaby osiągnąć.

– Tak! „Mogłaby” to właściwe słowo – powiedziała Tracie z westchnieniem.

– Nic na to nie poradzisz, że Marcus szatkuje twoje teksty na miazgę – stanął w jej obronie Jon.

– No tak, zawsze mogę odejść.

Tracie zaczęła pchać swój wózek w stronę następnego rzędu straganów. Pojawił się Phil z kolejnym wyłudzonej papierosem w ustach i Laura posłała mu głupawy uśmiech.

– Zobaczysz, jeszcze zostaniesz wielką autorką. Lepszą od Anny Quindlen – odezwał się Jon.

– Kto to jest Anna Quindlen? Znam ją? – spytał Phil.

– To tylko dziennikarka, która dostała nagrodę Pulitzera – powiedziała Laura. – Teraz przerzuciła się na pisanie powieści.

Phil wzruszył ramionami.

– Nie czytam komercyjnych tekstów – stwierdził.

– Tracie, naprawdę powinnaś napisać coś zupełnie własnego, coś, z czego mogłabyś być dumna – ciągnął dalej Jon, jak gdyby nie zauważył pojawienia się Laury i Phila. – Twój ojciec przysyłałby ci listy jako twój wielbiciel, a wszystkie dzieciaki z wydziałów dziennikarstwa – swoje resume.

Tracie popatrzyła na niego osłupiała. Niezależnie od okoliczności, Jon zawsze starał się podnieść ją na duchu.

– Skończ z tym! – zawołał Phil.

Zaskoczył ją ten nagły wybuch złości Phila, ale nie chciała go drażnić. Wiedziała, że miał prawo do przygnębienia, ponieważ jakieś pismo literackie odrzuciło jego teksty. Oczywiście jego utwory były zupełnie

inne, całkiem niepodobne do tego, co sama pisała. Takie gęste i metaforyczne. Ale teraz lepiej nie mówić za wiele o jej pisarstwie. Tylko jeszcze bardziej by się rozżłościł. Nie potrafił poważnie traktować jej pracy – podobnie zresztą jak ona sama, no bo w końcu jak tu traktować serio taką komercyjną pisaninę?

– Lauro, czy używasz białej cebuli, czy cebuli Bermuda do sosu pomidorowego? – spytała Tracie, żeby zmienić temat.

– Wolę czerwoną.

Phil znowu gdzieś odpłynął. Tracie nie potrafiła powstrzymać głębokiego oddechu ulgi, kiedy zniknął. Podeszła do stoiska z cebulą. Jon i Laura szli za nią w milczeniu. Tracie wrzuciła cebulę do koszyka i razem z Laurą ruszyła w głąb następnego rzędu.

– Słuchaj, muszę załatwić jeszcze parę spraw. Zobaczymy się później – powiedział Jon.

Tracie była zaskoczona, ponieważ zwykle za nic nie chciał się od niej odkleić. Czasami musiała nawet szeptem prosić go, żeby poszedł już do domu, kiedy chciała przez chwilę pobyć sama z Philem.

– To na razie – rzucił Jon. – Milo mi było cię poznać, Lauro.

– Mnie także – odwzajemniła mu się Laura. – Może kiedyś dowiesz się, która jest godzina.

– Jeśli spotkasz Phila, powiedz mu, że mogę już wracać! – zawołała Tracie za Jonem. Obserwowała, jak powoli odchodzi. Laura też patrzyła.

– A więc to jest Jon – stwierdziła. – Myślę, że na swój sposób jest całkiem słodki, coś jak R2D2 z Gwiezdných Wojen.

– Jon? Słodki? Hm, pewnie tak – zgodziła się Tracie. – Ale czy jest dość słodki, żeby poderwać dziewczynę i umówić się z nią na randkę?

– No cóż, zachowuje się jak palant. Długo już nad nim pracujesz?

– Dopiero zaczęłam – przyznała Tracie.

– Ciekawe, czemu nie ma więcej pewności siebie? – spytała Laura. – Jest bystry i ma takie przyjemnie szerokie ramiona.

– Jest zbyt bystry – powiedziała Tracie. – Wiesz, coś w tym stylu: jestem za bystry, żebym mógł ci się spodobać. Jon nie miał ojca – dodała. – Myślę, że chłopak wychowywany przez samotną matkę może być naprawdę niezłe popieprzony.

Laura omiotła ją spojrzeniem i uniosła brwi.

– Tak jak dziewczynka wychowywana przez ojca może też być nieźle popieprzona? – spytała.

Tracie potrząsnęła głową gestem uczennicy szkoły średniej.

– Okej. Wygrałaś. Punkt dla ciebie – powiedziała. – Oczywiście, że nie powinnam uogólniać, ale chyba rozumiesz, o co mi chodzi.

– O, tak, ja rozumiem. Ale czy ty rozumiesz? Tracie wzruszyła ramionami.

– Jak to? – spytała.

Laura roześmiała się, potem pokręciła głową.

– Jesteś sama dla siebie zagadką – powiedziała swojej najlepszej przyjaciółce.

Tracie patrzyła na Jona, siedzącego po drugiej stronie stolika, niczym malarz kontemplujący puste płótno. Cóż – pomyślała, prawdę mówiąc, byłoby znacznie łatwiej, gdyby Jon był pustym płótnem. Ubrał się już o wiele lepiej – czarny podkoszulek od Armaniego, odlotowa skórzana marynarka i para Levisów 501 s – ale wciąż nie tworzyło to harmonijnej całości. Beznadziejna fryzura, okulary, a nawet jego postawa zdradzały wciąż głupkowatego chłopaczka. Wiedziała, co on zamówi, wiedziała, w jaki sposób będzie jadł. To nie było seksowne. Może Phil ma rację – pomyślała. Nigdy nie wygram tego zakładu i nie będę miała artykułu.

Jednak Tracie nigdy nie bała się trudności. Niełatwo było dostać się na zajęcia dyplomowe z dziennikarstwa czy zdobyć pracę w „Seattle Times”. Nie będzie łatwo i teraz. Tracie westchnęła.

– Okej – powiedziała do Jona. – Często będziesz się umawiał z kobietą w restauracji, więc musisz się do tego przygotować.

– Jak? – zapytał. – Mam swoją kartę AmericanExpress.

– Nie, nie. Mam co innego na myśli. Chodzi o to... żebyś się umiał odpowiednio zachować. Kobiety zauważą każdy drobiazg. Musisz uważać na to, co jesz.

Napisała stosowną maksymę na żółtej kartce samoprzylepnej.

– Co jem? – powtórzył jak echo. – Nie rozumiem. O co ci chodzi?

Tracie znowu westchnęła, po czym zaczęła bardzo poważnym tonem:

– Koniec z jajkami w koszulkach i sałatką Cobb. Jajka w koszulkach nie są seksowne.

– Posłuchaj, prawdę mówiąc, wcale za nimi nie przepadam – przyznał Jon. – Ale uwielbiam, jak Molly krzyczy: „Adam i Ewa na tratwie”. To brzmi tak romantycznie.

– Tylko dla ciebie – powiedziała. – Jajka w koszulkach są dobre dla ludzi chorych albo dla dzieci, ale nie dla mężczyzny.

Jon zapatrzył się w sufit, jak gdyby ktoś wypisał na nim pozwolenie na jedzenie jajek w koszulkach.

– No dobrze – zapytał zirytowany – a co jest takiego złego w sałatce Cobb? Nawet nie jem mięsa z kurczaków. A poza tym lubię sałatkę Cobb.

– Ale jeszcze bardziej wolałbyś umówić się z kimś na drugą randkę –

mruknęła Tracie, opierając się o stół.

– W tym punkcie nie ma sporu – zgodził się Jon.

Tracie uśmiechnęła się. Chłopak ma silną motywację i jest pełen szacunku. Może za pomocą kija w postaci dezaprobaty z jej strony i marchewki w postaci seksu z innymi kobietami uda jej się wyprowadzić go na człowieka i przestanie być takim osłem.

– No dobrze. Więc posłuchaj i spróbuj zrozumieć. Zawartość twojego talerza, to, co kobieta na nim widzi, ma istotne znaczenie, zwłaszcza na pierwszej randce, kiedy kobieta usiłuje cię rozszyfrować.

Oparła się wygodnie.

– Z jedzeniem jest jak z seksem: chodzi o to, żeby wywołać wrażenie siły i wytrzymałości. Ważna jest spontaniczność, ale i pewna świadomość dietetyczna.

Jon patrzył na nią z najwyższą uwagą. To wszystko brzmiało całkiem dobrze, ale trochę zagadkowo. Tracie przerwała na moment. Była nie mniej zafascynowana swoimi słowami niż Jon. Zapisała większość przemowy na kolejnej żółtej karteczce. I wtedy przypomniała sobie, z kim ma do czynienia. Z przerażeniem spojrzała na Jona.

– I na miłość boską nie mów im, że jesteś weganem.

– Nie jestem weganem – jęknął Jon. – Już ci to mówiłem. Weganie nie jedzą nabrała i jaj. Jestem wegetarianinem.

Tracie przewróciła oczami.

– Nieważne. Po prostu nic im o tym nie mów. – Po chwili, znając go aż za dobrze od tej strony, ciągnęła dalej: – I nie wyjaśnij im, czym się jedno różni od drugiego. Pamiętaj, że nie jesteś nauczycielem, tylko seksmaszyną.

Kiwnęła głową z aprobatą i na kolejnej żółtej karteczce napisała:

„Nauczyciel – Nie. Seksmaszyną – Tak”.

– A więc, co zamawia seksmaszyną do jedzenia? – spytał Jon. – Surowe mięso?

Molly, która siedziała dotąd przy swoim obiedzie w głębi sali, zauważyła ich kątem oka, wstała i ruszyła w ich stronę. Tracie sprężyła się w sobie w oczekiwaniu na zwykłą porcję wrogości.

– Niech ja skonam – odezwała się Molly, unosząc brwi niemal po nasadę włosów. – Koniec świata. – Następnie (Tracie wiedziała, że zrobiła to tylko po to, żeby ją zdenerwować) Molly nachyliła się i pocałowała Jona w usta. Uśmiechnął się do niej. Kiedy się uśmiechał,

Tracie musiała przyznać, że wyglądał całkiem nieźle, nawet w tych durnych okularach.

Cóż, łatwiej było z nią współpracować, niż z nią wygrać.

– Słuchaj, Molly, czy mogłabyś nam pomóc? – spytała Tracie. – Możesz udawać kelnerkę?

– Jasne, kochanie, jeśli tylko przestaniesz udawać, że dajesz napiwki.

Molly wyprostowała się, ściągnęła do tyłu ramiona i wypięła do przodu swój całkiem spory biust.

– Nazywam się Molly – powiedziała cieniutkim głosikiem. – Będę państwa obsługiwała dziś wieczorem. Specjalność zakładu to lasagne z warzywami i cielęcina z parmezanem; wodę mamy z kranu. Czy mogę podać coś do picia na początek?

Jon roześmiał się, czym rozzłościł Tracie. W końcu traktowała to wszystko bardzo poważnie. I dlaczego Molly musi zawsze z nim flirtować? I dlaczego jemu się to aż tak bardzo podoba?

Jest dla niego o wiele za stara i... ach, ci mężczyźni! Tracie po prostu uznała, że nie warto tracić czasu na takie głupstwa.

– Poproszę mochaccino – powiedział Jon. Tracie pokazała mu kciuki skierowane do dołu.

– Nie. Od tej chwili pijesz tylko piwo, burbona albo czarną kawę. Molly znowu uniosła brwi do góry.

– Nie znoszę czarnej kawy! – zaprotestował Jon.

– Ale jeszcze bardziej nie znosisz faktu, że nikt nie chce się z tobą umówić – przypomniała mu Tracie.

– Szach i mat – zgodził się Jon, po czym spojrzał na Molly, wzruszył ramionami i skrzywił się. – Wezmę piwo.

– Mogę zobaczyć pański dowód? – spytała Molly.

Tracie spojrzała na nią przerażona, kiedy Jon sięgnął po swój portfel.

– Tylko żartowałam! – dodała Molly.

Tracie poczuła, że zaraz się rozplacze. Albo wybuchnie śmiechem.

Boże! Jon, który legitymuje się na randce! Spojrzała na niego. No tak, z nim wszystko było możliwe. Westchnęła.

– Dla mnie też piwo. Czy chce pani zobaczyć mój dowód? – zwróciła się do Molly.

– Możesz marzyć dalej, kochanie. A więc, czy to piwo ma być na niby, czy naprawdę?

– Ja poproszę naprawdę – powiedział Jon.

– Jak sobie życzysz – odparła i odeszła w stronę baru, co Tracie powitała z wielką ulgą. Nadal jednak przyglądała się menu.

– A teraz przejdziemy do etykiety dotyczącej wyboru dań – zaczęła. – Siedzisz przy stoliku i przeglądasz menu. – Zademonstrowała to. – Ona zamawia cielęcinę z parmezanem. Jak na to zareagujesz?

– Opowiem, jak naprawdę hodują cielęta?

– Nie, nie! Zapomnij o wszystkich swoich politycznych przemówieniach – ostrzegła go.

– Dobrze. Dobrze. To tylko quiz, prawda? A więc nie zgadłem, tak? Spróbuję jeszcze raz. – Zastanowił się chwilę, po czym zaczął od nowa, zniżając głos do głębokiego barytonu.

– Powiedziałbym: „Brzmi nieźle. Też to wezmę”. Tracie spojrzała na niego z rozpaczą. Pokręciła głową.

– Nie. Nic podobnego. Patrzysz na nią surowo, unosisz brwi i mówisz: „Rany, naprawdę chcesz to zamówić? Czy to aby odrobinę... nie za kaloryczne jak dla ciebie?”

Przez chwilę Jon patrzył na nią bezmyślnie, jak gdyby czekał na dźwięk jakiegoś dzwonka.

– Czemu miałbym coś takiego powiedzieć? – spytał.

– Żeby pokazać jej, kto tu rządzi. Żeby postawić ją w kłopotliwej sytuacji. Żeby powiedzieć jej, że już myślałeś o jej udach. Żeby zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem jej uda nie są dość dobre dla ciebie.

– I to wszystko dzieje się, gdy mówię, że cielęcina jest zbyt tłusta? – zapytał Jon cienkim, niemal piskliwym głosem.

– Oczywiście – odparła Tracie. – Kobiety, a w każdym razie wszystkie kobiety w tym kraju, myślą, że są za grube. Każdy kęs jedzenia okupują poczuciem winy. Wykorzystaj to.

Pojawiła się Molly, niosąc dwa piwa i dwa puste talerze.

– Słuchałam tego, co mówiliście. Może spróbuję zaprowadzić w tym jakiś porządek. Teraz jestem prawdziwą kelnerką, która przynosi wam prawdziwe piwo, a równocześnie udaję kelnerkę i na niby przynoszę wam jedzenie, ale nie cielęcinę z parmezanem.

Molly postawiła przed nimi dwa puste talerze. Spojrzała na Tracie.

– Kafka mógłby się u ciebie uczyć.

– Nie zwracaj na nią uwagi – rzuciła Tracie. – A teraz, co powiesz kelnerce?

Jon zawahał się na moment.

- Nic. Powiedziałaś właśnie, żebym nie zwracał na nią uwagi.
- Miałam na myśli Molly – jęknęła Tracie, kompletnie zrezygnowana. Wołała, żeby Molly przestała wreszcie ruszać brwiami i zostawiła ich w spokoju.
- Chodzi o tę fikcyjną kelnerkę. I do tej fikcyjnej kelnerki powiesz tak: „Zaczekaj chwilę. Stań tutaj”. A potem do dziewczyny, z którą jesteś, powiesz: „Czyż ona nie ma najpiękniejszych oczu na świecie?”
- Cieszę się, że wreszcie to zauważyłaś – podchwyciła Molly. Jon patrzył na Tracie, jak gdyby właśnie powiedziała mu, że ma się schować pod stołem czy coś w tym rodzaju.
- Zaraz, zaraz. Mówisz mi, że mam skomplementować oczy mojej dziewczyny do kelnerki?
- Tracie niecierpliwie pokręciła głową.
- Nie! Nie! Mówię ci, żebyś skomplementował oczy kelnerki do dziewczyny. Albo ją to wkurzy do białości, albo będzie tobą zafascynowana. Albo jedno i drugie.
- Na chwilę przerwała wykład, rozważając coś w myślach.
- Poza tym kobiety często nie potrafią odróżnić jednego od drugiego.
- Ja potrafię – zaprotestowała Molly. Tracie klepnęła się w czoło.
- Dobrze. Okej. Molly potrafi. Ale ty nie będziesz umawiał się z Molly. Tracie gorąco pragnęła, żeby Molly natychmiast zniknęła, i to na dobre. Kiedy była sama z Jonem, nie musiała bez przerwy zwracać uwagi na swoje słowa. W obecności Molly wszystko stawało się jakiegoś absurdalne.
- A więc – podjęła wątek – mówię o normalnych kobietach. A teraz przejdziemy do subtelnej sztuki mówienia komplementów.
- Tracie zatrzymała się na moment, żeby zapisać na żółtej karteczce hasło „Komplementy”.
- Dlaczego ja też nie mogę robić notatek? – jęknął Jon.
- Ponieważ tylko osły robią notatki – ucięła krótko. Powinna powiedzieć mu o swoim pomysle na artykuł... dobrze, może później.
- Ale ty...
- Po prostu spróbuj się skupić.
- Ale tyle tego jest.
- Tracie musiała się z nim zgodzić. Boże, nigdy nie wygra tego zakładu.
- Dobrze, łatwiej będzie zacząć od tego, czego nie powinienes mówić. A więc na początek: nigdy nie mów dziewczynie, że ma piękne

oczy.

– Dlaczego? – spytała Molly i usiadła przy sąsiednim stoliku.

Najwyraźniej zamierzała przysłuchiwać się dalej. Tracie bardzo się to nie podobało.

– Wszyscy mówią dziewczynie, że ma piękne oczy – wyjaśniła, zwracając się do Jona. – Kto nie ma pięknych oczu? Nawet cielaki mają piękne oczy.

– No dobrze, ale nie myślisz o tym, kiedy jesz cielęcinę, prawda? – zapytał nagle Jon.

– Czy możesz odczepić się od tej cielęciny? – rzuciła zirytowana. – Chodzi o to, żeby wybrać coś małego. Jakiś drobny szczegół, detal – wyjaśniła. – To właśnie je bierze.

Jon zastanowił się przez chwilę. Wstrzymując oddech, patrzyła na niego w nadziei, że coś sam wymyśli. Jednak na jego twarzy malowało się jedynie kompletne zagubienie.

– Daj jakiś przykład – poprosił wreszcie. Tracie, zdruzgotana, zrobiła głęboki wydech.

– Spróbuj być twórczy. Przecież za to ci płacą. Jesteś w tym dobry.

– No właśnie – wtrąciła się Molly. – Przecież zaliczyłeś kurs

Twórczego Prawienia Komplementów na uniwersytecie na piątkę, prawda?

Dzięki Bogu Jon zignorował docinki Molly i skupił się na Tracie.

Patrzyła mu prosto w oczy – skądinąd były naprawdę całkiem ładne, jasnobrązowe, i te długie rzęsy. Tracie nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, dlaczego mężczyźni tak często – zgoła niepotrzebnie – mają długie rzęsy. Chłopak, z którym chodziła w szkole średniej, też miał takie. Kiedy pierwszy raz próbowali się całować, obsypał ją motylimi pocałunkami. Zabawne. Od tamtej pory ani razu nie myślała o Greggu ani jego rzęsach. Był taki słodki, zupełnie niepodobny do Phila.

– Pomóż mi jakoś. Daj mi jakąś wskazówkę – odezwał się Jon. – Czy mam powiedzieć coś w rodzaju: „Masz całkiem niezłą parę siekaczy”, tak?

– I one kąsają dłoń, która je karmi, złotko – ostrzegła go Molly.

– Tak, ogólnie rzecz biorąc, coś w tym stylu, ale... sama nie wiem. – Tracie westchnęła. – Słuchaj, musisz zrobić to z uczuciem. Wybierz jakąś jedną cechę. Jej brwi na przykład albo skórki u paznokci.

– Skórki? Jakie skórki? O czym ty mówisz? Zobaczył na twarzy Tracie

coś w rodzaju rozmarzenia.

– Mój chłopak w szkole średniej... miał na imię Gregg... kiedyś mi powiedział, że mam śliczne skórki u paznokci. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Ale to, że je zauważył, było takie... intrygujące. – Lekko potrząsnęła głową, ocknęła się z rozmarzenia i spojrzała na Jona. – To było podniecające.

Molly wyciągnęła swoje dłonie, przyjrzała im się uważnie, po czym popatrzyła na dłonie Tracie.

– Wiesz co? To straszne, ale muszę przyznać, że naprawdę masz piękne skórki – powiedziała. Spojrzała na Jona. – Ona jest dobra. Popieprzona jak nieszczęście, ale dobra.

Tracie uśmiechnęła się.

– Dobrze, wystarczy tego. Pora na video.

– O tej porze? Tracie, nie mam czasu na oglądanie filmów. Mam masę roboty.

– To element twojego szkolenia – odparła. Po tych słowach zerwała się i ruszyła w stronę drzwi. Jon, jak zawsze, mógł tylko szybko zapłacić rachunek i jeszcze raz pobiec za nią.

Do północy noc w Seattle nabierała łagodności. Wprawdzie powietrze było wciąż przesycone wilgocią, rzecz nierzadka w tym mieście, ale dzięki dość wysokiej temperaturze przyjaźnie otulało skórę. O tej porze nocy przychodził moment, kiedy człowiek albo poddawał się fali zmęczenia, albo chwycił nagle wiatr w żagle i szedł na przyjęcie. Jon nie mógł jednak zapomnieć o czekającej go pracy.

– Chodź – powiedziała Tracie i przyspieszyła kroku.

– Daj spokój – odparł Jon.

W świetle padającym od wielkich okien kawiarni „Java, the Hut” Jon wyglądał już o wiele lepiej niż przed kilkoma dniami. Tracie poczuła przypływ dumy na widok swego dzieła. Jeśli rozumieć Biblię literalnie, Bóg potrzebował siedmiu dni, żeby stworzyć świat. Zapewne był mężczyzną, skoro samotna kobieta potrafiła w ciągu zaledwie kilku godzin tak radykalnie poprawić jego dzieło. Jon stał na szeroko rozstawionych nogach na wilgotnym chodniku, ze zwieszonymi rękami. To prawda, wciąż jeszcze miał postawę łamagi, ale już nie wyglądał jak ostatnia sierota. Tracie wiedziała, że miał pięć stóp jedenaście cali wzrostu – i prawdopodobnie był jedynym facetem w Ameryce, który miał pięć stóp jedenaście cali i nie oszukiwał, że ma sześć stóp – ale teraz sprawiał wrażenie naprawdę wysokiego. Dzięki dokonaniemu przez nią trafnemu wyborowi ubrań w jego sylwetce dominowały linie pionowe. Dżinsy, opinający pierś T-shirt, długa marynarka – wszystko to prowadziło spojrzenie ku górze, jak gdyby człowiek patrzył na wysoką, ciemną kolumnę. Jediną linią horyzontalną była linia jego ramion. Na szczęście Jon miał niezłe ramiona. A do tego, dzięki delikatnym poduszkom wszytym w marynarce, wydawało się, że są jeszcze szersze.

Tym gorzej wyglądała jego głowa. Nie to, żeby była brzydka, ale ta fryzura, te okulary, a nawet sposób, w jaki wysuwał do przodu lekko pochyloną głowę, jakby chciał, aby jego twarz znalazła się w jakimś punkcie docelowym przed resztą ciała – wszystko to zdecydowanie psuło jej dzieło. Nie mniej niż odpowiednich spodni, Jon potrzebował właściwej fryzury. Cóż, nie od razu Rzym zbudowano – westchnęła i z nieco większym uznaniem pomyślała o Bogu, dając równocześnie sobie nieco więcej czasu. Jon oczywiście nie miał pojęcia, że Tracie

przygląda mu się z podziwem. To także wymagało radykalnej zmiany. Czy ten chłopak w ogóle zatracił swoje radary? Co on właściwie sobie wyobraża, że niby co ona robi, kiedy tak stoi na wilgotnym chodniku i się w niego wpatruje? Medytuje? Powtarza sobie w pamięci przepis na tarte?

– Daj spokój – powtórzył. – Idę do domu.

– Nie, nie – powiedziała Tracie, lekko podnosząc głos. – Jeszcze jedna rzecz.

Jon pokręcił głową.

– Tracie, doceniam twoje starania i jestem ci niewymownie wdzięczny, ale nie sądzę, żebym zniósł choć odrobinę krytyki więcej dziś wieczór. Roześmiała się mimo woli.

– Nie martw się. Pójdziemy tylko na spacer i dostaniesz małą pracę domową do odrobienia.

– Pracę domową? – zapytał niemal łamiącym się głosem. – Tracie, wyszedłem z pracy przed dziewiętnastą. Nie przypominam sobie, żeby mi się coś takiego przytrafiło, odkąd pracuję w Micro/Conie. Wiesz, to tak, jakbym wyszedł w połowie dnia pracy. Poza tym zwykle siedzę jeszcze nad robotą przez kilka godzin w domu. Czego, jak widzisz, nie zrobiłem, ale ta robota

nie wyparowała, czeka na mnie. Kilka dni temu ty i wszystkie sprzedawczynie w całym Seattle, w możliwie najłagodniejszy sposób, wyśmiewałyście się z moich butów, moich włosów, moich okularów i mojej bielizny. W ciągu trzech godzin wydałem więcej pieniędzy niż w ciągu ostatnich trzech lat, włączając w to dzień, w którym kupiłem mieszkanie. A teraz... – przerwał. W jego głosie słyszano jakieś drżenie, jednak nie potrafiła powiedzieć, co się za tym kryło. Albo był naprawdę zmęczony, albo naprawdę wkurzony, albo naprawdę dobrze udawał. – A teraz mówisz mi, że będzie jeszcze jakaś praca domowa?

Tracie bez słowa ruszyła przed siebie. Pomyślała, że Jon ją dogoni, zanim dojdzie do rogu – i rzeczywiście, niezawodnie jak śmierć i podatki, pojawił się u jej boku. Pod tym względem zupełnie nie przypominał Phila, który zawsze szukał okazji, żeby się urwać, i gdyby do niego teraz zadzwoniła, też prawdopodobnie by się okazało, że go nie ma w domu. Prawdę mówiąc – pomyślała, gdy Jon, nieco nachmurzony, zrównał z nią krok – jeśli w jakiejś sprawie można było absolutnie liczyć na Phila, to właśnie w tej, że nigdy nie można na

niego liczyć.

Poczuła nagle przyływ ogromnej czułości i sympatii do Jona i tego jego prawdziwie psiego przywiązania. Tak, na niego zawsze można liczyć. Wzięła go pod rękę, ścisnęła mocniej jego ramię w skórzanej marynarce i przez pewien czas szli w milczeniu.

– Czy zabierasz mnie na przekłucie uszu? – zapytał słabiutkim głosem.

– Proszę, powiedz, że nie.

Tracie roześmiała się i skrzyła do wypożyczalni „Downtown Video”.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała. – To nie będzie bolało.

– Oczywiście. Kiedy byłem mały, tak właśnie mówił mój dentysta, zanim wraził wiertło w miękką, delikatną miazgę mojego bolącego nerwu. A skoro już o tym mowa, to co my tu robimy? Czy

przypomniałaś sobie właśnie, że Phil nie wytrzyma ani chwili dłużej, jeśli natychmiast nie obejrzy sobie kluczowych scen z Pulp Fiction?

– Tak. Chciałabym włączyć pauzę na tej scenie, gdy mózg biednego Marvinina rozbryzwał się po samochodzie, tuż przed sceną z Bonnie, tak jak to robią twoi kolesie od komputerów.

Ze wzgardą minęła grupkę klientów tłoczących się przy stojaku z nowościami.

Jon, w nagłym przyptywie wigoru, dogonił ją przy regale z thrillerami.

– Hej, to nie fair. Moi „kolesie od komputerów” przerzucili się właśnie na My Dinner with Andre. Victor próbuje nawet zrobić grę video na podstawie tego filmu.

Tracie znowu się roześmiała i ruszyła w stronę klasyki. „Downtown Video” nie należała do wypożyczalni, które mają tylko hity kasowe.

A to znaczyło, że w dziale klasyki próżno by szukać Rocky'ego czy nawet pierwszej części Szklanej pułapki. Dobór filmów był równie kapryśny jak legendarny Mr Bill, właściciel wypożyczalni.

Mr Bill potrafił czasami odmówić wypożyczenia filmu, jeśli uznał, że klient na to nie zasługuje. Kiedy indziej traktował filmy jak lekarstwa albo – w skrajnych przypadkach – interwencje chirurgiczne. „To są dobre filmy, ale złe wzory” – mawiał. „W książce Holly ląduje w środku Afryki. A postać grana przez George'a Pepparda jest gejem”.

Zmusił Tracie do przeczytania książki i powiedział, że może wypożyczać film tylko raz na rok. Odciął ją także od jej ulubionego filmu Romans z nieznanym. „Dziewczyna powinna była usunąć tę ciążę” – stwierdził. „A poza tym facet grany przez Steve'a McQueena

i tak ją porzuci za jakieś osiem miesięcy i będzie musiała sama wychować dziecko”. „Skąd wiesz?” – spytała ze złością. „Ponieważ byłem typem granym przez Steve'a McQueena” – powiedział Mr Bill z taką złością, że Tracie zamilkła zaskoczona. „Wystarczy na mnie popatrzeć. Samotny fiut bez rodziny, który nigdy nie widział na oczy swojego syna, siedzący w jakiejś zakichanej wypożyczalni”. Tracie nigdy więcej nie wypożyczyła tego filmu.

– Tracie, jeśli wypożyczysz GQ Guide to Debonair Sophisticates *, to się od razu zastrzelę – powiedział Jon.

– Bez pistoletu nie da rady – przypomniała mu Tracie. Następnie szybko wybrała trzy filmy i podeszła do lady. Jon podążył za nią. Wyciągnęła rękę po jego kartę video. Mogło potrwać dość długo, zanim odda te filmy. Jon podał jej kartę równie posłusznie, jak podawał jej swoje pozostałe karty, i Tracie wręczyła ją sprzedawcy. Mr Bill, zajęty przekładaniem pudełek, spojrzął na nią zza lady.

– Oho! Widzę, że ktoś urządza retrospektywę Jamesa Deana – powiedział.

Omiótł spojrzeniem Tracie i Jona.

– Zupełnie jakby James i Nathalie zawitali w moje progi. Tracie uśmiechnęła się. To całkiem przyjemne, jak cię ktoś porównuje do Nathalie Wood. Mr Bill nieufnie otworzył pudełka.

– Proszę się nie martwić – zapewniła. – Romans z nieznanym stoi grzecznie na półce.

– Nie bierzesz Pożegnania z Afryką tym razem? – spytał poważnie. Pokręcił głową i jeszcze raz spojrzął na Jona.

– A więc jednak znalazłaś swojego „niedobrego chłopca” – powiedział z dezaprobatą.

Tracie popatrzyła na Jona i uśmiechnęła się. Co za sukces! Mr Bill, starzejący się „zły chłopiec”, krynica wszelkiej mądrości, skarbnica filmów, życiowych prawd i praktycznych kosmologii, naprawdę pomyślał, że Jon jest jednym ze „złych chłopców”!

– Wszystko będzie dobrze, proszę się nie martwić – odparła Tracie, porwała torbę i chwyciła Jona pod ramię.

Była naprawdę zadowolona ze swoich dotychczasowych osiągnięć. Kiedy szli w stronę jej samochodu i jego roweru, radośnie machała torbą z kasetami video.

* Tytut wymyślony przez bohatera. Sekrety elegancji – przewodnik

kwartalnika dla dżentelmenów (przyp. tłum.).

– O co chodziło temu facetowi? – spytał Jon.

– Nic ważnego – rzuciła lekko i nagle zatrzymała się, żeby mu się przyjrzeć.

– Dobra, stań pod tą latarnią i oprzyj się o ławkę. Zrobię ci zdjęcie.

Wyciągnęła swój mały aparat i spojrzała przez obiektyw. Rany!

W gazecie będzie wyglądało rewelacyjnie. Czy rzeczywiście oszalała, widząc je oczyma wyobraźni na okładce książki?

– Wyglądasz całkiem dobrze – skonstatowała. – Ja?

Tracie nie odpowiedziała. Miała naprawdę świetny materiał do artykułu. Będzie musiała to wszystko zapamiętać i zanotować.

– Okej – zawołała. – Popatrz na mnie z jakimś wyrazem.

– Mam wyrażać coś konkretnego? – zapytał. – Czy wystarczy arogancka wyniosłość?

– Pokaż się z najlepszej strony – powiedziała.

Jon przybrał pozę z nogą opartą na ławce. Tracie pstryknęła fotkę. Dla pewności zrobiła jeszcze jedną. Przez wizjer aparatu Jon wyglądał znacznie lepiej niż w rzeczywistości. Nie widać było czającej się w jego oczach niepewności ani ironii, z jaką nosił swoje modne ubranie. Ale – przypomniała sobie – w tym projekcie nie chodzi wyłącznie o jej artykuł. Chodzi także o to, by Jon pojął, jak ma oczarować dziewczynę. Teraz brakowało mu już tylko odrobiny pewności siebie. Wrzuciła aparat do torebki i podeszła do przyjaciela.

– A teraz popracujemy nad spojrzeniem.

Wskazała na ławkę. Kiedy usiedli, zaczęła mu się z uwagą przyglądać.

– Naprawdę masz ładne oczy.

– Naprawdę? Nigdy mi tego nie mówiłaś.

– Ale masz – zapewniła go. – Tylko musisz nauczyć się nimi patrzeć.

Przez chwilę zastanawiała się, jak mu to powiedzieć, żeby osiągnąć odpowiedni efekt, a równocześnie oszczędzić sobie zakłopotania.

– Musisz nauczyć się tak na nie patrzeć, żeby twoje oczy żarzyły się jak gorące węgle. Pamiętasz Ala Pacino?

– Zawsze myli mi się z De Niro – przyznał Jon. – Wiesz, jak się dorasta z samotną matką, to się razem z nią ogląda Stalowe magnolie.

Przegapiłem większość filmów o mafii. – Zrobił pauzę. – Czy Pacino grał Sonny'ego, czy młodego dona?

– Grał Michaela, który musiał zabić Freda. Boże! Jesteś naprawdę

poplątany. Wszyscy faceci to wiedzą! – westchnęła. – Roger co wieczór oglądał Ojca chrzestnego przed snem. To taki rodzaj męskiej bajki na dobranoc.

Przypomniała sobie te wszystkie wieczory, kiedy leżąc obok Rogera czuła się taka samotna, ponieważ dzieje rodziny Cor-leone pochłaniały go o wiele bardziej niż ich romans.

– Nieważne. Czy pamiętasz, jak Pacino patrzył na sycylijską dziewczynę?

Jon prawdopodobnie nie pamiętał, ale domyśliła się, że bał się do tego przyznać.

– Musisz tak na mnie spojrzeć, albo na jakąś inną kobietę, której pragniesz, żeby w jednym spojrzeniu kryła się cała twoja erotyczna propozycja.

– Czy już tego nie ćwiczyliśmy?

– Tak, to może być najważniejsza rzecz, jakiej się nauczysz. A zatem...

– Jak to? Tutaj? Teraz?

– Tak. Tutaj i teraz. Na ławce przy obwodnicy w Seattle. Po prostu się skoncentruj i spójrz na mnie.

Jon wbił spojrzenie w latarnię uliczną. Tracie podążyła śladem jego spojrzenia i przez chwilę obserwowała mgłę, która przepływała na tle świetlistej powierzchni latarni, tworząc w powietrzu swoisty znak wodny. Pomyślała, że jeśli się tu zestarzeje, nie będzie miała jednej zmarszczki. Jon dalej wpatrywał się w zamglone światło.

– Chodzi o to, żebyś skierował to spojrzenie na mnie – przypomniała mu w końcu.

– Nie mogę – powiedział.

Tracie westchnęła i wręczyła mu torbę.

– Dlatego właśnie wypożyczyliśmy te filmy z Jamesem Deanem. Gigant, Na wschód od Edenu i Buntownik bez powodu. Obejrzyj uważnie scenę z diabelskim młynem z Edenu. Przyjrzyj się jego rękom. I zobacz, jak on patrzy na Nathalie Woods w Buntowniku.

– Tracie, te filmy zrobiono czterdzieści lat temu! – Otworzył torbę i obejrzał pudełka, jak gdyby spodziewał się zobaczyć na nich ślady pleśni.

– Tak, ale seks nigdy nie wychodzi z mody. James był pierwszym wielkim „złym chłopcem” – wyjaśniła. – A na razie spróbuj spojrzeć na mnie tak, jak potrafisz.

Jon westchnął głęboko, odwrócił się do niej i ściągnął brwi. Wyglądał jak Superman, który usiłuje stopić skałę swoim rentgenowskim spojrzeniem. Tracie roześmiała się i Jon natychmiast zerwał się z ławki, urażony.

– Daj spokój, Tracie. Nie mogę patrzeć na ciebie w ten sposób.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziała pojednawczo. – Ale wolałabym, żebyś zachował to spojrzenie dla wściekłych kierowców autobusów.

Jon znowu spróbował i znowu bez powodzenia, choć tym razem roześmiali się oboje.

– Tak, to wyglądało już jak coś, co mogłoby wywołać pewne cielesne reakcje – powiedziała – choć akurat nie te, które lubiłabym oglądać.

– Jesteś niesmaczna – rzucił.

W chwilę później wyprostował ramiona i spróbował ponownie. Tym razem jego oczy spoglądały jaśniej i zniknęło z nich poczucie niepewności. Zmieniły się w dwa ciemne jeziorka o barwie stopionej czekolady.

– Całkiem nieźle. Ale potrzeba więcej skupienia. Niech ten żar promieniuje z ciebie. Popatrz na mnie tak, jak gdybyś naprawdę pragnął mnie od lat.

Jon pomyślał, że nie byłoby to takie trudne. Posłał jej spojrzenie, które mogłoby stopić stal z odległości dwudziestu metrów. Tracie szeroko otworzyła oczy i nagle poczuła się nieswojo.

– No tak – bąknęła. – Hm... Tak, to było... zupełnie dobre. No tak.

Może wystarczy jak na jeden wieczór.

Nieco oszołomiona wstała z ławki. Jon musnął jej włosy.

– Chodź, profesorze. Odprowadzę cię do samochodu. Ale jak ma wyglądać mój następny krok?

– Pora, żebyś wypłynął na szerokie wody – powiedziała. – Nie powiodło ci się na Pike Market, więc muszę sama kogoś znaleźć, kto się z tobą umówi.

Jon nacisnął przycisk „eject” i kasetka wyskoczyła z magnetowidu niczym grzanka z tosterka. Cztery razy obejrzał Na wschód od Edenu. Filmowe obrazy przedstawiające wrażliwego, samotnego Cala, którego grał James Dean, nie wydały mu się jakoś szczególnie erotyczne. Chłopak wyglądał raczej jak sponiewierany przez los typowy przegrany gość, a nie obiekt kobiecych westchnień. Aber, dziewczyna brata Cala, grana przez Julie Harris, także raczej nie szalała za Calem. Skądinąd słusznie, bo niby czemu miałyby za nim szaleć? Był neurotyczny i humorzas-ty. Jon doszedł do wniosku, że jeśli się nim interesowała, to raczej z litości. To jego ciągle szukanie aprobaty u ojca – cały ten epizod z zamarznąłą sałatą. Boże, czemu nie potrafił pogodzić się z faktem, że jego ojciec jest bezużytecznym, zidiociałym wrakiem? Nikim wielkim. Ojciec Jona też pod wieloma względami był wrakiem. I nawet nie był Raymondem Masseyem.

Jon wciągnął sweter przez głowę, wbił się w dziwną, używaną marynarkę, którą musiał kupić za namową Tracie, i stanął przed lustrem. Łatwo było się teraz przejrzeć, ponieważ w garderobie nie było żadnych ubrań, które normalnie zasłaniały lustro.

Musiał przyznać, że z lustra patrzył na niego zupełnie inny Jon niż dawniej. Może dlatego nie szło mu polowanie na kobiety. Nie potrafił myśleć o nich jako o zdobyczy do zaliczenia albo przygodzie na jeden wieczór. A przecież niektóre z nich nieuchronnie czeka taki los, jeśli nie spodobają mu się na tyle, by chciał z nimi zostać na dłużej. To dlatego wszystko było takie kłopotliwe. Jon nie znosił poczucia odrzucenia. Ale jeszcze bardziej nie znosił myśli, że to on miałby porzucić jakąś kobietę. Pomyślał o swojej matce i o wszystkich kobietach, które Chuck porzucił w swoim życiu. Bóg raczy wiedzieć, ile ich było, skoro Jon znał tylko te, z którymi Chuck się w końcu ożenił.

Ale teraz, dzięki Tracie, to wszystko się zmieni. Jon spróbuje wreszcie połączyć się, jak to się robi, i wkrótce pokona wszystkich Philów. Już zaczął postępować zgodnie z nakazami Tracie – bardzo surowymi zresztą. Od kilku dni się nie golił, do tego stopy białe w ciężkie bucioro bolały go jak diabli. Na pewno będzie miał gigantyczne odciski – wielkie jak owoc kiwi i pewnie równie zielone na dokładkę. Prawdę

mówiąc, czytał kiedyś o facecie, który umarł z powodu zainfekowanych odcisków. Jeśli i jego miał spotkać ten sam los, miał nadzieję, że wcześniej będzie jednak wreszcie kochał jakąś kobietę albo przynajmniej pójdzie z nią do łóżka. Tak, Tracie będzie miała potężne wyrzuty sumienia na jego pogrzebie. Musiał przyznać, że wyglądał teraz całkiem dobrze, ale z pewnością nie przypominał samego siebie. Wyglądał jak facet, który szyderczo szczerzy do niego zęby.

Odwzajemnił ten uśmiech, a jego odbicie wyszczerzyło się jeszcze bardziej. Jezu, co ja wyrabiam – pomyślał. Jeszcze chwila, a niczym Travis Bickle * zapyta się, czy mówi sam do siebie.

Jon pokręcił głową. Zdecydowanie nie wyglądał już jak czekoladowy labrador. Bardziej jak wydra albo rodzaj ciemnego lisa. No tak – pomyślał – pewnie właśnie o to chodzi. Wyciągnął swoją walizkę Samsonite, ze złamaną rączką, oraz wózek do niej. Miał ją właśnie otworzyć, kiedy nauki wpajane mu przez Tracie przyniosły nieoczekiwany skutek. Niemal zobaczył, jak jej zachwycający, lekko garbaty nosk marszczy się z dezaprobatą. Niemal usłyszał jej słowa: „Wózki są takie strasznie nieseksowne”.

Przez chwilę Jon zastanawiał się, jaki rodzaj walizki nosiłby James Dean. Ale nie przypominał sobie, żeby facet cokolwiek

* Bohater filmu M. Scorsese Taksówkarz (przyp. Hum.).

dźwigał w tych wszystkich filmach – oczywiście nie licząc sceny z Buntownika, w której niesie Sala Mineo *. Może seksowni faceci w ogóle nie mają bagażu. Podróżują z gołymi rękami. Westchnął. To wszystko było strasznie skomplikowane.

Tymczasem jeśli jego plan miał się powieść, Jon powinien mieć ze sobą jakiś bagaż. Po kwadransie gorączkowych poszukiwań, w trakcie których przekopał całe mieszkanie, zdecydował się na stary marynarski worek, którego używał w col-lege'u jako torby na brudne rzeczy do prania. Dla obciążenia wrzucił do środka kilka par butów treningowych, a resztę miejsca zapchał zmiętymi egzemplarzami „Seattle Timesa” – pamiętając, żeby zachować wszystkie strony z artykułami Tracie. Zamykając torbę na suwak, pomyślał z nadzieją, że końcowy efekt może będzie wart tych zachodów. Co nie znaczy, że miał wiele nadziei. Mimo swojego zwykłego pesymizmu Jon musiał jednak przyznać, że coś się zaczynało dziać. Może za sprawą nowych ubrań i modnej fryzury. A może niezbyt subtelne uwagi Tracie rzeczywiście jakoś

zmieniły jego ogólną postawę? Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że kobiety zachowywały się teraz inaczej w jego obecności. W pracy sekretarki, analityczki, a nawet niektóre menedżerki zaczęły go pozdrawiać na korytarzu. Nawet Samantha rzuciła mu przyjazne „Hej”. Jon doskonale pamiętał, że wcześniej w ogóle go nie zauważały, nie licząc tych kilku, z którymi był zaprzyjaźniony. Jednak nie chodziło nawet o to, że zaczęły go dostrzegać, ale raczej o to, jak mówiły do niego to „Hej”. Miały coś takiego w głosie. Nie można powiedzieć, żeby to było otwarte zaproszenie. Ale Jon był zaskoczony, jak bardzo dźwięczne mogą być te trzy litery „H”, „E” i „J”, kiedy zostaną zestawione razem. Jednak najdziwniejsze było nawet nie to, że kobiety go zauważały. Bo w końcu – domyślał się – taki miał być cel tych wszystkich zabiegów. Najdziwniejsze były jego własne odczucia. I podobnie jak w przypadku procesu żałoby, można było

* Aktor amerykański (przyp. tłum.).

wyróżnić w nich odrębne fazy, z których trzy miał już za sobą: zaprzeczenie, zachwyt i ból. Albowiem o ile na początku był po prostu zaskoczony, a potem podekscytowany, o tyle teraz czuł się przede wszystkim urażony. Minęło trochę czasu, zanim zdołał się w tym połapać. Oczywiście wiedział, że powinien być wdzięczny za choćby najlżejsze oznaki zainteresowania ze strony kobiet. Toteż był, a jakże. A jednak potem zaszła w nim jakaś zmiana i poczucie zachwytu ustąpiło miejsca poczuciu urażonej dumy, kiedy nawet Cindy Birling, śliczna blond sekretarka szefa firmy, zaczęła witać go przyjaźnie (słyszeła z tego, że potrafiła nie dostrzegać ludzi, nawet kiedy stali tuż przed nią, dotykając udami jej biurka). Przez lata, ilekroć musiał się z nią skontaktować, Cindy nie tylko pytała za każdym razem o jego wewnętrzny numer telefonu, ale także o to, jak się pisze jego nazwisko – pewny znak, że nie miała pojęcia, do kogo ono należy. Tymczasem teraz witała go śpiewnym „Hej, Jonathan” i Jon czuł, że zaczyna wściekać się na jej widok. Czemu dawniej nigdy nie powiedziała mu „Hej”? I skąd nagle wiedziała, jak ma na imię? Jednak niezależnie od sekretu tej nowej magii – oraz uczuć, jakie w nim budziła – wciąż nie była na tyle skuteczna, by mógł umówić się na randkę z Cindy czy jakąś inną kobietą z pracy. Wciąż czuł się tak samo skępowany i nieśmiały wobec kobiet jak zawsze. Tracie uważała, że

powinien wypróbować siebie na jakimś innym, neutralnym gruncie, gdzie nikt go nie zna, ale Jon nie mógł tak po prostu pójść do baru. Próbował dwukrotnie po pracy, ale nie potrafił nawet przekroczyć progu i wejść do środka. Zupełnie jakby wszystkie minione upokorzenia, jakich doznał, wysiadując na barowych stołkach, albo podczas nieudanych randek, stały się mu na drodze niczym anioł z mieczem ognistym strzegący wejścia do rajku.

W dodatku problem nie polegał tylko na tym, żeby wejść do baru. Oznaki uwagi, jaką nagle zaczęły obdarzać go kobiety w pracy, sprawiły, że tym boleśniej odczuwał teraz wszystkie swoje dawne niepowodzenia i porażki towarzyskie. Na widok obcej kobiety, którą miał zamiar, jak mawiała Molly, „zagadnąć”, Jon zamierał jak sparalizowany. Nie chodziło nawet o to, że zadanie wydawało mu się obezwładniająco trudne. Z tym może by sobie poradził. O wiele gorsza była obecność tych wszystkich Philów – z taką niewymuszoną swobodą siedzących przy barze – którzy z głębokim politowaniem, jak mu się zdawało, patrzyli na nieporadność, z jaką zabierał się do rzeczy, na jego żalosne gadki i nieudolne dowcipy. Zupełnie jakby wszyscy Philowie świata bez trudu widzieli, co kryje się pod jego nowym czarnym swetrem, Levisami 501 s i modnymi buciorami.

W ten sposób Jon wciąż zostawał na lodzie, także dosłownie, jeśli wziąć pod uwagę jego zmarznięte stopy. Uznał więc, że musi znaleźć jakieś inne miejsce, gdzie mógłby spotkać kobietę – miejsce, w którym nikt by go nie znał i gdzie nie musiałby rywalizować z bandą Philów. I stąd marynarski worek.

Jon uniósł go do góry. Wprawdzie był częściowo wypełniony butami i gazetami, ale nadal był lekki, tak że Jon musiał wyglądać na niezłego siłacza, kiedy tak niósł go bez żadnego wysiłku. Wzruszył ramionami, pożyczyl sobie szczęścia i założył wybraną przez Tracie marynarkę z jagnięcej skóry. Westchnął znowu i starał się zapomnieć o poczuciu winy. Jagnięta i tak już dawno powędrowały na rzeź, a teraz zapewne on sam podąży ich śladem. Swoją drogą na nic lepszego nie zasłużył, skoro dał się na nią Tracie namówić. Boże, stopy mu dosłownie zamarały! A na lotnisku na pewno będą przeciagi. Dałby wiele, żeby móc założyć parę solidnych skarpet z szarej wełny, ale jeśli diabeł tkwi w szczegółach, jego palce będą musiały przemarznąć.

Zadzwoił domofon – znak, że taksówka już czeka. Jon chwycił worek,

zamknął za sobą drzwi i pomknął schodami wiodącymi na ciemną ulicę. Na lotnisku nie było zbyt tłoczno, co Jon uznał za sprzyjającą okoliczność. Poza tym nikt go nie zaczepiał i nie było śpiewających wyznawców Kriszny. Uznał to wszystko za dobry omen i od razu, nie czekając, zjechał ruchomymi schodami do sali bagażowej. Jeszcze raz rzucił okiem na tablicę przylotów, choć już wcześniej wybrał „swoją” samolot. Oczywiście zamiast wdawać się w tę inscenizację, mógł po prostu kupić bilet i stanąć w kolejce za jakąś piękną kobietą. Uznał jednak, że ludzie często denerwują się przed lotem. Lepiej więc będzie, jeśli spróbuje zaczepić kogoś, kto właśnie wysiadł z samolotu. Ale i ten plan miał swoje wady.

Żeby mniej zwracać na siebie uwagę, poprosił taksówkarza, aby wyrzucił go przy wyjściu z hali przylotów, ale taksówkarz odmówił. – Nic z tego – powiedział. – Musi pan wejść na górę i przejść przez bramkę ochrony.

Jon zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyjaśnić taksówkarzowi delikatnej natury swojej misji, ale w końcu zmienił zamiar. Wprawdzie fryzura taksówkarza, którą widział z tyłu, i fragment jego twarzy odbijającej się w lusterku nie wskazywały raczej, by Jon miał do czynienia z jednym z Philów, ale facet mógł być jednym z nich w czasach swojej młodości, zanim stracił część tych swoich zębów. Jon doszedł do wniosku, że nic mu nie powie.

Idąc przez szeroki hol bagażowy, ukradkiem zerkał na grupę pasażerów, którzy przylecieli właśnie lotem 611 z Tacomy. Ta-coma to przyjemne miasto. Jon miał tam wujka i ciotkę. Uznał więc, że jeśli jakaś kobieta poleciała do Tacomy w interesach albo żeby odwiedzić rodzinę, na pewno powinna być kimś sympatycznym. Oczywiście, jeśli mieszka w Tacomie z mężem i przyleciała do Seattle, żeby odwiedzić matkę, nic z tego nie będzie. Zaczął przeczesywać wzrokiem tłum oczekujących na bagaż. Jak się zorientować? DC 10 zabierał około dwustu osiemdziesięciu pasażerów. Jon powiedział sobie, że wśród nich musi się znaleźć przynajmniej jedna atrakcyjna kobieta – a do tego samotna. Czy będzie miała ochotę na nowe znajomości, to już zupełnie inna sprawa. Zauważył interesującą blondynkę, ale była odrobinę za szczupłą, za wysoka i za ładna. Kiedy szła, delikatnie kołysała głową w taki sposób, że jej włosy płynęły za nią niczym dziesięć tysięcy jedwabnych nitek, jednak Jon miał

wrażenie, że dziewczyna robi to celowo, żeby zwracać na siebie uwagę. Prawdopodobnie zamierzała przenieść się do Los Angeles. No cóż, za wysokie progi.

Następnie jego spojrzenie wyłowiło kobietę z rudymi, kręconymi włosami, które wydawały się tak zdrowe i mocne, jakby były specjalnie splecione. Jon wiedział, że to całkiem niewykłuczone. Ludzie prawdopodobnie nawet za to płacą. Tak czy inaczej, kobieta wyglądała atrakcyjnie i to mu wystarczyło. Dobra – pomyślał, trzeba spróbować. Zamiast jednak rzucić kapelusz na ring, rzucił swoją torbę na karuzelę z bagażami i przechadzając się obok niej jak gdyby nigdy nic, zaczął się zastanawiać, co można powiedzieć do kompletnie nieznamym kobiecie. Dopiero gdy podszedł do niej bliżej, zorientował się, że była w bardzo zaawansowanej ciąży. Widocznie nie tylko on potrafił docenić jej urodę. Nici z planu.

Tymczasem jeśli nie liczyć aż nadto wystrzałowej blondynki i rudej tuż przed porodem, no cóż... niewiele więcej zostawało. Jeszcze raz przebiegł oczami tłum. Liczne babcie z dziecięcą zabawką pod pachą raczej nie wzbudzały jego ekscytacji. Także udęczone matki – usiłujące poskromić swoje potomstwo, które szalało po uwolnieniu z klatki samolotu – stanowiły raczej wyzwanie ponad jego siły.

Wyglądało na to, że wszyscy pozostali pasażerowie byli płci męskiej, wyjąwszy jedną osobę, o wiele wyższą od niego, która miała na sobie jedwabne spodnie od piżamy i bawełnianą koszulę w stylu konfekcji Braci Brooks. Mógł to być mężczyzna, mogła to być kobieta. Albo ktoś w trakcie procesu transformacji płci. Ale ponieważ Jon nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie pragnął, aby samemu odegrać słynną scenę z Gry pozorów, uznał, że ma dość swoich kłopotów, i w oczy zajrzało mu widmo porażki.

I właśnie wtedy, gdy odwróciwszy wzrok od karuzeli z bagażami, zaczął się w sobie zwijać – stan, który w jego przypadku poprzedzał poczucie kompletnej katastrofy – zauważył młodą kobietę stojącą przy sąsiedniej karuzeli. Wstrzymał oddech.

Może jednak nie odjedzie stąd pokonany. Promień jasnego słońca, tak rzadki w szarym Seattle, oświetlił ją, jak gdyby była częścią średniowiecznego manuskryptu. Była doskonała. Prawdę mówiąc, przypominała mu kogoś. Nie chodziło nawet o delikatne, jasnobrązowe włosy ostrzyżone krótko, tuż poniżej uszu, czy o jej profil, który

z pewnością zasługiwał na rękę najwybitniejszego twórcy kamei. To raczej coś w układzie jej ramion i w całej postawie natychmiast przykuło jego uwagę. Właśnie tak stałaby Tracie, gdyby czekała tu na swój bagaż. Serce skoczyło mu w piersi, ale po chwili zamarło. Ponieważ ta kobieta – mogła być o rok albo dwa starsza od niego, ale nie więcej – ta kobieta najwyraźniej przyleciała właśnie lotem z San Francisco. To zaś był zupełnie inny rodzaj pasażerów. Jeśli była z San Francisco i przyjechała tu tylko z wizytą, to prawdopodobnie zwracała zbyt dużą uwagę na najświeższą modę, jak na jego możliwości. Jeśli jednak pochodziła z Seattle i jedynie poleciała do San Francisco z wizytą, to przed Jonem rysowała się jakaś szansa. Z drugiej strony, jeśli mieszkała w Seattle, ale urodziła się i wychowała w San Francisco i przyleciała teraz odwiedzić swoją rodzinę, to...

Jon z pewnym wysiłkiem powstrzymał szaleństwo spekulacji. Wszystkie dowodziły tylko tego, że zawsze znajdzie się jakiś powód, aby wykręcić się od zrobienia tego, czego się najbardziej obawiał.

Jeszcze raz na nią spojrzął. Była śliczna. Śliczna Dziewczyna.

– To jest to – wymamrotał na głos. – Do dzieła, stary.

Snując się leniwym krokiem w stylu Jamesa Deana, wolny od wszelkich toreb i bagaży, niepostrzeżenie zbliżył się do Ślicznej Dziewczyny. Ta zaś, zupełnie nieświadoma jego istnienia, stała, przeniósłszy cały swój ciężar na lewe biodro. Prawą stopą wystukiwała jakiś niespokojny rytm. Jednak, ściśle biorąc, nie był to rytm zniecierpliwienia. Przypominał bardziej ćwiczenie gimnastyczne, które wykonywała swoją zachwycającą stopką. Prawdę mówiąc, kiedy się jej przyjrzał bliżej, zauważył, że wszystko było w niej zachwycające, od palców u stóp po czubek głowy. Jon równocześnie poczuł skurcz poządania w łądźwiach

i skurcz strachu w żołądku. Powiedział sobie, że to jest w końcu niebezpieczna, fizyczna praca, więc nie czekając, aż obleje się potem i zniszczy T-shirt od Armaniego, który Tracie kazała mu kupić, stanął! tuż za Śliczną Dziewczyną. Całą siłą woli zmusił się, żeby na nią nie patrzeć, i utkwiał wzrok w pusty konwejer, tak jak pozostali pasażerowie.

Usiłował policzyć powoli do stu, ale dotarł tylko do sześćdziesięciu siedmiu. W końcu, co będzie, jeśli jej torba pojawi się w tym momencie? Odchrząknął.

– Ciekawe, czy mi się tylko tak wydaje, czy rzeczywiście dłużej trwa tu oczekiwanie na bagaż niż lot z San Francisco do Seattle? – zapytał na głos.

Okej. Nie było to może wielkie zagajenie, ale przynajmniej nie pytał o godzinę. Śliczna Dziewczyna odwróciła głowę i Jon mógł z bliska przyjrzeć się jej profilowi. Miała długi, nieco nieregularny nos – co w jego odczuciu jeszcze dodawało jej uroku – oraz świetliście białą cerę. Z tej odległości Jon widział delikatne piegi rozsiane na jej policzkach i nad grzbietem orlego nosa. Było coś niezwykle delikatnego w tej konstelacji drobniutkich, niemal niewidocznych kropek. Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę. A potem uśmiechnęła się.

– To chyba nie potrwa aż tak długo – powiedziała.

Jej głos przypominał plusk wody na kamieniach, odgłos stukających o siebie kieliszków do szampana. Jon pozwolił sobie na przelotne spojrzenie w jej stronę, po czym znów zapatrzył się w dal, pamiętając, żeby się nie uśmiechać. Zmienił ułożenie ciała, wciągnął brzuch, lekko wysunął biodra do przodu i założył ręce na piersi. Jednak dalej nie miał pojęcia, co powiedzieć. Poza Jamesa Deana była dobra na początek, ale Śliczna Dziewczyna patrzyła na niego z pełnym oczekiwania – a może wyrozumiałości – półuśmiechem i wyraźnie zaczynała się niecierpliwic. I co teraz? Mógłby zaproponować, że ją podwiezie do miasta. Gdyby miał motocykl. Westchnął. Jak zawsze, Tracie miała rację. No dobrze. Gorączkowo wyteżał mózg. Ale co tu powiedzieć?

W tym momencie rozległ się dzwonek i po chwili transporter ruszył. A wraz z nim zaczął się poruszać także mały chłopiec, sądząc z wyglądu, trzy – albo czteroletni. Pełzał wcześniej po brudnej podłodze, a potem wlaź na karuzelę bagażową. W pierwszej chwili, gdy rozległ się dźwięk syreny, chłopiec był zachwycony, ale kiedy konwejer z nagłym szarpnięciem odjechał wraz z nim od jego mamy, nastrój malca radykalnie się zmienił. Chłopiec otworzył usta i wydał z siebie okrzyk przerażenia – o wiele głośniejszy, niż można by się spodziewać po tak małym dziecku. Biedny maluch.

– To dzieciak z naszego samolotu – powiedziała Śliczna Dziewczyna. W tym momencie Jon ruszył do akcji i zanim chłopiec zdążył przejechać obok, schylił się, podniósł go do góry i postawił na ziemi obok matki. Niestety, wyjęcie małego pasażera z kolejki wcale nie

uciszyło jego wrzasków. Chłopiec zaczął nawet krzyczeć jeszcze głośniejsze, aż cały poczerwieniał na twarzy. Śliczna Dziewczyna, podobnie jak inni ludzie stojący obok Jona, cofnęła się. Jon nie wiedział, co robić. Pomyślał, że dobrze byłoby, gdyby wziął malca na ręce, ale chłopiec był cały pobudzony i...

– Josh, dosyć tego! – odezwała się matka chłopca.

Wzięła go za rękę, dała mu klapsa i nie odezwawszy się do Jona ani słowem, odeszła.

Śliczna Dziewczyna i inni pasażerowie przyplłynęli z powrotem jak fala i dziewczyna spojrzała na Jona. Miała szare oczy – jego ulubiony kolor – i choć może jak na ideał były odrobinę za głęboko osadzone, z pewnością były naprawdę piękne. Niestety, Tracie zabroniła mu komplementowania oczu, więc nadal nie mógł powiedzieć ani słowa.

– Nawet ci nie podziękowała – powiedziała Śliczna Dziewczyna. Na jej pięknej twarzy malowało się jednak raczej zaskoczenie niż oburzenie.

– Nie, ale ma zamiar później zgłosić moją kandydaturę do stypendium MacArthura – rzucił Jon, po czym spojrzał w jej szare oczy z nadzieją, że nie zobaczy w nich tego aż za dobrze znanego mu pustego spojrzenia, jakim ludzie zwykle kwitują

jego żarty. Jednak dziewczyna roześmiała się. Naprawdę się roześmiała! Może to wszystko było łatwiejsze, niż myślał. Może wystarczy pojawić się w odpowiednim miejscu, założywszy na siebie odpowiedni rodzaj używanej marynarki.

Z podajnika zaczęły ześlizgiwać się najrozmaitsze bagaże i jeździć w kółko na bagażowej karuzeli. Dopiero w tym momencie Jon uświadomił sobie konsekwencje prostego faktu, że jego worek znajdował się na sąsiedniej karuzeli. No cóż, będzie udawał, że jego bagaż zaginął. To w końcu nic nowego. Być może wzbudzi nawet współczucie Ślicznej Dziewczyny, choć równie dobrze może okazać się, że raczej wyjdzie na głupka.

Szybko spróbował wyobrazić sobie, co by zrobił James Dean, gdyby zaginął mu bagaż, jednak na podstawie filmów nie sposób było się domyślić, czy coś takiego w ogóle mogłoby się Deanowi przytrafić. Na moment Jon dał się ponieść fali rozgoryczenia. Jaki sens miała cała ta nauka, skoro wiedział, jak ma zareagować, kiedy zgnije mu cały ładunek sałaty, a nie wiedział, co zrobić, gdy linie lotnicze zgubiły jego bagaż?

Gorączkowo usiłował wymyślić coś, co mógłby jeszcze powiedzieć Ślicznej Dziewczynie. Z pewnością było za wcześnie, żeby zapytać ją o imię. Wyglądało na to, że wszystkich interesują jedynie bagaże wyłaniające się z otworu podajnika. Można je było z grubsza podzielić na dwa rodzaje – albo były czarne i zgoła nie do odróżnienia, albo należały do pstrokatego zbioru najróżniejszych toreb rozmaitej wielkości i kształtu, upstrzonych kawałkami luminescencyjnych nalepek, odblaskowej nici albo szerokiej taśmy klejącej, które tworzyły różnorodne znaki, pozwalające właścicielom odróżnić własną torbę od innych tego samego rodzaju. Jak gdyby naprawdę było to konieczne. Co robić? Pomóc jej przy bagażach! Kątem oka spojrzął na Śliczną Dziewczynę i spróbował wyobrazić sobie jej bagaż. Z pewnością nigdy nie podróżuje ze zniszczoną, sztywną walizką w kolorze awokado ze znakiem „x” na boku, zrobionym różowym perłowym lakierem do paznokci. Pokręcił głową, widząc, jak mija ich zielona walizka. I wtedy wydarzył się cud. Dziewczyna odezwała się pierwsza.

– Czy to nie okropne? – spytała. – Mam na myśli to, czego ludzie używają jako bagażu.

Jon był tak zdumiony, że zapomniał jej odpowiedzieć. Bez reszty pochłonęła go bowiem nagła myśl, że być może naprawdę, jak to ujęłaby Molly, „wpadł dziewczynie w oko”. Odezwała się pierwsza. I powiedziała coś, co sam miał na myśli. Może naprawdę otwiera się przed nim jakaś szansa? No dobrze, ale chyba za wcześnie wysłać zaproszenia na ślub, skoro on sam jeszcze się dotąd nie odezwał.

– Ich bagaże są równie brzydkie jak ich odzież – powiedział. Boże! Odzież? Kto tak mówi? Mężczyźni w smokingach.

Faceci, którzy noszą fular pod szyją i wyciągają z kieszeni papierosnicę. Lepiej to wyjaśnić...

– Tak. Moja matka mówiła, że kiedyś podróż samolotem to było święto. Że ludzie specjalnie się ubierali. Możesz to sobie wyobrazić? Czy widziałeś to wdzianko, w którym była matka z zapłakaniem dzieckiem?

– spytała, po czym zawahała się. – Pewnie nie. Byłeś w pierwszej klasie, czy w biznes class?

Nie do wiary! Nie dość, że dziewczyna mówi mu wprost, że wygląda na faceta z klasą, to jeszcze sama prowadzi całą rozmowę. Czy to zawsze było takie łatwe, tylko on o tym nie wiedział i brakowało mu niezbędnych akcesoriów? Czy skórzana marynarka i pęcherze na

otartych piętach mogą mieć aż takie znaczenie? O, warto mieć pęcherze.

Z nagłą pewnością siebie Jon zmienił pozycję ciała na nieco bardziej, jak sądził, seksowną.

– Widzieć – nie widziałem, ale poczułem coś kwaśnego w powietrzu – powiedział.

Zachichotała.

– Jesteś zabawny. Jesteś stąd czy przyjechałeś tu w interesach? – spytała.

Jego marzenie zaczynało się spełniać, ale jak miał odpowiedzieć na to pytanie? Spodziewał się, że dziewczyna o to zapyta. Czy powinien skłamać i udawać podróżnego? Czy powiedzieć prawdę i zdradzić się, że jest miejscowy? I co powinien zrobić ze swoją torbą kręcącą się na sąsiedniej karuzeli?

– Szukam talentów – rzucił i zaraz pomyślał, że zabrzmiało to dość beznadziejnie.

Jednak dziewczyna najwyraźniej nie widziała w tym nic dziwnego.

– Naprawdę? Nie żartujesz? Przyjechałam zrobić zdjęcia w Micro/Conie – powiedziała. – Chcą, żeby ich płyty główne wyglądały jak złote płyty, jeśli chwytasz, co mam na myśli.

A niech to!

– Masz przy sobie jakieś zdjęcia, które mogłabyś mi pokazać? Może mógłbym ci pomóc – odparł.

– Daj mi swój numer, to do ciebie przekrećę, jak się rozpakuje. Pokażę ci moje portfolio.

– Jasne.

Jon nie mógł uwierzyć, że to takie łatwe. Chciała dostać jego numer!

Okej, nawet jeśli osiągnął to podstępem, co w tym złego?

– Masz jakiś pisak i kartkę?

Śliczna Dziewczyna zaczęła szperać w torebce, ale nie mogła znaleźć nic do pisania.

– Tutaj – powiedziała i wyciągnęła do niego dłoń wewnętrzną stroną. – Napisz tutaj.

Rany! Czy można sobie wyobrazić coś wspanialszego? Jon chwycił jej dłoń, poczuł dotyk jej ciała i w tym samym momencie przeszył go dreszcz. Tylko spokojnie – nakazał sobie. Zapisał numer i zamknął jej dłoń.

– Nie zgub go teraz – zażartował i powoli puścił jej rękę.

– Nareszcie – powiedziała i przez chwilę Jon nie był pewny, czy przypadkiem nie ma mu za złe, że za wolno zabiera się do rzeczy. Zbliżyła się do niego. Rany, pomyślał, ostra kobieta, ale kiedy przeszła obok i wyciągnęła rękę, pojął wreszcie, że miała na myśli swoją torbę.

– Zaczekaj, to ci pomogę – zawołał i rzucił się wykorzystać okazję.

Świetnie. Dziewczyna ma swoją torbę, odejdzie z jego numerem telefonu na dłoni i nie zauważy, że jego bagaż kręci się na innej karuzeli. Chwycił torbę za rączkę, spojrzął na imię wypisane na plakietce i już miał ją podnieść z gumowego transportera, kiedy przypomniał sobie, że postępuje kompletnie wbrew zasadom. Co mówiła Tracie? Brać, nie dawać. To był gest starego Jona. Szybko puścił torbę, jak gdyby rączka była rozgrzana do czerwoności.

– Przepraszam, Carole, ale złapał mnie skurcz w dłoni – wyjaśnił niezdarnie.

Torba leżała częściowo na podłodze, częściowo na konweje-rze.

Zaczęła od nich odjeżdżać. Śliczna Dziewczyna zrobiła do niego zabawną minę i poszła sama ściągnąć torbę.

Jednak nie odeszła, tylko stała dalej z torbą w rękę. Na co jeszcze czekała? Przeprosił przecież, że ją upuścił. Co miał teraz zrobić? Miał chyba dość niepewną minę, ponieważ Śliczna Dziewczyna znowu się do niego odezwała.

– Mam dwie torby.

– Aha – bąknął Jon i się uśmiechnął. – A ja zaczynam podejrzewać, że mój bagaż gdzieś utknął.

Dziewczyna w końcu zauważy, że on nie ma torby. I jak się wtedy wytłumaczy? Tłum pasażerów z Tacomy przerzedzał się z minuty na minutę. Jon roześmiał się wymuszonym śmiechem.

– Czy to nie byłby dziwny zbieg okoliczności, gdyby się okazało, że akurat nasze torby zaginęły? – zapytał. – Zostalibyśmy połączeni przez przeznaczenie.

Ups... Zaniepokoił się, czy przypadkiem nie posunął się za daleko w tym dość bezpośrednim komentarzu. Czy Tracie nie mówiła mu, że powinien się tak zachowywać, żeby wzbudzać ich pragnienie, a nie pokazywać, że sam ich pragnie? Jednak sądząc po minie Ślicznej Dziewczyny, wszystko było w porządku. Nie wolno ci tego spieprzyć – powiedział sobie. Ale tylko jeszcze bardziej się zdenerwował. Uspokój

się – upomniał sobie surowo. Spojrzał na nią znowu. Naprawdę była śliczna.

– Może nasze bagaże zostały skonfiskowane. Może sprawdzają, czy nie ma w nich broni – brnął dalej.

Boże, to zabrzmiało zupełnie idiotycznie. Co ona sobie pomyśli o jego paplaninie? Przecież tylko próbował być zabawny.

– Wiesz, jak Ted Kaczyński, czy ktoś w tym rodzaju – dodał. Ale dziewczyna się nie uśmiechnęła. Może nie wiedziała, o kim mowa.

– Wiesz, Unabomber.

Skinęła głową. Roześmiał się z ulgą.

– Dlaczego mieliby przeszukiwać nasz bagaż? – spytała nad wyraz rozsądnym tonem.

No tak. Dlaczego? Rzeczywiście idiotyczna uwaga. Zachowuje się jak wariat i zaraz wszystko schrzani. Musi ją jakoś uspokoić. Jon zaczynał wpadać w panikę.

– A kto ich wie, co oni tam robią. No nie? Ale mogę ci zagwarantować, że z pewnością nie znajdą maszyny do pisania, jeśli zajrzą do mojego bagażu. Unabomber nie ruszyłby się z domu bez tego elementu wyposażenia. – Próbował się roześmiać. – Moja torba to gwarantowana torba-bez-maszyny-do--pisania. Prawdę mówiąc, jest tak lekka, jakby była wypchana gazetami.

Och, nie. Coraz gorzej. Jon miał ochotę się rozplakać, ale nie dawał niczego po sobie poznać. Kątem oka zobaczył swoją torbę, czarną i niepokojącą, jak samotnie kręci się na sąsiedniej karuzeli. No tak. Poczul, że zaczyna się pocić pod pachami i na górnej wardze.

Wspaniale. Zaraz będzie wyglądał jak Albert Brooks w Broadcast News. Spocony ze strachu dupek, który wie, że wszystko spieprzył.

Jon zerknął na Śliczną Dziewczynę. Miał wrażenie, że jej twarz jakby się ściągnęła, a brwi, nos, oczy i usta jakby zbliżyły się ku sobie, szukając schronienia w centrum twarzy.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że moja torba jest wypełniona gazetami – próbował się tłumaczyć. – Ma zupełnie normalny ciężar. Rozumiesz. Jest nawet cięższa niż zwykle. To znaczy, chodzi o to, że ja i tak nie mógłbym być Unabomberem, bo wiesz, jego już złapali. A moja torba po prostu nie jest ciężka, ponieważ nie ma w niej żadnej broni ani nic takiego. – Zaśmiał się ponownie, wiedząc, że tonie bezpowrotnie. Może jeszcze dowcip go uratuje. – Tym razem postanowiłem zostawić broń

w domu. Wyjątkowo.

Śliczna Dziewczyna odwróciła głowę w kierunku karuzeli bagażowej. Odsunęła się od Jona i wiedział już, że posunął się o wiele za daleko. Po chwili zobaczył, jak dziewczyna sięga po swoją drugą torbę. Cud nad cuda! Odnalazłszy ją, dziewczyna wróciła do niego. Jon poczuł ogromną ulgę.

Jednak zauważył kolejną zmianę na jej twarzy. Teraz była to twarz zamknięta i obojętna, jak twarz zupełnej nieznajomej. Tylko jej oczy poruszały się niespokojnie, jak oczy zdenerwowanej nieznajomej. Tak. Spieprzył wszystko.

– Muszę iść – powiedziała chłodno. – Zadzwoń do ciebie, jak się urzędę. I mam nadzieję, że znajdziesz swój bagaż.

Łzy spływały Tracie po policzkach, ale nie próbowała ich wycierać. Zamrugła tylko, żeby cokolwiek widzieć. Poczowała, jak jedna łza, łaskocząc ją lekko, spłynęła aż do wgłębienia nad górną wargą. Tracie wysunęła język i delikatnie zlizwała ją z krawędzi wargi. Łza była trochę słona.

– Ile soli?! – krzyknęła do Laury, która w poszukiwaniu przypraw niemal cała zniknęła w szafce pod blatem.

– Czy mam dodać soli?

Laura stęknęła i wychyliła głowę z szafki.

– Nie. W pomidorach jest dużo naturalnej soli. Myślę, że inne przyprawy i naturalna sól zawarta w pomidorach w zupełności wystarczą.

Tracie skinęła głową i kolejna łza skapnęła na plasterek cebuli. Mogła już wcześniej wrzucić cebulę do rondla i uchronić swoje oczy przed szczypaniem, ponieważ już dawno ją pokroiła, najcieniej jak tylko umiała, ale chciała najpierw pokazać swoje dzieło Laurze.

– Wiesz – odezwała się Laura, prostując się – jeśli włożysz cebulę do zamrażalnika na kilka minut przed krojeniem, nie będzie cię szczypać w oczy.

– Och, gdybym miała czas i potrafiła zapamiętać takie rzeczy, szybko zostałabym jedną z tych kobiet, które trzymają w zamrażalniku rajstopy, żeby potem nie leciały w nich oczka.

– Czy to skutkuje? – spytała Laura. Tracie wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Nie jestem jedną z nich – odparła.

– Dzięki Bogu! – odezwał się Phil z sofy. – Już same rajstopy mogą człowieka zniechęcić. Zamrożonych za nic bym nie ścier-piał.

Tracie wzięła deskę z pokrojoną cebulą i podeszła do rondla, w którym topiło się masło.

– I tak po prostu wrzucam ją do środka? – spytała.

W tym momencie zauważyła czerwoną smugę na desce i zorientowała się, że właśnie zacięła się głęboko w kciuk.

– O mój Boże! – wykrzyknęła.

Laura momentalnie znalazła się obok. Z uniesionego do góry kciuka Tracie spływała po ręce strużka krwi. Tracie przypomniawszy sobie linijkę jednego z wierszy Plath, jakich nauczyły się kiedyś z Laurą.

– Strepanowany weteran – powiedziała na głos.

– No, no, tylko mi tu nie cytuj Sylwii, kiedy ci krew cieknie do cassoulet – powiedziała Laura, po czym włożyła kciuk Tracie pod kran z zimną wodą, następnie zanurzyła go w wodzie utlenionej, posmarowała neosporinem i mocno zabandażowała. W tym momencie podszedł do nich Phil.

– Hej, dziewczyno. Skaleczyłaś się? – spytał, po czym wrócił na kanapę. – Czemu nie rzucisz ręcznika na ring? – dodał, brzdąkając na gitarze. – Jesteś stworzona do innych rzeczy. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Zachowuj się! Mógłbyś być grzeczniejszy. Robię to przecież dla ciebie – powiedziała Tracie i zamiast ręcznika wrzuciła cebulę do skwierzącego masła. Pokój natychmiast wypełnił się smakowitym zapachem. Tracie poczuła się jak Martha Stewart. – Ta-dam!

Laura skinęła głową i zajrzała do rondla.

– Zamieszaj kilka razy. Ma być zarumieniona na brązowo, a nie spalona.

Spojrzała przez ramię na Phila i ponownie na Tracie.

– Poświęć mu trochę uwagi – szepnęła. – Błaga o nią.

– A dla kogo ja to robię? – spytała Tracie nieco podniesionym głosem.

– Urabiam sobie dla niego palce do kości.

Phil tylko wzruszył ramionami. Laura odwróciła się do niego.

– Pamiętasz „Partridge Family”? – spytała.

– Jasne – odparł. – Nienawidziłem Keitha.

– To dlatego, że mu zazdrościłeś – powiedziała Laura. Tracie omal nie roześmiała się w głos.

– Tak czy inaczej, czy zauważyłeś, że Danny, grając na basie, trącał struny tak, jak gdyby to była gitara prowadząca? – spytała Laura.

– Spadaj! – zawołał Phil.

Tracie nie była pewna, czy Phil przypadkiem nie powiedział tego w całkiem dosłownym sensie. Spędzała ostatnio tyle czasu z Jonem i poświęcała tyle uwagi Laurze, nie wspominając już o spotkaniach z Beth i z dziewczynami w gabinecie odnowy, że czasami zastanawiała się, czy Phil nie czuje się trochę pominięty. Ale nawet jeśli tak było – pomyślała, nie byłoby to wcale takie złe, skoro zwykle to ona czuła się pomijana przez Phila, którego pochłaniały próby, pisanie i inne bardziej zagadkowe zajęcia. Spojrzała na drugi rondel, w którym dusiły się

obrane i pokrojone pomidory bez pestek.

– Zobaczysz, że będziesz zachwycony, kiedy spróbujesz tego sosu – powiedziała.

– Tak – przytaknął. – Na pewno będę zachwycony, kiedy wreszcie go spróbuję.

Tracie odwróciła się do Laury.

– Kiedy mam dodać cebulę do pomidorów? – spytała.

– Jak się ładnie zarumieni na brązowo. – Laura zrobiła pauzę. – Wiesz, moim obowiązkiem jest poinformować cię, że zdaniem niektórych mistrzów sztuki kulinarnej należy dusić pomidory od razu z cebulą. Ja należę do innej szkoły, która powiada, że sos pomidorowy to sos pomidorowy, a zatem wszystko inne dodajemy do pomidorów. Oraz że podrumieniona cebula jest lepsza.

Laura tylko w dwu przypadkach zachowywała śmiertelną powagę: kiedy mówiła o gotowaniu i kiedy mówiła o Peterze. Na szczęście w ciągu kilku ostatnich dni ten pierwszy temat pojawiał się bardzo często, natomiast ten drugi szczęśliwie wcale.

– Jestem z twojej szkoły – powiedziała Tracie równie poważnym tonem. – Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdę się w twoim szkolnym roczniku i będę nosiła monogram twojej szkoły.

– A jaki to będzie monogram? – spytał Phil zduszonym głosem. – „Ś” jak „ślamazarny”?

– „S” jak „sos” – odparła Tracie.

– „S” jak „smażenie” – dorzuciła Laura i obie zachichotały.

– „S” jak „skończone idiotki” – podsumował Phil – Obie. Albo „N” jak „nuda”. – Odłożył swoją gitarę. – Boże, można skonać z nudów.

– Kto się przezywa, sam się tak nazywa – ośmieliła się zaśpiewać Tracie.

Obie z Laurą odgryzały się tak innym dziewczynom w En-cino, które je przezywały. „Gruba i chuda”, „Jack Spratt”, a nawet „lesby”. Przez lata nie pamiętała o tym powiedzonku. Tanecznym ruchem zakreśliła się w stronę sofy i objęła ramionami biednego Phila.

– Tylko pomyśl, sos do spaghetti, domowej roboty, zawsze, kiedy tylko zapragniesz.

Schyliła się, żeby go pocałować, ale się odsunął.

– Boże – westchnął. – Ale cuchniesz cebulą.

Przytknęła ręce do nosa i w oczach znowu zakreśliły jej się łzy.

– O rany!

Skrzywiła się i pobiegła do zlewu, żeby umyć ręce.

– To niewiele pomoże – wtrąciła się Laura. Wzięła cytrynę, obita ją trzonkiem noża i zręcznie przekroiła.

– Masz, weź to.

Tracie wycisnęła sok z cytryny na ręce, po czym szybko umyła je płynem do mycia naczyń. Zamieszała lekko kipiący sos w rondlu i wróciła na sofę, żeby usiąść obok swojego lekko kipiącego chłopaka.

– Chodź tutaj do mnie – powiedziała i przyciągnęła go do siebie, przytulając jego głowę do piersi. Phil próbował się odsunąć, ale przytrzymała jego głowę podbródkiem. – Zapomnij na chwilę o tej gitarze i daj tutaj te swoje utalentowane paluszki – wyszeptła. Phil odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, i miał właśnie coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę.

– Zaczekaj momentik – powiedziała i podniosła słuchawkę. Usłyszała wzbudzony głos Jona.

– Słuchaj, to nie ma sensu – wyrzucił z siebie pośpiesznie. – To głupi plan i głupi pomysł. I tak nic z tego nie będzie. Nie potrafię...

– Cześć, Jon – powiedziała spokojnie.

Phil przewrócił oczami i wyszarpnął głowę. No dobrze. Będzie musiała zacząć z nim jeszcze raz od początku. Kobieta zawsze ma pełne ręce roboty.

– Nic z tego nie wychodzi – ciągnął Jon. – Jestem niewy-uczalny.

– Jeszcze dobrze nie zaczęliśmy, a ty już się poddajesz – skarciła go Tracie.

– To my jeszcze nie zaczęliśmy – wtrącił się Phil. W tym czasie Jon coś mówił dalej, ale Tracie zgubiła wątek. Poglądziła Phila po kolanie. Spokój. Spokój.

– Co? – spytała Jona.

Plótł coś teraz o lotnisku i bagażu, chociaż nie przypominała sobie, żeby miał gdzie wyjechać, a potem o kobiecie w ciąży i... No tak. Phil wstał i zaczął zakładać kurtkę, więc musiała przytrzymać go za rękę i pociągnąć z powrotem na sofę, żeby go pocałować, zanim zdąży uciec. Kiedy ponownie podniosła słuchawkę, Jon właśnie kończył swoją opowieść.

– Wariat – mówił. – Pomyślała, że jestem jakimś zwariowanym terrorystą.

– To robi mocne wrażenie na kobietach – powiedziała. Było jasne, że Jon usiłował kogoś poderwać.

– Lepszy terrorysta niż dupek. Bardziej seksowny – dodała.

– Nie, nie. Wolę być tym, kim byłem, niż jakąś nieudaną wersją Teda Kaczyńskiego.

– Sądziłam, że Ted Kaczyński sam jest nieudacznikiem – powiedziała, głaszcząc Phila po ramieniu. – Przecież zdaje się, że go złapali, prawda?

Phil wyraźnie zainteresował się rozmową.

– Trzeba zamieszać sos! – zawołała Laura. – Czy to mój sos, czy twój? Tracie wiedziała, jak poważnie Laura traktowała swoje gotowanie, więc machnęła do niej ręką, że zaraz przyjdzie.

– Nie ma z czego żartować! – mówił Jon. – Nie było cię tam, więc nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak ona na mnie spojrzała.

– Czy zauważyliście, że Ted to imię kompletnych nieudaczników? – odezwał się Phil na głos. – No wiecie: Ted Kennedy, Ted Kaczyński, Ted Bundy.

– Mam zasadę, żeby nigdy nie umawiać się z żadnym z Tedów – zgodziła się Laura. – Jeśli chodzi o Edów, to każdy przypadek rozpatruję indywidualnie.

Jon cały czas coś opowiadał, ale Tracie niewiele z tego słyszała. Powtarzała więc tylko co jakiś czas „hm” i „mhm”, żeby go jakoś pocieszyć. Kiedy skończył, odczekała chwilę i szukając jakiegoś optymistycznego akcentu, powiedziała:

– Och, no wiesz, ona może do ciebie zadzwonić.

– Zadzwonić? – powtórzył Jon. – Będę miał szczęście, jeśli nie zadzwoni do mnie policja. Nic nie rozumiesz. – Nawet przez telefon Tracie usłyszała jego głębokie westchnienie. – Powinnaś była to zobaczyć – dodał. – Jestem beznadziejny. Zachowywałem się jak wariat.

– Dziewczyny czasem gustują w wariatach – powiedziała Tracie, starając się, żeby jej głos zabrzmiał możliwie najbardziej pocieszająco. Phil zaczął łaskotać ją w ucho, a Laura wzięła się pod boki w geście wskazującym na poważny kryzys na odcinku sosu.

– Nie takie jak ona – odparł Jon posępnie.

– No dobrze. Dostajesz piątkę za wysiłek – powiedziała. – Trochę za wysoko postawiłeś sobie poprzeczkę. Bardzo trudno poderwać kogoś

tak zupełnie w ciemno, nie odwołując się do jakichś wspólnych zainteresowań. – Odepchnęła Phila i wstała z kanapy.

– Trzeba zamieszać sos – powtórzyła Laura.

Tracie podeszła do kuchenki i po drodze umknął jej kolejny fragment opowieści Jona.

– Zaczekaj, zwolnij trochę – rzuciła do słuchawki.

Jej pocieszenia nie na wiele się zdały. Z tonu jego głosu zrozumiała, że musi całą sprawę potraktować poważniej. Słysząc było, że Jon był kompletnie przybity.

– ...ponieważ tak dobrze wszystko sobie wymyśliłem. Wydawało mi się, że mój plan jest idealny. Ale tego nie da się zaplanować. Nie sposób nad tym zapanować. Bo kiedy przyjechałem na lotnisko i okazało się, że tym lotem nie przyleciał nikt, kto by się nadawał – to znaczy była jedna taka, ale była za dobra, i jak mówiłem, ta druga była w ciąży...

– Jaka druga? – spytała Tracie, biorąc łyżkę i mieszając sos. Czuła, że ma na głowie za dużo rzeczy naraz. Ciekawe, jak kobiety wychowują dwoje albo troje dzieci?

– Czy Danny naprawdę grał akordami na basie? – zwrócił się Phil do Laury.

– Oczywiście – odparła Laura. – A czy wiesz, że Laurie była anorektyczką?

– Spadaj! Laurie bardzo mi się podobała.

Tracie próbowała ich uciszyć, dając znaki ręką. Jon mówił dalej.

– ...więc podszedłem do drugiej karuzeli i zacząłem rozmawiać z Carole, i wtedy okazało się, że moja torba jest na niewłaściwej karuzeli, i chyba wpadłem w panikę i powiedziałem coś głupiego, a wtedy ona zaczęła zachowywać się, jak gdybym był..

– Kto to jest Carole? – spytała Tracie. Laura wręczyła jej jakieś duże liście, ale Tracie nie miała pojęcia, co ma z nimi zrobić.

– Ta dziewczyna, którą poderwałem na lotnisku – powiedział Jon ze zniecierpliwieniem. – Carole.

– Tak, tak, słucham. Tylko przeoczyłam jej imię. – Ciekawe, co jeszcze przeoczyłam, pomyślała Tracie. – Dokąd leciałeś? – spytała.

– Leciałem? Nigdzie nie leciałem.

– No dobrze. To gdzie spotkałeś tę Carole?

– Dziś wieczorem na lotnisku.

– To co robiłeś na lotnisku, skoro nigdzie nie leciałeś? Gdzie spotykasz się z Carole?

Tracie nie przypominała sobie, żeby w życiu Jona była jakaś Carole. Tymczasem Laura wyjęła Tracie z dłoni liść i wrzuciła go do sosu. W tym momencie Phil przejechał palcem w poprzek gardła, sygnalizując tym gestem, żeby szybko „ucięła” rozmowę, ale Tracie nie mogła. Laura wyjęła jej z ręki łyżkę. Tracie przepraszająco wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem – powiedziała do Jona. – Co właściwie robiłeś na lotnisku?

W ten sposób, kiedy Tracie jedną ręką mieszała sos, a drugą przytrzymywała telefon przy uchu, Jon opowiedział jej długą i zwariowaną historię, taką, jaką tylko on potrafił wymyślić. Kilka razy roześmiała się na głos, ale szybko uświadomiła sobie, że być może uraża w ten sposób jego uczucia. Wyrwała więc do końca tej obłąkanej opowieści z kamienną twarzą. Jon był jedyny w swoim rodzaju.

– Tak czy inaczej, zapisałem jej na dłoni swoje imię i telefon. Możesz sobie wyobrazić, jak się teraz czuję?

– Och, nigdy jej nie zobaczysz na oczy.

– Dobrze by było. Ale ona ma jakąś robotę w Micro/Conie. – Teraz już zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. – Słuchaj, jak sądzisz, czy gdybym ją odszukał, znalazł jej numer i odczekał dzień albo dwa, a potem zadzwonił, czy miałyby ochotę się ze mną umówić? – spytał.

– Myślę, że kazałaby cię aresztować – powiedziała mu Tracie. – Posłuchaj, próbowałeś. A teraz zapomnij o tym. Będzie wiele innych. Nie przejmuj się. I dostajesz piątkę za oryginalność oraz dodatkowe punkty za ładny styl. Ale to nie był dobry pomysł.

– Dlaczego nie? – spytał. – Tylko dlatego, że wpadłem w panikę? Może powinienem spróbować jeszcze raz?

– Nie. Nie tak.

Westchnęła i spojrzała na sos, który gęstniał zachęcająco.

– Chodzi o to, że nic was ze sobą nie łączyło poza faktem, że znaleźliście się na lotnisku. Nawet nie lecieliście tym samym samolotem. Zwykle, żeby coś się zaczęło dziać między dwojgiem ludzi, muszą mieć coś ze sobą wspólnego – wyjaśniła. – Tak więc sam sobie utrudniłeś zadanie.

Prawdę mówiąc, jego pomysł wydawał jej się całkiem zgrabny.

Zwariowany, ale bardzo w jego stylu. Uśmiechnęła się na myśl, że potrafił sam coś takiego wykoncypować. Ale właśnie dlatego nie potrafił go zrealizować, że był sobą, Jonem. Był świrnięty, ale w uroczy sposób. Kiedyś zostanie naprawdę świetnym mężem dla jakiejś kobiety. No tak. Ale najpierw to ona musi zorganizować mu randkę.

Zmniejszyła ogień pod rondlem. Laura skinęła z aprobatą.

Tracie zastanawiała się nad miejscem, w którym można spotkać wiele osób – ale nie mógł to być bar czy klub, ponieważ wiedziała, że Jon nigdy nie będzie czuł się tam swobodnie... Nagle doznała olśnienia, które spadło na nią jak lawina ze szczytu góry. Uśmiechnęła się do siebie na to porównanie. Doskonale! O wiele lepsze niż lotnisko.

– Posłuchaj – odezwała się do Jona. – Mam pomysł. Co byś powiedział, gdybym zabrała cię w pewne miejsce, gdzie miałbyś o czym rozmawiać z kobietami?

– Mówisz do mnie? – spytał Phil, unosząc brwi. – Bo wiesz, jestem zainteresowany.

Tracie rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Dokąd? – spytał Jon w tej samej chwili z nieufnością w głosie.

– Ja wiem, a ty musisz zgadnąć – odparła Tracie, znowu posługując się jedną z odzywek z Encino.

– Przyszła pora, żeby się na serio zająć sosem – wtrąciła się Laura. – Trzeba dodać ważną przyprawę.

Tracie skinęła i zrobiła znak: „daj mi jeszcze minutkę”.

– Możesz mi zaufać – kontynuowała rozmowę z Jonem, zastanawiając się równocześnie, czy może napisać w swoim artykule o jego niepowodzeniu na lotnisku. To byłoby obłędnie śmieszne, ale chyba Jon nie byłby tym zachwycony. Z poczuciem winy pomyślała, że naprawdę powinna mu powiedzieć o swoim pomyśle artykułu, ale przecież nie mogła zrobić tego teraz – nie po tym upokorzeniu na lotnisku i nie w sytuacji, kiedy Phil i Laura dosłownie siedzą jej na głowie.

– Słuchaj, nie martw się tak bardzo – pocieszała Jona. – Najważniejsze, że spróbowałeś, że wykazałeś inicjatywę. Nie od razu Rzym zbudowano. Najdłuższa podróż zaczyna się od tego pierwszego kroku.

– Gdzie kucharek za mało, sos może się nie udać – powiedziała Laura z powagą.

– Rozumiem, co masz na myśli – Jon powiedział do Tracie.

– Okej – Tracie dalej rozmawiała z Jonem. – A więc mam plan.

Wchodzisz w to? – spytała.

– Sam nie wiem.

– Obiecałeś mi kiedyś, że zdam rachunek różniczkowy. Ja obiecuję ci, że będziesz miał randkę – zapewniła go Tracie.

– No dobrze – zgodził się, ale w jego głosie wciąż słychać było powątpiewanie.

– Muszę kończyć. Porozmawiamy jutro – powiedziała Tracie do Jona.

– Dobrze. – Zrobił pauzę. – Dzięki, Tracie.

– De nada *.

Tracie z ulgą wcisnęła klawisz „off” i położyła telefon na brzegu kuchenki.

– Musisz teraz wrzucić oregano i pozostałe przyprawy – poinstruowała ją Laura. – Ale najpierw chciałabym, żebyś dodała trochę więcej czosnku.

– Czy muszę posiekać czosnek? – spytała Tracie zniechęcona. Zaczęła go siekać już wcześniej, zanim zajęła się cebulą. No

* Hiszp. Nie ma za co (przyp. tłum.).

cóż, pewnie już nigdy nie będzie pachniała seksownie, chyba że Phil zostanie miłośnikiem kuchni neapolitańskiej. Laura bezlitośnie wręczyła jej ząbki czosnku i deskę do krojenia. Tracie wzruszyła ramionami i przez kilka minut posłusznie robiła, co jej kazano, póki nie zadzwonił telefon. Znowu wzruszyła ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie moja wina”, i odebrała telefon. Tym razem odezwała się Beth.

– Zamierzam do niego zadzwonić. Siedzę tu sama, a on też siedzi w domu samotnie, i nie widzę żadnego powodu, żebym nie miała zadzwonić – powiedziała Beth.

– Nie zadzwonisz do niego – wypaliła Tracie. – Po pierwsze, prawdopodobnie nie jest sam. Po drugie, dał ci jasno do zrozumienia, że nie chce się z tobą spotykać. A poza tym, na wypadek gdybyś o tym zapomniała, pragnę ci przypomnieć, że Marcus jest twoim szefem.

Skończy się na tym, że stracisz nie tylko jego szacunek, ale i pracę.

– Nie chcę takiej pracy – jęknęła Beth. – To prawdziwa tortura widzieć go codziennie i nie móc go mieć dla siebie.

Tracie pokręciła głową. Włosy wpadły jej do oczu. Koniecznie musi sobie zamówić wizytę u Stefana. Beth jęknęła. Tracie pomyślała, że to niepojęte, jak Beth może tak bardzo przejmować się lekko łysiejącym,

wstrętnym facetem w średnim wieku. Tak, Beth potrzebowała jakiejś odmiany.

– Masz ważniejsze rzeczy do roboty – powiedziała jej Tracie. –

Chciałabym, żebyś teraz przejrzała swoją szafę i zastanowiła się, co mogłabyś założyć na randkę w piątek.

– A czemu miałabym się o to martwić? – spytała Beth. – Od miesiący nie byłam na randce.

– Ale masz randkę w najbliższy piątek – poinformowała ją Tracie. – Umówiłam cię.

Laura postukała się palcem w czoło gestem, który miał znaczyć: „jesteś stuknięta”, po czym wskazała na sos.

– Z kim? – spytała Beth i Tracie usłyszała w jej głosie ciekawość i żywe zainteresowanie, choć Beth starała się, żeby jej głos zabrzmiał obojętnie. – Ale odpadają ci wszyscy twoi niewydarzeni muzycy – dodała. – Nie zamierzam tylko płacić przez cały wieczór za ich piwo, jak ostatnim razem.

– Nie, nie – zapewniła ją Tracie. – Ten facet jest naprawdę ekstra i nie jest muzykiem.

Lepiej zostawić małą tajemnicę.

– Nie wiem dokładnie, czym on się zajmuje – dodała. – Ale jest naprawdę słodki.

– Jak ma na imię? – spytała Beth.

– Jonny – skłamała Tracie.

Laura stała przy kuchni z rękami na biodrach – zły znak – a Phil był już wyraźnie obrażony.

– Dobra, muszę lecieć – powiedziała do Beth. – Pogadamy o tym jutro, w pracy.

Odkładając słuchawkę, pomyślała, że Beth będzie miała przynajmniej o czym rozmyślać. Odwróciła się do Laury.

– Umawiasz go na randkę? – spytała Laura.

– Wiesz, pomyślałam, że najpierw zabiorę go do miejsca, gdzie będzie mógł sam poderwać jakąś dziewczynę. Ale gdyby to nie wypaliło i tak trzeba będzie go z kimś umówić.

– Sama mogę się z nim spotkać – powiedziała Laura. – To znaczy, wiesz, tak treningowo.

– Och, dzięki – odparła Tracie, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie jak najbardziej swobodnie. – Myślę, że raczej nie

powinniśmy tego próbować. W każdym razie nie po tym, jak obciąsał go na rynku. – Zastanowiła się przez chwilę. – Beth dobrze to robi. Łatwiej jej będzie zapomnieć o Marcusie.

– Beth z salonu odnowy? – spytała Laura. – To idiotka.

– No niby tak, ale to bardzo miła idiotka, a poza tym to tylko randka.

Laura odwróciła się do sofy, jak gdyby miała zamiar spytać Phila.... ale Phila tam nie było.

– Gdzie on się podział? – zwróciła się do przyjaciółki.

Tracie wzruszyła ramionami. Na pewno siedzi obrażony w sypialni.

Przykryła rondel jedyną pokrywką, jaką miała w domu, zrobioną naprędcę z talerza owiniętego aluminiową folią.

– Mogę to tak teraz zostawić? – spytała Tracie, czując, że zbyt wiele rzeczy naraz domaga się jej uwagi.

Musi pójść do Phila i ułagodzić jego urażone ego. Poza tym musi zająć się swoim artykułem, a przynajmniej uzupełnić notatki.

– Jasne – odparła Laura kwaśno. – Czymże jest jakiś tam sos w porównaniu z prawdziwą miłością.

Ręce Tracie śmierdziały teraz czosnkiem.

– Odczep się, dobra? – poprosiła. – A skoro już o tym mowa, to daj mi jeszcze jedną cytrynę.

– Przepraszam, ale nie ma już cytryn! – zawołała Laura radośnie. –

Chyba że dla tego faceta, tam. – Skinieniem głowy wskazała na sypialnię.

– Dzięki – powiedziała Tracie. – Peter to też świetny facet.

– Ale nie czeka na mnie w mojej sypialni – zauważyła Laura. – I nie muszę nigdzie biec z cytryną na ratunek.

Phil leżał na jej łóżku obok swojej gitary. Oddychał głęboko z twarzą wetkniętą w poduszkę. Jednak Tracie wiedziała, że tylko udawał. Jako dziecko robiła tak samo, kiedy ojciec przychodził do jej sypialni sprawdzić, czy nie śpi. Usiadła w nogach łóżka i delikatnie położyła rękę na kostce Phila.

– Nie śpisz? – spytała.

Natychmiast poderwał głowę, udając, że się właśnie zbudził.

– Nie – powiedział po chwili, pocierając oko wierzchem dłoni. –

Chciałem tylko wypróbować kilka nowych chwytów.

Świadomość, że udawał kogoś przebudzonego ze snu, miała w sobie coś bardzo intymnego, zupełnie jakby przyłapała dziecko na grze

w udawanie. Ale Phil pod wieloma względami przypominał dziecko. Tracie omal się nie zawstydziła.

– Słuchaj, jestem spóźniona z artykułem o klopsach, a do tego muszę napisać o otwarciu klubu „Downunder” dla „Time-sa”. Pamiętasz?

Pomyślałam, że może by cię to interesowało.

– Mam jechać do EMP? Jezu, to beznadziejna dziura.

Tracie widziała, że Phil znowu stara się ukryć swoje rozczarowanie.

Bob przez jakichś znajomych swoich znajomych prowadził rozmowy w sprawie występu „Gruczołów” w Experience Music Project. Jednak występ – jeśli w ogóle był kiedykolwiek realny – nie doszedł do skutku.

Od tamtej pory Phil nie powiedział ani jednego dobrego słowa o muzeum, które dostało się na czołówki gazet w całym kraju. Czasami Tracie czuła ogromny szacunek dla buntowniczej postawy Phila i jego namiętnej obrony niezależności, ale kiedy indziej – jak w tym przypadku – zaczynała podejrzewać, że po prostu w obronnym geście odrzucał wszystko, co, jak się spodziewał, może jego odrzucić.

– Ma tam być Frank Gehry – próbowała go kusić. Gehry był geniuszem, który stworzył muzeum.

– I co z tego? – burknął Phil. – Wydali dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów na coś, co wygląda jak wrak autobusu Partridge Family.

– Chciałabym zrobić z nim wywiad – powiedziała Tracie. – Mój ojciec zna go z Los Angeles.

– Świetnie – ironizował Phil. – Chcesz wykorzystać prywatne kontakty, których inni nie mają. Ale skoro inaczej nie potrafisz zdobyć tego wywiadu, nie oczekuj, że będę na to patrzył albo że ci w tym pomogę. Tracie pokręciła głową. Czemu musi być taki podły? Czasami miała wrażenie, że ilekroć zaczynają się do siebie psychicznie zbliżać, Phil musi wszystko zepsuć, zachowując się jak jeden z tych facetów, których Laura nazywa KUB. Wzruszyła ramionami. Nie będzie na niego naciskać ani za nim gonić i na pewno, po tym wystąpieniu, nie miała już ochoty zabierać go ze sobą. Wtedy przypomniała sobie, że ma jeszcze jeden pomysł. Postanowiła spróbować z innej beczki.

– Jesteś pewny? – spytała. – Moglibyśmy się zabawić. Moglibyśmy potańczyć tak jak kiedyś.

Kiedy się poznali, ciągle chodzili gdzieś potańczyć. Tracie

była pod wrażeniem zwariowanego stylu Phila. Jego ruchy były takie...

niezwykłe. Nie tańczył jak biały chłopak, ale nie była to też jakaś żalosna imitacja tańca raperów. Poruszał się jak robot baletmistrz. Pomyślała, że nie tańczyli ze sobą od bardzo dawna.

– Och, chodź – prosiła. Phil opadł na materac.

– Nie. Naprawdę jestem zajęty. Muszę popracować nad moją muzyką. Akurat! Kto w to uwierzy! Tracie usiłowała ukryć nagły gniew i poczucie krzywdy.

– Okej. Pomyślałam tylko, że być może miałbyś ochotę pogadać z menadżerem Bobem Quinto. Wiesz, facet szuka kogoś do pomocy...

– Usiłujesz znowu mnie namówić, żebym wziął sobie jakąś stałą robotę? – zapytał Phil, siadając na łóżku.

O, nie. Tylko nie ta kłótnia dziś wieczór.

– Nie. Pomyślałam tylko....

– A ja myślę, że coś nie bardzo we mnie wierzysz. I wcale mi się to nie podoba.

Phil zwiesił swoje długie nogi z łóżka i zaczął wsuwać stopę do buta.

– Posłuchaj, przepraszam. Pomyślałam tylko, że mogłaby ci się przydać taka znajomość. A potem myślałam, że może byś tu wrócił i...

– Nawet o tym nie myśl. Mam nocną próbę – uciał i założył drugi but.

– Świetnie – powiedziała. – I tak zamierzałam pracować nad tekstem o przemianie osobowości.

– Świetnie – powtórzył Phil. – To znaczy, że oboje jesteście zajęci.

Szkoda tylko, że nie wiedziałem o tym wcześniej i bez sensu straciłem tyle czasu, czekając na ciebie.

Wstał i schował gitarę do futerału.

– Powodzenia z tym twoim dupkiem.

– To nie było miłe – rzuciła ostro.

– O, myślę, że bardzo miłe – odparł Phil. – Miłe dla ciebie. Miłe dla twojego ego. – Zrobił pauzę, po czym podniósł głowę. – Mogłabyś być następną Emmą Quindlen – powiedział podniesionym głosem, doskonale naśladowując Jona.

– Anną, nie Emmą – warknęła Tracie w stronę jego pleców, kiedy wychodził z mieszkania.

Tracie jechała do „Mom's”, restauracji położonej po drugiej stronie Seattle, w której podawano takie przysmaki, jak zapiekany makaron i domową tartę z kurczakiem. Marcus utracił pomysł artykułu o przemianie, więc musiała się pomęczyć nad tekstem o najlepszym klopsie w mieście. Westchnęła. Po chwili zastanowienia przyszedł jej do głowy pomysł, który jej się spodobał. Faceci w czarnych kryminałach zawsze siedzą przy barze z kubkiem kawy i jakimś klopsiem, poprosiła więc Mr Billa z wypożyczalni video, żeby wybrał jej kilka restauracyjnych scen z filmów z lat trzydziestych, dzięki czemu będzie mogła opisać wszystkie klopsy w mieście widziane jakby oczami Jimmy'ego Cagneya albo Humphreya Bogarta. Oczywiście Jon uparł się, żeby odwiedziła przy tej okazji także „Java, the Hut”, choć Tracie nie miała ochoty czynić jakichś specjalnych względów dla tego lokalu. Nie czuła, żeby obsługiwano ją tam jak należy.

Po wizycie w „Mom's” Tracie miała spotkać się z Jonem w „Javie” i nad kolejnym klopsiem udzielić mu kolejnej lekcji. Mimo kompletnego fiaska misji na lotnisku – zachichotała na wspomnienie o opowieści Jona – widziała, że niewiele brakowało, a zaliczyłby dziewczynę, czy jak to tam faceci nazywają. Zważywszy na to, jak bardzo był poplątany, niesłychane było już samo to, że w ogóle próbował coś zdziałać na własną rękę. Ale skoro był tak blisko celu, wiedziała, że Jon potrzebuje przygotowania w jeszcze jednej dziedzinie. Tracie długo i mocno zastanawiała się nad tym, czy podjąć z Jonem temat seksualnej etykiety. Jednak ciągle miała poważne opory.

Przyjaźnili się od lat i byli naprawdę parą najlepszych kumpli, mimo to, choć rozmawiali ze sobą praktycznie o wszystkim, to jednak nigdy o seksie. I chociaż w rozmowie z Laurą – czy nawet z Beth – Tracie potrafiła dokładnie opisać rozmiary męskiego organu i wszelkie jego osobliwości, na samą myśl, że miałyby w ten sposób rozmawiać z Jonem, ogarniała ją jakieś nerwowe skrępowanie. Oczywiście nie musiała rozmawiać z nim o wiadomym organie. Miał takowy, a jeśli tak, to wiedział, jak go używać. Ale – jak wiedziała z własnego smutnego doświadczenia oraz doświadczeń przyjaciółek – większość mężczyzn nie czytała nigdy instrukcji obsługi stosownych organów kobiecych. Uznała więc, że choć zadbała już o to, aby Jon dobrze się

prezentował i umiał się odpowiednio zachować, nie może spocząć na laurach, dopóki nie dopilnuje, żeby potrafił wykorzystać swoje zalety także w łóżku. Tracie musiała jednak przyznać, że nie powinna wiele od niego oczekiwać – w końcu, jak wiedziała, nie miał zbyt wielu doświadczeń w tej materii.

Freud chętnie wdawał się w rozważania na temat pragnień kobiet, ale jak się zdaje, nigdy nie zapytał o to swojej żony czy którejs z swoich pacjentek. Albowiem jeśli Tracie miała sądzić na podstawie własnego życia erotycznego, a także opowieści swoich przyjaciółek, kobiety pragnęły przede wszystkim seksu oralnego – i to mnóstwo. Nie znaczy to jednak, żeby specjalnie przepadały za pieszczoniem męskiego narządu, choć Tracie sama bardzo lubiła ten rodzaj seksu. Problem polegał na tym, że żebyś nie wiem jak dobra była w grze na skórzanym flecie, mężczyźni zwykle i tak zostawiają cię w pół drogi. Jeśli w ogóle wypuszczają się na południe od granicy. Tracie czuła się zawsze głęboko znieważona przez facetów, którzy czuli awersję do zapuszczania się ustami w dolne rejony jej ciała, a równocześnie oczekiwali od niej, że potraktuje ich własne, jak gdyby to były lody waniliowe z bakaliami. Jedną z rzeczy, które tak bardzo lubiła u Phila, było to, że najwyraźniej uwielbiał jej całe ciało, sekretne miejsca nie wyłączając. O wiele łatwiej osiągnąć orgazm, jeśli mężczyzna wie, co do niego należy. Boże, jak sobie przypomnia tych wszystkich dupków, z którymi czasami zadawała się w college'u, przekonanych, że recepta na dobry seks polega na tym, że facet ma pompować tak długo, dopóki dziewczyna nie osiągnie orgazmu! Musi koniecznie opowiedzieć Jonowi o tym, jakie znaczenie ma delikatny dotyk i cała gra wstępna; o tym, że tajemnica polega na powtarzaniu pewnych gestów, po to, by w pewnym momencie, kiedy kobieta oczekuje kolejnego dotknięcia albo muśnięcia, właśnie go nie zrobić i zacząć zupełnie nową pieszczotę, i tak dalej, aż kobieta zacznie niemal odchodzić od zmysłów.

Skrzyżowała nogi, po czym nagle uświadomiła sobie, że powinna jednak trzymać nogę na hamulcu. Była tak zatopiona w rozmyślaniach, że kiedy zamierzała wjechać na prawy pas prowadzący do zjazdu z autostrady, nie zauważyła nadjeżdżającej z boku błękitnej maximy. Wykonała nagły manewr kierownicą, wróciła na właściwy pas i powiedziała sobie, że musi jednak patrzeć przed siebie, nawet jeśli jej

myśli błędą „w rynsztoku”, jak mawiała jej macocha. Kiedy zatrzymała się na światłach rampy wyjazdowej, znowu pomyślała o Jonie i skrzywiła się na myśl, że miałyby puścić go w tych sprawach zupełnie samopas, bez przygotowania. To byłoby nie w porządku wobec niego albo wobec kobiet. Dalej pojawiała się równie ważna kwestia polityki seksualnej. Gdzie śpisz, czy zostajesz na noc, kondomy, kremy i ta cała reszta. Boże, miała nadzieję, że Jon nie potrzebuje jednak pomocy w tych wszystkich sprawach! Ale kto wie? Wyobraziła sobie, jak idzie z nim do apteki, żeby poprosić dla niego o paczkę karbowanych tro-jańów.

Skręcając na główną drogę, uśmiechnęła się. Przypomniała sobie dawne czasy w Encino, kiedy sama była tak zawstydzona, że nie potrafiła poprosić w aptecce o tampony, jeśli w pobliżu znajdował się jakiś mężczyzna. Jechała wtedy do supermarketu, gdzie kupowała clorox, krakersy Ritz, herbatniki Oreos, karton dwuprocentowego mleka, rice krispies, kilka mrozonek Lean

Cuisines, paczkę krojonego chleba Wonder Bread, i dopiero wtedy sięgała po tampony, które, och, tak niby przypadkiem wsuwała między paczkę herbatników i paczkę krojonego chleba.

Na szczęście te czasy dawno minęły. Potrafiła teraz swobodnie podejść do każdego sprzedawcy w dowolnym sklepie i poprosić o dziesięć paczek nawilżanych, plemnikobójczych ramsesów ze wzmocnionymi czubkami. Kiedy sprzedawca pozwalał sobie mimo to na jakiś ruch brwiami, potrafiła z ujmująco słodkim uśmiechem powiedzieć: „No dobrze, niech będzie dwadzieścia. Robię dużą imprezę”. Wjeżdżając na parking przed „Mom's”, uśmiechnęła się do siebie na tę myśl.

Z bardzo już pełnym żołądkiem Tracie spojrzała na drugi talerz z klopsem, któremu musiała stawić czoło tego dnia, po czym przeniosła wzrok na Jona.

– Nie jest tak dobry jak w „Mom's” – powiedziała, wskazując widelcem na błąd plaster mielonego mięsa.

– Jest lepszy – stwierdził Jon. Co za kłamstwo!

– Czy kiedykolwiek jadłeś klopsa w „Mom's”? – spytała szeptem, żeby Molly nie usłyszała.

– Nie – przyznał szczerze. – Ale nie może być lepszy niż tu.

– A poza tym, skąd możesz wiedzieć? – dodała. – Jesteś we-ganem...

– Nie, nie jestem – odparł. – Nie pamiętasz? Weganie jedzą...

– Mam cię! – krzyknęła, korzystając z okazji. – Nie wolno ci rozmawiać o swoich upodobaniach dietetycznych z żadną kobietą.

– Nie wiedziałem, że teraz też się liczy.

– Wszystko się liczy. To jest istota tego, co staram ci się wbić do głowy.

Wzdrygnęła się na myśl o czekającym ją kolejnym kawałku klopsa oraz o nieuchronnym wstępie do zaplanowanej dyskusji o pszczołkach i kwiatkach. Potrzebowała jakiegoś pretekstu, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

– Słuchaj, musimy porozmawiać o... uwodzeniu – powiedziała i przełknęła głośno.

W tym momencie do stołu podeszła Molly.

– Czy wszystko w porządku? – spytała. Może odrobinę za słodko. Tracie aż uniosła wzrok znad talerza, żeby się upewnić, czy to na pewno Molly.

– Wszystko w porządku. Czemu pytasz?

– Och, robię, co do mnie należy – powiedziała Molly i napełniła ich szklanki wodą.

Tracie spojrzała na Jona, żeby sprawdzić, czy nie zaskoczyła go ta nagła zmiana obyczajów kelnerki. Ale Jon siedział nieporuszony. Boże, teraz prawdopodobnie Molly zacznie się kręcić wokół ich stolika i Tracie w ogóle nie będzie mogła porozmawiać z Jonem o seksie. Ale Molly rzuciła tylko:

– Jeśli czegoś będziecie potrzebowali, wołajcie. – I odeszła od ich stolika.

Coś tu nie grało. Nagle ją olśniło...

– Powiedziałaś jej, prawda? – spytała oskarżycielskim tonem.

– Co niby jej powiedziałem?

– O moim artykule o klopsach! Ani razu nie napełniała nam szklanek wodą przez te wszystkie lata, odkąd tu przychodzimy. Chyba nawet nigdy nam nie podawała wody. Ty zdrajco!

Jon zakrztusił się swoją kawą.

– O czym ty mówisz?

– Rany, przecież wiesz. Są pewne... zasady. Mam być traktowana wszędzie jak zwykły, przeciętny klient.

Tracie poczuła, że się zarumieniła.

– A nawet jeśli jej coś szepnąłem, to co z tego? Zawsze traktowała cię

gorzej niż zwykłego klienta. Popatrz na to od tej strony i pomyśl, że Molly wreszcie zaczęła być dla ciebie miła.

– Jon, nie wolno ci... – zaczęła Tracie.

– Słuchaj, to nie jest jakiś wynalazek z Micro/Conu, ale zwykły klops. A poza tym, zacząłeś mówić o uwodzeniu. Co przez to rozumiesz?

– Tylko tyle, że są pewne sposoby... że powinieneś postępować w pewien sposób. I pewnych rzeczy powinieneś... unikać.

– O co ci chodzi?

Boże! Nie ułatwiał jej zadania.

– O co ci chodzi? Jakie sposoby? – powiedziała, naśladowując jego głos. – Chodzi mi o to, że musisz umieć tak z kobietą postępować, żeby cię dziko pragnęła.

Przypomniała sobie swoje popołudniowe rozważania o seksie, które omal nie doprowadziły jej do zderzenia.

– A najlepszym sposobem na to, żeby...

Jakoś nie mogła się dostać do sedna sprawy. Będzie musiała zrobić to ogródkami.

– Posłuchaj, seks jest jak taniec – zaczęła. – Znasz jakieś filmy z Fredem Astaire'em?

– Czy to jeszcze jeden „zły chłopiec”? Tracie, ja chyba nie mam czasu na oglądanie kolejnych video. Jestem coraz bardziej spóźniony z robotą.

– Nie musisz go oglądać. Chodzi o to, że Astaire, choć był takim łysym, chudym tancerzem, był na swój sposób bardzo seksowny, ponieważ w każdym filmie miał ten swój taniec z Ginger Rogers albo z inną partnerką, ale najlepiej to wychodziło, kiedy tańczył z Rogers. Ona była na niego zła i kiedy zaczynali tańczyć, ona mu się wrywała, a on ją do siebie przyciągał. Ale kiedy tylko ją puścił, ona znowu odchodziła. – Nie wstając z krzesła, Tracie wymachiwała rękami i ramionami, żeby zademonstrować to, o czym mówi. – Wtedy on ją znowu chwycił za rękę albo w tali i znowu ją do siebie przyciągał. I w końcu ta jego wytrwałość i wdzięk odnosiły zwycięstwo. Czuło się, że ona mu ulega, kiedy zatapiała się w jego objęciach. To był podbój, bardziej seksowny niż seks.

Tracie poczuła, że znowu ogarnia ją podniecenie. Zrobiła pauzę, żeby trochę ochłonać.

– Tak czy inaczej, w uwodzeniu zawsze chodzi o to, że musisz być na tyle silny, na tyle magnetyzujący, żeby ją do siebie przyciągnąć. Ale

wtedy musisz ją porzucić, tak żebyś mógł zacząć ją uwodzić od początku. To właśnie to ciągle podbijanie powoduje, że kobiety za tobą szaleją.

– Chcą, żebym je podbijał? – spytał. – Czy to nie pasuje raczej do Tarzana? A poza tym James Dean nic takiego nie robi.

– To prawda. Postaci grane przez Deana były bardziej niejednoznaczne. Ci faceci nigdy nie przyznawali, że kogoś pragną, choć pragnęli. Tę sztukę też musisz opanować. Zachowujesz się, jak gdyby ci nie zależało, ale tak, że kobieta zaczyna sobie wyobrazać, że jej pragniesz. Bo jeśli jej pragniesz i kobieta to widzi, to raczej wszystko jej wiadnie.

– Tracie, zdaje się, że to jest dla mnie zbyt skomplikowane – powiedział Jon, odkładając widelec i wycierając usta serwetką.

– Och, daj spokój. Jesteś facetem, który potrafi wymyślić „Parsifala”.

Wszystko potrafisz. – Wzięła głęboki oddech. – Słuchaj, najlepiej, jeśli kobieta dochodzi do wniosku, że jesteś postacią tragiczną. I jeśli wydaje jej się, że może ci pomóc i cię uratować – wtedy jest odlot.

– Ale moje życie nie jest tragedią – zaprotestował Jon.

– Nie, jest parodią. I w tym cały problem. Zatrzymała się. Jak ma mu to przekazać?

– Musisz spróbować znaleźć jakąś tajemnicę, którą jej powierzasz, oczywiście zapewniając ją przy tym, że nigdy nikomu o tym nie mówiłeś. Wtedy ona czuje się kimś naprawdę ważnym i wyjątkowym.

– Jaki sekret? Nigdy nikomu nie mówiłem, że moczyłem się do łóżka do dwunastego roku życia, ale chyba nie o takie sekrety ci chodzi.

– Dobrze kombinujesz, Sherlock. – Tracie nawet nie chciała się domyślać, czy to, o czym mówił, jest prawdą. Kiedy na chwilę oparła się wygodniej, żeby się zastanowić, przy stoliku znowu pojawiła się Molly i w milczeniu zabrała talerz Jona, zmiotła okruszki ze stołu i przyniosła mu świeżą serwetkę oraz kartę deserów.

– Jeszcze się nad nim męczysz? – spytała łagodnie.

Tracie nie mogła znieść takiego traktowania. Teraz będzie musiała powiedzieć Molly coś miłego o klopsie. Pragnęła, żeby jej talerz nagle zniknął ze stołu. Nie była już w stanie przelknąć ani kęsa. Nie to, że był niedobry, ale miała już klopsów po dziurki w nosie.

– Tak, jeszcze się nad nim pomęczę – powiedziała kłamliwej kelnerzycy.

Gdy tylko angielska hipokrytka zniknęła ze swoją brudną tacą, Tracie

mogła wrócić do przerwanej wątku.

– Jon, po prostu wymyśl. Powiedz, że widziałeś, jak twój ojciec zastrzelił twoją matkę. Albo że widziałeś, jak matka zastrzeliła ojca. Lub też że oboje się pozabijali i odziedzyczyłeś miliony, ale nigdy nie dotkniesz tych cholernych pieniędzy.

– Lubią takie kawałki?

– Tylko jeśli ci uwierzą. I oczywiście jeśli powiesz, że nigdy wcześniej nikomu aż tak nie zaufałeś, żeby o tym powiedzieć. W każdym razie uwierzą ci na tyle, by pójść z tobą do łóżka.

Jon tylko pokręcił głową.

– A teraz posłuchaj – mówiła dalej. – Kiedy już pójdziesz z którąś z nich do łóżka, musisz pamiętać, żeby nie zostawać na noc. Nieważne, która jest godzina, ani to, czy konasz ze zmęczenia. Nawet w środku nocy musisz wstać z łóżka i pójść do domu. Zasada numer pięć i najważniejsza mówi: Nie wolno zostawać na noc.

– Nigdy? Przecież Phil bez przerwy zostaje na noc – zaprotestował.

– Ale na początku tego nie robił – przyznała Tracie. – Chodzi o to, że wtedy kobieta jeszcze bardziej ciebie pragnie. Najlepiej będzie, jeśli uda ci się wymknąć, kiedy ona śpi.

– Nawet nie mówiąc do widzenia?

– Możesz zostawić zdawkowy liścik.

– Jaki?

– Na przykład... – zawahała się. – Powiedzmy... „Muszę iść. Przez ciebie”. I żadnych podpisów w stylu: „Twój”. I za nic nie zostawiaj swojego numeru telefonu. – Jon aż otworzył usta z niedowierzania.

– Przychodzę do niej, kocham się z nią, a potem zostawiam jej karteczkę, że przez nią odchodzę? No co ty! Czy to znaczy, że mam uwodzić same masochistki?

– Słuchaj, chodzi o to, żeby nie przestawała o tobie myśleć. Potem, kiedy już będziecie razem, możesz robić, co ci się podoba. Ale na początku musi czuć, że jesteś kimś wyjątkowym, że ona jest wyjątkowa i że musi być bardzo wyjątkowa, żeby ciebie zdobyć. I dlatego nigdy nie będziesz do nich oddzwaniał.

Oczy omal nie wyszły mu z orbit ze zdumienia.

– Jak to? Kiedy wreszcie uda mi się którąś z nich namówić, żeby poszła ze mną do łóżka? O czym ty mówisz? Jeśli do niej nie oddzwonię, jak mam pójść z nią do łóżka drugi raz?

– A kto ci powiedział, że masz z nią spać drugi raz? Śpij z następną. Na tym etapie liczy się bogactwo doświadczeń.

– Więc mam zachowywać się jak łajdak? – spytał. – Chcesz powiedzieć, że to jest właśnie szczyt kobiecych marzeń? Łajdak w odpowiednio skrojonych spodniach?

– No nie. Czy ty masz nas za idiotki? Mamy złożoną naturę. Ten nasz upragniony mężczyzna może zachowuje się jak łajdak, ale my potrafimy go oswoić, a przynajmniej wydaje nam się, że potrafimy. Pragniemy faceta, który jest nieprzystępny – ale za tą fasadą kryje się czułe serce, które potrafimy podbić. Marzymy o panterze, która słucha naszych rozkazów. W pewnym sensie chodzi o kobiecy odpowiednik tej dawnej męskiej szajby.

– Co? Choroba psychiczna?

– Nie. No wiesz. Chodziło o to, że mężczyźni nie chcieli kobiet, które łatwo zdobyć, bo to niby znaczyło, że każdy może je mieć. – Zrobiła pauzę. – Kiedyś chodziłam z takim jednym Earlem...

– Masz ochotę na earl greya? – spytała Molly, która nagle wyrosła tuż obok ich stolika.

Co się dzieje z tą kobietą? Tracie zdecydowanie wołała, kiedy Molly zachowywała się jak zdzira.

– Nie, nie chcę żadnej herbaty – wycodziła Tracie i chwyciła się brzegu stołu, żeby jej czymś nie przyłożyć. – Dam ci znać, jeśli będę czegoś potrzebowała – dodała.

Molly skinęła i oddaliła się. Tracie posłała Jonowi mordercze spojrzenie.

– Och, daj jej spokój – próbował ją uspokoić. – Po prostu chce, żebyś powiedziała jakieś dobre słowo o tym lokalu. No dobra, wróćmy do Earla. Nie przypominam sobie nikogo takiego.

– To dlatego, że poznałam go, zanim się spotkaliśmy. A także dlatego, że wszystko nie trwało długo – powiedziała. – Earl był inteligentny i przystojny. Ale ciągle mi mówił, jaka to jestem piękna. I że jestem równie piękna jak jego poprzednia dziewczyna. Fascynująca kobieta, która złamała mu serce.

– Aha, i co?

– No więc tyle się o niej nasłuchiwałam, że stałam się naprawdę zazdrosna i kiedy pewnego dnia znalazłam się w jego domu, patrzę, a tam na półce leży odwrócone twarzą do dołu zdjęcie grubej, brzydkiej dziewczyny.

Pytam go, czy to może jego siostra albo kuzynka, czy ktoś w tym rodzaju, a on mi mówi, że to Jennifer, ta jego eks-narzeczona. Jeśli dla niego ona była piękna, to znaczy, że wszystko, cokolwiek o mnie myślał, nie miało najmniejszego znaczenia. Zerwałam z nim.

– Jesteś obłąkana, Tracie. Zawsze to podejrzewałam, ale teraz mam pewność.

– Jon, powierzam ci tajemnice, za które niejednen mężczyzna zapłaciłby setki tysięcy dolarów. O takich sprawach kobiety rozmawiają najwyżej w damskiej toalecie, kiedy się same wypuszczą na miasto. Dzięki tej wiedzy będziesz mógł uwieść i porzucić wiele pięknych dziewczyn z całych Stanów. A może nawet z całego świata – powiedziała Tracie.

– A więc mówisz mi, żebym świadomie i celowo ranił kobiety.

– Och, Jon. To tylko element szerszej całości – wyjaśniła. – Mówię o czymś, czego kobiety pragną. Potem pewnego dnia kobieta dorasta i uświadamia sobie, że chciałaby znaleźć mężczyznę, który potrafi ją dobrze traktować.

Swoją drogą, pomyślała Tracie, ciekawe, kiedy w jej życiu nadejdzie ten moment. Przypomniała sobie o planowanej rozmowie na temat seksu oralnego i innych drażliwych tematów, jednak poczuła, że chwilowo zupełnie ją to przerasta. I tak ma już szczerze dosyć. Kto wie? Może Jon okaże się całkiem dobry

w łóżku. W końcu jest wrażliwym facetem. Problem polega na tym, że prawdopodobnie stracił dziewictwo dopiero kilka lat temu. Może powinna go po prostu o to zapytać. Wzięła na widelec ostatni kawałek klopsa.

– Mhm – zrobiła pauzę, przeżuła i przełknęła ostatni kęs. – Słuchaj, chciałabym cię o coś spytać – zaczęła niepewnie. – Jak się nazywała twoja pierwsza dziewczyna?

– Masz na myśli pierwszą kochankę, czy pierwszą, która mi się podobała?

– Pierwszą kochankę – wyjaśniła.

– Myra Fisher – odparł. Teraz ona powtórzyła jak echo.

– Myra Fisher? Nie pamiętam żadnej Myry Fisher.

– To było, zanim się poznaliśmy. Byłem wtedy w ósmej klasie. Tracie opadła szczęka.

– W ósmej klasie?! – Chyba źle zrozumiał jej pytanie. – Nie, nie. Chodzi mi o pierwszą dziewczynę, z którą poszedłeś do łóżka.

– No tak, ściśle biorąc, pierwszy raz przespałem się z Myrą w dziewiątej klasie, na szkolnej wycieczce. Ale przez całą ósmą klasę uprawialiśmy seks oralny u niej w domu. A także przez całe lato między ósmą a dziewiątą.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś!

– No wiesz, sądziłem, że raczej mi nie wypada rozmawiać o tym, co mogłabyś nazwać moimi „podbojami” – powiedział. – To są rzeczy bardzo osobiste. Po prostu o nich nie rozmawiam.

– Z nikim? – spytała.

– Nie. A ty? Rozmawiasz o takich sprawach?

– Nie, raczej nie – skłamała.

Miała nadzieję, że nos się jej nie wydłużył. Spojrzała na Jona i zobaczyła go w zupełnie nowym świetle.

– Zaczekaj – powiedziała. – A ta wysoka, naprawdę wysoka dziewczyna w college'u, ta z rudymi włosami...

– Hazel – odparł. – Hazel Flagler.

– Tak. Czy ty i ona...

– Oczywiście – przytaknął.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś! Tracie była po prostu wstrząśnięta.

– A myślałaś, że niby co z nią robiłem? Raczej nie wyglądała na szachistkę! – powiedział Jon.

Tracie zaczęła się zastanawiać, o ilu jeszcze związkach Jona nie miała zielonego pojęcia.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – powtórzyła.

– Tracie, przez całe dzieciństwo wysłuchiwałem opowieści kobiet o tym, jak są źle traktowane przez mężczyzn. Widziałem, jak mój własny ojciec to robił. Czy myślisz, że po tym wszystkim mógłbym tak po prostu przechwalać się każdym pocałunkiem?

– Przechwalać się każdym pocałunkiem? Jon, nie żyjemy w epoce wiktoriańskiej. To jest dwudziesty pierwszy wiek. Czy nie oglądałeś Przyjaciół? Albo powtórki Seinfelda? W programie Jerry'ego Springera ludzie opowiadają o tym, że śpią z własnym rodzeństwem.

– Nigdy nie występowałem w programie Jerry'ego Springera – powiedział Jon z godnością.

Po raz pierwszy w życiu Tracie, patrząc na niego, pomyślała, że za tym spokojnym spojrzeniem ciemnobrązowych oczu może kryć się o wiele więcej, niż się kiedykolwiek spodziewała.

W następną środę Jon spotkał się z Tracie w związku z planowaną od dawna wizytą u fryzjera. Tracie też miała się ostrzyć. Jednak kiedy tylko otworzyli drzwi do salonu, uderzyła ich fala głośnej muzyki i Jon instynktownie cofnął się na ulicę.

– Daj spokój, chodź – powiedziała Tracie. – Awangardowe fryzjerstwo nie jest dla ludzi słabego ducha.

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

– Nic się nie martw – rzuciła bez troski. – Stefan się tobą zajmie.

Po raz pierwszy w życiu Jon powątpiewał w jej słowa. Tak dobrze to nie będzie – pomyślał, chyba że miała na myśli sens wyrażenia „zajmie się tobą”, w jakim używają go ludzie z mafii. A zresztą, co tam. I tak czuł się już półmartwy.

Czy te wszystkie zabiegi rzeczywiście były niezbędne, żeby poderwać dziewczynę? Pochłaniały tyle czasu, uwagi i energii. A przecież, czy w związku dwojga osób nie powinno chodzić raczej o wzajemną troskę, a nie o krój spodni i rodzaj fryzury? Kiedy Tracie ciągnęła go przez salę recepcyjną – zalane jasnym światłem i ogłuszającym technorockiem pomieszczenie, którego wystrój przypominał scenografię z kiego teleturnieju – poczuł, że ma ochotę stąd uciec. Przychodzi taki moment, kiedy mężczyzna powinien stanowczo postawić na swoim, i Jon pomyślał, że właśnie... kiedy nagle ujrzał kobietę o nieprawdopodobnie długich nogach i srebrzystozłoty włosach spływających jej do talii. Kobieta skinęła do Tracie i uśmiechnęła się – naprawdę uśmiechnęła się – do niego. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu.

– Cześć, Ellen – rzuciła Tracie niedbale, ledwie zauważając mijającą ich boginię miłości.

– Kto to jest? – szepnął.

– Co? – spytała Tracie głośno i pociągnęła go dalej.

– Kto to jest?! – spytał, tym razem krzyżując.

Jon był śmiertelnie zakochany. To była kobieta marzenie. Istny raj. Gdyby nie ta piekielna muzyka, z łatwością potrafiłby sobie ten raj wyobrazić.

– Kto?! – krzyknął jeszcze raz.

– Ellen? To Ellen – powtórzyła Tracie, jakby to wszystko wyjaśniało. Minęli recepcję i przeszli przez salę pełną fryzjerskich foteli i luster,

w której panował ożywiony ruch, po czym Tracie poprowadziła go jakimś pustawym korytarzem, choć i tam muzyka nie cichła ani na moment. Z jakiegoś niepojętego powodu cały czas oddalali się od jego bogini. Minęły ich dwie inne kobiety. Żadna z nich nawet w połowie nie dorównywała Ellen, ale obie były naprawdę piękne. Boże! Skinęły albo do Tracie, albo do niego, więc na wypadek gdyby jakiś ślepy traf chciał, że jego też miały na myśli, odwzajemnił powitanie. Żadna z nich nie zachichotała ani nie pokazała na niego palcem. Wyglądało na to, że spodziewały się, że odpowie na skinienie. Może – pomyślał – Tracie rzeczywiście coś wie o tej całej sprawie między kobietami i mężczyznami. Nie zamierzał jednak zapominać o Ellen.

– Kto to jest Ellen? – zapytał jeszcze raz, kiedy obie nimfy szczęśliwie znikły z pola widzenia.

– To żona Stefana – rzuciła Tracie nonszalancko, jak gdyby nie wiedziała, że cały jego świat legł właśnie w gruzach. Minęli jeszcze całe mnóstwo drzwi, zanim Tracie otworzyła wreszcie te, które musiały prowadzić do świętego świętych tego przybytku piękna.

– To Stefan nie jest gejem?! – wrzasnął Jon, próbując znowu przekrzyknąć ryczący technorock. Ale gdy drzwi zamknęły się za nimi, hałas nagle ustał i Jon znalazł się w małym, kwadratowym, doskonale wyciszonym pomieszczeniu, w którym wśród białych ścian znajdował się jedynie stojący pośrodku fotel fryzjerski rodem z Gwiezdnych Wojen. Obok fotela stał wysoki mężczyzna i patrzył na Jona.

Facet był naprawdę wysoki – co najmniej metr dziewięćdziesiąt – miał jasne, krótko ostrzyżone włosy, a jedną z jego jasnych brwi przecinała blizna. Wyglądał na twardego gościa. Jon pierwszy przerwał milczenie.

– Cześć – powiedział bardzo wysokim, niemal piskliwym głosem. – Ty pewnie jesteś Stefan.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się dla ciebie poświęcam – powiedziała Tracie, kiedy usadziła Jona na fotelu. – Tylko spójrz na mnie. Jeśli ktoś tu potrzebuje strzyżenia, to na pewno ja, więc pamiętaj, że jesteś moim wielkim dłużnikiem.

Odsunęła się od fotela i oparła o ladę. Stefan, który stanowił skrzyżowanie Edwarda Nożycorękiego z Riverdance'em, zabrał się do dzieła. Stąpając ciężko, ciął, ścinał i podskakiwał wokół fotela. Jon zastanawiał się, czy to bezpiecznie, że Stefan poruszał się w tak gwałtowny sposób z nożyczkami tak blisko oczu, ale przyjął, że fryzjer

wie, co robi. W końcu Tracie zwykle siedzi tu spokojnie, podczas gdy Stefan odprawia swój dziwny taniec, i najwyraźniej nie przeszkadza jej, że nie ma tu ani lustra, ani muzyki, ani innych ludzi. Tylko Stefan, jego ciężki oddech i jego szalone ruchy wokół fotela. Było to najdziwniejsze strzyżenie, jakie Jon przeżył w życiu.

Jon niemal godzinę spędził na fotelu, znajdując się cały czas w rękach człowieka, którego przed chwilą ciężko obraził. W tym czasie Tracie, która najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z grożącego Jonowi niebezpieczeństwa, przycupnęła na małym stołeczku u stóp fotela i cały czas niefrasobliwie paplała. Jon pragnął tylko jednego: wyrwać się z fotela i omijając z daleka

fatalną Ellen, żonę tego bałkańskiego szaleńca, uciec jak najdalej – kto wie, może nawet porzucić Seattle na zawsze. Jednak z powodu bardzo ostrych nożyczek, które nieustannie szczękały wokół jego głowy, siedział jak skamieniały.

– ...i rower – usłyszał słowa Tracie. O czym ona mówiła? Jon bał się odwrócić głowę, więc tylko zezował w jej stronę, co jednak na dłuższą metę było dość bolesne.

– O co chodzi z moim rowerem? – zapytał.

Miał ochotę dotknąć swoich włosów, ale był pewny, że Stefan natychmiast odetnie mu palec. Od dłuższego czasu widział, jak obcięte kawałki jego włosów fruwały po całym pomieszczeniu.

– Powiedziała, że musimy jeszcze coś zrobić z twoim plecakiem i z twoim rowerem – powtórzyła Tracie spokojnie.

– Dlaczego ci się nie podoba mój plecak? – zapytał. – Bo mój rower na pewno jest w porządku. Co masz na myśli, mówiąc, że musimy „coś zrobić” z moim rowerem?

– Nic, tylko że rower jest taki nieseksowny – powiedziała Tracie. – Sam pomyśl: jak zamierzasz zabrać dziewczynę z powrotem do siebie? Posadzisz ją na kierownicy?

– Zdaje się, że miałem nie zabierać dziewczyn do siebie – odparł, przypominając jej własne nauki.

– Okej, okej. Więc jak zamierzasz zabrać dziewczynę do jej mieszkania?

No nie, mają teraz omawiać takie sprawy, i to w dodatku w obecności Stefana?

– Jej samochodem? – zapytał z nadzieją w głosie.

– A jak wrócisz od niej do domu? – pokręciła głową. – Wiesz, gdybyś nie miał schwinna *, może miałbyś pacera **.

Jon nie był pewien, co to jest ten pacer, ale domyślał się, że to nic dobrego, ponieważ Stefan się roześmiał.

– Trudno umawiać się na randkę bez samochodu – dodała Tracie.

– Możemy skorzystać z jej samochodu – powiedział.

* Marka rowerów. ** Maiy samochód amerykański z lat sześćdziesiątych (przyp. tłum.).

Jon musiał przyznać, że zaczyna dostrzegać tu pewien kłopot, ale dalej upierał się przy swoim.

– Mogę zawołać taksówkę? – spytał słabym głosem, wiedząc, że nie był to najlepszy pomysł.

Z tyłu dobiegło go krótkie, wzgardliwe parsknięcie i na moment zapragnął, by te nożyczki znalazły się w jego rękach.

– Słuchaj. Znasz moje poglądy. Rower jest bezpieczny, wygodny i przyjazny dla środowiska. Napędzając rower siłą własnych mięśni, nie muszę spalać ani grama paliwa pochodzenia organicznego, żeby dostać się do celu podróży.

– Tylko że nigdzie się nie dostajesz. Nie z kobietami – odezwał się Stefan po raz pierwszy.

Jon starał się nie zaciskać zębów. W Buntowniku bez powodu i Na wschód od Edenu widział, jak James Dean zaciska szczękę, kiedy jest wściekły. Nie chciał jednak, żeby Demoniczny Fryzjer zrobił mu jakąś krzywdę. Wiedział, że Stefan bez wahania przeciąłby mu tętnicę szyjną. Jon postanowił więc, że go zignoruje.

– Chcesz powiedzieć, że muszę kupić sobie samochód, żeby spotykać się z kobietami? – spytał oburzony.

Tracie wiedziała, jak bardzo Jon był przeciwny samochodom. Niszczyły krajobraz północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku i zatruwały środowisko. Jak w ogóle mogła mu coś takiego proponować?

– A co byś powiedział na motocykl? – spytała radośnie.

– Motocykl? Chyba oszalałaś? Stanowiłbym śmiertelne zagrożenie dla siebie i dla innych.

– Ale motocykle są takie seksowne – powiedziała Tracie, niemal podskakując na stołku w przypiływie entuzjazmu. – Dziewczyny szaleją za facetami, którzy jeżdżą na motocyklach.

– A jak im się podobają faceci, którzy mają zdartą skórę z jednej strony twarzy, bo się zetknęli z chodnikiem?

– Spokojnie, spokojnie! – odezwał się Stefan.

– Porozmawiamy o tym później – oświadczyła Tracie.

– Nie, nie porozmawiamy – odpowiedział Jon kwaśno.

W tym momencie fotel obrócił się i Jon znalazł się twarzą w twarz ze Stefanem. Zobaczył oślepiające refleksy w ostrzu jego brzytwy. Przez moment obawiał się, że Stefan zamierza jej użyć – niczym Sweeney Todd – ale ten wariat jedynie trzymał przed nim lustro.

Jon spojrział. Boże święty! Z lustra patrzył na niego wypisz, wymaluj Sonic the Hedgehog. Jego krótkie włosy stały nastroszone jak włócznie. Już chyba lepiej by było, gdyby Demoniczny Fryzjer go zabił – pomyślał i jakby w obronnym geście położył dłonie na głowie. Stefan, albinotyczny bliźniaczy brat Edwarda Nożycorękiego, ściał kilka ostatnich włosków z nowej, zupełnie przemodelowanej głowy Jona.

– Nie do wiary! – zawołała Tracie.

– Transformacja – orzekł Stefan z zadowoleniem w głosie. Bez wątplenia to on, Jon, uległ jakiejś transformacji, ale w kogo się przemienił?

Jon wpatrywał się w swoje lustrzane odbicie. Zobaczył, jak w tle Tracie z radości rzuciła się Stefanowi na szyję, po czym wykonała jakiś zwariowany taniec wokół fotela. No cóż, była jego przyjaciółką. Doszedł do wniosku, że Tracie lubi postać Sonica.

– Fantastyczne – zaśpiewała i chwyciwszy go za rękę, ściągnęła go z fotela. Może to nie jest takie straszne, jak mu się zdawało. Tracie w przelocie wyciągnęła z jego tylnej kieszeni portfel i wręczyła Stefanowi kartę kredytową.

– Nigdy w życiu nie wydałeś tak dobrze dwustu dolarów – oświadczyła.

– Dwieście dolarów! – Jon aż zaniemówił.

Spojrzął na Stefana, na jego brzytwę i przełknął ślinę. Doszedł do wniosku, że lepsze to niż napad rabunkowy, nawet jeśli równie kosztowne.

Tracie skręciła w stronę wjazdu na parking przy supermarkecie REI. Jon przez całą drogę zamęczał ją pytaniami, dokąd jadą, ale konsekwentnie odmawiała odpowiedzi.

Nie zważając na Jona, skręciła w prawo, zapomniała włączyć kierunkowskazu i omal nie została staranowana przez nadjeżdżającego saaba. Poza tym nie mieli żadnych kłopotów i szczęśliwie dotarli na miejsce.

– Chodźmy.

Jon wysiadł z samochodu i spoglądając w górę na napis widniejący nad wejściem, potknął się o krawężnik.

– O mój Boże! Tylko nie tu! – zaprotestował. Supermarket REI, sławna budowla położona na obrzeżach

Seattle, niedaleko międzystanowej autostrady I-5, był prawdopodobnie największym sklepem sportowym na świecie. Mekką wszystkich ekologicznie nastawionych miłośników rekreacji na świeżym powietrzu. Charakterystyczna architektura budynku i ogromna przeszklona ściana przyciągały wzrok. Zaraz przy wejściu Jon zobaczył przed sobą niezliczone stoiska ze sprzętem do wspinaczki, wśród których uwijały się setki atrakcyjnych młodych kobiet i mężczyzn poszukujących odpowiedniego ekwipunku.

– Spróbuj poderwać normalną dziewczynę – przypomniała mu Tracie. – Jedną z nich.

Wskazała na grupę młodych dziewczyn – szczupłych, smukłych, idealnych. Ich włosy, zęby i skóra wprost jaśniały. Jon poczuł, że robi się mały i ciemny, niczym kleks na powierzchni wspaniałego krajobrazu. Tracie popchnęła go lekko do przodu.

– Przybliż się do nich, ale nie podchodź. Musisz odgrywać twardziela, faceta, którego niełatwo zdobyć. Pamiętaj: chodzi o to, że to one mają ciebie pragnąć – powiedziała.

Doszli do końca hali i stanęli u podnóża ogromnej skalnej ściany – wysokiej co najmniej na sześć pięter – otoczonej szklaną ścianą budynku.

Po niemal pionowej stromiźnie wspinali się klienci sklepu, widoczni zarówno dla pozostałych ludzi w supermarkecie, jak i dla kierowców na autostradzie.

– A niech to szlag! – jęknął Jon.

Nie znosił wysokości. Kiedyś powiedział Tracie, że boi się wyglądać przez okno na wysokich piętrach, ponieważ najchętniej by wyskoczył.

– Teraz zajęcia praktyczne. Wyglądasz na ostrego faceta, ale musisz zacząć ostro działać.

– Jak? Zwieszając się na linie ze skały? Nic z tego! Wiedziała, że będzie się opierał, ale była na to przygotowana.

– Daj spokój, Jon. Wspinaczka działa jak magnes. To sport prawdziwych samotników, a kobiety kochają samotników. Pomyśl o Jamesie Deanie. Pomyśl o Samotności długodystansowca.

– Zaraz, zaraz, ten facet tylko włamał się do sklepu i ukradł pieniądze. A potem pojechał do Londynu z dziewczyną. Tyle to i ja potrafię. Natomiast nie znoszę wysokości.

– Jon, tu są miliony dziewczyn, które chciałyby poznać alpinistę.

– Myślałem, że wolą wokalistów rockowych! – jęknął. – Masz już jednego rockmana. Zostaw mnie w spokoju.

Nie zważając na jego utyskiwania, Tracie wzięła z półki po prawej stronie zwój liny wspinaczkowej oraz pas z karabińczykiem.

– Masz. Wypróbuj to. Przynajmniej wyglądaj jak alpinista – zażądała. Jon wskazał na miejsce u podnóża ściany wspinaczkowej w hali.

– Albo jak plama z testu Rorschacha na podłodze. Tracie, dokładnie obejrzałem te wszystkie filmy. James Dean głównie chodził nadąsany albo wystawał na ulicy oparty o ścianę. Potrafię się dąsać. Potrafię opierać się o ścianę. James Dean nigdy nie uprawiał wspinaczki wysokogórskiej.

– Nie podchodź do tego tak dosłownie. Ani tak niekonstruktywnie.

Trzeba iść z duchem czasu – powiedziała. – Poza tym nie każę ci wspiąć się na skały, chcę tylko, żebyś o tym rozmawiał. – Szturchnęła go. Minęła ich bardzo ładna blondynka i Tracie wydawało się, że przyjrzała się Jonowi z pewną uwagą. Dobry znak. – W końcu wcale nie musisz się wspiąć. Wystarczy, że będziesz się snuć z hakiem w garści i porozmawiasz z dziewczyną.

Jon przewrócił oczami.

– O czym? – Spojrzał w górę ściany. – W ogóle się na tym nie znam.

– Myśl pozytywnie. One także prawdopodobnie się na tym nie znają. Jeśli cię któraś o coś spyta, powiedz jej, że używasz sprzętu firmy Black Diamond. Jest najlepszy.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Pisałam o tym artykuł – skłamała.

Nie ma potrzeby mówić Jonowi o Samie. Na żółtej karteczce samoprzylepnej narysowała czarny romb *, wyrwała ją z bloczka i przykleiła mu na brodzie. Nawet z tą żółtą bródką wyglądał słodko. Mimowolnym ruchem oderwał kartkę. Przez cały czas wpatrywał się w ścianę skalną, po której wspinało się kilka osób. Patrząc na nie, zmiął karteczkę. Tracie uznała, że to dobry moment, żeby jej małe kaczątko spróbowało sił na głębokiej wodzie, oddaliła się więc dyskretnie.

– Czemu przychodzi mi na myśl Szalony Kojot? Wiesz, ten film, w którym zamawia raketę Acme i...

Jon odwrócił się do Tracie, ale ona gdzieś znikła. Zamiast niej przysłuchiwała mu się jakaś długonoga brunetka.

– Uprząż do wspinaczki skalnej? – spytała.

Ang. diamond – diament; romb.

Miała spokojny, gładki głos niczym powierzchnia połyskującej przed nimi sztucznej skały.

– Nigdy czegoś takiego nie używałam. Czy to jakiś nowy rodzaj sprzętu? – spytała.

Jon usiłował zebrać się jakoś w sobie. Żółta zmięta karteczka, którą trzymał w dłoni, przypomniawszy mu o radzie Tracie. A dziewczyna wyglądała naprawdę ślicznie.

– Tak. Black Diamond. Ale poza tym klasyka nade wszystko, prawda?

– Oczywiście – przytaknęła nieznajoma. – Dużo się wspinasz?

– O, tak. Zacząłem już w dzieciństwie – skłamał.

Boże! Czego to mężczyzna nie zrobi, żeby zdobyć dziewczynę! Ojciec tylko dlatego, że chciał uwieść pewną kobietę, kazał mu kiedyś kuleć przez całe popołudnie, które spędzali w jej towarzystwie. Był tego dnia wyjątkowo miły dla Jona i kiedy późnym popołudniem postanowili wreszcie odesłać go do matki, ta kobieta powiedziała: „Jesteś bardzo dzielny chłopcem”. Jakiś czas potem Jon spytał Chucka, czemu tak powiedziała, i Chuck wyjaśnił ze śmiechem: „Powiedziałem jej, że straciłeś nogę z powodu raka”. Albo ten facet, z którym Tracie chodziła na pierwszym roku studiów, który... Jon otrząsnął się z tych rozważań i powrócił do rzeczywistości, czyli do szansy, która otwierała się przed nim w postaci brunetki z bardzo długimi nogami. Odwrócił się, żeby się jej przyjrzeć. Dziewczyna najwyraźniej była nim zainteresowana. Miała

długie włosy splecione w luźny warkocz, który zaczynał się na szczycie głowy i przechodził w świński ogonek zwisający jej na plecach. Jon zobaczył, jak Tracie daje mu z tyłu znak „okej”. Czy chodziło o to, że kłamstwo jest w porządku, czy że dziewczyna jest w porządku, czy że...

– Ja zaczęłam dopiero w ubiegłym roku, ale... wspinaczka jest.... jak styl życia – powiedziała brunetka, przerywając jego rozważania.

– Jasne – zgodził się bez zająknięcia, równie gładko jak jego ojciec za swoich najlepszych lat. – Potrzebuję wspinaczki jak...

tłenu do oddychania. Być samemu i polegać tylko na sobie. Kiedy jestem niewielką ciemną figurką na tle skalnej płaszczyzny.

Zatrzymując się przy kolejnym stoisku, przybrał pozę Jamesa Deana.

Miał nadzieję, że dziewczyna to zauważyła, a równocześnie, że jakimś zbiegiem okoliczności nie oglądała wczoraj Na wschód od Edenu.

Najwyraźniej nie oglądała.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała z rosnącym entuzjazmem.

Po chwili jednak, jak gdyby nagle zmieniła zdanie, zamrugła i odwróciła się. Jon natychmiast poczuł ucisk w żołądku. Czy znowu coś powiedział nie tak? Czyżby znowu miał wszystko spieprzyć, tak jak zawałił sprawę ze Śliczną Dziewczyną na lotnisku? Ale brunetka odwróciła się zaraz do niego.

– To znaczy, wiesz, prawdę mówiąc, w ogóle nie wiem, o czym mówisz, ponieważ jeszcze nigdy sama się nie wspanałam, ale chciałabym. Czy stosujesz technikę hakową?

Jon nie miał zielonego pojęcia, o czym ona mówi.

– Zawsze – odparł. A co tam.

Zatrzymała się przy stoisku z różnymi hakami.

– Wiesz, to wszystko wymaga tyle sprzętu. A sprzęt jest taki drogi.

Potrzebuję otwartego haka i kilku copperheadów *. Używasz ich?

– Jasne. Nigdy się bez nich nie ruszam – powiedział gładko. To było jakieś szaleństwo. Im więcej kłamał, tym łatwiej mu szło. Czy tak właśnie czuł się jego ojciec?

Rzecz w tym, że Jon nie był taki jak ojciec. Patrzył na dziewczynę i czuł, że mu się podoba. No dobrze, może nie potrafił się wspanać po skałach, ale naprawdę uwielbiał ruch na świeżym powietrzu, jeździł wszędzie na rowerze i mógł się założyć, że dziewczyna miała podobną wrażliwość ekologiczną jak on. Może i nie była wegetarianką – wspinanie się po skałach zapewne Miedziane plomby na drucie, wbijane

w płytkie szczeliny, w których nie utrzyma się hak (przyp. Hum.).
ne wymaga spożywania sporych ilości zwierzęcego białka – ale kiedy się jej przyjrzał ukradkiem, odniósł wrażenie, że właśnie taką dziewczynę chciałby poznać, że to była dziewczyna dla niego.

– Które lubisz? – spytała.

– Black Diamond – powiedział i oparł się ręką o półkę, starając się przybrać swobodną pozę.

Omiał się nie wyrwać, jednak na szczęście dziewczyna nie zauważyła tego kiksów, ponieważ schyliła się właśnie po jakiś element ekwipunku leżący na dolnej półce. Jon nie miał pojęcia, co to jest, ale wyglądało na coś, czego żaden Żyd raczej wolałby nie oglądać, dostawszy się w ręce inkwizycji.

– A co myślisz o czekanach Pika? – spytała. Przypomniał sobie dyrektywę Tracie, a poza tym pragnął dotknąć tej dziewczyny. Miała skórę idealnie jednolitej barwy, kremowobiałą, o lekko różowawym odcieniu. Miała różowe wargi... W tym momencie uświadomił sobie, że dziewczyna czeka na odpowiedź.

– Są w porządku. Znaczący, wiesz, Black Diamonds to nie są, ale... Teraz albo nigdy – powiedział sobie. Musisz jej dotknąć. Jon wziął jej rękę, jak gdyby miał zamiar rzucić okiem na wybrany przez nią ekwipunek.

– Rany! Ale masz piękne skórki u paznokci.

Widział, że brunetka jest oczarowana. Popatrzyła na swoją dłoń, którą Jon trzymał w ręce. Był pewny, że się naprawdę zarumieniła.

– Naprawdę? Dziękuję. Nazywam się Ruth, tak przy okazji.

– Tak-przy-okazji. Ciekawe nazwisko. Jesteś Angielką? Ruth poprowadziła go w stronę grupy osób czekających w kolejce i zajęła miejsce na końcu ogonka. Jon stanął za nią, żeby podtrzymać konwersację.

– Wiesz, mam tylko otwarty hak Edelrida – opowiadała. Przemknęło mu przez myśl, że to jakiś żart albo wyszukana inscenizacja zaaranżowana przez Tracie. Karabińczyki, haki, czekany. Czy to był sport, czy cyrk? Ale chociaż stracił Tracie z oczu, nie stracił głowy. Dziewczyna była naprawdę ładna i widział, że wpadł jej w oko – postanowił więc brnąć dalej i zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Mam nadzieję, że jest dobry – mówiła dalej – ponieważ nie chcę, żeby się potem okazało, że muszę kupić drugi.

Jon omiół wzrokiem kolejkę. Domyślał się, że będzie musiał kupić linę i pas. No cóż, potraktuje to jako jeszcze jeden wydatek na ubranie.

Jednak po chwili zorientował się, że z przodu nie ma żadnej kasy. O co tu chodzi? I wtedy, ku swojemu rosnącemu przerażeniu, zobaczył, że facet stojący z przodu podrzuca do góry linę i zaczyna wspinać się na skalną ścianę; obok kilka innych osób spuszczało się po linach w dół z jej niebotycznego szczytu.

– Czy to jest kolejka do kasy?

– Nie, to kolejka do testowania sprzętu. Zawsze najpierw sprawdzam to, co wybrałam. A ty nie? – spytała Ruth.

– Zawsze tak robiłem, ilekroć tu coś kupowałem – przyznał Jon, po raz pierwszy mówiąc prawdę.

Matka zawsze powtarzała mu, żeby nie kłamał. Jak mogło mu się coś takiego przytrafić? Jon spojrzął z przerażeniem na ludzi stojących z przodu kolejki, którzy jeden po drugim rzucali się radośnie na skalną ścianę, jak gdyby to nie był akt skrajnie samobójczy. Jon odwrócił się do Ruth. Miał wrażenie, że dziewczyna porusza wargami.

– Słucham? – spytał.

Kolejne dwie osoby rzuciły swoją linę do góry. Jon słyszał, jak wali mu serce. Poszukał wzrokiem Tracie. To musiał być jakiś koszmarny żart. Ruth i Jon podeszli bliżej do kontuaru. Jon zaczął wpadać w panikę. Naprawdę miał lęk wysokości.

– Nie muszę testować tej liny – powiedział, starając się, by zabrzmiało to zupełnie naturalnie.

– Nie, ale jestem pewna, że chciałbyś sprawdzić ten pas. Ekspert REI podszedł do Jona.

– Masz doświadczenie?

Zanim Jon zdążył wybłągać zwolnienie od kary, Ruth odezwała się za niego.

– Stosuje technikę hakową – zapewniła faceta.

– Więc sam wiesz, jak zawiązać węzeł – zwrócił się do Jona. Tak, na szyi – pomyślał Jon. Albo na szyi Tracie. Spojrzął szybko w lewo i w prawo, szukając drogi ucieczki. Tłum gapiów wyglądał jak zgromadzeni wokół gilotyny krewni madame De-farge. Nagle dostrzegł twarz Tracie i jeszcze bardziej zakreśliło mu się

w głowie. Rzucił jej rozpaczliwe spojrzenie. Wzruszyła tylko ramionami. Popatrzył na Ruth, pomyślał o jej kremowej, gładkiej skórze, wziął głęboki oddech i rzucił swoją linę na skałę.

– Jesteś pewien, że chcesz wybrać taką trudną trasę? – spytała Ruth.

Jon pokręcił głową, chwycił linę i zaczął się wspinać. Wszyscy pozostali wspinali się po ścianie jak małpki, tymczasem on włókł się do góry niczym jakaś topniejąca substancja.

– Nie martw się, trzymam cię! – zawołała do niego Ruth. Nagle poczuł, że jej szczerze nienawidzi. Nie zdawał sobie sprawy, że ta dziewczyna jest obłąkaną sadystką, która pragnie jego śmierci.

– Och, nie martwię się! – odkrzyknął, usiłując w ten sposób zmusić się do tego, żeby pokonać jeszcze ze dwa-trzy występy skalne.

Znajdował się teraz jakieś dwa metry nad ziemią. Spojrzał przez ramię i ogarnęło go takie przerażenie, że ręce zaczęły mu dygotać jak galareta, i omal nie spadł. Żeby uniknąć katastrofy, zaczął pięć się do góry gwałtownymi ruchami, równocześnie przyciskając się do skały i zbierając linę. Jak okiem sięgnąć, nie było gdzie przycupnąć, nic, tylko pionowa ściana. Kiedy wreszcie dotarł do półki skalnej – jakieś sześć metrów ponad tłumem – chwycił się jej ostatkiem sił i przywarł do skały niczym mech.

Ekspert REI wyciągnął megafon i zawołał do niego:

– Wszystko w porządku?!

Wszyscy klienci ogromnego sklepu spojrzeli w jego stronę. Tłum robił się coraz większy. A więc tak wyglądają ludzie widziani z sufitu Muzeum Lotnictwa. Jon zobaczył Tracie, która przedzierała się przez tłum w stronę czoła zgromadzenia.

Widział ją całkiem wyraźnie, jednak Tracie zamiast zawołać coś pokrzepiającego, zaczęła mu robić zdjęcia! Coś podobnego! Niby znasz kogoś przez całe życie, a i tak nigdy nie masz gwarancji, jak się zachowa – pomyślał nagle bez związku. Trudno powiedzieć, żeby to była najbardziej pomocna reakcja z jej strony, ale Jonowi i tak było wszystko jedno, ponieważ wiedział, że zaraz umrze.

– Proszę odpowiedzieć! – wołał facet z megafonem. – Czy wszystko w porządku?

Jon wiedział, że najmniejsze skiniecie głową, a nawet poruszenie ustami przekraczało w tej chwili jego możliwości.

– Mamy wypadek! Mamy wypadek! Proszę wszystkich wspinających się o zejście na dół! – ryknął megafon.

Odezwała się syrena alarmowa. Ludzie ze wszystkich stron sklepu przybiegli zobaczyć, co się stało. Tracie wycofała się gdzieś daleko. W tym czasie Jon usiłował stopić się w jedno ze skalną ścianą. Po upokarzającym spektaklu związanym z przybyciem ekipy ratunkowej Tracie oraz blady, roztrzęsiony Jon szli przez parking w stronę jej samochodu. Wszyscy gapili się na nich i wskazywali na Jona palcami.

Jon jest absolutnie beznadziejny – pomyślała Tracie, otwierając drzwi samochodu. Przegram zakład z Philem, ale co gorsza, nie będę miała artykułu. Nie potrafię zmienić Jona w kogoś innego. Kompletnie przegrana sprawa, nie ma się co łudzić. Najgorsza w tym wszystkim była jednak myśl o przyszłości, jaka go czeka. Pozostanie na zawsze beznadziejnie nudnym komputerowcem i skończy jako stary kawaler, „wujek” dla jej przyszłych dzieci. Boże – pomyślała, jeszcze je nauczy złych nawyków.

W drodze na autostradę i przez większą część drogi do domu Jona w samochodzie panowała grobowa cisza. Wreszcie Jon postanowił przerwać milczenie.

– I co, widziałaś, gdzie się podziała Ruth? – spytał. – Narażałem dla niej życie. A ona po prostu zniknęła.

Tracie tylko zacisnęła zęby, żeby nie eksplodować.

– Dałem jej swój numer. Myślisz, że się odezwie? Kpi czy o drogę pyta?

– Chyba nie po tym, jak przybiegli do ciebie z tlenem – powiedziała.

– To było zupełnie niepotrzebne – odparł. – Miałem po prostu atak hiperwentylacji. Potrzebowałem jedynie papierowej torebki.

– Tak, żeby sobie założyć na głowę.

Westchnęła. No cóż, sir Edmund Hillary to z niego nie był. Choć z drugiej strony, na pewno nigdy by nie wykorzystał żadnego biednego Szerpy. Najgorsza była jednak ta jego ślepotą. Czy on w ogóle nie widział, jak to koszmarnie wyglądało? Przecież to była znacznie bardziej żenująca katastrofa niż na lotnisku. Powiedziała sobie, że nie powinna się poddawać, ale zdecydowanie musi udzielić mu jeszcze jednej lekcji przed randką z Beth.

– Musimy jeszcze trochę nad tobą popracować.

– Boże! – jęknął Jon. – Nie chcę żadnych lekcji.

Tracie na chwilę przestała patrzeć na drogę, żeby posłać mu surowe spojrzenie.

– Lepiej nie narzekaj, mój panie – powiedziała. – Nie po tej kompromitacji.

Jon skulił się w sobie, ale zaraz zaprotestował.

– Słuchaj, potrafię to zrobić. Wiem, że potrafię. Tym razem nie było jak na lotnisku. Rozmawiała ze mną. Podobałem się jej.

Spojrzał na Tracie. Z trudem starała się powstrzymać uśmiech.

– Nie rezygnuj ze mnie, Tracie – powiedział błagalnie. – Wiem, że myślisz o tym, żeby się poddać, ale nie rób tego.

Dłużej nie potrafiła się opanować. Znowu na moment oderwała wzrok od drogi, tym razem żeby się do niego uśmiechnąć.

– Nigdy z ciebie nie zrezygnuję – odparła. – Prawdę mówiąc, mam ekscytującą nowinę.

– Zdaje się, że mam na dzisiaj dosyć mocnych wrażeń – powiedział.

– Nie chodzi o dzisiaj. Masz oficjalną randkę. W piątek wieczorem.

Jon wyprostował się w fotelu. Kiedy po raz ostatni miał prawdziwą randkę? Czy to było za rządów obecnej administracji?

– Chyba żartujesz. Z kim?

– Dziewczyna z mojej redakcji. Naprawdę miła. Beth. Aha. Jedna z tych jej wiecznie nieszczęśliwie zakochanych przyjaciółek. Tracie zawsze mu o nich opowiadała, ale nigdy nie potrafił zapamiętać ich imion.

– Czy to ta, która kochała się w kierowcy wyścigowym? – zapytał nieufnie.

– To było w zeszłym roku. – Powiedziała to tak, jakby to było w ubiegłym stuleciu. – Od tamtej pory był bramkarz z klubu. I facet z gazety.

O Boże! Jedna z tych miłośniczek modnych dyskotek.

– Nigdy się jej nie spodobam.

– Spodobasz – stwierdziła Tracie. – Musimy jednak do piątku przerobić kilka lekcji. Możemy się spotkać jutro?

– Mam jutro ważne zebranie w firmie.

Ostatnio naprawdę traktował swoje obowiązki zawodowe po macoszemu. Zamiast pracować dwanaście godzin na dobę, coraz bardziej skracał dzień pracy. W Micro/Conie nawet dwadzieścia cztery

godziny na dobę to było mało. Ta nagle koncentracja uwagi na życiu osobistym mogła go słono kosztować, jeśli nie poświęci trochę więcej czasu na pracę.

– Słuchaj! Co jest ważniejsze: twoja kariera czy życie uczuciowe? – spytała Tracie.

Miała niepokojący dar wypowiedziania na głos tego, o czym on sam zaledwie pomyślał. Zwykle bardzo mu się to podobało. Wiedział, że Tracie go rozumie. Ale teraz czuł się raczej nieprzyjemnie zdemaskowany.

– Nikt nigdy na łożu śmierci nie żałował, że nie spędził więcej godzin w biurze – przypomniła mu.

Tak – pomyślał. I nikt nie został wiceprezesem do spraw rozwoju, jeśli miał jakieś życie osobiste. Westchnął.

– No dobrze, dobrze. Gdzie mam się z nią spotkać?

– Vis-a-vis „Seattle Times”. Przed wejściem do Starbucks. Albo wewnątrz, jeśli będzie padało.

– A gdzie mam ją zabrać? – zapytał. Prawdę mówiąc, zaczynał się już denerwować.

– Weź ją do miłej restauracji. Ale nie za eleganckiej. I pamiętaj o zasadach zamawiania potraw.

– Tak, tak – powiedział posepnie. – Żadnej sałatki Cobb.

Tracie wspięła się po brudnych schodach na pierwsze piętro. Drzwi do mieszkania Phila były otwarte. Zawsze zostawiał drzwi otwarte, co wzbudzało w niej pewien niepokój. Nawet jeśli była trochę konserwatywna ze swoim upodobaniem do tego, żeby mieć zawsze wszystko zapięte i zamknięte, to jednak jego postępowanie było lekkomyślne. Okolica, w której mieszkał – niedaleko Oxidental Square – nie należała do najlepszych w Seattle. Tracie nawet nie lubiła tu parkować. Kiedyś ktoś paskudnie jej zarysował lewy błotnik, a innym razem urwano jej antenę. Prawdę mówiąc, wołała, jak Phil przychodził do niej, ale nie chciała, żeby mu to weszło w nawyk. I tak już niemal u niej mieszkał. Stąd pomysł zakładu, który mu zaproponowała. A teraz proszę, zaparkowała w niebezpiecznej dzielnicy, wspięła się na brudne schody, gotowa znieść jeszcze brudniejszą pościel, tylko po to, żeby być z nim, postawić na swoim i utrzymać jakiś rodzaj równowagi. Pokręciła głową. Mężczyźni są tacy trudni. Wiedziała, że wołałby zamieszkać z nią, niż żyć dalej tak jak do tej pory, ale się do tego nie przyzna. Pomyślała, że lepiej dla nich obojga będzie, żeby to ona wygrała ten zakład.

Weszła do dużego pokoju – Phil tak go nazywał, ponieważ uważał, że słowo „salon” jest zbyt mieszczańskie – w którym panował zwykły dla tego miejsca rozgardiasz. Starannie ominęła porozrzucane wszędzie przedmioty. Od drzwi pokoju Phila dobiegało klikanie komputera – znak, że Phil pracuje nad swoją twórczością.

To było takie wspaniałe – pisał nie ponaglany przez żadne terminy, nie wiedząc, czy ktoś to opublikuje. Ona nigdy nie mogła sobie na to pozwolić. Nie znosiła przerywać mu pracy, kiedy pisał, ale tym razem było to jeszcze trudniejsze, ponieważ zamierzała poprosić go o pewną przysługę. Zastanawiała się, jak mu przedstawić swoją prośbę, żeby jej nie odmówił. Rzecz w tym, że po samotnej klęsce Jona na lotnisku i po publicznej katastrofie w REI uświadomiła sobie, że nie będzie miała swojego artykułu, jeżeli Jon nie odniesie wreszcie jakiegoś sukcesu. Po prostu musi mieć w końcu jakąś randkę dłuższą niż jedenaście minut. Może więc powinna być gdzieś w pobliżu i w razie potrzeby poratować go podpowiedzią. A przy okazji nic by nie zaszkodziło, gdyby mogła

zrobić kilka zdjęć upamiętniających sukces. Zapisała sobie na żółtej karteczce, że musi koniecznie zabrać aparat. Kłopot w tym, że Phil zwykle nie miał ochoty wychodzić na miasto, jeśli nie chodziło o film, który chciał zobaczyć, albo o jego występ na scenie, a już na pewno nie będzie miał ochoty odgrywać roli przy-zwoitki, żeby jej pomóc. Tracie westchnęła. Robiła z Jonem postępy. Naprawdę spodobał się Ruth, czy jak jej tam było – w każdym razie do chwili, gdy w panice zamarł na ścianie podczas wspinaczki.

Ale Phila to wszystko nie będzie interesowało, podobnie jak to, czy będzie miała swój artykuł. Powie jej, że powinna sobie dać spokój z pisaniem takich mieszczańskich głupot. I pewnie będzie miał rację, a mimo to z jakiegoś powodu poczuła, że to niesprawiedliwe. Przecież za wszystko, co u niej jadł, płaciła swoimi mieszczańskimi pieniędzmi. Tylko się nad sobą nie rozżalał – powiedziała sobie Tracie. Szanujesz go, ponieważ jest artystą, wolnym duchem.

Przez moment jej myśli krążyły wokół zakładu, który z nim zawarła. Jeśli ona wygra, Phil wprowadzi się do jej mieszkania. Zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście właśnie tego pragnie. Było jej z nim cudownie w łóżku, ale wspólne życie mogło okazać się o wiele mniej zabawne. Uwielbiała jego umiłowanie wolności, ale czasami zadawała sobie pytanie, czy nie mógłby jednak odrobinę wydorosnąć, znaleźć sobie jakąś pracę i zacząć zachowywać się nieco bardziej... no cóż, po mieszczańsku? Tracie nie czekała na pierścionek z brylantem i nie chciała wcale zostać jedną z tych bogatych żon z Encino, ale nie wszystko, co mieszczańskie, było odrażające. Małżeństwo i rodzina, przyjemne miejsce do mieszkania i dobre jedzenie – te wszystkie rzeczy, które Martha Stewart nazwałaby „dobrymi rzeczami”, nie dość, że były dobre, ale w dodatku Phil także je lubił. To przecież dlatego spędzał u niej tyle czasu.

Podeszła bliżej do jego drzwi i nadepnęła na pokrywkę pudełka od pizzy.

– To ty, Tracie? – spytał Phil, nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

– Taak – powiedziała, naśladowując jego głos. – Miałam próbę do późna. Phil odwrócił się od monitora komputera i potarł oczy, jak gdyby pisał od wielu godzin.

– Ejże, przecież ty nie masz prób.

– Wygrał pan nagrodę. – Podeszła do niego i objęła go z tyłu. Miał

takie szerokie ramiona.

– Słuchaj, potrzebuję pomocy.

– Coś cię swędzi i potrzebujesz kogoś, kto by cię podrapał? – spytał, przeciągając się.

– Nie teraz. Mówię o moim projekcie z Jonnym.

– Jonnym? Masz na myśli Jona? Tak zwanego „błyskotliwego pustelnika”?

Czytał jej notatki do artykułu! Tracie zarumieniła się, odeszła od niego i usiadła na łóżku. Zawsze bardzo szanowała jego prywatność.

A tymczasem on najwyraźniej przeglądał jej notatki i czytał żółte karteczki. To prawda, że wisiały porozklejane po całym domu. Ale i tak zdenerwowało ją to, że Phil węszył, gdzie nie trzeba. Jeszcze tego pożałuje. Wzięła do połowy opróżnioną butelkę wody Evian.

– To już przeszłość. Jon nie wygląda już jak komputerowy maniak. Naprawdę wychodzi na ludzi. Chcesz się sam przekonać? Phil odwrócił się do ekranu.

– Nie.

Tracie wiedziała, że ta strategia nie przyniesie spodziewanego efektu.

– Umówiłam go na randkę w piątek – zagaiła znowu.

– Czyżby Chelsea Clinton była aż w takiej potrzebie? – spytał Phil. – I jak niby Mr Technonudziarz ma sobie poradzić z wszystkimi agentami ochrony obserwującymi każdy jego ruch? Co nie znaczy, że potrafi się ruszać – dodał.

– Potrafi. Nauczyłam go – powiedziała Tracie w obronie Jona. Miała nadzieję, że Jon rzeczywiście ma jakieś doświadczenia, chociaż w gruncie rzeczy ominęła właściwy wykład o seksie. Zamilkła na moment. Będzie teraz musiała spróbować z Philem innej, subtelniejszej metody.

– Słuchaj, umówiłam go z Beth, z mojej pracy.

Może lepiej przedstawić całą sprawę jako propozycję miłego wieczoru?

– Na piątek. – Znowu zamilkła. – Czy to nie byłoby zabawne?

Moglibyśmy pójść razem z nimi. Coś jak podwójna randka.

– Jaka podwójna randka? Ja chyba śnię. A może raczej to jakiś koszmar? – powiedział sarkastycznie. – Tracie, ja nie chodzę na randki.

A już na pewno nie chodzę na podwójne randki. I to z kim?

Z technomarudą? I z tą twoją przyjaciółeczką, Beth? Chyba żartujesz.

No cóż, pozostało tylko błaganie.

– Chodź, Phil. Nie musimy siedzieć razem z nimi. Muszę tylko mieć na niego oko. Jak trener. Na wypadek, gdybym musiała mu pomóc, jakby coś poszło nie tak. To pierwszy raz. – Urwała na moment. – A poza tym chodzi o reportaż. Muszę to zobaczyć.

– To nie znaczy, że ja też muszę się męczyć z tego powodu. Czasami był taki samolubny i przewidywalny, że miała ochotę go zabić.

– Phil, przysięgam na Boga. Jeśli tego dla mnie nie zrobisz...

– Nie chcę, żebyś mu więcej pomagała – powiedział nagle. Wziął ją za rękę, odstawił wodę i przyciągnął ją do siebie, obejmując nogami.

– Poświęcasz na to za dużo czasu – wyszeptał i musnął ustami jej szyję.

– Nie było cię prawie całą noc. Poza tym jeśli wygrasz, to wtedy...

Pod wpływem jego pieszczot poczuła przyjemny dreszcz.

– ...będziemy dzielić się praniem – dokończyła za niego. – Będziesz wyglądał bosko z pudełkiem proszku Tide.

Odepchnął ją i wstał gwałtownie.

– No widzisz! – zawołał. – Sama widzisz! Mówiłem ci! To nie jest to, czego pragnę. I tobie też podobam się taki, jaki jestem. Dlatego mnie wybrałaś. Nie chcesz, żebym chodził po domu w fartuchu i odkurzał salon. Udomowienie buntownika to przegrana sprawa. – Rzucił się na łóżko. – Wolałbym, żebyś w końcu rzuciła ten idiotyczny projekt. Tracie usiadła na brzegu łóżka i objęła go ramionami.

– Może mój ojciec chce cię mieć za zięcia – skłamała – ale nie to miałam na myśli. Poza tym, Phil, naprawdę chcę napisać ten artykuł. Skoro nie skutkuje odwołanie się do psychologii dziecka, może powinna odwołać się do psychologii nastolatka.

– Po prostu się boisz, że wygram zakład, tak? I że myliłeś się co do Jonny'ego?

– Co ty ciągle z tym Jonnym? – spytał. – A poza tym, wcale się nie myliłem. Nie możesz zmienić tego faceta w luźnego gościa.

– To pójdz ze mną i zobacz – powiedziała, kiedy przewrócił ją na plecy i mocno pocałował.

– Pójdziesz? – wyszeptała, a on skinął głową w milczącej zgodzie. Następnego ranka Tracie gorączkowo pracowała w redakcji przy komputerze, kiedy zadzwonił telefon. Nie przerywając pisania, wyciągnęła rękę i włączyła zestaw słuchawkowy.

– Tracie Higgins, słucham.

– Wiem o tym. Dzwoniłam do ciebie – odezwała się Laura.
– Wychodzisz dziś do miasta w sprawie pracy? – spytała ją Tracie.
Nie mogła się nacieszyć, że Laura jest w Seattle, i z pewnością nie chciała, żeby wróciła z powrotem do Petera, ale przecież Laura nie mogła w nieskończoność koczować w jej mieszkaniu.
– Mam spotkanie o trzeciej – powiedziała Laura z dumą. – Pomyślałam, że potem mogłabym do ciebie wpaść i poszłybyś-my na drinka.
– Świetnie – odparła Tracie. – To naprawdę wspaniale, Lauro. W tym momencie przypomniała sobie, że na dziś wieczorem umówiła Beth z Jonem i że sama ma odgrywać rolę jego trenera.
– Mogę pójść na szybkiego drinka – dodała, nie chcąc robić Laurze zawodu po jej spotkaniu w sprawie pracy.
– Doskonale – odparła Laura.
– Ale to naprawdę będzie szybki drink, bo potem muszę wyjść. Nastąpiła chwila ciszy.
– Czy to znaczy, że znowu będę musiała zaopiekować się Philem? – spytała Laura.
– Nie. Phil idzie ze mną.
– Brawo! Moje gratulacje – powiedziała Laura. – A co to za okazja?
– Jonny robi „coming out”.
– Co? To on jest gejem? Nie wyglądał na geja.
– Nie bądź śmieszna – skarciła ją Tracie. – Idzie na randkę z Beth.
– Ach, więc to dzisiaj jest ten wielki dzień. Jajogłowy spotyka Pustogłową.
Tracie zamierzała właśnie coś powiedzieć w obronie swoich przyjaciół, kiedy zamigotała lampka wskazująca, że ktoś jest na drugiej linii.
– Muszę kończyć. Spotkamy się koło piątej – rzuciła tylko. Połączenie zostało przerwane.
– Tracie Higgins – odezwała się do mikrofonu.
– Czy wciąż jesteśmy umówieni na dzisiaj? – usłyszała głos Jona.
Przewróciła oczami.
– Oczywiście, że jesteś umówiony. Czemu miałbyś nie być?
– No wiesz – powiedział. – Jestem dość przyzwyczajony do spotkań odwołanych w ostatniej chwili. A poza tym naprawdę muszę się zabrać do roboty. Ostatnio bardzo zwolniłem tempo i jak nie nadrobię...
Był naprawdę nieznośny. Od lat pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Zastaniał się pracą, chociaż

w rzeczywistości tak naprawdę brakowało mu pewności siebie. Beth nawet nie widziała go na oczy, a on już kombinował, jak tu się wycofać.

– Zapomnij o przeszłości – powiedziała. – Jesteś nowym człowiekiem. Wyglądasz jak „zły chłopiec”, zachowujesz się jak „zły chłopiec”, jesteś zły. Jesteś „złym chłopcem” i działasz na dziewczyny jak magnes. Pomyśl sobie, że Beth jest tylko żelaznym opiłkiem.

– Słuchaj, czy miałaś w dzieciństwie takie małe zabawki? – spytał z nagłym ożywieniem. – Takie, które w plastikowym opakowaniu miały rysunek głowy łysego faceta i w środku kilka żelaznych opiłków? I za pomocą magnesu można było ułożyć z nich włosy albo brodę? Tracie odwróciła głowę od ekranu monitora i utkwiała spojrzenie w telefonie.

– Jonny, nie zadawaj takich pytań dziś wieczór, dobrze? – powiedziała zaniepokojona. – Żadnych zabawek z opiłkami, żadnego naśladowania Cartmana z Miasteczka South Park. I nie śpiewaj całego motywu muzycznego z Gilligan's Island. Kiedy będziesz miał wątpliwości, nie mów. Po prostu milcz.

– Milczeć. Dobrze – zgodził się Jon. – Ale czy musisz nazywać mnie Jonny? To jest jakieś... dziwaczne.

Pomyślała, że w jego głosie brzmi leciutka uraza, ale powiedziała sobie, że to dla jego dobra.

– Tak. Przyzwyczajaj się do tego.

Zaczęła się zastanawiać, co mógłby zrobić, żeby wzbudzić zainteresowanie Beth. Na chwilę zapadło milczenie. Najlepiej byłoby, gdyby Beth poczuła, że jest nieosiągalny. Ale jak to zrobić?

Przypomniała sobie swoją kłótnię z Philem i uśmiechnęła się. Tak!

– Jon, słuchaj, jest coś, co chciałabym, żebyś koniecznie zrobił – powiedziała. – Jak już poplirtujesz z kelnerką, przeproś na chwilę Beth, podejdź do baru i tam zamień kilka słów z jakąś kobietą.

– Inną kobietą? Ale ja...

W telefonie Tracie zapaliło się światełko sygnalizujące, że ktoś czeka na drugiej linii.

– Jonny, zaczekaj chwileczkę, dobrze?

Naciskając guzik przełączający na drugą linię, pomyślała, że lubi to nowe imię Jona.

– Halo, tu Tracie Higgins, w czym mogę pomóc?

- Pragnę od ciebie czegoś więcej niż pomocy – powiedział Phil.
- Poczekaj chwileczkę i nie zgub tej myśli.
- Tracie przełączyła z powrotem na pierwszą linię i kontynuowała rozmowę z Jonem, to znaczy z Jonnym.
- Przy czym byliśmy? Aha, tak. Jesteś w barze i rozmawiasz z kobietą...
- Tracie. Mam już jedną randkę dziś wieczór. Wystarczy, że mam kłopoty ze zdobyciem jednej dziewczyny. Nie mogę podrywać dwu naraz.
- Nie o to chodzi – powiedziała. – Potraktuj to jako magiczną sztuczkę. Popis iluzjonisty.
- Przypomniała sobie o Philu na drugiej linii.
- Zaczekaj minutkę – poprosiła. Nacisnęła drugi guzik.
- Phil, zaraz z tobą pogadam, sekundkę. Znowu przełączyła na pierwszą linię.
- A więc, Jonny, po prostu zapytaj ją o godzinę. Albo jak dojechać do Olympii. O cokolwiek, a potem zapisz sobie na dłoni jakiś numer telefonu.
- Czyj numer?
- Obojętne, jaki numer – powiedziała rozdrażniona. – A potem wróc do stolika i nic o tym nie mów. Chodzi tylko o to, żeby Beth zobaczyła numer na twojej dłoni.
- Mam jej pokazać czyjś numer? – jęknął. – Tracie, doprowadzasz mnie do szaleństwa. To jest dla mnie jakaś okrutna i niezwykła kara. Może powinniśmy to odwołać. Jestem tak bardzo spóźniony w pracy. Jakoś nie czuję się dziś zbyt dobrze.
- Nawet o tym nie myśl, żeby się rozchorować – ostrzegła go – albo wrócisz znowu na lotnisko. Tak czy inaczej, po tej sztuczce z numerem Beth będzie tobą zachwycona. Zacznie na ciebie patrzeć jak na zdobywcę. Możesz mieć każdą, ale wybrałeś ją.
- Ale równie dobrze mógłbym wybrać kogoś innego – jęknął. Wciąż nic nie chwycił. Tracie przewróciła oczami.
- Jonny, na tym właśnie polega umawianie się na randki na progu nowego milenium: to okrutna i niezwykła kara. Chwytasz teraz?
- Tak, rozumiem. A więc mam się z nią spotkać przed budynkiem twojej redakcji o wpół do szóstej?
- Ale pamiętaj, żebyś się nie zjawił wcześniej niż za kwadrans szósta...
- dodała.

– Ale... tak, w porządku – zgodził się posłusznie.

– To do zobaczyska. Byle nie z bliska – zaśpiewała Tracie tak jak kiedyś w Encino.

Dopiero kiedy odłożyła słuchawkę i wróciła do pracy, zauważyła, że światelko na drugiej linii także się nie świeci. Phil! Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, gdzie go szukać, ale wiedziała, że Phil zadzwoni jeszcze raz.

Beth szykowała się do wyjścia, podczas gdy Tracie, Laura i Sara przyglądały się jej poczynaniom.

– Powinnaś rozczesać włosy – zaproponowała Sara. Tracie podała jej róż i poprawiła kołnierzyk.

– Już to zrobiłam, Saro. Dzięki. Boże, pocę się jak mysz – powiedziała Beth. – Szkoda, że nie wzięłam swoich perfum.

– Chcesz mojego Giorgia? – spytała Laura, grzebiąc w torebce.

– Dzięki, ale nie – odparła Beth. – Rano pokropiłam się już White Shoulders. Razem mogłyby się gryźć. Czy on naprawdę jest taki słodki, Tracie?

– Tak. Jest słodki... trochę w stylu Jamesa Deana.

Tracie uznała, że powinna wbić Beth do głowy to skojarzenie.

– A kto to jest James Dean? – spytała Beth.

– Jeden martwy facet. Taki aktor, prawda, który robił kiełbaski? – powiedziała Sara i dodała: – Masz szczęście, Beth. Od czterech miesięcy nie byłam na randce. Tracie, dlaczego mnie nigdy z nikim nie umówisz? Czy Jonny nie ma jakichś przyjaciół?

– Tracie nigdy nie znała żadnego porządnego faceta – powiedziała Beth. – Laura, skąd ona wzięła tego gościa? Nigdy o nim nie słyszałam – dodała, nakładając sobie tusz na rzęsy.

– Ona go stworzyła – odparła Laura i ponad głowami dziewczyn uśmiechnęła się do Tracie. Tracie posłała Laurze spojrzenie gasnącej nadziei i zerknęła na zegarek.

– Zaraz się spóźnisz – zwróciła się do Beth. – A my z Laurą idziemy na drinka.

Beth wpadła w panikę.

– Żartujesz! Muszę jeszcze poprawić lewą brew. Kto ma pęsetę do brwi? – spytała. – Wyglądam jak Gorilla Girl.

Laura podała jej pęsetę. W tym czasie Tracie ukradkiem zerknęła przez okno. Niezależnie, o której Beth zjawi się na dole, Jon powinien przyjść

chwilę później. Boże, miała nadzieję, że Beth nie będzie za bardzo rozczarowana ani go nie potraktuje zbyt lekceważąco.

– Jest już za dwadzieścia szósta – obwieściła Tracie. – Miałaś tam być dziesięć minut temu.

– Niech poczeka. Oni zawsze się spóźniają – odezwała się Sara.

Beth wyrwała jakieś dwa niewidzialne włoski ze swoich brwi, oddała pęsetę, wzięła torebkę i już była gotowa do wyjścia.

– Słuchajcie, jeśli podejdziemy do okna przy windzie, będziemy mogli zobaczyć, jak się spotkają na ulicy – powiedziała Sara.

– Chodźmy – zgodziła się Laura.

Wszystkie cztery wmieszały się w holu w tłum pracowników wychodzących po pracy do domu. Podeszły do windy i Beth nacisnęła guzik.

– Życie mi szczęścia! – zawołała.

Zanim zdążyły odpowiedzieć, otworzyły się drzwi do windy i Beth zniknęła w środku. W tym samym momencie do holu wpadła nieprzyzwoicie piękna Allison.

– Przytrzymajcie dla mnie windę! – zawołała. – Jestem spóźniona.

– Akurat, już lecę – mruknęła Sara.

Ale oczywiście jeden z mężczyzn w kabinie nacisnął przycisk z nadzieją, że choć przez kilka chwil będzie mógł stać obok Allison i sycić nią wzrok. Przy Allison uroda Beth nieco zbladła, ale Tracie nie zamierzała przyjmować tego do wiadomości.

– Baw się dobrze – rzuciła. – On jest wspaniały.

Pełna nadziei twarz Beth zniknęła za drzwiami windy. Pozostałe trzy kobiety ruszyły w stronę okna. Przez kilka minut czekały, spoglądając na ulicę. Wreszcie na dole pokazała się Beth. Obserwowały, jak przechodzi przez jezdnię i samotnie stoi w zapadającym zmroku.

– Jeśli ten sukinsyn nie przyjdzie... – odezwała się Sara cicho. – Wicie, jak Beth miała ciężko ostatnio.

– Przyjdzie – mruknęła Tracie ponuro, z nadzieją, że się nie myli.

– Beth wygląda naprawdę świetnie – stwierdziła Laura z odrobiną żalu w głosie, z nosem niemal przyklejonym do szyby. – Jest taka szczupła.

– Mam nadzieję, że podejdzie do niej z naprzeciwką i nie zobaczy na początek jej tyłka – powiedziała Sara.

– Sara! – krzyknęły równocześnie Tracie i Laura.

– Tylko żartowałam! – zawołała Sara.

Na dole Beth stała, przestępując z nogi na nogę, i usiłując nonszalancko oprzeć się o słup latarni. Przez kilka chwil kobiety patrzyły w milczeniu na ulicę. Mimo całego zdenerwowania, a może właśnie z tego powodu, twarz Beth jaśniała oczekiwaniem, które towarzyszy pierwszej randce i które przekształca się w łagodny blask, kiedy kobieta jest zakochana.

– Jeśli on nie przyjdzie, zabiję cię, Tracie – powiedziała Laura.

– Jeśli przyjdzie i okaże się, że jest przystojny, zabiję cię za to, że umówiłaś Beth, zamiast pomyśleć o mnie – narzekła Sara.

– Zaraz, zaraz! Spokojnie – powiedziała Tracie uspokajająco. – Nie ma co się tak gorączkować. Może wcale by ci się nie spodobał.

I wtedy Tracie zobaczyła Jona, jak przypina swój rower do łańcucha, tuż za rogiem. Boże! Miała nadzieję, że dziewczyny jeszcze go nie zauważyły. Jak idiota, miał kask motocyklowy przymocowany do kierownicy. Musi mu wszystko mówić, nawet to, żeby nie zabierał swojego schwinna na randkę. Jest taki beznadziejny, że naprawdę można się tylko dziwić, czemu jeszcze nie został aresztowany za sianie publicznego zgorszenia. Tracie patrzyła, jak chwyta kask i biegnie ulicą. Na rogu zwolnił, sprawdził swoje odbicie w szybie wystawowej. Na szczęście Sara i Laura jeszcze go nie zauważyły. Kiedy skręcił za róg i przeszedł przez ulicę, nikt nie mógłby się domyślić, że ma jakiś związek ze schwinem.

– Idzie! – zawołała Laura.

Jonny przeszedł przez ulicę i podszedł do Beth. Widać było, że się witają i zaczynają rozmawiać. Tracie odsunęła się nieco od dziewczyn, żeby poobserwować ich reakcje.

– Boże! Wygląda świetnie! – mówiła Sara.

Przysunęła twarz bliżej do szyby i dłonią zasłoniła refleksy światła, żeby lepiej widzieć.

– Ładny sweter – skomentowała Laura.

– Fajna marynarka. Widziałam taką w zeszłym roku u Ralphi Laurena

– mówiła dalej Sara. – Zdaje się, że facet ma forszę. Nie wspominając o niezłej klatce piersiowej.

– Ma ze sobą kask! Czy on ma motocykl? – spytała Laura. Tracie przypomniała sobie, że Peter ma motocykl.

– A gdzie ta jego maszyna? – wtrąciła się Sara.

– Pewnie zaparkował za rogiem – powiedziała Tracie zgodnie z prawdą.

– Właśnie niedawno z kimś zerwał – dodała, żeby odwrócić ich uwagę. Przez chwilę obserwowały, jak Jonny i Beth rozmawiają ze sobą. W pewnym momencie Jonny wyciągnął rękę i dotknął włosów Beth. Oboje roześmieli się z czegoś. W serca trzech kobiet stojących w milczeniu przy oknie, nieopodal windy, zaczęło się wkradać poczucie samotności. Tracie przypomniała sobie nagle, jaka była podekscytowana w okresie pierwszych randek z Philem – jak przez godzinę przymierzała przed wyjściem wszelkie możliwe stroje. Przypomniała sobie, jaka była szczęśliwa tylko dlatego, że mogła go zobaczyć. To jej o czymś przypomniało.

– Chodź, Lauro. Musimy iść – powiedziała. – Mam tylko dwadzieścia minut na drinka, a potem muszę spotkać się z Philem.

– Tak, a ja muszę zabrać się do pisania tekstu – westchnęła Sara.

– Myślę, że wieczorem wezmę się do pisania mojego CV – powiedziała Laura. – Tak, a poza tym poczytam ogłoszenia o pracy.

Wszystkie trzy zgodnie westchnęły, odwróciły się od okna i odeszły.

Kelnerka wyczekująco patrzyła na Jonny'ego i Beth. Wyglądała, jakby miała ponad sto lat. Jedna z tych kobiet, które pracują do dnia swojej śmierci.

Siedzieli w „Merchants Cafe”, najstarszej restauracji w Seattle, a ich kelnerka była prawdopodobnie jeszcze starsza. Jon był oczywiście zdenerwowany, ale na razie jeszcze niczego nie schrzanił. Przed wyjściem z pracy drugi raz zadzwonił do Tracie i zrobili szybką powtórkę materiału. Tracie miała dyskretnie zjawić się w restauracji i z daleka obserwować jego poczynania. Jon postanowił, że tym razem zrobi wszystko bez zarzutu. Będzie pamiętał swoje kwestie, skomplementuje jakiś drobny szczegół urody Beth i będzie unikał wszelkich wzmianek o swoich upodobaniach dietetycznych. Nie weźmie ze sobą żadnego bagażu i nie zawiśnie na żadnej skalnej ścianie.

Jednak kiedy wpatrywał się w ładną twarz Beth, wszystkie nauki Tracie pomieszały mu się w głowie. Zrobiło mu się smutno i zaczął się zastanawiać, czy to całe przedstawienie jest w ogóle potrzebne. Przecież tylko pogłębia dzielącą ich przepaść. Musiał jednak przyznać, że Beth była naprawdę ładna, a do tego już od dawna żadna kobieta nie patrzyła na niego z takim zainteresowaniem. Powiedział sobie, że tym razem się nie da. Musi wyjść z tej próby zwycięsko. Zamierzał zrobić wyłącznie właściwe ruchy w tej grze.

Kelnerka z rosnącym zniecierpliwieniem stuknęła nogą w podłogę, czekając na zamówienie. Jon przypomniał sobie, że miał coś zrobić, kiedy Beth będzie wybierała danie. Próbował się skupić, co to było. Coś z cielęcina? Nie. Na chwilę wpadł w panikę. Ale zaraz sobie przypomniał. Miał poczekać, aż ona wybierze swoje danie.

– Proszę solę – powiedziała Beth do kelnerki.

– Jesteś pewna, że chcesz to zamówić? – spytał Jon, dumny, że w porę sobie przypomniał właściwą kwestię.

– Dlaczego? Czyżby nie mieli tu świeżych ryb? – zdziwiła się Beth. Zaraz. Tego nie było na lekcji. Uświadomił sobie – po czasie – że w scenariuszu Tracie jego partnerka zamawiała coś tuczącego.

– Wszystkie nasze ryby są zawsze świeże – powiedziała kelnerka wrogo, jak gdyby wszelka dyskusja na temat ryb rzucała cień na jej

osobisty honor.

– Przepraszam. Oczywiście, że są świeże – powiedział Jon przepraszająco.

Wcale nie miał zamiaru obrażać „Merchants Cafe”. Jak miał to wyjaśnić? Niemal bez namysłu dodał:

– Tak, ja też poproszę solę.

Nie przepadał za solą, ale to był dobry gest pojednawczy. W każdym razie miał taką nadzieję.

– Do tego będzie sałatka. Czy do ryby podać ryż, czy ziemniaki?

Kelnerka bez słowa przyjęła zamówienie i odeszła, kiwając głową.

W tym czasie Beth przyglądała mu się z lekkim uśmieszkiem.

– Jesteś zwariowany. Ostrzegasz mnie, żebym nie brała ryby, a potem sam ją zamawiasz.

Jon wzruszył ramionami. No dobra. Spieprzył tę sprawę, ale już więcej niczego nie spieprzy. Starał się pomyśleć, co James Dean zrobiłby na jego miejscu. Prawdopodobnie nie zamówiłby soli. Czego jeszcze go Tracie uczyła? Spojrzał na Beth. Miała naprawdę ładne oczy – ciemne i okolone jeszcze ciemniejszymi rzęsami – ale wiedział, że nie wolno mu tego powiedzieć. Toteż kiedy kelnerka wróciła do stołu i postawiła przed nimi dwie sałatki, Jon chwycił starą kobietę za rękę i przytrzymał. Spojrzał na Beth.

– Czyż ona nie ma najpiękniejszych oczu na świecie? – spytał Beth.

Ale już w chwili, kiedy wypowiadał te słowa, ze skurczem w dołku uświadomił sobie, że oczy kelnerki z całą pewnością nie są piękne.

Prawdę mówiąc, były ledwo widoczne, zatopione w fałdach jej pomarszczonej twarzy.

– O, tak, absolutnie – zgodziła się z nim Beth, prawdopodobnie dlatego, żeby sprawić kobiecie przyjemność. A może dlatego, że sądziła, że Jon stara się być miły.

– Dziękuję – odpowiedziała kelnerka.

No cóż, nie wzbudził zazdrości w Beth, ale przynajmniej naprawił jakoś swoje obraźliwe zachowanie przy zamawianiu ryby. Co dalej? To wszystko było takie trudne. Westchnął. Po odejściu kelnerki zaczął dłubać widelcem w sałatce, bojąc się odezwać i bojąc się milczenia.

– To było bardzo miłe z twojej strony – powiedziała Beth tonem, jaki słyszał od kobiet przez całe życie. – Jesteś słodkim facetem.

– Nie, nie jestem – odparł z większym naciskiem, niż zamierzał.

Beth zamruwała oczami, których urody nie miał prawa komplementować. Wspaniale. Jeszcze chwila i zacznie bredzić o swoim bagażu i Unabomberze. Beth ucieknie z krzykiem z restauracji. Weź się w garść – powiedział sobie. Beth mówiła coś o restauracji, więc Jon musiał natychmiast się ocknąć i podjąć rozmowę.

– Czy jesteś z Seattle? – zdołał z siebie wydusić.

Boże, to było beznadziejne, ale przynajmniej mogła coś odpowiedzieć.

Zacząła opowiadać o wszystkich miejscach, w których mieszkała.

Jednak Jon przestał jej słuchać, ponieważ kątem oka zauważył, że do restauracji weszła Tracie z Philem i usiadła po drugiej stronie sali. O, nie. Powiedziała, że przyjdzie, aby go w razie czego poratować, ale jakoś zupełnie nie przyszło mu do głowy, że może przyprowadzić ze sobą Phila.

Oczywiście, nie przyszłoby sama i przypuszczał, że Phil – odrażający jak zawsze – jest i tak lepszy niż Laura. Gdyby znowu wszystko zawalił, nie chciał, żeby kobieta, którą przypadkiem próbował kiedyś poderwać, widziała, jak idzie na dno w płomieniach.

Tracie rozejrzała się po sali, napotkała jego spojrzenie i dyskretnie mu pomachała. Usiadła na krześle stojącym tyłem do Jona i Beth. I wtedy Jon uświadomił sobie, że Beth zadaje mu jakieś pytanie.

– Tak? – spytał jak jakiś przygłup.

– Czym jeździsz? – powtórzyła.

– Schwinnem... ee... Czy mogę przeprosić cię na chwilę? – spytał, kiedy się roześmiała.

– Jasne, Jonny, oczywiście.

Zacisnął zęby. Nienawidził tego głupiego imienia. Wstał i ruszył w stronę stołu Tracie, gdy nagle usłyszał głos Beth:

– Myślę, że męska toaleta jest w tamtą stronę.

– O, dzięki. Tak, oczywiście.

Poszedł w kierunku wskazanym przez Beth, po czym na moment ukrył się w holu i zawrócił. Pochylił się i podbiegł do stolika Tracie. Wsunął głowę między nią a Phila. Po prostu potraktował Phila jak powietrze. Phila i wszystkich wygadanych Philów tego świata. Skupił się na Tracie.

Ale nie mógł tak zupełnie nie zauważyć Phila, ponieważ kiedy wysunął głowę spod stolika, Phil wzdrygnął się jak oparzony. Gdyby w tym momencie miał coś w ustach, z pewnością by się zakrztusił. Chociaż

Jon nie był w nastroju do żartów, przygotował się na zniewagę.

– A co to? Mały Czubek! Czy to Jonny?

Jon nie zamierzał odpowiedzieć, ale Phil ciągnął dalej.

– Tracie, on wygląda całkiem dobrze. To znaczy, wiesz, jak na niego, to naprawdę dobrze!

Jon postanowił nie zwracać na niego uwagi.

– Wszystko idzie nie tak – szepnął do Tracie.

– Skąd wiesz? – spytała zdecydowanie.

– Już zdążyła mi powiedzieć, że uważa mnie za miłego faceta.

Phil roześmiał się.

– No proszę! – zawołał. – Można wyciągnąć dupka z Krainy Nudziarzy, ale nie można wyciągnąć nudziarza ze środka dupka.

– Dzięki, Yoda – warknął Jon.

– Jak to dokładnie brzmiało? – spytała Tracie.

– Powiedziała, że jestem „słodkim facetem”. Phil znowu się roześmiał.

– Cholera! – wykrzyknęła Tracie.

Rzadko używała mocnych wyrażen, więc Jon zrozumiał, że jest aż tak

źle, jak się obawiał. Och, postara się odegrać swoją rolę jak trzeba.

Postara się zrobić wszystko tak, jak mu powiedziała. Naprawdę

próbował postępować zgodnie z jej wskazówkami. Włosy, ubranie,

restauracja, pamiętał, co miał mówić, i to, czego miał nie mówić –

wszystko, ale to nadal nie działa. Może powinien pomyśleć o życiu w klasztorze?

Uświadomił sobie, że w zdenerwowaniu plecie coś bez sensu, ale nie potrafił się powstrzymać.

– ...ale ona nie zamówiła cielęciny w parmezanie, kelnerka jest starsza od mojej babci, a kiedy zrobiłem numer z pięknymi oczami,

powiedziała, że jestem słodki. – Walnął pięścią w stół. – Dlaczego one zawsze myślą, że jestem słodki?

– Uspokój się. I nie martw się – próbowała pocieszyć go Tracie. –

Jeszcze poczują, że jesteś bez serca. To tylko pierwsza próba. Po prostu potraktuj to jako ćwiczenie. Zrobiłeś numer z telefonem?

– Jaki numer? – spytał.

Tracie przeniosła wzrok na Phila, po czym znowu na Jona.

– Ten, o którym ci mówiłam przez telefon. Wzięła jego dłoń i palcem coś na niej napisała.

– A, tak, tak – powiedział Jon. – Oczywiście, to znaczy nie, ale zaraz

zrobię.

Wbrew sobie Jon odwrócił głowę w stronę Phila. Skoro już musiał być świadkiem jego upokorzenia, to niech się chociaż na coś przyda.

– A tak przy okazji, Phil, jeździsz yamahą?

Phil spojrzął na niego z niesmakiem.

– Nie. Gram na yamasze. Jeżdżę na suzuki.

Jon musiał wracać i nie miał czasu odciąć mu się tak, jak na to zasługiwał.

– Świetnie. Dzięki – rzucił pośpiesznie i schylony wrócił do przejścia.

Tam wyprostował się wreszcie i rozejrzał dookoła, czy nie widać gdzieś jakiejś kobiety, z którą mógłby zamienić kilka słów, zanim napisze sobie numer na dłoni. Ale wokół nie było żadnej kobiety, a nawet gdyby była, Beth i tak nie mogła go zobaczyć. Musiał coś zrobić, więc wyjął po prostu pióro i na-skrobał na dłoni numer telefonu. Idąc lekko kołyszącym się krokiem, niczym James Dean w Gigancie, wrócił do stolika, gdzie tymczasem podano rybę.

– Zaczęłam bez ciebie – powiedziała Beth. – Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za osobę źle wychowaną.

– Nie. Ależ skąd.

Wyciągnął rękę, żeby sięgnąć po sos tatarski, i omal go nie przewrócił.

Beth złapała butelkę i przez chwilę patrzyła na jego dłoń.

– Och, dziękuję – bąknął.

Beth zarumieniła się i spuściła wzrok. Zauważyła, co miał na ręce.

– Czy to nie numer Tracie? – spytała. A niech to wszyscy!

– No tak... Wiesz.... Czasami go zapominam – powiedział możliwie najbardziej naturalnym tonem, na jaki go było stać. Lepiej zmienić temat. – A wracając do twojego pytania, jeżdżę suzuki.

– Siedemset pięćdziesiątką? – spytała, biorąc do ust kawałek cykorii.

Miała bardzo zmysłowe usta. Bardzo pełne, czy jak tam to się nazywa w magazynach dla kobiet, kiedy mowa o seksownych wargach. Do tego pomalowane czerwoną szminką, co z jakiegoś powodu podziało na Jona niezwykle podniecająco.

– Ehe. Tak.

– Nie wiedziałam, że suzuki produkuje siedemset pięćdziesiątkę. Mój brat jeździł na harleyu. – Skończyła jeść swoją rybę. – Powiedział, że wszystkie japońskie motocykle to złom.

– No tak, brzmi to nieco etnocentrycznie.

Spojrzał na swoją rybę. Była zimna, a poza tym i tak w ogóle nie zamierzał jej zamawiać.

– Nie smakuje ci ryba, Jonny?

Boże! Za każdym razem, kiedy wymawiała to imię, myślał, że mówi do kogoś innego.

– Aha. No tak... to znaczy... nie, nie bardzo – przyznał. – Zamówiłem ją tylko dlatego, że ty ją zamówiłaś. Ale nie jestem żadnym wegetarianinem czy kimś w tym rodzaju – zapewnił skwapliwie.

Na chwilę zapadła cisza. Musiał coś powiedzieć.

– Masz bardzo ładne płatki uszu – odezwał się wreszcie. – Bardzo kształtne.

Beth roześmiała się.

– Naprawdę jesteś stuknięty.

Znowu się roześmiała. Rozmawiali przez chwilę.

– Podoba mi się twoja marynarka. Gdzie ją kupiłeś? – spytała.

– Moja przyjaciółka... to znaczy dziewczyna, która jest moją przyjaciółką. To znaczy przyjaźnimy się... i ona powiedziała, że...

Przerwała mu.

– Czy spotykasz się z kimś? Mam na myśli na serio?

Czy Tracie powiedziała mu, jak brzmi odpowiedź? Jeśli nawet mówiła, zupełnie nie mógł jej sobie przypomnieć.

– Nie. Nie, ja...

– Ale nie mieszkasz z nią, prawda? – spytała Beth. Tę kwestię pamiętał.

– Nie. Mieszkam sam. Ale nie możesz przyjść do mnie.

– A zatem chodźmy do mnie – powiedziała Beth.

Jonny odłożył swój widelec. Czy dobrze usłyszał? Mało brakowało, a poprosiłby dziewczynę, żeby to powtórzyła jeszcze raz, ale czując, jak serce i inne części ciała mu szaleją, wołał nie kusić losu. Poprosił o rachunek i natychmiast położył pieniądze

na stole, gdy tylko dostał go do ręki (Tracie powiedziała mu, żeby nie używał karty kredytowej, a poza tym wołał się pospieszyć, zanim Beth się rozmyśli). Teraz pozostawało tylko tak ją wyprowadzić z restauracji, żeby nie zobaczyła Tracie i Phila siedzących po drugiej stronie sali.

Ze strachu, że Beth ich zobaczy, położył jej rękę na ramieniu i delikatnie, ale zdecydowanie poprowadził ją do drzwi, kierując jej ciałem w taki sposób, żeby zawsze była zwrócona w stronę baru, a nie w stronę sali.

Obróciła głowę i przez ramię powiedziała do niego:

– To jest seksy.

Jon nie mógł uwierzyć własnym uszom. Otwierając drzwi, zdążył tylko rzucić Tracie przelotne spojrzenie. Wyciągała szyję jak mogła i chociaż nie miał co do tego pewności, wydawało mu się, że dostrzegł na jej twarzy wyraz lekkiego zdumienia.

Tracie leżała na łóżku w zupełnej ciemności, wpatrując się w sufit. Czuła na sobie ciężką nogę Phila, a do tego późny obiad leżał jej na żołądku. Phil zajmował jak zwykle więcej niż tylko swoją połowę łóżka i cicho pojękiwał w nieregularnych odstępach, jak zawsze tuż przed zaśnięciem. Tracie starała się delikatnie uwolnić spod jego ciężaru, tak żeby go nie zbudzić, ale było to raczej niemożliwe.

Po nagłym wyjściu Jona i Beth z „Merchants Cafe” dokończyli z Philem swój obiad. Phil pochłonął także jeden cały koszyk chleba i większość drugiego – nie licząc jednego kawałka, którego nie potrafiła sobie odmówić – wraz z dużą sałatką z niebieskim serowym dressingiem oraz bardzo kalorycznym deserem. Przypomniała sobie jedno z powiedzonek z Encino, którego nauczyły się, kiedy wkuwały tabliczkę mnożenia. „Więc jadłam i jadłam, aż pękłam na cztery. Więc osiem razy osiem jest sześćdziesiąt cztery”. Phil zakończył obiad kieliszkiem brandy i dwoma podwójnymi espresso. Żeby mu dotrzymać towarzystwa, też wzięła jedną kawę, więc pewnie to ta kawa – wma- wiała sobie – w połączeniu ze zrozumiałym niepokojem o przyjaciela sprawiała, że nie mogła teraz zasnąć.

Przyjechali do domu ponad trzy kwadransy temu i zaraz padli na łóżko, jednak Tracie od samego początku miała kłopot z zaśnięciem. Nie była przyzwyczajona do obfitych posiłków o tak późnej porze, a do tego nigdy nie jadła chleba ani deserów.

Poza tym była taka zdenerwowana, spodziewając się, że w każdej chwili rozlegnie się dzwonek jej komórki i usłyszy głos Jona błagającego o wyjaśnienie, dlaczego poszło mu tak źle w restauracji. A że nie szło mu dobrze, mogła się bez trudu domyślić z jego chaotycznych pytań i przytaczanych przez niego słów Beth. Kto jak kto, Beth na pewno nie była dziewczyną, której mógł się spodobać miły chłopiec. Co się stało? Jaki błąd tym razem popełnił? Może po prostu nie da się zmienić Jonny'ego – pomyślała – i mimo całego kamuflażu jego prawdziwa natura wyszła na jaw. No cóż, tym razem Beth miała pecha. Tracie miała tylko nadzieję, że Jon nie został zbyt mocno pobity. W końcu zrobiła to wszystko po to, żeby zdobył nieco pewności siebie, ale wygląda na to, że jej wysiłki przyniosły zgoła odmienny skutek. Zmieniła pozycję. Wciąż leżała przyciśnięta nogą Phila. Zdrętwiała jej

prawa stopa. Będzie musiała go szturchnąć, żeby się uwolnić spod jego ciężaru. Phil tak się okropnie rozpychał, że zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście chce wygrać ten zakład. W restauracji zachowywał się paskudnie, naśladując Jona i wyśmiewając się z nich obojga. Obżerał się jak świnia, nigdy nie miał przy sobie pieniędzy i chociaż był niezaprzeczalnie szalenie przystojny, rozglądał się za innymi dziewczynami. Oczywiście było im cudownie w łóżku, ale tylko kiedy szło o seks – zwykle spanie z Philem z pewnością nie było już takie zabawne.

Jednak nie w tym kryła się przyczyna jej bezsenności. Rzecz w tym, że Tracie nie mogła pojąć, czemu Jon i Beth tak szybko wyszli z restauracji, czemu Jon do niej nie zadzwonił i czemu nie odpowiedział na jej telefon. Oczywiście, że sama mówiła mu, że ma być nieuchwytny, ale miał być nieuchwytny dla innych kobiet, a nie dla niej. Znając Jona, pomyślała, że po prostu nie chciał jej niepokoić kolejnymi złymi wiadomościami. Mimo to dzwoniła do niego już czterokrotnie i za każdym razem długo nie odkładała słuchawki z nadzieją, że nie wyłączył telefonu i że w końcu podniesie słuchawkę, żeby mogła go pocieszyć.

Postanowiła spróbować jeszcze raz. Najdelikatniej jak tylko mogła popchnęła ręką biodro Phila, starając się równocześnie oswobodzić nogę. Zdażyła tylko wyciągnąć kolano, kiedy Phil uniósł głowę.

– Która godzina? – spytał.

– Późno, późno, śpij – powiedziała. – Odwróć się na drugi bok.

Phil odwrócił się i Tracie mogła wreszcie wstać. Przez ramię Phila spojrzała na zegarek. Wzięła telefon, wystukała numer Jona, a kiedy nikt się nie odezwał, postanowiła zadzwonić do Beth. A co tam.

Wprawdzie Beth mogła się na nią wściekać, że ją wrobiła w tę randkę, albo że ją budzi po nocy, ale zawsze mogła udawać, że ma kłopoty z Philem. W końcu Beth nieraz dzwoniła do niej z powodu Marcusa. Jednak telefon Beth także nie odpowiadał.

– Jest prawie druga w nocy. Gdzie oni są? – mruknęła do siebie. Phil burknął coś. Poczowała nagły niepokój. A może...

– Ściągają z sieci przepisy kulinarne, jak się domyślam – powiedział Phil z rozdrażnieniem. Był naprawdę niemiły. Zawsze się tak zachowywał, kiedy ktoś go zbudził. – Daj spokój, idź spać. Nie jesteś niczyją niańką – upomniał ją. – Co cię to obchodzi?

– No tak... mam tylko nadzieję, że u nich wszystko w porządku – powiedziała Tracie i usiadła po swojej stronie łóżka. Wyobraziła sobie, że Jon ostatecznie dał za wygraną i powiesił się w swojej pustej garderobie. Albo nie wytrzymał i rzucił się na Beth jak seksualnie wygłodniałe zwierzę.

Phil odwrócił się na drugi bok, ale Tracie nadal wpatrywała się w ciemność. Po chwili usłyszała jego chrapanie.

Przeszła do salonu i usiadła na sofie, żeby jakoś zebrać myśli i zastanowić się, co ma teraz zrobić. Nagle zobaczyła, jak Laura wstaje ze swojej leżanki, ukradkiem podchodzi do nocnego stolika i podnosi słuchawkę telefonu.

– Co ty robisz? – spytała ją.

Laura wzdrygnęła się zaskoczona i stłumiła okrzyk przestrawu.

– O mój Boże! Tracie! Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Najwyraźniej – powiedziała Tracie. – Do kogo zamierzałaś dzwonić? Chyba nie do kogoś w Encino? – spytała oskarżyciel-skim tonem.

– Nie zamierzałam do nikogo dzwonić – skłamała Laura.

– Nie, nie – zgodziła się Tracie z sarkazmem w głosie. – Tylko zbudziłaś się w środku nocy i naszła cię jakaś przemożna chęć, żeby odkurzyć telefon. – Tracie zmrużyła oczy, choć w ciemności ledwo widziała białawy zarys postaci Laury. Ciekawe, czy Laura robiła tak cały czas, kiedy ona myślała, że jej przyjaciółka zaczyna już z tego wychodzić?

– Skoro na moim rachunku nie pojawiają się żadne numery na dziewięćset, muszę przyjąć, że dzwoniłaś do Petera – powiedziała gorzko.

– Nie. Tracie. Przysięgam, że nie dzwoniłam. To pierwszy raz. Tak jakoś...

Laura usiadła obok Tracie. Wzięła jedną z poduszeczek i przycisnęła do piersi. Kiedy znalazły się obok siebie w ciemności, siedząc w nocnych koszulkach na kanapie, Tracie poczuła nagle, jak ogarnia ją fala ogromnej czułości do przyjaciółki. Niełatwo być Laurą. Kto potrafi zrozumieć tę dużą, zabawną, inteligentną i dowcipną dziewczynę z pasją do gotowania? Kto będzie chciał żyć z nią i kochać ją tak mocno, jak na to zasługiwała? Cóż, Tracie na pewno, a każdy mężczyzna, który nie widzi tych skarbów, wiele traci. I to nie tylko w postaci wspianiałych obiadów.

– Sama nie wiem. Patrzyłam, jak Beth szykuje się na randkę, a potem ty musiałaś biec na spotkanie z Philem, i nagle poczułam, że wszyscy kogoś mają, tylko nie ja. I pomyślałam o Peterze. Wiem, że nawet nie powinnam o nim myśleć – przyznała Laura z bólem w głosie. – Wiem o tym. Ale...

– Wiem – powtórzyła Tracie i objęła Laurę ramieniem – trudno być samemu w świecie par. Mam nadzieję, że nie dajemy ci odczuć, jakobyś była dla nas zawadą. Nie darowałabym sobie, gdyby tak było.

– Nie, nie. Nigdy się przy was nie czuję jak piąte koło u wozu. To takie miłe, że zechciałaś mnie tu przyjąć. – Urwała na chwilę. – Naprawdę już nie mogłam wytrzymać w Sacramento. Laura wydała z siebie zduszone westchnienie.

– Wiesz, wcale nie chcę, żeby Peter do mnie wrócił. Tylko że usłyszałam chrapanie Phila i jakoś poczułam się bardzo samotna. Znowu zrobiła pauzę i Tracie zobaczyła, jak po policzku Laury spływa pojedyncza łza.

– Chciałam znaleźć się obok mojego własnego chrapacza – wyznała Laura i pociągnęła nosem. – Teraz możesz mnie podać do sądu.

– Tym razem nie podam cię do sądu – odparła Tracie – ale zamierzam ci powiedzieć, że musisz zrezygnować z oglądania powtórek Quincy'ego. Jack ma zły wpływ na ciebie. Wiesz, Mr Bill w wypożyczalni video nie pozwala mi więcej oglądać Romans z nieznanym.

– Naprawdę?

– Tak. I ma rację. Musisz zacząć znowu bywać w świecie. Tak się jakoś dziwnie składa, że ani w mojej kuchni, ani przed moim telewizorem raczej nie poznasz nikogo nowego.

– Coś w tym jest – przyznała Laura.

Tracie przesunęła rękę ku dłoniom Laury i je pogłaskała. Były duże, ciepłe i wrażliwe, tak jak Laura.

– Naprawdę – powiedziała Tracie. – Czy nie sądzisz, że przyszedł czas, abyś pomyślała o pozostaniu w Seattle? Abyś poszukała jakiejś pracy?

– No tak, byłam już na jednym spotkaniu – odparła Laura z nadzieją w głosie.

– Pierwsze koty za płoty – zaśmiała się Tracie. – A jak mi pozwolisz, to umówię cię ze Stefanem i zrobimy ci pasemka. Będzie zabawnie.

– Słuchaj, a co byś powiedziała, gdybyśmy teraz, ten jeden raz, upiekły

czekoladowe babeczki z serem? Wiem, jak za nimi przepadasz. Jednak na widok miny Tracie Laura szybko poniechała swojego pomysłu.

– Dobrze. Dobrze. Niech będzie jedna blacha czekoladowych ciasteczek z pudełka.

– „Więc jadłam i jadłam, aż pękłam na cztery. Więc osiem razy osiem jest sześćdziesiąt cztery” – zanuciła Tracie, ruszając w stronę kuchni. – A potem usiądziemy sobie razem na sofie i obejrzymy odcinek Barnaby Jonesa czy co tam dają o tej porze.

– Naprawdę? – spytała Laura głosem znowu pełnym entuzjazmu.

– Jasne. Może Buddy Ebson pomoże ci uwolnić się od Klug-mana – powiedziała Tracie. – Potraktuj Buddy'ego jak plaster na ranę. Czy mówiłam ci, że Jon chciał, żeby go nazywać Bud? – spytała i przez chwilę znowu zaczęła się zastanawiać, co się z nim dzieje.

– Bud? Och, marzenia, co? – spytała Laura i obie zachichotały w ciemności.

Jon siedział na jednym ze swoich foteli, z kaskiem na kolanach i – jak się domyślał – głupkowatą miną na twarzy. Nie mógł pozbyć się tego lekkiego uśmiešku zadowolenia, choć miał po południu poprowadzić ważną naradę w sprawie „Parsifala” i wiedział, że jest do niej zupełnie nieprzygotowany. Zamiast skoncentrować się na problemie, czym jego ludzie powinni się zajmować w najbliższym czasie w ramach prac nad „Parsifalem”, Jon w kółko odtwarzał w pamięci wydarzenia minionej nocy.

Beth okazała się bardzo chętną partnerką, ale podchodziła do sprawy z nadmiernym pośpiechem i energią. Głaszcząc ją delikatnie, Jon trochę ją uspokoił, tak jak to się robi z nerwowym psiakiem. Za każdym razem, gdy zamierzała przejść do jakiejś nowej pozycji, przypominał jej swoimi rękami i językiem – a czasami także całym ciałem – żeby nieco zwolniła tempo. Chciał, żeby rozkoszowała się każdym dotknięciem, każdym muśnięciem, każdą pieścizną.

A kiedy już się rozluźniła, Jon miał wrażenie, że było jej całkiem dobrze. Zorientował się, że Beth ma bogate doświadczenie, ale dotyczyło ono zdaje się bardziej zaspokajania potrzeb mężczyzn niż odczuwania własnej przyjemności. Kiedy się kochali za pierwszym razem, Jon skończył za szybko. Ale dzięki temu za drugim razem mógł spokojniej, za pomocą swojej dłoni oraz długich, powolnych ruchów, pomóc jej osiągnąć orgazm.

A w każdym razie tak mu się wydawało. Jon westchnął. Pod wpływem wydarzeń ostatniej nocy w zupełnie nowym świetle ujrzał całą sprawę. O dziwo okazało się, że zupełnie mu nie przeszkadza fakt, że prawie wcale nie znał Beth i raczej nie sądził, żeby mu przypadła do gustu, gdyby ją poznał bliżej. Zrobili po prostu coś, co było zdrowe i przyjemne, jednak jedyną rzeczą, jaka mu się nie podobała w seksie z kimś praktycznie nieznanym, było to, że nigdy nie miało się pewności, czy twój partner miał już orgazm, czy nie. Ze swoją ostatnią narzeczoną Jon miał umowę, że nie będzie udawała orgazmu. Miał nadzieję, że Beth też nie udawała, ale pewności nie miał. Rozejrzał się po swoim biurze i oczami wyobraźni zobaczył twarze pracowników z jego działu, którzy za pół godziny będą siedzieli w tych fotelach i z uwagą przysłuchiwali się jego słowom. Domyślał się, że żaden

z nich nie będzie czuł się tak dobrze, nie będzie tak zrelaksowany, jak on w tej chwili. Żaden też nie będzie równie pozbawiony motywacji. Ani tak nieprzygotowany. Miał nadzieję, że jego ludzie nie objają się tak jak ich szef w ostatnim czasie.

Mimo że zbliżała się godzina zebrania, Jon nadal nie mógł skupić się na pracy. Wciąż powracały do niego obrazy z minionej nocy: jego ręka sunąca w dół pleców Beth aż do zagłębienia tuż ponad jej pełnymi biodrami; drzenie jej powiek, gdy wędrował powoli ręką od jej szyi do piersi. Mimowolnie przesuwiał językiem po górnej wardze, wyobrażając sobie jej sutki i ich smak na swoich wargach. Poczł napięcie w kroczu i uświadomił sobie, że lepiej będzie, jak skupi się na „Parsifalu”, skoro większą część zebrania będzie musiał spędzić na stojąco.

Beth była całkiem miła, ale niezbyt mądra. Gdyby nie postępował w myśl wskazówek Tracie, nie wiedziałby, o czym z nią rozmawiać. A jednak coś go ciągnęło do telefonu. Chciał do niej zadzwonić. Nie, nie chciał z nią porozmawiać. Pragnął jedynie, aby się z nią gdzieś spotkać i aby jak najszybciej wszystko powtórzyć.

Coraz bardziej zaczynał rozumieć sens powiedzenia, że w miłości i na wojnie wszystkie chwytty są dozwolone. Nie chodziło przy tym o to, że jego ojciec czy Phil nie lubili kobiet, z którymi się zadawali. Oni po prostu lubili je za słabo. Seks z nieznaną – a Jon wiedział, że Beth była dla niego kimś praktycznie obcym – może być bardzo zabawny, ale potem zwykle nie ma o czym rozmawiać.

Znowu zadzwonił telefon na jego biurku, ale zgodnie z nakazami Tracie nie podniósł słuchawki. Niewątpliwie wprowadzał w ten sposób poważne utrudnienie w swoim życiu zawodowym, ale na wspomnienie ostatniej nocy wiedział, że było warto. Jon uśmiechnął się do siebie. Poczł lekki dreszcz na myśl, że mógłby to zrobić jeszcze raz. Pomyślał o kobietach, które miały przyjść na dzisiejsze zebranie: Elizabeth, Cindy i Susan. Z pewnością nie mógł romansować z żadną ze swoich podwładnych, ale Samantha? Tak, to zupełnie inna historia. Przez chwilę zastanawiał się, czy ze swoim nowym wyglądem miałby większe szanse u Samantha. Znowu zadzwonił telefon, ale Jon i tym razem go zignorował. Jego asystentka przypominała wszystkim o zbliżającym się spotkaniu. Jeszcze raz rozległ się dzwonek telefonu. Jon zirytowany poderwał się, żeby sprawdzić na wyświetlaczu, kto

dzwoni. To była Tracie.

Odruchowo sięgnął po słuchawkę, ale zawahał się. Poczł się zakłopotany. Znał ją. Nie na darmo była reporterką. Zaraz zada mu setki pytań o najdrobniejsze detale, a jakoś wydawało mu się nie w porządku opowiadać Tracie, jak dobrze mu było z jej przyjaciółką Beth. Z drugiej strony byłoby równie nie w porządku udawać, że było mu z nią niemiło. Usiadł z powrotem na fotelu i podobnie jak z fotela z sykiem uszło z niego powietrze. W pewnym sensie zawdzięczał Tracie zarówno ostatnią noc, jak i te, które miały nadejść. A jednak poczuł, że nie ma ochoty z nią o tym rozmawiać.

Nie został u Beth na noc, tak jak było przykazane, ale czy to znaczy, że nie może do niej zadzwonić? Chyba w tym wypadku Tracie trochę przesadza. Choć wszystkie jej zalecenia sprawdziły się co do joty. Poza tym, jeśli już miał być ze sobą szczery, wcale nie miał ochoty na związek z Beth. Co ma zrobić w tej sytuacji? Powiedzieć Beth, że chciałby się z nią zobaczyć tylko

po to, żeby pójść z nią do łóżka? Nakłamać Tracie i udawać, że między nim a Beth nic nie było? Zdradzić Beth i powiedzieć, że było?

W drzwiach pojawiła się głowa jego asystentki Lauren.

– George mówi, że nie ma jeszcze gotowego harmonogramu – powiedziała.

Jon w sekundę zerwał się z fotela.

– A niech to diabli! Jak mamy zaplanować dalsze etapy prac bez harmonogramu? – zapytał. – Wszystko się na nim opiera.

Lauren wzruszyła ramionami.

– Mówi, że próbował się do ciebie dodzwonić, ale nie mógł cię złapać.

– Nie zostawił żadnej wiadomości – powiedział Jon. Przemilczał jednak fakt, że tak ustawił swoją pocztę głosową, żeby zawsze odzywała się informacja, że jego skrzynka jest pełna. Lauren znowu wzruszyła ramionami i zniknęła. Cholera – pomyślał Jon. Kiedy on leżał w łóżku z Beth, „Parsifal” leżał rozłożony na cztery łopatki.

Musiał przejrzeć e-maile, ściągnąć kopię raportu na temat bazy danych i sprawdzić zawartość swojej poczty głosowej. Wprowadzie Tracie kazała mu w ogóle pozbyć się poczty głosowej, ale nie mógł tego zrobić u siebie w pracy. A biorąc pod uwagę, że był przyzwyczajony do kilku telefonów od ludzi z Micro/Conu dziennie, już samo skasowanie domowego systemu było dla niego ciężkim przeżyciem. Zabawa

z komunikatem o pełnej skrzynce automatycznej sekretarki także była niebezpieczna. Wystarczy popatrzeć na to, co się porobiło z George'em i harmonogramem. Włączył odczyt i zaczął słuchać wiadomości z piórem w ręku.

– Masz dwadzieścia siedem nowych wiadomości – usłyszał.

Jęknął głucho. Samo odsłuchanie zajmie mu czas, jaki pozostał do zebrania.

Pierwsza wiadomość była od Tracie.

– Dzwoniłam do ciebie do domu, ale nie podnosisz słuchawki. Czy masz depresję? Jak poszło? Zadzwoń.

Druga także była od Tracie.

– Próbowałam jeszcze cztery razy dodzwonić się do domu. Umieram z ciekawości, jak poszło. Słuchaj, nie warto się zadręczać z jej powodu. Będą inne.

Jon nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc te słowa, choć czuł się trochę winny, że do niej nie oddzwonił. Trzecia wiadomość była od jego matki.

– Cześć, Jonathan. Wiem, że pewnie bardzo ciężko pracujesz, ale chciałam z tobą porozmawiać. Nie jest to nic ważnego, ale jeśli będziesz miał wolną chwilę, to zadzwoń do mnie.

Ua. Od Dnia Matki nie znalazł chwili czasu, żeby się zobaczyć z matką albo choć z nią porozmawiać. Oczywiście myślała, że jak zwykle jest taki zapracowany. Powiedział sobie, że zadzwoni do niej wieczorem.

Czwarta wiadomość była znowu od Tracie, ale już z tego dnia.

– Gdzie jesteś? – pytała. – Odezwij się. Zadzwoń. Jestem w pracy. Beth jeszcze nie przyszła. Mam nadzieję, że jej nie zamordowałeś.

Następną wiadomość przerywały liczne głębokie oddechy i przez chwilę myślał, że to Tracie się wygłupia. Jednak zaraz uświadomił sobie, że to była Beth.

– Cześć – wyszeptała do słuchawki. – Wczoraj w nocy było... och, sam wiesz, jak było. Gdzie zniknąłeś? Dzięki, że zostawiłeś numer.

Zadzwoń do mnie.

Jon skulił ramiona pod brzemieniem poczucia winy. Tracie bardzo jasno mówiła, że nie powinien zdradzać, gdzie pracuje, ani dawać swojego numeru, ale kiedy wymknął się z sypialni Beth, czuł się tak bardzo nie w porządku, że zostawił swój numer do Micro/Conu, a potem tak ustawił telefon, że osoba dzwoniąca z zewnątrz nie musiała

wiedzieć, że dodzwoniła się do Micro/Conu. Westchnął. Wszystko to było znacznie bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażał.

Jon powściągnął uśmiech i zabrał się do odsłuchiwania dalszych wiadomości. Były jeszcze cztery od Tracie – i z każdą

z nich czuł się coraz bardziej winny – oraz jeszcze dwie od Beth.

A więc nie był jedyną osobą, która zasypuje kogoś telefonami.

Najwyraźniej kobiety także to robią, z tą różnicą, że aż do dziś żadna z nich nie wydzwaniwała do niego.

Pozostałe wiadomości były od George'a i kilku innych członków jego zespołu. Wszystkie były złe. Jon dotarł już prawie do końca, gdy w telefonie odezwał się kolejny kobiecy głos.

– Cześć, tu Ruth. Spotkaliśmy się w REI. Pamiętasz?

Jon otworzył szeroko oczy ze zdumienia, wpatrując się w aparat. Jak mógłby zapomnieć?

– Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku – mówiła. – Wiesz, ja też kiedyś wpadłam w panikę podczas wspinaczki. Nieważne.

Gdybyś miał ochotę spotkać się przy kawie, czy coś w tym stylu, chętnie się z tobą zobaczę. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, że nie zostawię swojego numeru. Po prostu zadzwonię później.

A niech to! Jon był zbyt zaszokowany, żeby wysłuchać reszty wiadomości. Nie mógł w to uwierzyć. Tracie nie była ot, tak po prostu mądrą dziewczyną – była prawdziwą boginią miłości. Musi do niej koniecznie zadzwonić mimo całego zakłopotania i zapytać ją, co ma zrobić z Beth i Ruth. Może nie będzie się musiał więcej spotykać z Beth? Po prostu przerzucił się na Ruth. W końcu sama do niego zadzwoniła. Więc może pójdzie mu z nią jeszcze łatwiej. Oczywiście nie chciał zranić Beth, ale pomyślał, że nie ma jednak wiele wspólnego z dziewczyną szukającą rozrywki w muzycznych klubach Seattle. Co nie znaczy, że spodziewał się znaleźć wiele wspólnego z alpinistką z REI, ale kto wie?

Jon zadzwonił do Tracie, ale jej linia była zajęta, a nie chciał zostawiać wiadomości głosowej. I co miałby powiedzieć? Zadanie wykonane?

Lafayette, byłem tam? Lepiej będzie, jak się z nią zobaczy w cztery oczy, kiedy jednak włączyła się automatyczna sekretarka, wpadł w panikę i zaczął chaotycznie mówić.

– Tracie, muszę do ciebie wpaść wieczorem. Dosłownie na minutę albo dwie. Chciałem złożyć raport z postępów.

Odłożył słuchawkę i podszedł do swojego terminala, żeby się wreszcie zająć „Parsifalem”. Gorączkowo wysyłał właśnie e-maile, kiedy w drzwiach za jego plecami pojawiła się Saman-tha. Zobaczył jej odbicie w szkle monitora.

– Jon, masz minutkę?

Jon nie mógł się powstrzymać, żeby na nią nie zerknąć – ale tylko na moment.

– Prawdę mówiąc, nie w tej chwili – powiedział. – Jestem dość zajęty. Schylił głowę, starając się ukryć małe uśmiechy satysfakcji. Czy jeden rzut kośćmi albo jedna udana noc mogą rzeczywiście tak zupełnie odmienić wyroki losu?

– Chciałam... chciałam tylko przeprosić za tamto nieporozumienie.

– O jakim nieporozumieniu mówisz? – zapytał. Zadzwoił telefon. Tak!

– Przepraszam na sekundę, Sam.

Podniósł słuchawkę. Kiedy usłyszał w niej znajomy damski głos, poczuł, że to jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Och, cześć Ruth. Jasne. Pamiętam cię.

Nie do wiary! Skąd nagle tyle szczęścia? Mógł rozmawiać z Ruth, kiedy obok czekała Sam. Naprawdę jest jakiś Bóg.

– Tak, prawdę mówiąc, nie wspinałem się od tamtej pory – powiedział do Ruth, obserwując równocześnie w szybie monitora odbicie Sam.

– Nie. Bardzo chętnie. Z tobą. To byłoby wspaniale. A więc do zobaczenia, Ruth.

Odłożył słuchawkę.

– Przepraszam – powiedział, zwracając się do Sam, po czym przypomniał sobie, że miał za nic nie przeproszać.

– Nie szkodzi – odparła i niepewnie zrobiła krok do przodu. – Mówiłam o tej sobocie, kiedy mieliśmy się spotkać.

– A kiedy to było? – spytał i przed oczami pojawił mu się wieczór spędzony na deszczu.

– Och, to nieważne.

Miał wrażenie, że się zarumieniła. Czy to możliwe? Czy naprawdę sprawił, że piękna Samatha, królowa działu marketingu, zarumieniła się przez niego?

– Chodzi mi o to – mówiła dalej – że może moglibyśmy się spotkać w tę sobotę.

Rozpromieniony podniósł wzrok, ale za chwilę zmarszczył brwi.

– To znaczy, wiesz, bardzo chętnie. Może w najbliższym czasie. Właśnie umówiłem się na randkę z alpinistką.

Zrobił pauzę. Uwielbiał tę grę.

– A ty się nie wspinasz?

– Nie. Raczej nie. – Teraz ona zrobiła pauzę. – Ale chętnie bym spróbowała.

– Och, może przy jakiejś okazji – powiedział wymijająco.

– Świetnie, Jon. Czy idziesz może na lunch do kafeterii?

– Myślę, że tak – odparł.

I to wszystko. Nie powiedział więcej ani słowa. Obserwował tylko, jak próbowała odejść. Kiedy zrobiła pierwszy ruch, odezwał się znowu.

– Aha, i jeszcze jedno, Samantha... moi przyjaciele nazywają mnie Jonny.

– Świetnie, Jonny – powiedziała. – Masz jeszcze mój numer?

Nieznacznie skinął głową. Obserwował, jak Samantha wychodzi z jego biura i odchodzi korytarzem. Wstał i spokojnie zamknął drzwi do gabinetu, po czym odtańczył wokół swojego biurka szalony, dziki taniec zwycięstwa.

Dopiero późnym popołudniem – po spotkaniu w sprawie „Par-sifala” i załatwieniu zaległych telefonów – Jon miał chwilę czasu, żeby przełknąć jakąś kanapkę, zostawić matce wiadomość i pobiec do toalety. Właśnie miał wyjść z kabiny, gdy usłyszał Rona i Donalda.

– Nie wiem, co jest grane – mówił Ron – ale miałem wrażenie, jakby poruszał się po omacku.

– Po omacku? Stary, on był kompletnie zagubiony, jak dziecko we mgle – odparł Donald.

Ron i Donald byli prawdopodobnie najinteligentniejszymi członkami jego zespołu, jednak Ron miał niefortunnie jasno-rude włosy – włosy w tym odcieniu wyglądają jak różowe i wczesnie robią się cienkie – podczas gdy Donald, nawet kiedy się wyprostował, miał mniej niż metr sześćdziesiąt wzrostu. I chociaż obaj byli niezwykle błyskotliwi, żaden z nich nie zasłużyłby u Miss Manners na miano osobnika „atrakcyjnego towarzysko”. Zawsze trzymali się razem i wszyscy w Micro/Co-nie mówili na nich „Ron-Don”. Przysłuchując się ich rozmowie, Jon poczuł nagle bolesny skurcz w żołądku, kiedy uświadomił sobie, że mówi o nim.

– Hej, George – powiedział Donald. Ktoś do nich dołączył. – Co się

działo z Jonem dzisiaj na zebraniu?

– Nie wiem, ale nie sądzę, żeby pracował na pełnych obrotach. Nie miał zielonego pojęcia o projekcie bazy danych – odparł George. – I to nie moja wina, że są kłopoty z harmonogramem.

Jon przetłknął ślinę. To była prawda. Nie odpowiedział na żaden z telefonów George'a.

Ktoś spuścił wodę i Jon przez chwilę myślał, że już wyszli, jednak usłyszał, że rozmowa toczy się dalej.

– Coś się w nim radykalnie zmieniło – powiedział Ron albo Don.

– Chodzi ci o to, że nie udziela takiego pełnego wsparcia dla projektu bazy danych jak dawniej? – spytał George.

– Nie. To nie chodzi o pracę – odparł Ron albo Don. – Też to zauważyłem. Wygląda inaczej.

– Tak. I zdaje się, że... laski zwracają na niego uwagę – powiedział Ron albo Don. – Jennifer uśmiechała się dzisiaj do niego, kiedy wręczała mu przesyłkę.

– Jenny uśmiechała się do zwykłego śmiertelnika? – spytał George. – Nie do wiary!

Jennifer była bez wątpienia bardzo ładna, ale miała zaledwie osiemnaście lat. Zajmowała się roznoszeniem korespondencji i kiedy robiła swój obchód, ustawała wszelka aktywność w całym dziale.

– Wiesz, chyba masz rację. Kiedy w trakcie zebrania wyszedł po dane marketingowe, kobiety wodziły za nim oczami – powiedział Ron albo Don.

– Tak jak w tych hologramach z Jezusem? – spytał Ron skrzek-liwym głosem.

– Podobnie, ale z seksem – powiedział Don.

Na chwilę zaległa cisza i Jon pomyślał, że może wreszcie sobie poszli. Ale wtedy odezwał się Don. Najwyraźniej zastanawiał się nad swoimi słowami, ponieważ mówił powoli, z rozwagą.

– Myślę, że Jon jest... seksowny.

– Homo! Homo! – zaśpiewali dwaj pozostali.

W swojej kabinie Jon pokręcił głową. Byli gorsi niż Potzie i Ralph *. Nie mógł uwierzyć, że zarabiają kilkaset tysięcy dolarów rocznie.

– Zamknijcie się – ryknął Donald. – Czy nie rozumiecie, jakie stąd wynikają ważne wnioski?

– Jakie wnioski? – spytał George.

- Jon coś zrobił, żeby siebie zmienić. Coś, co działa na laski.
- Tak? – spytał George. – A więc?
- Więc jeśli Jon może, to i my możemy to zrobić – zakończył Donald triumfalnie.

Ktoś wszedł do sąsiedniej kabiny i rozległ się szum wody. Jon pomyślał, że pora się wymknąć z toalety.

* Postacie z popularnego serialu Happy Days z lat siedemdziesiątych (przyp. tłum.).

Kiedy Tracie wreszcie udało się zasnąć, dręczyły ją różne koszmary. O szóstej dwadzieścia dwie obudziła się nagle, przerażona i zlana potem. Śniło jej się, że bawiła się ze swoim starym psem Tippym i była bardzo zaskoczona i szczęśliwa, że Tippy znów żyje. Z jakiegoś powodu zaczęła malować go na niebiesko. Mały cocker spaniel stał cierpliwie, kiedy włochatym wałkiem nakładała na niego kolejne warstwy farby, aż widać było już tylko jego oczy, które patrzyły na nią smutno i niepewnie. Na koniec nabrała ostatnią porcję farby z wiaderka i pomalowała psu głowę, zakrywając nos i oczy. Tippy zaczął biegać w kółko, szczekając tak jak kiedyś, po czym nagle ugryzł ją w kostkę. Gryzł ją raz po raz, coraz mocniej, aż jej czerwona krew zaczęła mieszać się z niebieską farbą. Tracie obudziła się z krzykiem. Po tym strasznym śnie nie miała już ochoty zasypiać. Wzięła długi prysznic i chociaż raz bez pośpiechu ułożyła sobie włosy – były za długie, powinna je ostrzyć. Wychodząc, wzięła jeszcze dwa czekoladowe ciasteczka. Zjadła jedno, a drugie włożyła do torby na później. W końcu był poniedziałek.

Poniedziałki były zawsze najgorsze, ponieważ Marcus miał rano zebranie z szefostwem gazety. Po południu przekazywał swój dobry nastrój podwładnym podczas kolegium redakcyjnego. Jednak w ten poniedziałkowy poranek Tracie nie miała skurczu w żołądku – inaczej niż zwykle. Nie mogła się doczekać relacji Beth. A kiedy Marcus, przechodząc obok jej boksu, uniósł brwi ze zdumienia, pomyślała, że towarzyskie życie Jonny'ego pod wieloma względami mogło okazać się korzystne dla jej kariery. Uśmiechnęła się do Marcusa i najobrzydliwiej radosnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć, zawołała:

– Dzień dobry!

Kiedy zniknął na dobre, wyjęła z torby ciasteczko i postawiła na biurku kawę, którą sobie przyniosła. Przynajmniej to nie była czekoladowa babeczka. Tracie jadła ostatnio o wiele więcej niż zwykle i niewątpliwie kuchnia Laury miała coś z tym wspólnego, podobnie jak uczuciowe życie Jonny'ego. Zajęcia na siłowni najwyraźniej nie wystarczały, żeby zrzucić wszystkie zbędne kalorie. Jednak prawda była taka, że konała z głodu.

Poza tym nie mogła wytrzymać z ciekawości. I z niepokoju. Gdzie jest Beth? Tracie zerwała się z fotela, żeby zobaczyć, czy nie ma jej gdzieś w pobliżu. Ale Beth nie było. Opadła więc na fotel, akurat w porę, jak się okazało, ponieważ udało jej się uniknąć wzroku Marcusa, który wracał właśnie korytarzem. Tym razem pochyliła się nad biurkiem, żeby później nie miał łatwego pretekstu do swoich zaczepek na kolegium. Nie warto pogarszać sytuacji, która i tak nie będzie przyjemna.

Skoro nie było Beth, zadzwoniła do Jona do pracy. Nie zastała go, więc wystukała wewnętrzny numer Beth. Też bez rezultatu. Nie mając nic lepszego do roboty, siedziała, popijając kawę i skubiąc z poczuciem winy ciasteczko. W końcu kawa wystygła i nie nadawała się do picia, a z ciasteczka pozostały tylko okruszki. Dopiero wtedy zauważyła kręcone włosy Beth, podskakujące kilka boksov dalej.

W jednej chwili zerwała się z fotela i znalazła się w jej boksie, zanim Beth zdążyła usiąść. Beth odwróciła się do niej z uśmiechem.

– I co? Nic nie powiesz? – spytała Tracie.

Nie była pewna, czy Beth jest na nią wściekła za wrobienie ją w randkę, czy może sama powinna być na nią wściekła za to, że spławiła Jona.

– Och, wiedziałam, że wpadniesz na ten pomysł – powiedziała Beth. – Myślałam o tym dziś rano pod prysznicem. Zgoda, w porządku – dodała, usiadła i przeczesała włosy.

– Zgoda na co? – spytała Tracie.

– Zgadzasz się, miałas rację. Absolutnie we wszystkim. Tracie zamilkła, zupełnie już pogubiona.

– O czym ty mówisz? – spytała.

– O tym, co mówiłaś o Marcusie – powiedziała Beth. – Jest nudny, gruby i o wiele za stary. Do tego jest samolubny w łóżku. Miałas absolutną rację. We wszystkim.

– Spędziłaś tę noc z Marcusem? – spytała Tracie i serce jej zamarło. – Nie wierzę.

– Nie z Marcusem. Z Jonnym – odparła Beth. Wyjęła puderniczkę i spojrzała w lusterko.

– Z Jonnym? – powtórzyła Tracie jak echo. – Spałaś z Jo-nym... z Jonnym?

– Boże święty! – zawołała Beth. – On jest taki dobry. I taki przystojny. To znaczy, wiesz, na początku wcale mi się nie podobał, to znaczy,

wiesz, w erotycznym sensie, ale potem pomyślałam, że to by mi pomogło uwolnić się od Marcusa. Jon był naprawdę słodki. Ale kiedy mnie pocałował, to wszystko stało się czymś więcej niż przypadkowym seksem. To znaczy, wiesz, chodzi mi o to, jak mnie dotykał. On ma naprawdę niesłychane dłonie.

– Mówisz o Jonnym? – spytała Tracie. Była oszołomiona. – Jonie Delano? Spałaś z nim?

Tracie poczuła, że kręci jej się w głowie. Sama myśl, że Beth i Jon... Nie chciała niczego więcej słyszeć. Uświadomiła sobie, że nigdy nie myślała o Jonie jako o partnerze seksualnym. Nawet nie potrafiła z nim o tym porozmawiać. Tracie, Beth i Laura bardzo często rozmawiały o seksie. Laura kiedyś opisywała, jak członek Petera wyraźnie skręca w lewo i jakie z tego wynikają problemy i korzyści. Kiedy Sara przespała się z facetem, który nie był obrzezany, natychmiast następnego ranka przybiegła, żeby opisać całe wydarzenie z wszystkimi detalami.

Nazwała go shar-pei *. Ale to było coś innego. To było o wiele bardziej osobiste.

Beth wieszła właśnie swój płaszcz.

– Wiesz, myślę, że zaczynałam się przyzwyczajać do Marcusa. Jest taki bystry i w ogóle. To znaczy, wiesz, nie można mu tego odmówić, ale myślę, że on jest trochę... – urwała i Tracie uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co może zaraz usłyszeć – ...trochę zużyty, zmęczony. A może jest już taki doświadczony, że się nie całkiem angażuje, rozumiesz, co mam na myśli?

– Może samolubny to jest to słowo, którego szukasz – podrzuciła Tracie i przez ułamek sekundy pomyślała o Philu.

– Tak – zgodziła się Beth. – Samolubny.

Tracie aż za dobrze wiedziała, że była to ostatnia cecha, o którą można by Jona posądzać. Z jakiegoś powodu nigdy nie zastanawiała się, jak ten aspekt jego osobowości przejawiałby się w jego życiu erotycznym. Głupia. Oczywiście, że w łóżku był tak samo troskliwy i uważny jak we wszystkim. Miał przecież świetny kontakt z ciepłą i troskliwą matką.

– Na początku miałam kłopot, żeby się zorientować, co to za typ faceta – powiedziała Beth. – To znaczy najpierw wyglądał jak twardziel, wiesz, taki w typie Matta Damona w Buntowniku z wyboru. A potem zrobił się bardziej ekscentryczny, coś jak Johnny Depp w Co gryzie

Gilberta Grape'a. Ale kiedy zaczęliśmy rozmawiać, zobaczyłam, że potrafi być naprawdę wrażliwy i słodki, jak Leonardo DiCaprio w Titanicu...

– Czy jest jakaś gwiazda filmowa, której ci nie przypomina? – nie wytrzymała Tracie.

– Nie jest podobny do Bena Stillera – powiedziała Beth, jak zawsze nie chwytając sarkazmu. – Przespałam się z Jonnym nie dlatego, że wyglądał na „złego chłopca”, ale dlatego, że był jakiś inny. On naprawdę lubi kobiety.

Odstawiła torebkę, wysunęła szufladę i wyjęła z niej flakon perfum.

– Naprawdę, jestem ci strasznie wdzięczna za to, że nas Chińska rasa psów o pomarszczonej skórze (przyp. Hum.) umówiłaś. On mi się podoba. To znaczy, naprawdę mi się podoba – powiedziała. – A w łóżku był po prostu....

– Proszę, błagam – przerwała jej Tracie, podnosząc ręce do góry. – Nie muszę tego wysłuchiwać.

Beth odwróciła się od lusterka i spojrzała na przyjaciółkę.

– Zachowujesz się, jakbyś była na mnie wściekła za to, że się z nim przespałam, czy co? – zdziwiła się Beth. – Dlaczego? Jesteśmy oboje dorośli. Pamiętaliśmy o zabezpieczeniach. – Urwała na moment. – Spałaś z nim kiedyś? – spytała.

Tracie pokręciła przecząco głową.

– Był naprawdę niesamowity.

Kolegium redakcyjne ciągnęło się jak koszmar. Tracie nie mogła dojść do siebie, ogłuszona rewelacjami, jakie usłyszała od Beth. A kiedy po zebraniu dodzwoniła się wreszcie do Jona, runęła na nią cała lawina.

– Było cudownie – paplał Jon. – I tak zabawnie. Beth to naprawdę dobra dziewczyna. Twoje porady zadziałały jak magiczne zaklęcie. Boże, nawet nie wiesz, jak wspaniale jest znowu się z kimś kochać. Tracie, jestem ci dogonnie wdzięczny. Czuję się tak, jakbyś mnie nauczyła słów: Sezamie, otwórz się.

– Świetnie, Aladynie – rzuciła. – Tylko nie oczekuj teraz tysiąca i jednej nocy.

– A czemu nie? – zapytał. – Myślę, że jestem na fali. Wiesz, co na mnie dziś czekało w biurze?

W milczeniu pokręciła głową. Nie wiedziała już, co ma o tym wszystkim sądzić.

– Wiadomość na sekretarce od Ruth z REI. Zadzwoiła jeszcze raz dziś rano i umówiliśmy się na spotkanie.

Tracie zaniemówiła do reszty. Wcześniej przysłała na kolegium redakcyjne w stanie jakiegoś stłumionego ożywienia. Przez całe zebranie spoglądała wciąż na Beth, wyobrażając sobie ją i Jonny'ego w łóżku. Nie wiedziała, czy jest zniesmaczona Beth, zła na Jonny'ego, czy wściekła na siebie samą. Prawie nie reagowała, gdy Marcus obrażał Tima i szydził z Sary. Zapomniała skulić się w swoim krześle. Nie miała ochoty na nich patrzeć i zastanawiać się, czemu nie rzuca tej pracy w cholerę. Gdyby mieli dla samych siebie więcej szacunku, prawdopodobnie już dawno by to zrobili, ale przypuszczała, że gdyby tylko o to szło, jej także dawno by tu nie było. Jediną osobą, do której Marcus się nie przyczepiał, była Allison i Tracie była niemal gotowa przysiąc, że oznacza to, że Allison śpi z Marcusem. Choć z drugiej strony, rozumowanie miało swoje felery, ponieważ kiedy sypiał z Beth, i tak robił z niej mielony kotlet, ilekroć przysłała mu na to ochota.

Myśl o kotletach mielonych przypomniła jej o tekście, który właśnie skończyła. Artykuł na temat najlepszego klopsa w Seattle. Głupia. Pokręciła głową.

– A teraz – powiedział Marcus – pragnę z prawdziwą przyjemnością odnotować pracę, jaką dla tej szlachetnej instytucji wykonała wiecznie spóźniona – nie, raczej ostatnio przedwczesna – Tracie Higgins. Przybieramy nieco na wadze, Miss Higgins? No cóż, czego się nie robi dla dobra sprawy. Świetny tekst o kryzysie w branży klopsów. Wyszczrzył zęby, patrząc w blat stołu.

– A zatem dalej i wyżej. Jak widzę, obserwujemy ostatnio wyraźny trend w kierunku artystycznego zdobienia babeczek biszkoptowych. Pojawiają się niewielkie drobiazgi z naprawdę smaczną polewą i nowymi rodzajami ozdobnych figurek na wierzchu. Dni wielobarwnych cukrowych kuleczek należą już do przeszłości i w „Timesie” wszystko to pięknie opiszemy.

Spojrzał wymownie na Tracie.

– Historia o babeczkach, moja mała babeczko. I uwzględnij wszystkie piekarnie, które się u nas ogłaszają.

– Chyba żartujesz – zachnęła się Tracie.

– Obawiam się, że nie. Pójdzie w środowej kolumnie kulinarnej.

Następnie zwrócił się do Beth, która, jak zauważyła Tracie, przetrwała zebranie w świetnej formie.

– Czy ty mnie słuchasz? – spytał ją Marcus.

– Nie – powiedziała. – Czy teraz moja kolej?

Tim zaśmiał się w skuloną dłoń, maskując śmiech kaszlnięciem. Allison poruszyła swoją doskonałą fryzurą. Tracie postanowiła raz na zawsze, że napisze swój artykuł dla jakiejś innej gazety i robi, co w jej mocy, żeby się wyrwać z tej dziury.

Zdjęcia i żółte karteczki pokrywały niemal całą ścianę wokół blatu jej biurka. Wszystkie pomysły na temat dupków i seksownych facetów oraz różnice między nimi miała rozrysowane w tabelach i na wykresach. Na fotografiach uwieczniła Jona przed i po przemianie.

Starannie odnotowała i udokumentowała wszystkie kolejne fazy jego postępów. A jednak randka z Beth w jakiś sposób wszystko zmieniła.

Tracie skontaktowała się ze wszystkimi swoimi znajomymi z branży, niektórym plastycznie opisała sens planowanej historii, wystukała kilka listów i wysłała je w przyływie gorączkowej aktywności, którą ktoś niewtajemniczony mógłby potraktować jako wyraz prawdziwego zaangażowania w sprawy „Seattle Time” i Marcusa. Tym gorzej dla „Timesa”, że robiła to wszystko po to, żeby się od niego uwolnić. Było

jeszcze za wcześnie na to, żeby powiedzieć coś konkretnego, ale wyglądało na to, że „Seattle Magazine” albo Olympia mogły się skusić. Świetnie, ale co dalej? Ma teraz dodać kolejną żółtą karteczkę z napisem: „Jon pieprzy się z Beth?” Czy Marcus miałby teraz ochotę na ten artykuł? Prawdę mówiąc, ściana nad jej biurkiem i tak wyglądała już jak pomalowana żółtą farbą, która odłazi dużymi płatami. Zza żółtych karteczek prawie nie było widać zielonej ściany boksu.

Westchnęła. Tyle notatek, a wciąż ani kawałka tekstu.

Kiedy więc zadzwonił telefon, Tracie była zadowolona, że odrywa ją od niewesołych myśli. Wyciągnęła rękę, ale zanim zdążyła odebrać, do telefonu podbiegła Beth i położyła rękę na słuchawce.

– Mogę odebrać za ciebie? – spytała.

– Nie – odparła Tracie. – Nie po tym, jak nie odbierałaś przez cały weekend. A poza tym, od kiedy to pragniesz odbierać moje telefony?

Od randki z Jonnym.

– A jeśli nawet, to co z tego? – Beth usiadła. – Rozmawiałaś z nim? Co o mnie mówił? Podobam mu się?

– Jeśli dasz mi odebrać, to może się czegoś dowiem. Tracie wreszcie podniosła słuchawkę.

– Hallo – rzuciła do słuchawki.

Beth wpatrywała się w nią z takim skupieniem, jak gdyby Tracie przeprowadzała skomplikowaną operację chirurgiczną, a nie rozmawiała przez telefon.

– Nie, nie mogę. Muszę napisać ten głupi tekst o babeczkach. Nie, jedzenie, a nie muzyk. Wiesz, może to, co robię, jest dla mnie tak samo ważne, jak to, co ty robisz, jest ważne dla ciebie. Nie. Może jutro wieczorem.

Tracie odłożyła słuchawkę.

– To nie był Jonny – powiedziała Beth i Tracie pomyślała, że przynajmniej ten jeden raz powinna dostać Nagrodę Nobla. Beth patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, – Spławiłaś Phila?

– Tak.

Tracie miała ochotę uderzyć Beth, choć zupełnie nie wiedziała, dlaczego. Po prostu nie mogła patrzeć na jej twarz. Nigdy wcześniej nie zauważyła, że jest taka irytująca.

– Jest taki skupiony na sobie. Chciał zjeść ze mną obiad.

– Czy mogę się do was przyłączyć, kiedy się znowu spotkasz z Jonnym? – spytała błagalnie Beth.

– Nie! – gwałtownie odpowiedziała Tracie i uświadomiła sobie, że prawie krzyknęła. Uspokoiała się. – Słuchaj – powiedziała powoli, jakby mówiła do dziecka. – Jonny zna twoje imię i twój numer telefonu. Ty znasz jego numer. Jak powiedziałaś, jesteście oboje dorośli.

Tracie czuła się wyczerpana, jak gdyby przebiegła maraton albo kilkanaście razy wspięła się na skalną ścianę w REI. Ze wszystkich sił pragnęła znaleźć się w domu, wpełznąć pod koc i dostać od Laury cokolwiek do jedzenia – nawet klops – zamiast siedzieć tu i patrzeć na rozpromienioną Beth i pisać o głupich babeczkach.

– Od tej chwili to już wasza sprawa. Musicie sami o to zadbać – dodała Tracie. – Zadzwoń do niego, jeśli tak bardzo chcesz się z nim zobaczyć.

– Dzwoniłam już trzy razy – przyznała Beth. Teraz Tracie naprawdę miała ochotę ją uderzyć i na wszelki wypadek położyła jedną dłoń na drugiej.

– Wiesz – mówiła dalej Beth – on nie ma w domu automatycznej sekretarki ani poczty głosowej. Czy to nie dziwne?

Tracie wzruszyła tylko ramionami.

– Ale nie jest żonaty?

– Czy myślisz, że umówiłabym cię z żonatym facetem? – spytała Tracie i pokręciła głową.

Jak Laura nazwała Beth? Pustogłową?

– No dobrze, ale czy myślisz, że ma kogoś na stałe? – drażyła nieubłaganie Beth. – Sądysz, że z nią mieszka?

– Wiem, że nikogo nie ma.

Gdyby Tracie powiedziała Beth prawdę, jak niewiele innych opcji Jon – czy też Jonny – miał w rzeczywistości, Beth zapewne rzuciłaby go jak gorący kartofel.

– W każdym razie nie miał – dodała.

– Spróbuję umówić się z nim jeszcze raz – powiedziała Beth.

– Czy nie sądzisz, że lepiej dać temu spokój? – spytała Tracie.

Z pewnym niemiłym zaskoczeniem uświadomiła sobie, że wcale nie lubi ani Jona, ani Beth.

Phil i Laura siedzieli przy stole u Tracie i grali w karty. Grali o orzeszki – nie w przenośni, czyli o niskie stawki, ale o prawdziwe orzeszki, ponieważ Tracie nie miała w domu żetonów. Tracie przeglądała swoje notatki i zdjęcia do artykułu, ale śmiech dochodzący z sąsiedniego pokoju ciągle rozpraszał jej uwagę. Zresztą może chodziło o coś innego. Przecież tak naprawdę ciągle nie porozmawiała z Jonem. Dziwna sprawa: proces przemiany Jona rozwijał się bez przeszkód, a mimo to nie mogła zabrać się do artykułu. Wciąż nie знаła relacji Jona z randki, postanowiła jednak zachować zimną krew i nie szaleć. W końcu dzięki temu, że wszystko tak się potoczyło, miała zakończenie do swojego artykułu. W istocie finał uzasadniał cały tekst. Tracie wiedziała, że powinna być wdzięczna i po prostu zabrać się do pisania. Jednak, prawdę mówiąc, nie posunęła się zbyt daleko. Bez wiszącego nad głową terminu nie potrafiła się skoncentrować. Na przykład teraz. Miała ochotę coś zjeść, zadzwonić do Jona, włączyć telewizor albo poleżeć chwilę z zamkniętymi oczami. Szczerze mówiąc, najchętniej przyłączyłaby się do Phila i Laury. Wyglądało na to, że dobrze się bawią.

Tracie usłyszała, jak Laura uderza dłonią o stół.

– Gin! – zawołała Laura.

Leżąc na łóżku, Tracie ze współczuciem pokręciła głową. Lata spędzone razem z Laurą w Encino przekonały ją, że nikt nie może pokonać Laury w grze w gin. Kiedyś ograła całą swoją drużynę harcerską z pieniędzy, biżuterii i laleczek Barbie.

Tracie uśmiechnęła się na to wspomnienie, po czym zmusiła się, żeby spojrzeć na tekst o przemianie Jona. Westchnęła i uznała, że nie da rady skupić się na artykule, dopóki nie porozmawia z Jonem i nie dowie się, co się naprawdę dzieje między nim a Beth.

Czy Jon rzeczywiście stał się taki nieosiągalny? Czy tylko jej unikał? Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Może Jonowi naprawdę spodobała się Beth. Tracie wiedziała, że temat jest drażliwy i będzie musiała wykazać się dużą delikatnością, ponieważ była szczerze przekonana, że Beth nie jest dość dobra dla Jona, a w każdym razie na pewno nie jest dla niego dość inteligentna. Ale skoro Jon od tak dawna nikogo nie miał, może pomylić seks z miłością. Tracie postanowiła, że będzie musiała

ostrożnie odwieść go od tego pomysłu, ale tak, aby mieć pewność, że Jon w żaden sposób nie zrani uczuć Beth ani jej obrazi, wycofując się z tego związku.

Ale kto wie? Może coś z tego wyjdzie i nie powinna po prostu wtykać nosa w nie swoje sprawy. W końcu wiele przyjaźni rozpadło się dlatego, że jedno z przyjaciół zakochało się w kimś innym i wzięło ślub. Pomyślała, że coś takiego stało się z Beatlesami, ale nie była pewna, o kogo dokładnie chodziło. Może o Paula i Lindę? Małżeństwo! Pomyśl, że Jon miałby ożenić się z Beth, był tak niedorzeczny, że Tracie nie wiedziała, czy śmiać się czy płakać. Boże! Co ona robi, marnując czas na zastanawianie się nad takimi bzdurami? Jeszcze raz powiedziała sobie, że cały ten incydent był jedynie wynikiem chwilowego zauroczenia i wszystko samo wypali się w ciągu kilku tygodni.

Tracie spojrzała na swoje żółte karteczki z notatkami pona-klejane na framugę drzwi i okna, a także zwisające z kartek komputerowych wydruków. Westchnęła, zastanawiając się przez moment, czyby ich wszystkich nie zebrać i gdzieś nie schować. Nie. Zostawi je tam, gdzie są.

Dobiegł ją odgłos grzechoczących orzeszków, które Laura przesuwiała ręką na swoją stronę stołu, podczas gdy Phil tasował karty. Usłyszała, jak Phil spytał Laurę:

– Schudłaś trochę?

To dziwne, ale wyglądało na to, że ostatnio mieli zupełnie dobre kontakty, w każdym razie to miło ze strony Phila, że zauważył. Tracie uśmiechnęła się – jeśli tylko chciał, potrafił dostrzegać innych.

– Może odrobinę – powiedziała Laura, najwyraźniej skupiając się na grze.

Zapadła krótka cisza. Tracie zachichotała. Jeśli Phil usiłował odwrócić uwagę Laury, to się przeliczył, bo Laura była jedyną znaną Tracie dziewczyną, która nie przejmowała się swoją wagą.

– Gin! – zawołała Laura.

– Cholera! – wykrzyknął Phil. – Nie możesz mieć giną. Wzięliśmy dopiero po jednej karcie.

– Gin – powtórzyła Laura z niezmaconym spokojem.

– Pomyłka w rozdaniu! – zawołał Phil.

Ha! Tracie roześmiała się cicho. Wiedziała, że jego protesty były

daremne.

– Ty rozdajesz – powiedziała Laura.

Tracie usłyszała, jak Phil narzeka, zbierając karty. Oboje spierali się przez chwilę. Znając nieuchronny rezultat gry, Tracie przestała przysłuchiwać się ich rozmowie. Zaczęła się zastanawiać, ile ma jeszcze czasu do przyjścia Jona. Co on powie? Co się z nim dzieje? Wyciągnęła się na łóżku i być może zdrzemnęła się kilka minut. Ocknęła się, kiedy z drugiego pokoju usłyszała swoje imię.

– Więc wiesz, staram się postępować zgodnie z niektórymi twoimi wskazówkami, ale zdaje się, że Tracie niczego nie dostrzega.

– Och, jestem pewna, że dostrzega – powiedziała Laura z roz-targnieniem, jak zawsze, kiedy liczyła karty.

Tracie natychmiast zapragnęła dowiedzieć się, co to za rada, czemu Laura nic jej o tym nie wspomniała, oraz czy Phil sam o nią poprosił, czy też raczej to Laura mu ją podsunęła. Phil znowu się odezwał. Tracie przesunęła się na koniec łóżka.

– Myślę, że masz rację. Myślę, że traktowałem ją... jakby już była moja, czy coś w tym stylu. Ale wiesz, teraz zastanawiam się, czy ona nie traktuje mnie tak samo.

Laura powiedziała coś, czego Tracie nie dosłyszała. Po chwili dobiegł ją odgłos otwieranej lodówki. Podeszła cicho do drzwi sypialni i dyskretnie wyjrzała. Phil otwierał szufladę na warzywa i wyjmował z niej główkę sałaty lodowej. Skąd się tam wzięła? Tracie nie robiła ostatnio żadnych zakupów, a Laura nie znosiła sałaty lodowej.

Phil zabrał się do krojenia sałaty, przeciął ją najpierw na pół, potem na ćwiartki i rozłożył na trzy talerze. Przeniósł je na stół.

– Masz ochotę? – spytał Laurę.

Tracie nie słyszała jej odpowiedzi. Phil rozłożył trzy podstawki pod talerze i trzy złożone papierowe serwetki. Następnie zapalił świecę, ale najwyraźniej nie wiedział, co z nią dalej zrobić. Zaczął rozglądać się za świecznikiem i w końcu wetknął ją w szyjkę pustej butelki po piwie, zupełnie jakby to była butelka po Chianti. Co on, na Boga, zamierzał?

– Wiesz, kobiety pragną różnych rzeczy w różnych momentach swojego życia – powiedziała Laura. Odłożyła karty, zebrała wygrane orzeszki i odwróciła się do Phila. – Zadawałam się z tym świrem z Sacramento, ponieważ był ekscytujący. Ale kiedy się zestarzejesz – za trzy lata będę miała trzydziestkę – pragniesz czegoś bardziej stabilnego.

Kogoś, kto ma pracę. Kogoś, na kogo można liczyć.

Phil skinął z powagą, jak gdyby usłyszał ewangelię. Tracie poczuła, że szczęka jej opada ze zdumienia. Nie mogła w to uwierzyć, tym bardziej że na tym nie koniec cudów: Phil wziął następnie otwartą wcześniej puszkę ravioli Chef-Boyardee i wrzucił jej zawartość do rondla. Nie do wiary. Usiłował zrobić obiad!

Oczywiście jego wysiłki były komiczne, ale próbował. To było takie słodkie, zupełnie jak Piotruś Pan usiłujący zatrzymać swój cień za pomocą mydła. Właśnie miał zamiar zapalić gaz, kiedy Tracie wyszła z pokoju. Nie mogła już dłużej wytrzymać. Laura siedziała przy stoliku do kawy, zjadając swoją wygraną. Phil stał teraz tyłem do niej i mieszał Boyardee widelcem. W tym momencie rozległ się dźwięk domofonu. Jon wreszcie przyszedł. Tracie podbiegła, żeby nacisnąć przycisk.

– Spodziewamy się kogoś? – spytał Phil.

– Jon wpadnie na minutkę – odpowiedziała Tracie.

– Jeśli wierzyć Beth, to nic, co robi Jon, nie trwa minutkę – wtrąciła Laura, unosząc brwi.

– Kiedy rozmawiałaś z Beth? – spytała ją Tracie. Wyglądało na to, że Mała Panna Ciekawska rozmawiała już z wszystkimi za jej plecami.

– Przez większą część popołudnia – przyznała Laura, zgarniając skorupki orzeszków do kosza na śmieci. – Czekala, aż Jon do niej oddzwoni, a ponieważ nie dzwonił, musiała w międzyczasie z kimś o nim porozmawiać. – Laura wzruszyła ramionami. – Musiałam znosić jej obsesyjne gadanie.

Tracie pokręciła głową.

– Nie wspominaj o niej – ostrzegła Laure.

– Ale zaraz, nie mam tu obiadu dla czterech osób – obwieścił Phil, gdy Tracie podeszła do drzwi, żeby wpuścić Jona.

– O, nie martwcie się – zwróciła się Laura do obojga. – Nie muszę się do was przyłączać.

– Nie mów głupstw – powiedziała Tracie. – To potrwa tylko kilka minut. Pójdę się z nim przejść, a potem we trójkę zjemy obiad.

Tracie i Jon jak zwykle uściskali się na powitanie. Była ciekawa, jak Phil zareaguje na Jona w nowym wydaniu, więc gdy tylko wszedł do pokoju, stanęła za nim i patrzyła zza jego ramienia. Widziała, jak Phil obrzucił go spojrzeniem od góry czarnoniebieskiej nastroszonej fryzury

po podeszwy nowych buciorów. Na jego twarzy wyraz zaskoczenia szybko ustąpił niechęci, zamaskowanej po chwili sztuczną nonszalancją. Obserwowanie tych przemian przywiodło jej na myśl przyrodnicze filmy z kanału Disneya, na których w przyspieszonym tempie błyskawicznie następują po sobie trzy pory roku.

Reakcje Laury – choć nieco bardziej subtelne – były o wiele ciekawsze i stanowiły większy hołd dla jej wysiłków. Laura patrzyła na Jona szeroko otwartymi oczami i przez chwilę w jej spojrzeniu pojawiła się ta sama tęsknota, jaką można zobaczyć w oczach mężczyzn patrzących na sportowe samochody – za szybkie albo za drogie jak na ich możliwości.

– Cześć, Jon – odezwała się Laura tonem, jakim mówiła tylko wtedy, kiedy próbowała być urocza.

– No nie, coś takiego! – wykrzyknął Phil, gdy Tracie i Jon weszli do pokoju.

Tracie nagle uświadomiła sobie, że nie mogą rozmawiać o tym, co się stało, w obecności Phila i Laury. Phil podniósł się, obszedł Jona z boku.

– Nie kupiłeś sam tych ciuchów – powiedział. – Tracie je kupiła.

Odwrócił się do Tracie.

– Skąd wytrzasnęłaś tę marynarkę? – spytał. – Miałem kiedyś zupełnie taką samą. Chcę mieć taką marynarkę.

– Kupiliśmy ją w... – zaczął Jon, ale Tracie mu przerwała.

– Nigdy nie zdradzaj swoich źródeł – powiedziała do Jona, biorąc go za ramię. – Pójdziemy się przejść – zwróciła się do Phila i Laury i chwyciła swój płaszcz.

– Co zrobiłeś z włosami? – spytał Phil, gdy Tracie zaczęła wypychać Jona z pokoju. Położyła mu rękę na plecach i zanim zdążył Philowi odpowiedzieć, wypchnęła go za drzwi.

– Będę za pół godziny! – zawołała przez ramię. Dopiero kiedy zeszli na dół, Tracie odezwała się ponownie.

– Wiesz, zupełnie cię nie rozumiem – zaczęła.

– Co? – spytał, ale słyszała w tonie jego głosu, że nie czuł się zbyt pewnie. Wyrównali krok.

– Od tygodni pracuję nad tobą w dzień i w nocy. Umówiłam cię na randkę. Nawet poszłam na nią, żeby ci pomagać, a ty nawet do mnie nie zadzwoniłeś, żeby mi powiedzieć, jak ci poszło. I muszę się dopiero dowiadywać od mojej przyjaciółki, że się z nią przespałeś!

Jon popatrzył pod nogi i skrzywił się.

– Rzeczywiście potrzebowałeś tej informacji? – spytał. – To znaczy, zdaje się, że cały czas o to chodziło, prawda? Tak czy inaczej, teraz już wiesz. A zatem w pewnym sensie można powiedzieć, że eksperyment jest zakończony. Udało się.

– Nie o tym mówię! – zawołała. – To znaczy... dlaczego przespałeś się z Beth?

– Przecież chyba to właśnie miałem zrobić? – odparł. – Czy nie o to szło? Poderwij, zalicz i porzuć. Ja na pewno tego nie wymyśliłem.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek to tak ujęła.

– Może i nie tak to ujęłaś, ale jak sobie przypominam, pracowaliśmy nad tym, żeby zakończyć mój celibat.

Tracie zmrużyła oczy.

– Ale nie z moją przyjaciółką – powiedziała. – I nie wyobrażaj sobie od razu za wiele. Beth była naprawdę w potrzebie.

– A nie sądzisz, że ja też byłem w potrzebie po całym roku posuchy? – zapiszczał wysokim głosem, jak komik z Borscht Belt.

Tracie pokręciła głową. Miała ochotę go uderzyć.

– Czy nie rozumiesz, jakie to było bezmyślne?! – zawołała. Nie dość, że to zrobił, to jeszcze do tego z Beth.

– Często rozmawiamy o naszym życiu prywatnym, a teraz będę musiała wysłuchiwać opowieści o twoim życiu erotycznym, na co zupełnie nie mam ochoty.

– Jak to? – spytał Jon. – Omawiacie nawzajem swoje życie seksualne? Ja cię do tego nie zmuszam. A poza tym, jeśli nie chciałaś, żebym spał z Beth, czemu mnie z nią umówiłaś? To ty zorganizowałaś mi tę randkę.

Był doprawdy nieludzko irytujący.

– Nie chodziło mi o to, żebyś zaraz szedł z nią do łóżka – wyjaśniła. – To miała być randka treningowa.

– Chcesz powiedzieć, że znowu miałem zostać na lodzie? – spytał. – Umawiasz mnie po to, żeby mi się znowu nie udało? Kolejna zepsuta piłka dla faceta, który ma na swoim koncie zero trafień?

– Nie jesteś na boisku, a Beth to nie piłka – rzuciła. – Beth została strasznie zraniona przez Marcusa i nie chciałam, żeby...

– Masz na myśli Marcusa, twojego szefa? – spytał. – Ona chodziła z Marcusem?

Przewrócił oczami i oparł się o skrzynkę pocztową, dopóki nie zorientował się, że jest zupełnie mokra.

– To ja muszę sto razy na dzień wysłuchiwać opowieści o Marcusie. Dobrze wiem, jaki jest ohydny.

– Beth chodzi z twoim szefem, a ty umawiasz mnie z nią na randkę? Ona gustuje w takich facetach, a ty uważasz, że będzie dobra dla mnie?

– Myślałam, że właśnie nie będzie do ciebie pasować – powiedziała Tracie. – Pamiętasz? Miałeś być „złym chłopcem”.

– A więc chodziło ci o to, żebyśmy się z nią spotkał, zaliczył i rzucił! – zawołał Jon tryumfalnie.

– Tylko mi nie mów, co miałam na myśli! – zaprotestowała Tracie. Szli w milczeniu do następnej przecznicy. Wreszcie Jon zatrzymał się, wziął ją za ramiona i obrócił ku sobie. Przez chwilę Tracie miała wrażenie, że chce ją pocałować.

– Tracie, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Czemu się kłócimy? Powiedziałaś mi, co mam zrobić, a potem, z kim to zrobić. Zrobiłem to. Więc czemu się wściekasz? Jeśli nie chcesz, żebyśmy się spotykał z Beth, nie zobaczą się z nią więcej. Tylko proszę, nie złość się na mnie. Spojrzała na niego. Mimo tych wszystkich przemian, jakim go poddała, był wciąż tym samym Jonem. W jego ciepłym spojrzeniu widziała prośbę. Kochała Jona.

– Myślę, że po prostu poczułam się zraniona – przyznała. – Spodziewałam się, że od razu do mnie zadzwonisz.

– Byłem zakłopotany – powiedział. – Poza tym było bardzo późno. – Urwał na chwilę. – Widzisz.... zdaje się, że faceci nie rozmawiają o seksie w taki sam sposób jak kobiety.

– No dobra. – Westchnęła głęboko. – To wszystko było jakieś niedorzeczne. Nawet nie wiem, o co się właściwie tak wściekałam. Po prostu Beth przez cały dzień w kółko mówiła o tobie i dostawałam już od tego szajby.

– Naprawdę mówiła?

Ciekawe, jak bardzo jest pewny siebie, jeśli chodzi o seks – pomyślała. I jak dalece ta jego pewność jest uzasadniona? Spojrzała na niego, kiedy tak stał, modnie ubrany, z nową fryzurą i trzydniowym zarostem na twarzy i po raz pierwszy pomyślała, że może być naprawdę bardzo dobry w tych sprawach. Odwróciła się, żeby nie zauważył, że się zarumieniła. To było dziwne uczucie myśleć o nim jako o partnerze

seksualnym – to tak, jakby się myślało w ten sposób o własnym bracie.

Aż podskoczyła, kiedy nagle chwycił ją za ramię.

– Nie gniewasz się już? – spytał.

– Nie, nie gniewam – odparła.

Znowu pomyślała, że to mógłby być dobry moment na to, żeby powiedzieć mu o pomysłe artykułu. Może gdyby mu o tym powiedziała, nie miałyby takich problemów z pisaniem.

Kiedy wróciła do domu, pragnęła tylko napić się piwa i znaleźć się w czyichś kojących ramionach, ale kiedy zajrzała do lodówki, a następnie spojrzała na obrażoną minę Phila, zrozumiała, że prawdopodobnie nie ma co liczyć ani na jedno, ani na drugie.

– Przyniosłeś piwo? – spytała go.

– Nie. Jeśli nie ma u ciebie, to nie piję – powiedział. – Cięcia w budzecie.

Typowe. Zawsze myśli tylko o sobie.

– Jeśli już mowa o cięcicach, to muszę iść do fryzjera. Chcesz się ostrzyc, Laura?

– Tak. Ale tak naprawdę, to muszę zrobić sobie pasemka.

– Stefan świetnie robi pasemka. Jon do niego chodzi.

– Wiesz, ten facet powinien płacić ci za naukę – powiedział Phil.

– A ty powinienes płacić mi za czynsz! – odparła i strzeliła drzwiami od lodówki.

Phil jak gdyby nigdy nic zamieszał ravioli, wziął butelkę francuskiego sosu Krafta, podszedł do stołu i obficie polał nim sałatę.

– Obiad podany.

– Zrobiłeś obiad, Phil? – Spojrzała na garnek. – Boże, tak mi przykro, ale nie jestem głodna.

– Ale... zrobiłem go dla ciebie.

– To może zjecie razem z Laurą, a ja w tym czasie wezmę kąpiel? – spytała. – Pragnę tylko jednego – wczłgać się do łóżka.

Tracie weszła do łazienki. Phil podążył za nią.

– Tracie, to ważne – powiedział. – Chciałem z tobą porozmawiać przy obiedzie. Myślę, że mógłbym... jest taka praca... – urwał. Tracie zaglądała pod umywalkę w poszukiwaniu swojej soli kąpielowej Vitabath.

– Masz na myśli kolejny zespół? Rzucasz „Gruczoły”? – spytała, potrząsając głową.

– Nie, mówię o prawdziwej pracy – powiedział. – Wiesz, to jest coś w rodzaju stażu. Możesz sobie mnie wyobrazić w półprzewodnikach? Tracie przestała grzebać pod umywalką i spojrzała na niego uważniej.

– Czy ja dobrze słyszę, że mówiłeś coś o pracy w roli przewodnika? – spytała.

– Nie, zupełnie coś innego. Jezu, gdybyś poświęcała mi choć połowę tej uwagi, jaką poświęcasz technodupkowi i temu swojemu artykułowi, wiedziałabyś, o czym mówię.

Odwrócił się i podszedł do drzwi. Świetnie. Niech idzie. Wszystko, czego pragnęła, to zanurzyć się w gorącej kąpieli.

Gwar ściszonych rozmów wypełniał malajską restaurację. Kelnerzy i kelnerki z wielkimi tacami w dłoniach bezszelestnie krążyli między kuchnią a salą. Jon siedział przy narożnym stoliku z Samanthą. Przybrawszy pozę Jamesa Deana z Buntownika bez powodu kończył właśnie opowiadać swoją niezwykłą historię.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem – powiedział i urwał.

Dla zaoszczędzenia czasu postanowił połączyć dwie wskazówki Tracie w jedno: wymyślił osobistą tragedię z przeszłości i powierzył ten sekret Sam jako jedynej osobie na świecie.

Współczucie, jakie mu okazywała, będące skądinąd całkiem normalną reakcją na jego opowieść, napełniło go pogardą. Pewnie dlatego, że wierząc w jego kłamstwa, dała się nabić w butelkę. Ale przecież żaden nieznajomy, usłyszawszy, że Jon jest mormonem, sierotą albo że ma urodziny w Dzień Niepodległości – w rzeczywistości wypadły trzeciego grudnia – nie miałby powodu, by mu nie wierzyć.

Okłamywanie Samanthy nie było żadną wielką sztuką. Skąd więc to poczucie wyższości?

Coś innego budziło jego niepokój. Im więcej kłamał, tym łatwiej mu to przychodziło. I tym bardziej ogarniały go wątpliwości, czy w ogóle cokolwiek z tego, co ludzie mówią, jest prawdą. Na przykład jego ojciec. Czy jego, Jona, także okłamywał przez te wszystkie lata, tak jak okłamywał jego matkę? Zamilkł i przez chwilę wpatrywał się w blat stolika.

– Po prostu nie mogę zrozumieć, jak mogłam się tak pomylić co do ciebie – mówiła. – To znaczy zauważyłam cię, ale sądziłam, że jesteś raczej... – umilkła i Jon zaczął się zastanawiać, jakiej wersji słowa „dupek” zamierza użyć – ...pomyślałam po prostu, że jesteś bardzo inny – dokończyła po krótkiej pauzie.

Skinął głową, po czym wrzucił ramionami w idealnej imitacji Jamesa Deana.

– Tak. Wiele osób nie dostrzega, jaki jestem naprawdę – powiedział. Zorientował się już, że najlepiej, jak nie odzywa się za wiele.

W przeciwnym razie zawsze miał szansę coś spieprzyć, albo musiał kłamać, a potem pamiętać, co mówił. Może dlatego mężczyźni pokroju jego ojca ciągle się przynosili z miejsca na miejsce: kłamstwa stawały

się zbyt skomplikowane, a prawda była nie do przyjęcia, więc najlepiej zacząć wszystko od początku.

Samantha usłyszała jego westchnienie i spojrzała na niego z jeszcze większą uwagą.

– Co masz na myśli? – spytała. – Możesz mi o tym opowiedzieć.

W jej oczach była prośba. Skłamał mi, mówiły. Opowiedz mi jakąś dramatyczną historię, dzięki której zostanę wtajemniczona w jakiś wstrząsający sekret.

– I co się stało? – spytała, nachylając się do niego.

– Siedział na tylnym siodełku mojego motocykla.... wpadłem w poślizg i wyleciałem z szosy. Ja wyszedłem z tego bez zadrapania, ale on... – Jon zrobił pauzę dla lepszego efektu – ... zginął.

Pozwolił, by na kilka chwil znowu zapadła cisza. W tym czasie patrzył w stronę kuchni, starając się możliwie intensywnie napinać mięśnie dolnej szczęki. Boże, zanim z nią skończy, będzie miał szczękę jak Jay Leno. Lepiej szybko zakończyć tę historię.

– Zawsze czułem się za to odpowiedzialny, ale od tamtej pory po prostu się nie boję.

Sam skinęła głową.

– Myślę, że rozumiem – powiedziała, co było o tyle dobre, że Jon nie widział w tym odrobiny sensu. Boże, co za kretyn-stwo! Kobiety naprawdę lubią takie brednie – pomyślał.

Do stolika podeszła młoda, śliczna azjatycka kelnerka. Jon przeniósł na nią wzrok i z udawanym zaskoczeniem chwycił ją za rękę.

– Czyż ona nie ma najpiękniejszych oczu na świecie? – spytał, zwracając się do Sam, i uśmiechnął się do dziewczyny. Kiedy na twarzy Samanthy zobaczył jej reakcję, wiedział już, że cały świat stanął przed nim otworem.

Kiedy następnego ranka szedł korytarzem w Micro/Conie, czuł się jak młody bóg. Wypatrując Samanthy, zauważył nagle w oddali jakąś znajomo wyglądającą kobietą postać. Spędził u Sam poprzedni wieczór i chociaż nie poszli na całość, Jon czuł, że doskonały seks oralny jest czymś nie do pogardzenia. W jakiś sposób wyczuwał, że dla Samanthy było to tylko preludium. Jakby w ten sposób chciała mu pokazać, że nie należy do dziewcząt, które idą z facetem do łóżka na pierwszej randce. Sam okazała się bardzo czuła i uległa – co było dość zaskakujące jak na kobietę, która odnosiła takie sukcesy i zachowywała się tak

zdecydowanie w pracy – ale być może nie powinien był się dziwić. Powoli odkrywał, że seksualna osobowość kobiety niekoniecznie musi się pokrywać z jej publicznym wizerunkiem. Snując te rozważania, cały czas kątem oka obserwował kobietę, którą dostrzegł w oddali. I zanim dobrze uświadomił sobie, kto to jest, zawołał do niej po imieniu.

– Carole!

To była Śliczna Dziewczyna z lotniska! Czy nie mówiła coś o tym, że Micro/Con jest jej klientem?

Odwróciła się i Jon musiał zmobilizować wszystkie siły, żeby odzyskać niewymuszony spokój. Oczywiście nie powinien wykrzykiwać jej imienia. Ale teraz na pewno nie pobiegnie, żeby ją dogonić czy coś w tym stylu. Jeśli dziewczyna na niego

zaczeka, może po prostu udać, że przechodził obok. Nie, nie, żadnego błagania dziewczyny, żeby się odwróciła i spojrzała na niego. Popęłnił duży błąd.

Czasami miał wrażenie, że nigdy się tego nie nauczy. Jednak Śliczna Dziewczyna, kiedy już go zauważyła, podeszła do niego powoli.

Widział na jej twarzy usilną pracę pamięci. Tym razem Jon przyjął inną pozę z repertuaru Jamesa Deana, wojowniczą pozę z Buntownika bez powodu. Wściekał się na myśl, że dziewczyna zapamiętała go jako beznadziejnego popaprańca; że zawołał do niej po imieniu i że na pewno domyśliła się, że tu pracuje. Ale i tak pragnął ją zdobyć. Kto wie, może uda mu się obrócić na swoją korzyść tamtą gafę z lotniska, kiedy zachowywał się jak maniak, którego tylko dowody z DNA mogłyby uwolnić od podejrzeń, że nie jest jakimś seryjnym mordercą. Skądinąd fakt, że jest w nim coś niebezpiecznego, a równocześnie pracuje w tak poważnej firmie, może stanowić niezły wabik. Kto wie, może jeszcze wszystko obróci się na dobre.

Carole omiotła go spojrzeniem od góry do dołu.

– Samolot, tak? – spytała.

Zachował nieprzeniknioną twarz. Czy rzeczywiście uda mu się wykipić tak łatwo? Jednak nie. Ponieważ w następnej sekundzie zamrugła oczami i powiedziała:

– Aa, bagaż?

No cóż, atak jest najlepszą obroną. Roześmiał się nieco sztucznie.

– Tak. Zgubiłem swój bagaż, a ty zagubiłaś swoje poczucie humoru. – Zatrzymał się. – Boże, zupełnie nie załapałaś mojego numeru

z szaleńcem – dodał i zrobił ręką ruch nad głową, jak gdyby chciał jej pokazać los swojego dowcipu.

Ku jego zaskoczeniu dziewczyna zarumieniła się.

– Przepraszam. Prawdopodobnie byłam nieco spięta. Nie lubię kłamać. Ale... wyglądasz jakoś... inaczej.

Wzruszył ramionami.

– Może buty – powiedział i dziewczyna spojrzała na jego buty.

– Pracujesz tutaj? – spytała Śliczna Dziewczyna. – Nie miałam pojęcia, że tu pracujesz. Mówiłeś mi o tym?

Widział, że się rozluźniła. Uśmiechnęła się. Jasne, że nie był maniakiem mieszkającym w lasach i czekającym na następną ofiarę. A nawet jeśli był, to jednak był maniakiem z doskonałą polisą ubezpieczeniową.

– Czasami tu bywam – powiedział zgodnie z prawdą. Przynajmniej raz ujawnienie faktu, że ma stałą pracę, zadziała na jego korzyść. Uśmiechnął się. Musiał przyznać, że zaczyna łąpać, o co chodzi. Wystarczy tylko antycypować ich myśli.

– A ty co tutaj robisz? Carole uśmiechnęła się.

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

Wzruszył ramionami. Zadając pytanie, stracił kilka punktów, ale co tam. W końcu był na jutro umówiony z Ruth, w weekend miał spotkanie z Samanthą, a poza tym Beth wydzwaniała do niego na okrągło. Jeśli wkrótce nie przestanie, zdaje się, że będzie musiał się z nią przespać tylko po to, żeby odblokować swoją linię telefoniczną. Niemal uśmiechnął się do siebie na tę myśl i spojrzał na Carole. Nie dość, że była ładna, to była także inteligentna. A do tego pracowała w Micro/Conie. Prawdopodobnie mieliby ze sobą wiele wspólnego. Jon zaczął się zastanawiać, jak to by było z kobietą, która rozumiałaby jego pracę i jej implikacje. Nawet Tracie tego nie chwyciała. Uśmiechnął się szerzej do Carole.

– Powiedz mi, czy będziesz coś jadła? – spytał.

– Jadła? – powiedziała. – Oczywiście, że będę jadła.

– Ale czy zjesz coś ze mną? Uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście, że zjem coś z tobą.

A potem mnie pocałujesz i prawdopodobnie pójdziesz ze mną do łóżka, mam nadzieję. Jon uśmiechnął się szeroko. To było znacznie bardziej interesujące niż „Parsifal”.

– Gdzie? – spytała.

– Nie mogę ci tego powiedzieć – odparł i Carole roześmiała się. – Gdybym ci powiedział, znaleźliby mnie i zabili.

– Czy to nie straszne, kiedy ci robią takie świństwo? – spytała i Jon uświadomił sobie, że Carole z nim flirtuje. Aha, flirtuje. Przyjrzał się jej jeszcze raz. Była zabawniejsza niż Sam i prawdopodobnie zabawniejsza, niż okaże się Ruth. A poza tym była bardzo, bardzo śliczna. Ale nie tak śliczna, jak mu się wydawało na lotnisku.

Jonny siedział z Ruth, miłośniczką wspinaczki, przy narożnym stoliku w „Vito's” u zbiegu ulic Dziewiątej i Madison. W sali panował półmrok i na każdym stoliku w małych szklanych kloszach paliły się świece. Jon doszedł już do swojej obowiązkowej „tragicznej historii, którą wyjawię tylko tobie”.

– I co się stało? – spytała Ruth z zapartym tchem.

– Miałem brata bliźniaka – powiedział. – Mój brat się zabił. Byłem lepszy w szkole, lepszy w sporcie, lepiej mi szło z dziewczynami. Nigdy nie myślałem, że między nami istnieje jakaś rywalizacja, ale zdaje się, że on po prostu nie mógł... rywalizować ze mną. Zawsze czułem się odpowiedzialny za jego śmierć. – Na chwilę przerwał, zaskoczony tym, że odczuwa ból po stracie swojego wyimaginowanego brata bliźniaka. Wzruszył ramionami. – Ale wiesz, od tamtej pory po prostu nie czuję lęku.

– Naprawdę? – spytała Ruth i Jon dostrzegł współczucie malujące się na jej twarzy.

Do stolika podeszła pulchna blond kelnerka i zanim zdążyła zabrać jego talerz, Jon chwycił ją za łokieć.

– Czyż ona nie ma najpiękniejszych oczu na świecie? – spytał Ruth. Jon oparł się wygodnie. Tym razem zajął narożny boks w „Java, the Hut”, ale nie czekał samotnie na Tracie. Siedział z Doris, kelnerką o azjatyckiej urodzie, spotkaną w malajskiej restauracji na randce z Samanthą.

– I co się stało? – spytała dziewczyna z takim napięciem, jak gdyby całe jej istnienie zależało od jego dalszych słów.

– Wygłupialiśmy się na strzelnicy – powiedział. – Świetnie strzelam, a on namówił mnie, żebym zestrzelił papierosa, którego trzymał w ustach. Wiesz, chociaż miałem dopiero czternaście lat, a on był moim ojcem, powiedziałem: nie. Zrobił się zaczepny, ale ja dalej mówiłem

nie. Wtedy zaczął się przechwalać przed wszystkimi facetami, swoimi kumplami, jak świetnie strzelam, i że może się założyć o grubą forszę, że to potrafię. Zebrała się olbrzymia pula. Po tych wszystkich przechwałkach, kiedy tak strzelał gębą... no cóż, musiałem spróbować i... odstrzeliłem mu tę gębę. Dosłownie. Oczywiście to był przypadek. – Westchnął głęboko. – Ale zawsze czułem się odpowiedzialny. Od tamtej pory po prostu nie czuję lęku.

Westchnął znowu i odwrócił się do okna, jak gdyby jego ojciec czaił się gdzieś tam w mroku na parkingu.

Molly przyniosła im zamówione dania. Kiedy postawiła na stole gorący półmisek i podała im talerze, Jonny chwycił ją za rękę. Spojrzał Molly w oczy.

– Czyż ona nie ma najpiękniejszych oczu na świecie?

Tracie siedziała przy swoim biurku rozżalona i zła. Powinna pracować nad tekstem, ale po porannym kolegium redakcyjnym straciła wszelką ochotę do pracy. Zamiast zacząć szkic artykułu, wzięła telefon i wystukała numer Jona. Nie rozmawiała z nim od kilku dni. Była ciekawa, co się z nim dzieje, ale przede wszystkim chciała się komuś wyżalić.

Nikt nie potrafił tak dobrze słuchać jak Jon. Laura zaraz zaczynała żartować i starała się ją pocieszyć. Phil próbował odwrócić jej uwagę. Tylko Jon potrafił współczuć.

Jeszcze zanim Tom Brokaw napisał *The Greatest Generation*, Tracie była zafascynowana Pearl Harbor i drugą wojną światową. Ojciec jej matki zginął na Pacyfiku, służył tam także jej dziadek ze strony ojca. Jedną z niewielu rzeczy, jakie lubiła w Encino, były wizyty papy, który za każdym razem opowiadał na jej prośbę jakąś wojenną historię. Nic dziwnego więc, że przeżyła rano prawdziwy szok, kiedy Marcus przydzielił kolejny tekst na temat miejscowych weteranów drugiej wojny światowej nie jej, ale Allison.

– Marcus, jestem przygotowana do napisania tego tekstu – powiedziała Tracie. – Mam trochę materiałów, których nie wykorzystałam przy pisaniu o Dniu Pamięci.

– Dziękuję za ten przejaw zaangażowania i współpracy – zwrócił się do niej Marcus – ale jestem pewien, że Allison potrafi sprostać temu wyzwaniu.

To było takie niesprawiedliwe. Tracie niemal od roku musiała pisywać na rozmaite bzdurne tematy, a kiedy wreszcie pojawił się taki, który ją naprawdę interesował, dostał go ktoś inny. Czuła tak głębokie rozczarowanie, że ilekroć spojrzała na Allison, zaraz zaczynała wyobrażać sobie, do czego musiała się posunąć, żeby dostać ten temat od Marcusa. Podczas kolegium Allison spojrzała na Tracie, wzruszyła ramionami i posłała jej uśmiech w stylu „sorry, ale co ja na to poradzę?”. Tracie z ochotą zmasała by jej ten uśmiech z twarzy za pomocą papieru ściernego i odrobiny kwasu solnego. Żeby krzywdę pogłębić zniewagą, Marcus przydzielił jej tekst o Dniu Ojca. Jak gdyby nie miała poważnego problemu z ojcem – podobnie zresztą jak większość Amerykanów.

– Czy mogę napisać o ojcach pasożytach? – spytała, ale Marcus tylko uśmiechnął się lekceważąco.

Tracie podniosła telefon i jeszcze raz wystukała numer do Micro/Conu. Jednak nie dość, że Jon był wciąż nieuchwytny, to na dodatek jego poczta głosowa była pełna, więc nawet nie mogła zostawić mu wiadomości.

– Masz jakieś wieści od Jonny'ego? – spytała Beth, która stanęła u wejścia do jej boksu.

Tracie zaskoczona podniosła wzrok.

– Nie – rzuciła. – A nawet gdybym miała, tobym ci nie powiedziała.

– Uuuuu – zawołała Beth i wycofała się z boksu. – Rozumiem, że lepiej się dzisiaj do ciebie nie odzywać.

Tracie nie mogła uwierzyć, że Beth tak spokojnie zignorowała jej nastrój, oddalając się do swojego boksu. Zwykle można było się jej przynajmniej przez pół godziny serdecznie poużalać. Tracie była już tak zmęczona ciągłymi pytaniami Beth o Jona, że zaczęła żałować, że ich w ogóle ze sobą poznała. Skąd mogłam wiedzieć, że to zajdzie tak daleko? – pytała samą siebie. Ale przy odrobinie szczęścia wszystko i tak wkrótce samo się wypali.

Dobrze, że przynajmniej zabrała się na serio do artykułu o przemianie.

Potrzebna była jeszcze tylko dobra redakcja i zakończenie, ale i tak uważała, że jest zabawny i treściwy. Nawet

zdjęcia wyszły całkiem dobrze. Zastanawiała się, czy znajdzie dość odwagi, żeby wysłać szkic do „Seattle Magazine”. A potem pomyślała, czemu nie spróbować wyżej. Skoro ci wydawali się zainteresowani, czemu nie spróbować w „Esquire”? Nigdy nie opublikowała jeszcze tekstu w piśmie o zasięgu krajowym. Powinna przyjrzeć się kilku magazynom i zobaczyć, kto nimi dowodzi i co publikują.

To przypomniało jej, że udało jej się wreszcie umówić na spotkanie ze Stefanem i jeśli szybko nie wyjdzie, nie starczy jej czasu na upragnione strzyżenie.

Pieprzyć Marcusa, Allison i „Timesa”. Dzisiaj zrobi sobie naprawdę długą przerwę na lunch.

W ogłuszającym ryku muzyki Laura, z włosami zawiniętymi w setki pasków aluminium, czekała na koniec farbowania. W tym samym czasie Tracie była umówiona na strzyżenie.

– Nie za krótko – poleciła Tracie.

W drodze wyjątku Stefan łaskawie zgodził się, żeby Laura została w gabinecie i popatrzyła sobie, jak wygląda strzyżenie Tracie.

– Wiem – powiedział Stefan. – Nigdy za krótko. Westchnął ciężko, jak gdyby miał dość wszystkich włosów

na wszystkich głowach w Seattle. Tracie miała nadzieję, że nie był w złym humorze. Stefan w złym nastroju to nie byłaby dobra wiadomość.

– I jak tam przebiega twój mały eksperyment? – spytał i przez chwilę Tracie nie miała pojęcia, o czym on mówi. – To taki słodki chłopyś – ciągnął dalej i wtedy zorientowała się, że mówi o Jonie. – Był tu dwa dni temu. Podobał mi się w niebieskim. Dobrze mu w tym kolorze.

– Jon był u ciebie? – spytała Tracie. – Jon sam tu przyszedł?

– Tak, dwa dni temu – przytaknął Stefan.

Tracie nie mogła w to uwierzyć. Po pierwsze, dopiero co się strzygł, a po drugie...

– W jaki sposób zdołał się z tobą umówić przede mną? – spytała.

Stefan uśmiechnął się. Nie do niej, ale do siebie. Wzruszył ramionami.

Tracie zdołała dojrzeć ten ruch kątem oka.

– Potrafi człowieka przekonać ten twój chłopyś. Laura zachichotała.

– Chłopyś? – spytała. – To gorsze niż Buziuchna. Naprawdę go tak nazywasz?

– Nie – rzuciła Tracie. – Ostatnio nazywam go jedynie niewdzięcznikiem.

Tracie nie mogła uwierzyć, że Jon umówił się z fryzjerem. Nie mogła uwierzyć, że znalazł czas na takie rzeczy, a nie miał czasu do niej zadzwonić. W tym momencie otworzyły się drzwi i w białym sanktuarium pojawiła się głowa Beth z włosami przyklepionymi do czaszki jakąś barwną mazią. Beth śmiało wkroczyła do środka.

– Nie przeszkadzać – ostrzegł Stefan, unosząc do góry dłoń zbrojną w nożyczki.

– Nie za krótko – przypomniała mu Tracie. – Beth, co ty tu robisz?

Ciekawe, ile osób może urwać się z pracy, zanim „Times” padnie na amen, i czy wszyscy wybrali się właśnie tutaj? Czy Allison robi sobie maseczkę, Sara pedicure, a Marcus trwałą ondulację?

Beth zignorowała Stefana i weszła dalej do środka.

– Na pewno nie robię sobie leczenia kanałowego – uśmiechnęła się i był to bardzo szeroki, radosny uśmiech. Tracie zacisnęła zęby

w oczekiwaniu na następne pytanie, które niechybnie będzie dotyczyło Jona, ale Beth po prostu usiadła na podłodze.

– Żadnych widzów, proszę – odezwał się Stefan, wymachując nożyczkami, i znowu ściał jej trochę włosów na czubku głowy. Tracie nerwowo spoglądała to na Laurę, to na Beth. Gdyby ściał za dużo, na pewno jej powiedzą. W każdym razie miała taką nadzieję. Uspokój się – powiedziała sobie. Stefan to jedyny mężczyzna w Seattle, któremu możesz w pełni zaufać. Dlatego tu przychodzisz, znosząc jego idiosynkrazje, i płacisz obłąkane rachunki. Choć byłoby o wiele lepiej, gdyby miał lustro.

– Beth, lepiej sobie pójdz – powiedziała zdenerwowana.

– Nic się nie martw – odparła Beth. – Stefanowi to na pewno nie przeszkadza.

– Więc jak ci idzie praca nad twoim chłoptysiem? – zapytał znowu Stefan.

– Świetnie. Nawet za świetnie – powiedziała Tracie. – Mój przyjaciel Jonny naprawdę potrzebował pomocy, ale teraz wygląda bardzo dobrze.

– O wiele za dobrze – zgodziła się Beth.

– Możesz być za bogaty albo za chudy, ale nie możesz wyglądać za dobrze – oświadczył Stefan.

– Święta racja – jęknęła Beth.

– Myślałam, że go nienawidzisz – powiedziała Tracie. – Czy to nie ten facet, który ani razu do ciebie nie oddzwonił?

– Właśnie dzisiaj zadzwonił – zawołała Beth z triumfalnym uśmiechem, choć zabarwionym poczuciem winy. – Dlatego tu jestem. Nagły wypadek.

– Mam nadzieję, że wysłałaś go do wszystkich diabłów – rzuciła Tracie, ale poczuła skurcz w piersi, ponieważ jeśli Jon zadzwonił i zaprosił ją na wieczór, Beth na pewno się zgodzi.

– Powiedziałam mu, że z rozkoszą się z nim zobaczę wieczorem – wyznała Beth.

– Dziś wieczorem? Nie zadzwonił do ciebie ani razu, a teraz zaprasza cię na wieczór i ty się zgadzasz? Jesteś beznadziejna – podsumowała Tracie.

– Przemyślałam to – odparła Beth. – Jon to bardzo wrażliwy chłopak. Sądzę, że po prostu boi się, że mu za bardzo na mnie zależy. Przestraszył się.

Tracie i Laura wymieniły znaczące spojrzenia. Za plecami Beth Laura przewróciła oczami.

– Bał się swoich uczuć. To się zdarza facetom – powtórzyła Beth.

– Beth, kochanie – odezwała się Tracie łagodnym głosem – on wcale się ciebie nie przestraszył.

– Psychologiczne sympozjum niech się przeniesie na uniwersytet. Albo do szpitala dla wariatów. Ale nie tutaj. Proszę o ciszę – zarządził Stefan zdecydowanym tonem.

Beth nie zwracała na niego uwagi.

– Wiesz, on bardzo przeżywa tę historię ze śmiercią brata – powiedziała do Tracie.

– Jakiego brata? Jon... Jonny jest jedynakiem.

– Nie – zaprzeczyła Beth, kręcąc głową. – Nie lubi o tym mówić.

Nikommu się nie zwierzał. Poza mną.

– O Boże! – jęknęła Tracie.

Laura przewróciła oczami i prychnęła. Tracie nie mogła w to uwierzyć.

Sama nauczyła go tej sztuczki – żeby wymyślił jakąś dramatyczną bajeczkę – ale że on to naprawdę zrobił, i to z powodzeniem – coś takiego! Nawet jeśli to tylko Beth, niezbyt mądra Beth.

– Co? – spytała Beth, patrząc na Tracie. – Nie obrażaj się, ale wielu facetów mówi mi rzeczy, których nie powiedzieliby nikomu innemu. – Pomachała ręką. – Muszę iść. Nie chcę się spóźnić.

– Spadaj – rzucił Stefan i Tracie nie wiedziała, czy miał na myśli komentarz Beth, czy jedynie dawał upust swojej pasji twórczej.

Beth wybiegła z sali i Stefan, wydając z siebie dźwięk będący ni to westchnieniem, ni to jękiem, zrobił dwa kolejne cięcia nożyczkami.

Laura zmrużyła oczy i wzruszyła ramionami, po czym bez słowa wskazała na głowę Tracie. Tracie poczuła nieprzyjemną falę paniki.

– Pamiętaj, nie za krótko, dobra? – przypomniała Stefanowi. – Czy to nie jest niewiarygodne, co ona robi? – spytała, zwracając się do Laury.

– O tak, będzie miała o czym obsesyjnie mówić przez następne trzy miesiące – odparła Laura. – Ale wiesz, zdaje się, że nareszcie skończyłam z Peterem.

– Wspaniale! – zawołała Tracie.

– I myślę, że chciałabym zostać w Seattle. – Urwała na chwilę. – Rozglądam się za mieszkaniem.

– Cudownie! – powiedziała Tracie serdecznie.

– Tak. Pomyślałam, że to może być dobra nowina. Wiem, że trudno było ze mną wytrzymać, ciągle byłam taka nadąsana. A poza tym, to jednak kłopot mieszkać we trójkę. Myślę, że trochę ci jednak przeszkadza w ułożeniu sobie spraw z Phi-lem – dodała.

Tracie potrząsnęła głową, żeby gorąco zaprzeczyć, i wtedy usłyszała, jak Stefan szybko wstrzymuje oddech – zrozumiała, że poruszyła się w krytycznym momencie.

– Przepraszam – powiedziała do Stefana. – Nie ma sprawy – rzuciła w stronę Laury, ale mówiła to z lekkim poczuciem winy, ponieważ ostatnio pomyślała dokładnie to samo.

– Wiem, że nie planowałaś gościć mnie u siebie na stałe...

– Jesteś zawsze mile widziana – powiedziała Tracie.

– W moim kraju mówimy, że gość jest jak ryba, po trzech dniach cuchnie – włączył się Stefan i znowu ściął jej trochę włosów.

– Więc tak czy inaczej, nie stać mnie na mieszkanie, dopóki nie znajdę pracy, a nie mogę wystartować samodzielnie w ca-teringu bez kapitału... ale potrzebują kucharza w takiej jednej kawiarni, więc...

– Masz pracę? – spytała Tracie zaskoczona i zachwycona.

– Tak. Rozmawiałam z właścicielką. Sprawa załatwiona.

– Czy dostanę zniżkę, jak tam przyjdę? – spytała Tracie.

– Nie, ale na zachętę obiecuję, że nie będę pluć do twojego jedzenia – zapewniła ją Laura.

– Wspaniale! – zawołała Tracie. Próbowała sięgnąć rękami do uszu, żeby sprawdzić, czy są jeszcze przysłonięte włosami, ale Stefan syknął i przytrzymał jej ręce.

– Gratulacje.

Na chwilę zapadła cisza przerywana jedynie przez złowieszczy szczeł nożyczek Stefana.

– Dasz wiarę, co ta Beth wyrabia? – spytała Tracie, żeby przerwać wreszcie ciszę. – Jak ona mogła się zgodzić, skoro Jon ją tak wstrętnie potraktował?

– Jak mogła się nie zgodzić, skoro aż tak bardzo jej się podoba? – odparła Laura, wzruszając ramionami.

– Wiesz, powiedział mi, że umówił się na randkę z Ruth, tą dziewczyną z REI. Prawdopodobnie spotyka się także z innymi kobietami. I nic mi o tym nie mówi – uskarżała się Tracie.

– A co cię tak bardzo obchodzi, co on robi? Czasami wydaje mi się, że

masz obsesję na jego punkcie.

– Nie mam żadnej obsesji – zaprotestowała Tracie. – Po prostu potrzebuję informacji do mojego artykułu.

Usłyszała, jak Stefan prychnął. Jakoś długo to dzisiaj trwało. Nigdy nie strzygł jej tak długo.

– To po prostu śmieszne. Kogo ty chcesz nabrać, Higgins? – powiedziała Laura. – Myślę, że jesteś zakochana w Jonie.

– Laura! – Tracie gwałtownie ruszyła głową, żeby odwrócić się do Laury, i nożyczki Stefana o milimetr minęły jej ucho.

– Dosyć! Dosyć! Dosyć! – zawołał. – Chodzi o moją głowę, a nie twoje serce.

– O moją głowę – poprawiła go Tracie. – A moje serce nie ma tu nic do rzeczy. Kocham Phila. Jon jest tylko moim przyjacielem. Zawsze był moim przyjacielem.

Laura zaczęła nucić pod nosem, jak gdyby słuchanie Tracie było czystą stratą czasu.

– Daj spokój. Dobrze o tym wiesz, Laura – tłumaczyła się Tracie. – Usiłuję tylko zrobić swoją robotę, to wszystko. Nie mam żadnej obsesji na punkcie Jona.

– Tak ci się tylko wydaje – powiedziała Laura. – Zawsze na początku wypieramy się swoich obsesji.

Stefan wydał z siebie jakiś przerażający dźwięk, coś pomiędzy sykiem chłodnicy a grzechotem węża. Podeszedł wielkimi krokami do Laury i przez moment Tracie myślała, że chce ją uderzyć. Ale Stefan rozwinął tylko z folii pasemko włosów na jej głowie.

– Taa. To prawda – powiedział. – Jesteś załatwiona.

Tracie nie była pewna, czy chodziło mu o to, że pasemka Laury są gotowe, czy też że ona, Tracie, ma kłopoty sercowe. Cokolwiek to znaczyło, wrócił do niej i znowu obciął jej trochę włosów, tym razem koło uszu.

– Nie za krótko – powtórzyła. – I nie mam żadnej obsesji – powiedziała do Laury.

– Tak. A Marcus jest miłym facetem. Słuchaj, nie od dziś mieszkam na ulicy Obsesji. Mam tam mieszkanie na własność. Ty tylko wynajmujesz. I muszę ci to powiedzieć: Tracie, masz obsesję.

– Nie, jestem tylko... zirytowana. I... urażona – próbowała protestować.

– Mam prawie gotowy artykuł, ale Jon... się zmienił. Nie zachowuje się

już jak dobry przyjaciel. Poza tym skrzywdził Beth i prawdopodobnie krzywdzi inne kobiety. Nie mogę tego znieść.

– Może dobrze by mu zrobiło, gdyby ktoś mu odpłacił pięknym za nadobne – zauważyła Laura.

– Czy to możliwe?

Laura wzruszyła ramionami.

– Naruszyłaś zasady rządzące kosmosem. Teraz musisz się przygotować na spotkanie z konsekwencjami swojej karmy – powiedziała swoim najbardziej irytującym tonem Buddy.

– Boże! Muszę jakoś zniszczyć pewność siebie tego człowieka – jęknęła Tracie.

– Tak – zgodziła się Laura. – Przywrócić równowagę we wszechświecie.

– Dajcie mu spokój. Jest jak kucharz w sklepie ze słodyczami – wtrącił się Stefan.

– Kucharz? – zaczęła dopytywać się Laura, ale Tracie ruchem brwi ostrzegła ją, żeby dała spokój. Nigdy nie poprawiaj fryzjera, który trzyma w ręku nożyczki – należało do podstawowych przykazań w jej kosmosie.

– Muszę napuścić na niego jakąś prawdziwą pozeraczkę męskich serc – powiedziała Tracie. – Tak, żeby myśliwy sam stał się ofiarą.

– Szkoda tylko, że nie znasz żadnej pozeraczki serc – odparła Laura. – Oczywiście poza mną, ale ja mam już pracę. Może Sharon Stone jest wolna?

– Laura, jesteś geniuszem! – zawołała Tracie.

– Wiem, ale jak myślisz, czy dobrze mi będzie z tymi pasemkami? – spytała Laura.

Stefan po raz ostatni ściał Tracie odrobinę włosów i obrócił fotel dookoła.

– Gotowe! – powiedział i wyciągnął lustro.

– O Boże! – jęknęła Tracie na widok swojego odbicia. Jej włosy były o wiele za krótkie.

Tracie leżała na sofie, kryjąc swoją krótko ostrzyżoną głowę pod turbanem z ręcznika, podczas gdy Phil i Laura jak zwykle sprzeczali się, zmywając naczynia po lunchu.

– Daj spokój – mówił Phil. – Zaraz mi powiesz, że istnieje jakaś specjalna kolejność zmywania naczyń.

– Oczywiście, że istnieje – powiedziała Laura. – Nie wiedziałeś o tym?
– Wiem, kiedy próbujesz mnie nabrać – odparł Phil.
– Nie zamierzam cię nabierać szczotką do zmywania – rzuciła Laura, wymachując nią oraz potrząsając swoją wspaniale rozjaśnioną grzywą.
– Ale nie mogę uwierzyć, że nie znasz kolejności, w jakiej należy zmywać naczynia.
– Bzdura. Nie ma żadnej kolejności. Bierzesz się za zmywanie, kiedy ci się skończą czyste naczynia, prawda, Ły-sielcu?
Tracie wymamrotała coś z głębi chandry, jaka ogarnia kobietę z za krótkimi włosami. Ale oni i tak nie potrzebowali jej odpowiedzi.
– Porządek, o którym mówię, nie jest arbitralny – wyjaśniała Laura. – Opiera się na kolejności wkładania do ust.
– O czym ty mówisz? Czy to jakiś rodzaj świńskiego żartu? – spytał Phil.
– Lepiej skup się na detergencie, jeśli cię to nie przerasta – powiedziała i zmierzyła go surowym spojrzeniem. – Pani Ogg zawsze nas uczyła, że należy zaczynać zmywanie od sztućców, ponieważ wkładamy je do ust. Zmywasz je na początku, kiedy woda jest najczystsza. Tak, Tracie? – Tracie wydała z siebie niezrozumiały pomruk. – No właśnie. Następnie odkładasz je na bok i zmywasz szklanki, ponieważ dotykasz ich ustami.
– Pieprzysz! – zawołał Phil i na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, jak gdyby Laura zdradziła mu sekret, jak załatwić sobie publikację albo jak się naprawdę gra na gitarze basowej. – Napiszę o tym wiersz – oznajmił. – Czyż to nie będzie piękne dzieło, Chromowana Kopuło? Chodź i pobaw się ze mną trochę w tej wodzie. Tracie przewróciła się tylko na łóżku i jęknęła. Laura pokręciła głową.
– Zostaw ją w spokoju, dobrze? Skup się lepiej na tym, co mówię. Następnie zmywamy talerze, ponieważ nie dotykamy ich ustami.
– Kiedy ty gotujesz, dotykam ustami talerza, ponieważ zwykle go wylizuję.
– Czy to nie słodkie? – powiedziała Laura swoim najbardziej surowym tonem. – Mówisz, jakbyś miał zamiar mnie namówić, żebym ci częściej gotowała – dodała i zarumieniła się lekko. – Tak czy inaczej, na końcu myjesz garnki i rondle, ponieważ nawet ty ich nie wylizujesz. Wręczyła mu stalowy druciak do szorowania.
Tracie pragnęła, żeby po prostu zniknęli. Chciała, żeby Phil poszedł do siebie i pozwolił jej pograć się w nieszczęściu. Przynajmniej Laura

starala się jej pomóc, wynajdując mu różne zajęcia. Tracie leżała na sofie od kilku dni. Zadzwoiła nawet do pracy, że jest chora. Usiłowała pracować nad kolejnym artykułem dla Marcusa, ale jej myśli obsesyjnie wracały do

tęgo, jak sprawić, żeby Allison pokazała Jonowi, gdzie jest jego miejsce. Ale jak namówić Allison na randkę w ciemno?

– Może ja nie wylizuję, ale moi kumple z mieszkania to robią – powiedział Phil i zaczął bez szemrania szorować garnek.

– Czy nie jesteś trochę za stary na to, żeby mieszkać z kumplami? – spytała Laura.

– I kto to mówi – szydził. – Hej, Tracie, wyjdź spod tych prześcieradeł.

– Tracie tylko jęknęła w odpowiedzi.

– Słuchaj, szukam mieszkania – zwróciła się do niego Laura.

– Naprawdę? – spytał. – Wracasz do tego dupka z Sacramento?

– Nie – odparła, zdejmując gumowe rękawiczki. Zaczęła wcierać krem w dłonie, zwracając szczególną uwagę na kostki i skórki u paznokci.

– Czemu to robisz? – spytał Phil.

– Żeby mieć miękką skórę. Wyciągnął rękę i ujął jej prawą dłoń.

– Tak – powiedział. – Jest miękka.

Zamilkł na moment. Zaczął z powrotem mocniej szorować garnek, nie patrząc na Laurę.

– Więc naprawdę zamierzasz się wyprowadzić? Znalazłaś jakieś mieszkanie i tak dalej?

– Wiesz – odparła – myślę, że Tracie zaczęłyby poświęcać ci więcej uwagi, gdyby mogła cię potraktować nieco poważniej. Gdybyś miał swoje mieszkanie, prawdziwą pracę i jakiś plan

gry – Mam swój plan gry – zachnął się Phil i zajrzał do rondla.

– Tak. Polega na tym, żeby żyć za sześć dolarów rocznie, jakie zarabiasz z pisania? – spytała Laura. – Czy może z darmowych piw, które dostajesz za grę w klubach?

– To nie twój biznes – obruszył się. Laura wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz – powiedziała. – Ale wiesz, okres dojrzewania u nikogo nie trwa wiecznie. Z wyjątkiem Warrena Beatty.

– Kto to taki? – spytał.

– To nieważne. Fucha i tak zajęta – powiedziała Laura. – Tak czy inaczej, w Seattle pracy nie brakuje. Najróżniejszego rodzaju. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbyś znaleźć sobie czegoś, co ci

odpowiada i za co naprawdę płacą. Przecież i tak nic innego nie robisz całymi dniami, tylko śpisz i snujesz się z kąta w kąt.

Phil odstawił garnek.

– Wiesz co, pieprzę to! – wykrzyknął. – Ciebie i konia, na którym przyjechałaś.

– Och, tylko nie mieszaj do tego Triggera – odparła Laura dobrodusznie.

– Potrzebuję czasu, żeby tworzyć – powiedział Phil głosem nadszanego dziecka. – Potrzebuję wolnego czasu, żeby pisać.

– Daj spokój. Może potrafisz wmówić te bzdury Tracie, ale nie mnie, koleś. Mój ojciec był pisarzem. Wiesz, co robił?

Phil pokręcił głową.

– Pisał. Tym się zajmuje pisarz.

Urwała na moment, po czym siostrzanym gestem poklepała go po ramieniu.

– Słuchaj, nie zamierzałam urazić twoich uczuć. Po prostu wydaje mi się, że nie jesteś naprawdę szczęśliwy.

– A kto powiedział, że człowiek ma być szczęśliwy? – spytał, wkładając marynarkę. – Kto powiedział, że w życiu chodzi o szczęście?

– Na pewno nikt z Encino – zgodziła się Laura. – Ale właśnie dlatego stamtąd uciekłam. I nie sądzę, że w życiu chodzi o szczęście, ale też nie sądzę, że chodzi o to, żeby tkwić w marazmie. Myślę, że każdy – ciebie nie wyłączając – po prostu dąży do tego, co mu sprawia przyjemność, i ucieka od tego, co go nie bawi. To wszystko, co możesz zrobić. I nie wierzę, że bawi cię beznadziejne przelewanie się z kąta w kąt przez cały dzień. Nie wspominając już o upokorzeniach, jakich doznajesz od redaktorów pretensjonalnych magazynów i imbecyli takich jak Bob. – Wzruszyła ramionami. – Myślę po prostu, że już z tego wyrosteś. Ale może jestem optymistką?

Na moment w pokoju zapadła przeraźliwa cisza. Tracie skrzywiła się, oczekując, że lada moment rozlegną się dzikie wrzaski Phila. Słyszała, jak chrząknął. A potem znowu zapadła cisza. Czekwała w napięciu, czy uderzy Laurę albo coś stłucze, zanim wypadnie z mieszkania. Jednak znowu tylko chrząknął.

– Wiesz – powiedział bardzo łagodnym głosem – ostatnio coś bardzo podobnego zaczęło mi się płątać po głowie.

Tracie siedziała na ich tradycyjnym miejscu w „Java, the Hut” i w oczekiwaniu na Jona niecierpliwie skubała cienkie koniuszki swoich włosów. Nigdy nie była tak krótko ostrzyżona. Naprawdę nienawidziła tej fryzury, nienawidziła Stefana, który ją tak ostrzygł, Phila, który ciągle z niej żartował, i nienawidziła Laury, która powiedziała jej, żeby się nie martwiła, bo włosy i tak odrosną. Przynajmniej mogła liczyć na Jona, że ją wesprze w nieszczęściu. Spojrzała na zegarek. Spóźniła się prawie dwadzieścia minut, a jego wciąż nie było. To zupełnie do niego niepodobne.

Na horyzoncie pojawiła się Molly i Tracie skrzywiła się na zapas. To nie będzie miłe.

– Cholera jasna!!! Wstąpiłaś do klasztoru? Nawet nie wiedziałam, że jesteś katoliczką. A poza tym, przyszedłaś na czas, a on się spóźnia. To koniec świata.

– Nie zawsze się spóźniam. Molly oparła się o jej krzesło.

– Nie, jeśli pięćdziesiąt jeden tygodni w roku przez trzy lata z rzędu nie znaczy „zawsze”.

Molly wyciągnęła swój bloczek.

– Czy odgrywamy zwyczajową scenkę, zanim zdecydujesz się na swoją jajecnicę? – spytała. – Czy też zamierzasz tylko siedzieć i szczypać końce włosów, jak gdyby miały od tego urosnąć?

Tracie opuściła ręce na kolana.

– Molly, wydaje mi się, że niezależnie od tej paskudnej angielskiej gadki w głębi duszy naprawdę mnie nie lubisz? – spytała.

– Nie, prawdę mówiąc, nie lubię – przyznała się Molly radośnie.

Tracie była zaszokowana. Naprawdę nie spodziewała się usłyszeć, że Molly jej nienawidzi. Przez minutę nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Ale dlaczego? Nigdy nie zrobiłam ci nic złego.

– Myślę, że po prostu nie lubię głupców – powiedziała Molly. – Jestem córką głupca i byłam żoną głupca. Możesz uznać, że jestem nadwrażliwa, ale nabawiłam się awersji do głupców. – Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem głupcem – zaprotestowała Tracie.

– Tak, a ja nie jestem kelnerką. – Molly wskazała na plastikową plakietkę ze swoim imieniem, którą nosiła na piersi. – Przeczytaj, co tu

jest napisane. – Następnie wskazała palcem na Tracie. – Na twojej jest napis: „Tracie Higgins; dorywczo dziennikarz, pełnoetatowy głupiec!”.

– Co takiego zrobiłam? – spytała Tracie i z jakiegoś powodu przypomniał jej się sen, w którym pomalowała swojego cocker--spaniela na niebiesko.

– A czego nie zrobiłaś? – spytała Molly ze złością. – Umawiasz się z dupkami. Jeden beznadziejny typ po drugim i ciągle nie rozumiesz, że pora z tym skończyć. – Molly wsunęła się na miejsce naprzeciw Tracie.

– A skoro już o to pytasz, to zauważ, jeśli to nie wystarczy, że przerobiłaś jedyne sympatycznego faceta na północno-zachodnim wybrzeżu na kolejnego dupka.

– Jon nie jest dupkiem! Jest tylko... nieco bardziej stylowy – powiedziała Tracie. – I ma więcej pewności siebie – dodała.

– Kosztem innych? – spytała Molly. – Wiem, co się dzieje.

Przyprowadza je tutaj na kawę, zanim pojadą do domu. Zupełnie jak mój Moggy, który przynosi mi swoje myszki, zanim je wykończy. Trzy różne kobiety w ubiegłym tygodniu! I przechwalał się do mnie, że w sobotę miał dwie randki. – Molly przysunęła się bliżej. – Wzięłaś ciepłego, wrażliwego faceta, faceta, który potrafi słuchać kobiet, faceta, który potrafi sprawiać kobiecie przyjemność – który nawet pragnie sprawiać przyjemność – po czym zdradzasz mu wszystkie sekrety, za pomocą których zimne łajdaki bez serca nas załatwiają. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś?

Tracie przestała protestować. Przez chwilę zastanawiała się nad słowami Molly.

– Coś bardzo, bardzo złego? – spytała niepewnie.

Molly popatrzyła na nią uważnie i nagle wszystko, co Tracie przed chwilą usłyszała, oraz jej własny sen o psie, zazdrość Phila i sugestie Laury połączyło się w jedną całość. Pomyślała, że potrzebuje tylko odrobinę pomocy i trochę szczęścia, żeby naprawić wyrządzone szkody.

– Masz rację Molly – powiedziała.

Kelnerka skinęła. Tracie przełknęła swoją dumę.

– Pomożesz mi zmienić go z powrotem?

– Jak? – spytała Molly.

– Zdobądź mi dwa bilety na koncert „Radiohead”. Masz swoje kontakty.

Chociaż Molly przestała jeździć z muzykami rockowymi w trasę, nadal ją odwiedzali, kiedy grali w Seattle. Znała – i prawdopodobnie spała z każdym – wszystkich facetów z obsługi, nie wspominając o większości gitarzystów rytmicznych w branży.

Molly zrobiła minę świadczącą o tym, że powątpiewa w intencje Tracie.

– A co z tego będę miała?

– Dostaniesz z powrotem swojego najmilszego faceta na północno-zachodnim wybrzeżu.

– Zastanowię się – powiedziała Molly, ale Tracie wyczytała z wyrazu jej twarzy, że ją kupiła.

– Dziękuję, Molly.

– Ale wiesz, nie mogę niczego obiecać. I nie zwracaj go kompletnie do punktu wyjścia. Podobało mi się, jak trochę poprawiłaś jego wygląd; prawdę mówiąc, aż się prosił o wizytę policji do spraw mody – przyznała Molly.

Jak daleko Tracie sięgała pamięcią, Molly pierwszy raz pochwaliła coś, co Tracie zrobiła.

– Tylko że zmienić jego zachowanie to coś zupełnie innego, niż zmienić jego wygląd. Chyba widzisz różnicę?

– Tak, chyba tak.

– Zdradziłaś wszystkie kobiety świata – syknęła Molly. – Kiedyś miał pewien dar, a teraz sam uważa się za dar boży. To spora różnica – powiedziała.

Lekko skinęła głową w stronę drzwi.

– Tylko popatrz.

Tracie spojrzała za siebie. Jon wchodził do kafeterii. Szedł teraz zupełnie innym krokiem. I zupełnie inaczej się prezentował.

– Rzeczywiście wszystko zepsułam – zgodziła się Tracie. Molly skinęła głową i zniknęła w kuchni.

– Ta-dam! Twój najzdolniejszy uczeń – zawołał Jon, siadając na miejscu zwolnionym przez Molly. Tracie przyjrzała mu się uważnie. Widać było, że nie tylko dobrze wyglądał, ale także dobrze się czuł. Ciekawe, jak dobrze czuje się Beth – pomyślała.

– Hej, co zrobiłaś z włosami?

– A co? – spytała Tracie, z trudem powstrzymując się, żeby ich nie zasłonić rękami. Nie mogła uwierzyć, że Jon ją krytykuje.

– Nie wiem – powiedział, wzruszając ramionami. – Kto cię strzygł? Chyba nie powinnaś próbować nikogo nowego. Ja właśnie byłem znowu u Stefana.

– Masz szczęście – odparła. – To Stefan tak mnie obciachał.

– Ach tak. Całkiem ładnie. – Zmrużył oczy w swoistym grymasie. – Tak – dodał. – Pasuje do ciebie.

– A jak ci pasuje twoje nowe życie? – spytała chłodno. – Czy nie przyszła pora na kilka dalszych lekcji?

Właśnie zamierzała mu powiedzieć, że przydałoby mu się kilka lekcji na temat grzeczności, pamiętania o uczuciach innych oraz zapominania o starych przyjaciółach. Ale zanim zdążyła otworzyć usta, Jon ochoczo się z nią zgodził.

– Absolutnie – powiedział. – Ale, jak sądzę, to kurs drugiego stopnia, dla zaawansowanych.

Nie potrafiła go pojąć, a on sam najwyraźniej nie potrafił pojąć samego siebie.

– Tak, naprawdę? – spytała, starając się nie okazywać swojej irytacji. – I jaki temat proponujesz? Orgietki? Menages d'hois?

Roześmiał się, jak gdyby to wszystko to był jeden wielki dowcip. Przez chwilę zastanawiała się, czy Molly rzeczywiście miała rację we wszystkim. Na pewno nie, ale wyglądało na to, że co do Jona miała absolutną rację.

I wtedy Jon zrobił poważną minę. Może istniała jakaś szansa, że on także pragnie się z powrotem zmienić.

– Prawdę mówiąc, rzeczywiście potrzebuję pomocy. – Na jego twarzy pojawiło się dawne, dobrze znajome pytanie, coś w rodzaju: „powiedz mi, jak to zrobić”. – To znaczy, wiesz, Tracie, nie wiem, czy powinienem cię o to prosić, ale... jak się ich teraz pozbyć?

– Pozbyć się kogo?

– No, na przykład, powiedzmy... – zrobił pauzę, jak gdyby usiłował wymyślić przykład – ...Beth. Wydzwania do mnie co najmniej cztery razy dziennie. W końcu spotkałem się z nią, żeby się jej pozbyć, ale jej nie można się pozbyć. Nieważne, co jej powiesz, ona i tak nie rezygnuje. To znaczy, wiem, że ona jest twoją przyjaciółką, i nie mam zamiaru jej obrażać, ale myślę, że powinna popracować nad szacunkiem dla siebie samej. A na razie nie wiem, co mam zrobić.

Tracie wzięła głęboki oddech. To był ten sam Jon, którego znała. Może

wcale nie był takim zadufanym, skończonym fiutem. Może po prostu był tylko niedoświadczony i trochę niemądry. I najwyraźniej bardzo, ale to bardzo dobry w łóżku. Zarumieniła się.

– Och, nie wściekaj się – powiedział, biorąc jej rumieniec za oznakę gniewu. – Ona jest miła i w ogóle, ale...

Tracie powiedziała sobie, że przecież nigdy się nie spodziewała, że ze spotkania Jona i Beth wyniknie coś poważnego. Spodziewała się raczej, że Beth znudzi się Jonem albo potraktuje go okrutnie, a więc jeśli popełniła błąd, to najwyżej w ocenie sytuacji – Jon nie dopuścił się żadnej moralnej krzywdy wobec Beth. Poza tym pomyślała, że dla Beth obsesja na punkcie nie zainteresowanego nią Jona nie musiała być wcale czymś gorszym od obsesji na punkcie nie zainteresowanego nią Marcusa. Prawdę mówiąc, może była nawet lepsza, bo Jon nie może jej wyrzucić z pracy. Tracie wzięła głęboki oddech.

– Słuchaj, jeśli już musisz z kimś zerwać, zawsze stosuj TNTTJ.

– Co to jest?

Tracie napisała palcem inicjały na wilgotnym blacie stołu.

– TNTTJ. To Nie Ty, To Ja. Wiesz...

– Słyszałem to od kobiet! – zawołał Jon.

– Tak – przyznała. – My też posługujemy się tą metodą. Ale to brzmi jakoś seksowniej w ustach mężczyzny. Wiesz, coś w tym stylu: „Nie mogę się ustatkować. Mam duszę wędrowca”. – Zrobiła pauzę. – Kiedy byłam nastolatką, za każdym razem, gdy słyszałam piosenkę „Wędrowiec”, dostawałam szału.

– O facecie, który wędrował od miasta do miasta? – spytał Jon.

– Tak. Takim, co to nie może się nigdzie zatrzymać na dłużej. Kiedy jesteś takim facetem...

– ...jesteś jak James Dean! – dopowiedział Jon.

– Tak. Typ faceta, który mówi „właśnie taką dziewczynę, jak ty, mógłbym pokochać, ale...”

– Jasne! Chwytam! – zawołał Jon podekscytowany i znowu pełen entuzjazmu.

Nachylił się do Tracie tak blisko, że mogła policzyć wszystkie drobne, kręte włoski na jego brodzie i policzkach.

– Tylko posłuchaj: zaliczyłem Samanthę. Tracie odsunęła się, jakby ją coś ugryzło.

– Zamknij się, dobra?! – wykrzyknęła i poderwała się od stolika. Niewiele myśląc, zrobiła ruch ręką, jakby chciała go uderzyć. Jon uniósł obie ręce do góry, żeby się osłonić przed ciosem.

– O rany! O co chodzi? – spytał. – Myślałem, że będziesz zadowolona z moich postępów.

– Postępów? Nie odpowiadasz na moje telefony. Umawiasz się z Carole i Ruth i nie dzwonisz do Beth, a jak już dzwonisz, to tylko po to, żeby z nią zerwać! A potem, nie wiem, ze słabości czy z nudów, jednak się z nią spotykasz – i śpisz z nią, żeby podsyć jej tęsknotę? – Musiała złapać oddech – Mówisz mi, że „zaliczyłeś” Sam. Zaliczyłeś? Przecież naprawdę ci się podobała. I w ten sposób mi mówisz, że uprawiałeś z nią seks?

– Słuchaj, nie szalej. To był bezpieczny seks – zaprotestował. Tego było już za wiele. Tracie zerwała się z miejsca, chwyciła kurtkę i ruszyła do drzwi. Jon dogonił ją i chwycił za rękę.

– Czy nie po to mnie trenowałaś? – spytał. – Myślałem, że moje osiągnięcia zrobią na tobie wrażenie. Przysięgam, że one wszystkie, Beth i Sam, i Rut, były zachwycone.

– Ruth! Spałeś także z Ruth?

– Spania było w tym niewiele, prawdę mówiąc – powiedział z uśmiechem.

Tracie nie potrafiła się dalej złościć – nie mogła się w tym wszystkim połapać. Czy zawsze był wilkiem w owczej skórze? Patrzył na jej zdumioną twarz.

– Słuchaj, to była dobra zabawa – powiedział. – To znaczy, że dobrze mnie nauczyłaś, Yoda. Czy nie o to chodziło? Czy dasz wiarę, że udało mi się nawet z Enid z mojego budynku? Enid, osobista trenerka z siłowni.

– Enid? – spytała podniesionym głosem. Większość osób w restauracji spojrzała w ich stronę. – Enid? Ona... ona... – Tracie wiedziała, że się jąka, ale są chwile, kiedy słowa nie wystarczą. – Ona jest dziesięć lat od ciebie starsza i pije. To dziwka!

– Nie zamierzam się z nią żenić, Tracie – powiedział, zniżając głos. – To nie było nic zobowiązującego.

– Nie mogę uwierzyć, że się z nią przespałeś. Ona jest stuknięta i powinieś się wstydić.

Podeszła do nich Molly.

– Nie sprzedajemy na wynos – powiedziała i zaprowadziła ich z powrotem do stolika.

Kładąc im ręce na ramionach, posadziła ich przy stole i wyjęła bloczek, czekając na zamówienie.

– Macie parę spraw do omówienia. A na razie to, co zwykle?

– Nie – powiedział Jon rzeczowo. – Nowy człowiek. Nowe menu. Wafle.

– Z szynką? – spytała Molly.

Tracie nie mogła w to uwierzyć. Jak gdyby miała spokojnie zjeść z nim lunch, jak gdyby wszystko było w porządku.

– Nie – rzuciła. – On nie je świń, on je pieprzy.

Molly uśmiechnęła się lekko. To tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło Tracie.

– Jesteś odrażający! – wykrzyknęła do Jona. – Nie chcę z tobą jeść, nie chcę z tobą siedzieć przy jednym stoliku, nawet nie chcę z tobą rozmawiać.

Spojrzała na Molly.

– Zapomnij o lunchu – powiedziała do kelnerki. – On jest zbyt zajęty, żeby zjeść lunch ze mną. – Wstała i pomaszerowała do wyjścia.

Tracie była kobietą, która ma do spełnienia misję; kobietą, która wyruszyła na niebezpieczną wyprawę. Jak na nieszczęście, na jej widok ludzie w redakcji do zwyczajowego „Cześć” zaczęli dorzucać: „Ale fryzura!” albo „Uszy opadły, co?”, albo po prostu „Tracie?” Nie z takim wyglądem wolałaby wchodzić do obozu wroga, ale wyobraziła sobie, że jest świętą Joanną. Jej głosy mówiły: „Jon musi zostać strącony na ziemię”. W tej sytuacji nie przejmowała się faktem, że do tego, aby osiągnąć swój cel, musi wykorzystać innego wroga kobiet.

Zatrzymała się przy boksie Allison. No cóż, nie można było zaprzeczyć, że dziewczyna jest olśniewająca. Pracowała nad jakimś tekstem i jej jasne włosy opadały prostą linią wzdłuż bladego policzka na blat biurka. Była tak pochłonięta swoim zajęciem, że nie zauważyła wejścia Tracie, więc Tracie bez zaproszenia podeszła do jej biurka.

– Cześć, Allison. Właśnie pomyślałam, czy nie mogłabyś wyświadczyć mi pewnej przysługi?

Allison spojrzała na nią, raczej niezbyt gotowa do wyświadczenia jakichkolwiek przysług. Zamrugała swoimi nieskazitelnie błękitnymi oczami. Tracie odruchowo dotknęła swoich króciutkich włosów na głowie.

– Wiem. Są za krótkie – powiedziała, uprzedzając pierwszy cios.

– Tak? Zmieniłaś fryzurę? – spytała Allison i Tracie poczuła, że to uraziło ją jeszcze bardziej niż uwaga Tima, że wygląda jak kiepskie wcielenie Sinead O'Connor. Jednak patrząc na Allison, pomyślała, że prawdopodobnie należy ona do tego typu dziewczyn, które nigdy nie zauważają żadnych zmian w wyglądzie innych kobiet.

– Tak czy inaczej, mam darmowe bilety na koncert „Radio-head”, z przepustką za kulisy, i poprosiłam mojego przyjaciela, żeby ze mną poszedł, ale mój chłopak zaczął kompletnie świrować. Więc pomyślałam czy... może ty byś nie poszła z moim przyjacielem?

Tracie po raz pierwszy w życiu zobaczyła, jak na twarzy Allison pojawia się coś, co nie było wyrazem bezbrzeżnego znudzenia.

– Chyba żartujesz? – spytała i jej oczy, jeśli to w ogóle możliwe, zrobiły się jeszcze większe. – Od dwóch tygodni usiłowałam zdobyć prasowe wejściówki. Naprawdę robiłam absolutnie wszystko, żeby je dostać.

Tracie pomyślała o tym, jak Allison kokietuje Marcusa, i zaczęła się zastanawiać, czy owo „wszystko” obejmowało także propozycje seksualne. Jednak coś jej mówiło, że Allison należy do tego typu kobiet, które lubią kusić, ale niechętnie spełniają obietnice. Mężczyźni żyją z nią obietnicą seksu, a nie samym seksem.

– O niczym innym nie marzę – dodała Allison.

– Świetnie! A więc pójdziesz z moim przyjacielem Jonnym. Nagle nieskazitelne oczy Allison zwęziły się w wąskie szparki, jak u kota syjamskiego.

– Słuchaj. Zaczekaj minutkę! Czy to nie jest jakiś twój głupkowaty kuzyn albo ktoś w tym rodzaju?

Tracie pomyślała, że Allison podobają się wyłącznie mężczyźni, którzy należą do innych kobiet. Roześmiała się.

– Nie. Żaden kuzyn. Gdyby tak było, nasze randki byłyby kaziroduzstwem. Prawdę mówiąc, to facet, dla którego Beth rzuciła Marcusa.

– Naprawdę? – spytała Allison. – Nie wiedziałam, że Beth spotykała się z Marcusem. Poza tym myślałam, że to on ją rzucił – powiedziała, dając dowód, że jest zarazem kłamczucha i idiotką.

Tracie wzruszyła ramionami.

– Naprawdę nie znam szczegółów – rzuciła tak niedbale, jak tylko mogła, choć opanowało ją nagłe pragnienie, żeby wyciągnąć maszynkę Remingtona i ogolić Allison te jej idealne loki.

– Wiem tylko, że przez chwilę chodził z Beth i że pragną go wszystkie dziewczyny z działu informacji. Zaczęłam się z nim umawiać, chociaż mój chłopak nic o tym nie wie. Więc po prostu idź na koncert i zagrzej dla mnie miejsce, a jeśli chcesz, to on cię najpierw zabierze na obiad. Tracie obserwowwała, jak maleńkie światełko, niczym płomyk zapalonej zapalki, rozbłysło w głębi turkusowych jeziorok żrenic Allison. Prawdę mówiąc, jej cała twarz zaczęła promieniować idealnym światłem gładkiej, szklanej latarni. Tracie była pewna, że gdyby Allison miała przejrzyste czoło, mogłaby dostrzec ruch malutkich trybików i przekładni pracujących w jej głowie, podczas gdy Allison usiłuje zestawić siłę pragnienia, żeby ukraść Tracie chłopaka, z ryzykiem, że zostanie przyłapaną przez Marcusa.

– Dobra. Jasne.

Jak gdyby jej własna myśl wyczarowała go z powietrza, Tracie usłyszała za sobą gulgoczący dźwięk. Odwróciła się i zobaczyła Marcusa, który stał u wejścia do boksu. Ciekawe, jak długo tam stał – pomyślała. Może to ona, a nie Allison ryzykuje posadę.

– A zatem, skoro mówimy już o człowieku, którego pragnie połowa dziewcząt z działu wiadomości... – powiedziała zaczepnym, wojowniczym tonem.

Marcus nie uśmiechnął się i Tracie poczuła niemiłe trzepotanie w żołądku. Obie kobiety spojrzały na niego w milczeniu.

– Tracie, czy możesz poświęcić mi kilka minut? – spytał Marcus, po czym wskazał gestem, żeby za nim poszła, i obrócił się na pięcie.

Ruszyła za nim korytarzem. Czy słyszał całą rozmowę? Nawet zmyśloną plotkę o tym, że Beth go rzuciła?

Postanowiła, że jeśli ją wyrzuci z pracy, poda go do sądu. Nie wiedziała jeszcze za co, ale facet był parszywcem.

Droga przez salę działu wiadomości ciągnęła się w nieskończoność i kiedy wreszcie doszli do jego biura, niemal trzęsła się ze zdenerwowania. Wiele oczu śledziło jej drogę, ale nikt nie odezwał się ani słowem.

– Słyszałem pewną plotkę – zaczął, kiedy wreszcie usiadł w swoim fotelu i wyrzucił nogi na biurko.

Tracie nie była pewna, czy ma usiąść czy nie, ale postanowiła, że usiądzie. Boże, czy miał zamiar rozmawiać z nią o tym, jak umówiła Beth z Jonnym? Czy też będzie na nią wrzeszczał, bo usłyszał, że zamierza użyć Allison jako toniku? Czy może podsłuchiwał jej narzekania z powodu artykułu o weteranach drugiej wojny i jej teorię na temat tego, jak Allison go dostała? Trzymała obie ręce na kolanach i musiała wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie zacząć żałośnie szarpać swoich włosów.

– Słyszałem, że zamierzasz zostać wolnym strzelcem – powiedział.

– Wolnym strzelcem? – powtórzyła jak idiotka, ale te słowa wyszły zapewne z jej lewej półkuli czy skądś tam jeszcze dalej, jeśli jest coś jeszcze dalej. Jak się o tym dowiedział? Czy ktoś z „Seattle Magazine” ją zakablował? Czy oni wszyscy piją sobie z dzióbków na jakichś elitarnych balangach?

– Jako pełnoetatowemu pracownikowi naszej gazety nie wolno ci proponować innym mediom żadnych tekstów, które nie zostały

przedstawione do publikacji u nas – wygłosił znaną formułkę.

Tracie nie mogła w to uwierzyć. Czepiał się z powodu tekstu, który sam odrzucił? Po raz pierwszy zamiast lęku poczuła, że za jego brawurą kryje się coś innego – jakaś nerwowość? Obawa? Ale czego miałby się obawiać? I skąd dowiedział się o jej listach do innych gazet?

– Nie jestem pewna, czy zamierzam pisać cokolwiek na własną rękę – powiedziała zgodnie z prawdą, starając się zachować maksymalny spokój. – Ale jeśli coś takiego napiszę, mam nadzieję, że zostanie to opublikowane tutaj. – Urwała i próbowała

się uśmiechnąć, choć prawdę mówiąc, miała ochotę wgryźć mu się w czubek buta, tak żeby dosięgnąć do wielkiego palca. – Tak czy inaczej, Marcus, jedyną rzeczą, nad jaką pracowałam ostatnio – oprócz twoich zleceń – był tekst o przemianie, który odrzuciłeś.

– Jakiej przemianie? – spytał i wstał. Zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż przeszklonej ściany za swoim biurkiem. Widziała, że z profilu był wciąż całkiem przystojny, choć początki podwójnego podbródka wyraźnie osłabiały jego skądinąd mocną twarz. Założył ręce, po czym nagle odwrócił się i przyłapał ją, jak patrzyła na niego z uznaniem. Teraz on się uśmiechnął i prawdopodobnie po to, żeby poczuła się jeszcze bardziej zestresowana, zaczął przechadzać się za jej plecami.

– Ach – powiedział. – Mówisz o przemianie tego technokraty. „Z łagodnego w dzikiego”, tak?

Tracie wyciągała szyję, ale za każdym razem, kiedy pojawił się w jej polu widzenia, zawracał i szedł w drugą stronę. Postanowiła zignorować jego manewry i po prostu wpatrywała się w okno. Nie powiedziała ani słowa.

– Może trochę się pospieszyłem – dodał. – Chciałbym jeszcze raz rzucić na to okiem.

Tracie wiedziała, że powinna powiedzieć nie, że potrzebowała publikacji w jakimś innym piśmie, gdzie nie poszatkuje jej tekstu, ale nie była pewna, czy ma siłę mu się przeciwstawić.

– To tylko szkic – bąknęła, przysłuchując się jego miarowym krokom.

– To nie szkodzi – odparł, po czym podszedł do niej z tyłu i położył jej lekko ręce na ramionach. Podskoczyła na krześle, więc je cofnął.

– Dobra – powiedziała i w jej własnych uszach zabrzmiało to jak kwestia postaci granej przez starą Mary Tyler More, zaskoczonej przez Mr Granta.

– Zaraz przyniosę ci ten szkic – dodała, po czym w mgnieniu oka wstała i wypadła z jego gabinetu.

Tracie, czy możemy chwilę porozmawiać? – spytał ponownie Marcus późnym popołudniem. Czy miała jakiś wybór? Wszedł do jej boksu. – Przeczytałem szkic tekstu o przemianie komputerowego dupka. Jestem głęboko zaskoczony. To jest naprawdę całkiem dobre. Szkoda cię do tych głupich kawałków o różnych świętach. Widzę, że jest wiele innych tematów, które chętnie bym ci powierzył.

Czy mówił serio? Co jest grane?

– Chodź ze mną – powiedział. Pomyślała, że się z niej nabija, ale Marcus niemal wszystko robił z jakimś niemiłym grymasem na twarzy.

– Naprawdę? – spytała i zaraz chciała odgryźć sobie język. Musiała nauczyć się nie reagować ani na jego pochwały, ani na krytykę. Jak on ją traktuje? Jak swojego pieska? Szła za nim długim korytarzem biegnącym na tyłach budynku. Zatopiona w myślach nie zauważyła, że Marcus zatrzymał się, i omal nie wpadła na jego plecy. Odwrócił się do niej. Na korytarzu zrobiło się właśnie zupełnie pusto i Marcus oparł się o ścianę, zakładając ręce w dobrze jej znanym, znienawidzonym geście samowystarczalności.

– Czy mamy zgodę tego faceta?

– Tak jakby.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jeszcze jej nie mam, ale dostanę. To mój przyjaciel.

– Byle nie po publikacji tekstu.

Roześmiał się, po czym rozejrzał się dookoła. Tracie odruchowo także odwróciła głowę, jak gdyby wróg podsłuchiwał. To dlatego była tak zaskoczona, kiedy ponownie odwróciła się do niego i zobaczyła, że nagle znalazł się kilka centymetrów od niej. Przyparł ją do muru i w taki sposób wyciągnął ramiona, że znalazła się między jego rękami, plecami do ściany, dosłownie centymetry od jego twarzy, na której malował się ironiczny uśmiezek. Czuła jego oddech na swoim czole.

– Co byś powiedziała, gdybyśmy zredagowali to dziś wieczorem... wspólnie?

Nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę się do niej przystawiał. Pomyślała o ruchu kolanem w kierunku jego krocza, ale zależało jej na pracy.

– Marcus... – zaczęła

Przysunął się bliżej, niemal dotykając ustami jej ust. Próbowwała zsunąć

się w dół ściany.

– Nie sędzę...

– Daj spokój. Nie odgrywaj przede mną takiej cnotki. Wiem, jak na mnie patrzysz w czasie spotkań redakcyjnych.

Już miał ją pocałować, gdy Tracie odepchnęła go z całej siły – na tyle mocno, że stracił równowagę. Zachwiał się i wtedy Tracie, jakby odruchowo, popchnęła go jeszcze raz. W tym momencie tuż za nim zobaczyła Tima i Beth. Co zauważyli? Marcus upadł na podłogę. Beth zatrzymała się i patrzyła na niego w milczeniu. Tim, raczej niezbyt chętnie, jak jej się zdawało, schylił się, żeby mu podać rękę. Marcus odtrącił ją zakłopotany i wstał.

– A przy okazji, potrzebuję ten tekst o Dniu Ojca dziś wieczorem.

– Ale powiedziałaś...

– Twój błąd – przerwał jej Marcus, odwrócił się i odszedł, zostawiając ją samą na korytarzu.

Jakiś czas później, kiedy Tracie kończyła swój tekst o Dniu Ojca, przyniesiono jej bilety na koncert „Radiohead”. Rewelacja! Molly naprawdę się dla niej postarała. Będę musiała zostawiać większe napiwki – pomyślała Tracie. Musiała koniecznie skończyć ten artykuł. Cały czas wydzwaniała do Jona. Jeśli go nie złapie, nie pozostanie jej nic innego, jak wręczyć te bilety Allison na darmo. I wtedy zadzwonił telefon... Zadzwonił drugi raz, potem trzeci. Potrzebowała chwili wytchnienia, więc podniosła słuchawkę.

– Halo, tu Tracie Higgins – wyszeptała do słuchawki.

– Cześć, Alchemiku. Gdzie się podziewałaś ostatnio? – spytał Jon.

– Och, świetnie, że dzwonisz. Mam dla ciebie dziewczynę na dzisiejszy wieczór!

– Dziś wieczór nie mogę. Umówiłem się z Ruth.

– Słuchaj, musisz odwołać Ruth, ponieważ ta dziewczyna to naprawdę coś ekstra.

– Chyba Ruth nie poczuje się urażona, jak jeszcze trochę na mnie poczeka, co? – spytał. – Pasjonuje się wspinaczką, więc lubi sobie czasem powisieć. – Urwał i po chwili roześmiał się. – Gdybym ją dzisiaj splewił, byłbym bez serca.

– To prawda. – Tracie prychnęła z kiepskiego żartu tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność. Będzie za niego srodze pokutował przez cały wieczór.

- Bądź tutaj o szóstej trzydzieści. Mam bilety na koncert „Radiohead”.
- Przyjdź do mojego biura, to ci wszystko wyjaśnię.
- Okej, to na razie.

Jon czuł się tak podle po niedzielnej kłótni z Tracie, że przez cały poniedziałek nie mógł skupić się na pracy i wieczorem pojechał odwiedzić swoją matkę. Powiedział sobie, że już dawno powinien był do niej wpaść, ale prawdę mówiąc, pojechał ze względu na siebie, nie na nią. Bez pytania zrobiła mu na pocieszenie jedno z jego ulubionych dań – kurczaka z kluskami.

– Kochanie – powiedziała, przeczesując palcami jego nową fryzurę – wyglądasz na zmęczonego. Tak ciężko pracujesz?

Nie powiedział, że „ciężko to nazwać pracą”, choć byłoby to bliższe prawdy. Skinął tylko głową.

– Jonathan, czemu nie kupisz sobie psa, kochanie? – spytała. Było to jedno z tych zwariowanych pytań, jakie tylko matka może człowiekowi zadać. Jednak w jej pytaniu było coś ujmującego, a nawet jakaś racja. W jednej chwili ogarnęła go nagła tęsknota za czymś prawdziwym, wiernym i ciepłym. Mało brakowało, a powiedziałby matce o kłótni z Tracie, ale był zbyt zawstydzony całą resztą swojego zachowania.

Spodziewając się, że Tracie już nigdy się do niego nie odezwie, zadzwonił do niej z przeprosinami. Z radością usłyszał, że jest najwyraźniej zadowolona, że się do niej odezwał, z jeszcze większą radością przyjął wiadomość, że umówiła go na randkę. Spodziewał się, że Tracie jest na niego naprawdę wściekła, i był gotów zrobić wszystko, żeby przywrócić pokój. Chociaż uwielbiał ten wir seksualnej aktywności i nie miał zamiaru

z niego rezygnować, wiedział, że potrzebuje przyjaźni Tracie. Prawdę mówiąc, była jego jedynym bliskim przyjacielem. A także jedyną osobą, która знаła jego prawdziwą naturę. Co prawda „najlepsza laska we wszechświecie” to brzmiało zbyt dobrze, żeby mogło być prawdziwe, ale Jon nie był nawet zdenerwowany. Miał teraz w kieszeni bilety na koncert, na sobie nową koszulę od Armaniego oraz magiczną marynarkę, która najwyraźniej robiła całą resztę. Nie golił się od poniedziałku i wiedział, że wygląda dobrze, ponieważ, choć wciąż nie miał odwagi usiąść przy barze, kiedy obok niego przechodził, kilka kobiet odwróciło głowę i zmierzyło go badawczym spojrzeniem. Tak czy inaczej, z Tracie na pokładzie odzyskał swoją pewność siebie.

W „Java, the Hut” wydawała się taka wściekła, że chociaż wciąż do końca nie wiedział, dlaczego, na jej widok nabrał otuchy. Nie próbowała go przeproszać czy coś w tym stylu, ale może na swój sposób chciała zawrzeć pokój, organizując mu randkę. Tracie należała do ludzi, którzy nie potrafią przyznać się do błędu. A on nie chciał, żeby czuła się zmuszona powiedzieć „przepraszam za ten epizod ZNP” * albo „szkoda, że wylałam na ciebie całą swoją złość na Marcusa”, żeby się pogodzić. Zachowywała się normalnie – nie, była nawet przyjemniejsza niż normalnie – kiedy odbierał od niej bilety. Pochwaliła jego ubiór i poprawiła mu kołnierzyk od koszuli, zanim wysłała go w drogę. A więc wszystko jest znowu w porządku.

Jon nie był wielkim amatorem zespołu „Radiohead” – prawdę mówiąc, nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyszał jakieś ich nagrania poza Karma Police. Ale Tracie powiedziała mu o uwielbieniu, jakim „kosmiczna laska” darzy Thoma Yorke'a, i Jon żałował tylko, że nie miał czasu naoglądać się Yorke'a w MTV, żeby podpatrzeć kilka jego póz i gestów. Skoro potrafił naśladować Jamesa Deana, na pewno potrafiłby i Thoma Yorke'a. Cóż, dziewczyna – z przerażeniem uświadomił sobie, że nie może sobie przypomnieć, czy nazywa się Aleksandra

ZNP – zespół napięcia przedmiesiączkowego (przyp. Hum.). czy Allison, ale postanowił, że dla bezpieczeństwa nazwie ją Ali – będzie musiała zadowolić się Jamesem Deanem, tak jak wszystkie inne do tej pory. Uśmiechnął się do siebie i pokręcił głową. W pewnym sensie miał szczęście, że nie wiedział, że to takie łatwe. Gdyby wiedział, prawdopodobnie zawaliłby szkołę średnią.

Usiadł przy stoliku w bistro i zamówił piwo. Nie miał przy sobie zegarka, żeby to sprawdzić, ale na pewno się spóźnił. Ile czasu ona zamierzała się spóźnić? Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pomylił restauracji albo czy Tracie czegoś nie pomyliła. Ale nie, miejsce było właściwe, a zresztą co tam, jeśli Ali nie przyjdzie, po prostu zadzwoni do Ruth albo nawet Beth i powie, że ma dwa świetne bilety, i zabierze ją ze sobą. A jeśli żadnej nie zastanie, może naprawdę usiąść przy barze. Na pewno znajdzie się tam jakaś wielbicielka Thoma Yorke'a. Znudzony, wziął do ręki menu. Zwykły zestaw, jaki można spotkać w bistro: rozmaite wymyślne burgery, frytki, grillowane piersi z kurczaka. Odkładał właśnie menu, kiedy ją zobaczył. Stała po drugiej

stronie sali i rozglądała się. Nie była wcale „kosmiczną laską”. Była czymś znacznie więcej: była aniołem. Jon od razu wiedział, że to kobieta, z którą umówiła go Tracie, i pobłogosławił Tracie z całego serca. Wszystkie spojrzenia w bistro, kobiet i mężczyzn, zwróciły się w jej stronę. A ona, jak gdyby to był sen, ale i równie nieuchronnie jak jego własna śmierć, ruszyła powoli ku niemu. Była wysoka i jeśli nie liczyć ramion, bardzo szczupła. Miała nieprawdopodobnie długie nogi i niezwykle, srebrzystoblond włosy. Oddałby życie za to, żeby móc pogładzić te włosy.

Tylko spokojnie – powiedział sobie. Ani Thom Yorke, ani James Dean nawet by nie mrugnęli, gdyby się do któregoś z nich przysiadła. Przez głowę przemknęły mu wszystkie nauki Tracie. Mocniej chwycił szklankę piwa i zmusił się, żeby wolno wypić następny łyk dla uspokojenia nerwów.

– Ty pewnie jesteś Ali – powiedział, kiedy podeszła do stolika.

– Allison – poprawiła.

Czuł, jak jej spojrzenie taksuje go od góry do dołu.

– Ty pewnie jesteś Jonny.

Skinął, ponieważ lepiej było nie odzywać się, zanim nie odzyska kontroli nad swoimi strunami głosowymi. Dziewczyna była zachwycająca. W niezwyklej gładkości jej skóry było coś, co przywiodło mu na myśl blask monitora jego nowego laptopa. O czym można rozmawiać z boginią? Poczuł, że tak samo brakuje mu słów, jak kiedyś w korytarzu Micro/Conu na widok Samantha. Boże, nie mógł teraz sobie pozwolić na żadną powtórkę tamtej niemoty. Nie teraz, kiedy naprzeciwko niego siedzi „najwspanialsza laska w kosmosie”.

Niewiele brakowało, a naprawdę znowu by wszystko spieprzył, bo już miał zamiar zapytać ją, jak jej się pracuje w „Timesie” albo czy studiowała dziennikarstwo, albo jaki jest jej znak zodiaku, jednak w porę przypomniał sobie, że nie powinien się za wiele odzywać. Poruszył więc tylko szczęką w sprawdzony sposób a la James Dean, sięgnął po swoje piwo i znowu trochę upił. Nie ma co się spieszyć. I dobrze zrobił. Albowiem chociaż Allison spotkała pewnie dziesiątki – co tam dziesiątki, setki – mężczyzn usiłujących zrobić na niej wrażenie i ją zabawić, nie była przyzwyczajona do milczenia, chyba że sama je sprowokowała. Palce zbiały mu od ściskania szklanki, zanim się wreszcie odezwała, ale dzięki temu miał czas na uspokojenie oddechu

i mógł wrócić w znane koleiny programu.

– Czym się zajmujesz? – spytała.

– Zależy kiedy – odparł i jej oczy zamrugały. I niemal się uśmiechnęła. Jej idealnie wykrojone wargi były jeszcze bardziej pociągające, kiedy się rozchyliły. A jej zęby! Dziesięć tysięcy ortodontów marzyłoby o odlewie takich zębów, żeby móc je pokazywać swoim przyszłym klientom.

Rozmawiali przez chwilę. Allison wypytywała go o pracę, rodzinę, jaki ma samochód i całą masę innych podobnych głupot. Jednak w trakcie rozmowy Jon zorientował się, że na tyle dobrze opanował tę głupią grę, że może śmiało aspirować do kobiety takiej jak Allison. Czemu miałby pragnąć innych kobiet, gdyby ona zapragnęła zarzucić mu na szyję te swoje ramiona, przywrzeć do niego wargami, pozwolić mu dotknąć choćby centymetra kwadratowego swojej doskonałości?

Siedząc naprzeciw niej w przyćmionym świetle bistro, Jon z powodzeniem dawał sobie radę z jej pytaniami, ale cały czas nie mógł się otrząsnąć z myśli o jej niezwyklej urodzie. To było, jak dotąd, zdecydowanie jego największe osiągnięcie.

I wtedy do ich stolika podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie.

Przez moment pomyślał, czy nie zignorować dziewczyny, której uroda była jedynie cieniem urody Allison, ale coś samo się w nim odezwało. Zupełnie tego nie planował. Po prostu samo się zrobiło. Kierował nim automatyczny pilot! Jon jakby się ocknął zaskoczony, po czym zwrócił się do Allison:

– Czyż ona nie ma najpiękniejszych oczu na świecie?

Następnego ranka Tracie szła korytarzem, nucąc wesoło jakąś melodię. Znowu przyszyła wcześniej i miała jeszcze na sobie płaszcz. W rękę trzymała papierową torbę z kubkiem kawy i czekoladową babeczką. Beth podniosła głowę znad biurka i spojrzała w jej stronę.

– Cześć, Tracie – zawołała do przechodzącej przyjaciółki, ale Tracie wiedziała, że na tym się nie skończy.

Przestała nucić, czując, że Beth idzie za nią do jej boksu. Westchnęła. Jeszcze trochę cierpliwości i to wszystko się skończy. Beth zacznie wariować na punkcie jakiegoś innego faceta, Tracie odzyska swojego przyjaciela, a sprawy z Philem wrócą do normy.

– Masz jakieś wiadomości od niego? Czy ona go zastrzeliła? – spytała Beth.

Tracie wzruszyła ramionami, choć wiedziała, że nie uda jej się pozbyć Beth tak łatwo.

– Zabiła go, prawda? To taka idiotka! – zawołała Beth.

– Beth, mam ważniejsze sprawy na głowie, niż śledzić każde zawirowanie w życiu uczuciowym moich przyjaciół – powiedziała. Zdjęła płaszcz, powiesiła go i usiadła przy biurku. Do boksu wpadła Sara.

– Słyszałyście?! – wykrzyknęła.

– O czym? – spytała Tracie.

– Chodzi o Allison. To na pewno coś na temat Allison – powiedziała Beth bez tchu.

Sara uśmiechnęła się z tym poczuciem wyższości, jakie przepełnia osobę, która usłyszała najświeższą biurową plotkę minutę przed tobą. Tracie pokręciła głową i odwróciła się, żeby otworzyć swoją torbę ze śniadaniem.

– Zgadnijcie, kto właśnie zadzwonił, że nie przyjdzie z powodu choroby? – spytała tajemniczo Sara.

– Marcus? – odezwała się Tracie. – Boże, mam nadzieję, że to nie jest rak macicy – dodała.

– Allison! Allison zadzwoniła, że jest chora? W dniu kolegium redakcyjnego? – nie wytrzymała Beth.

– Marcus ją zabije – odparła Sara.

– Ona się niczego nie boi. Prawdopodobnie załatwiła Jona –

powiedziała Tracie z pewnością siebie i uśmiechnęła się.

Otworzyła papierową torbę i wyjęła kawę i czekoladową babeczkę.

– Beth, zdawało mi się, że poszłaś do specjalisty w sprawie tych swoich obsesji. Co mówi twój terapeuta?

– Przepisuje mi tylko ciągle jakieś nowe pigułki. Prawie w ogóle nie rozmawiamy. To bardziej farmaceutyczny barman niż terapeuta. A jeśli już mowa o obsesjach, to myślałam, że skończyłaś już z tymi serowymi babeczkami z kremem czekoladowym. Wiesz, że można się od nich uzależnić.

– Od dawna ich nie jadłam. To tylko ten raz... – zaczęła Tracie.

– Masz jakieś zmartwienie – wtrąciła się Sara.

– Nie, nie mam! – zawołała Tracie odrobinę za szybko.

– Okej. To powiedz nam, co Jonny mówił na temat Allison – dopytywała się Beth.

Tracie odwróciła się do nich tyłem.

– Nic nie mówił. Nie zadzwonił do mnie – przyznała.

– Nie zadzwonił? O Boże! On zawsze dzwoni. O Boże! Tracie, ona go załatwiła. Załatwiła go tak, jak załatwiła wszystkich innych. Ma go jak rybę na haczyku, kolejnego szczupaka w saku, pstrąga... – nadawała Beth.

– Czy możesz darować sobie te analogie? Nie mogę słuchać o rybach na pusty żołądek.

– Biedny Jon – powiedziała Beth, kręcąc głową. – Zasłużył na kogoś lepszego.

Tracie wiedziała, że zdaniem Beth jedyną lepszą propozycją jest sama Beth. W porządku, każdy ma jakiś słaby punkt.

I w tym momencie zadzwonił telefon.

– To on! Mogę się założyć, że to on! Odbiorę – zawołała Beth i sięgnęła po słuchawkę.

– Chwileczkę! To, zdaje się, jest mój telefon i moje biuro – przypomniała jej Tracie.

– Tak, to na pewno twój boks – rzuciła Sara. Telefon zadzwonił ponownie.

– Proszę, pozwól mi odebrać – błagała Beth. – Dam ci pięćdziesiąt dolarów przy najbliższej wypłacie.

Telefon dzwonił dalej i Tracie usiłowała po niego sięgnąć, ale Beth zagroziła jej drogę. Tracie sama umierała z ciekawości, żeby się

dowiedzieć, co się stało, ale nie zdradziłaby się z tym ani za pięćdziesiąt dolarów, ani za sto, ani nawet za czekoladową babeczkę. Po ilu dzwonekach włącza się poczta głosowa? Zwykle po trzech, ale czasami po czterech. Próbowwała wyminąć przyjaciółkę, ale Beth niczym bramkarz zablokowała jej drogę.

– Beth, przestań! – ofuknęła ją Tracie. – Miej trochę szacunku dla samej siebie.

– Boże! To lepsze niż *The Young and the Restless* * – zażartowała Sara.

Tracie zrobiła zwód w prawo i chwyciła słuchawkę z lewej strony Beth, zanim Beth zdążyła jej dopaść.

– Czy wy, chłopaki, nigdy nie dorośnięcie – powiedziała, przykładając słuchawkę do ucha.

– Halo.

– Tracie? Tu Allison.

Ha! Tracie mogła teraz pomścić Sarę i Beth i odpłacić im za Telewizyjny serial amerykański z lat siedemdziesiątych: *Młodzi i niespokojni* (przyp. thim,).

to, jak się nad nią przed chwilą znęcały. A do tego zaraz usłyszysz, jak Allison załatwiła Jona, i będzie z lubością napawać się każdą minutą tej historii. Wprawdzie nie podobała jej się myśl, że w tym momencie zachowuje się jak suka, ale Jon naprawdę na to zasłużył i kiedyś sam będzie zadowolony, że tak się stało.

– Och, cześć Allison – zawołała Tracie słodkim głosem.

Jak się spodziewała, jej słowa zelektryzowały Sarę i Beth. Sara otworzyła szeroko oczy, aż o mało nie wyskoczyły jej z orbit, a kręcone loki Beth wyglądały, jakby stanęły dęba. Sara zeskoczyła z biurka i podbiegła do Tracie, jakby się chciała znaleźć jak najbliższej słuchawki; Beth natychmiast znalazła się z drugiej strony. Tracie usiłowała odpędzić obie od siebie, starając się równocześnie nie uronić ani jednego słowa Allison.

– Mam taki problem, Tracie, że nie mogę wstać z łóżka. – Tracie pomyślała, że już o tym słyszała, ale Allison jeszcze bardziej zniżyła głos. Brzmiał okropnie.

– Czy to grypa? – spytała Tracie.

– Nie, po prostu nie mogę wstać z łóżka. – Beth szturchnęła Tracie mocno łokciem w żebra, ale nie dlatego, że usłyszała, co powiedziała

Allison, tylko dlatego, że tego nie słyszała. Tracie trzymała słuchawkę przyciśniętą mocno do ucha.

– W powietrzu teraz krąży pełno wirusów. Na pewno masz zapalenie gardła.

– Nie mam – zaprzeczyła Allison. – Wcale nie jestem chora – powiedziała szeptem, w którym wyczuwało się cień irytacji. Na chwilę zamilkła. – Nie mogę wstać z łóżka, ponieważ mi się nie chce. Jestem tu razem z Jonnym i...

Tracie opadła na fotel, omal nie przewracając Sary.

– O, cholera – wyrwało się Sarze. – Marcus będzie zachwycony.

Beth i Sara znowu próbowały docisnąć się do słuchawki, ale zauważyły, że uśmiech wyższości zniknął z twarzy Tracie, ustępując miejsca grymasowi. Odwróciła się plecami do obu dziewcząt obserwujących ją w napięciu. Czuła, że kręci się jej w głowie. Umknął jej jakiś fragment wypowiedzi Allison.

– ...po prostu nie mogę wstać z łóżka. W ogóle nie mam zamiaru z niego wstawać. Jestem kompletnie wyczerpana.

– Ale... ale... – Co mogła powiedzieć?

On wcale nie jest taki dobry w łóżku, bo to tylko mój przyjaciel? Nie wierz w to, co widzisz i czujesz, bo tak naprawdę to komputerowy dupek? Nie bądź dla niego miła, tylko go ukarż, bo na to zasłużył?

– Ale... kolegium redakcyjne... – wydukała żałośnie.

– Do diabła z Marcusem i kolegium. To jest po prostu za dobre.

– Naprawdę? – spytała, zanim zdążyła się powstrzymać.

W końcu sama urwała się z pracy, żeby się ostrzyć – i to do tego fatalnie.

– Naprawdę? – spytała jeszcze raz.

– Najlepsze! – powiedziała Allison głosem osoby, która wie, co mówi. Cóż, jeśli ktoś się na tym zna, to na pewno Allison – pomyślała Tracie z goryczą. Dlaczego wszystko jest inaczej? Beth napierała na nią z jednej strony, Sara z drugiej, ale w słuchawce znowu odezwała się Allison.

– Tracie, jestem ci winna przeprosiny. Zawsze myślałam, że mnie nie lubisz, ale widzę, że się myliłam.

Nie, nie myliłaś się – pomyślała Tracie. Teraz się mylisz.

– Co? – dopytywała się Beth. – Co ona mu zrobiła? Tracie odepchnęła ją łokciem i zakryła słuchawkę ręką.

– Myślę, że chciałam ci po prostu podziękować – ciągnęła Allison. – Jonny mówił mi, jak bardzo się przyjaźnicie i... jestem naprawdę wdzięczna za najlepszą noc mojego życia. – Głos się jej załamał, jakby się miała zaraz rozplakać; zrobiła pauzę, chcąc najpewniej złapać oddech. – Dziękuję – powiedziała.

– Proszę bardzo – odparła Tracie mechanicznie.

– O, budzi się, muszę iść – rzuciła Allison. – Jeszcze raz dziękuję, Tracie.

W słuchawce zapadła cisza.

Tracie odłożyła ją i powoli odwróciła się do swoich przyjaciółek.

– Spędziła noc z Jonnym. Beth jęknęła.

– Nie wytrzymam tego. To jest po prostu niesprawiedliwe.

– Leży z nim teraz w łóżku – dodała Tracie i ku swojemu kompletnemu zaskoczeniu poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Poczowała się nagle straszliwie samotna. – Nie rozumiem – powiedziała. – To znaczy... czy on jest taki dobry?

– Naprawdę dobry – przyznała Beth, po czym powoli wstała i ruszyła do wyjścia. – Może powinnam wrócić do Marcusa – dodała, wychodząc z boksu.

Sara spojrzała na Tracie.

– Co zamierzasz zrobić?

Tracie zmusiła się, żeby siedzieć prosto w krześle, wzięła czekoladową babeczkę i ugryzła duży kawałek.

– Poczekaj do niedzielnego lunchu – powiedziała z pełnymi ustami. – Zabiję go.

Jonny drzemał obok Allison, dotykając nogami do jej jedwabistych pośladków. Jej skóra była jednym z cudów świata. Otarł się o nią, czując nową falę podniecenia, i jego członek uderzył lekko o jej plecy. Przez chwilę jego myśl pobiegła w stronę „Parsifala”. Gdyby można było umieścić tow obrębie wirtualnej rzeczywistości gry komputerowej, w kilka miesięcy puściłby Billa Gatesa z torbami.

Jon uśmiechnął się. Miniona noc, tak jak poprzednie dwie noce z Allison, była doprawdy niesamowita, ale stanowiła jedynie uwieńczenie całej serii fantastycznych nocy. Gdyby miał porównać swoje ostatnie sukcesy seksualne do pasma zwycięstw, Allison była jego Waterloo, a on był Żelaznym Księciem.

Jego członek znowu się poruszył. Przyszło mu na myśl, że już nigdy nie przeżyje doskonalszego momentu w życiu. A jednak czegoś mu brakowało. Z jakiegoś powodu pomyślał o Biblii, ale nie dlatego, że Allison była błogosławionym darem – choć wyglądała niemal jak anioł – lecz ze względu na sposób, w jaki w Biblii mówi się o seksie. Kiedy w Biblii mowa o tym, że mężczyźni spali z kobietami, powiada się, że „poznawali je”. W pewnym sensie Jon rozumiał, o co chodzi, ponieważ akt, podczas którego brał Allison w posiadanie, oglądając otwierające się przed nim piękno jej nagiego ciała, był aktem poznania. I kiedy w nią wchodził, przenikał go dreszcz posiadania i dreszcz odkrywania głębszej, bardziej zakazanej wiedzy. A jednak nie znał Allison. Nie w żaden realny sposób. Być może pewnego dnia ją pozna, ale nie miał pojęcia, co wtedy odnajdzie. Wszystko, co wiedział w tej chwili, sprowadzało się do świadomości, że jest doskonała i że poruszanie się na niej, w niej i nad nią stało się swoistym baletowym pas de deux, bardziej erotycznym i piękniejszym niż jakikolwiek balet. A równocześnie wiedział, że leży obok osoby praktycznie nieznanemu. Na domiar złego sam był wobec niej kimś jeszcze gorszym – był oszustem. Jonny zamrugał oczami. Usiadł i przeciągnął się. Allison przewróciła się na plecy, odsłaniając nie tylko swoją śliczną twarz okoloną aureolą pszenno jasnych włosów na poduszce, ale także swoje absolutnie idealne piersi. Zupełnie nie do wiary, ale poczuł nowy przyływ pożądania, jak gdyby trzy razy nie było dosyć.

Prawdę mówiąc, jeśli już miałby być wobec siebie szczerzy, musiał

przyznać, że w łóżku, choć była całkiem dobra, nie była rewelacyjna. Allison była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni dbają o jej przyjemność i z pewnością jako kochanka nie była nawet w połowie tak dobra jak, powiedzmy, Beth, ale sama możliwość patrzenia na nią była dla niego wystarczająco ekscytująca, żeby nadrobić całą różnicę. Pomyślał właśnie, czy nie spróbować jeszcze raz, kiedy zadzwonił telefon.

Zabrał ją tym razem do siebie – złamał uświęcone zasady, czego Tracie z pewnością by nie pochwaliła, i proszę, spotkała go surowa kara. Przez moment pomyślał, czy nie lepiej zignorować telefon, ale nie chciał, żeby Allison pomyślała, że jest dla niego taka ważna, albo że zachowuje się, jakby się obawiał, że więcej się z nią nie spotka. Z nadzieją, że to nie Beth, przy drugim dzwonku wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

– Hej, Jon. Czy wiesz, jaki dziś dzień mamy? – zapytał męski głos i Jon omal nie odłożył słuchawki.

– Tata? – odezwał się i nie wiedział, co powiedzieć dalej. Od dwu lat nie miał od ojca żadnej wiadomości, jeśli nie liczyć pocztówki z Puerto Rico, a następnie listu z San Francisco, w którym Chuck błagał go, żeby zainwestował sto tysięcy dolarów w jakiś nowy interes, który usiłował uruchomić z dwoma innymi równie splukanymi facetami. Jon niezbyt rozumiał sens całego przedsięwzięcia, ale posłał ojcu przekaz na tysiąc dolarów i kartkę z życzeniami powodzenia. Od tamtej pory ojciec się nie odezwał.

– Tato... – powtórzył.

Allison przewróciła się na łóżku i uniosła głowę, opierając ją na łokciu. Jednak Jon nie chciał, żeby akurat w tej chwili ktoś na niego patrzył. Usiadł i spuścił nogi na podłogę, odwracając się do niej plecami.

– To mój dzień, Jon. To Dzień Ojca. Pamiętasz? A ja jestem twoim ojcem.

W jego głosie był jakiś obronny, a równocześnie proszący ton, który sprawiał, że Jon poczuł się bardzo niewyraźnie. Czy ojciec pił już o tak wczesnej porze? Jon nadal nie nosił zegarka, ale wiedział, że jest wcześniej – bardzo wcześniej jak na picie. Oczywiście nie wiedział, w jakiej strefie czasowej przebywał Chuck – a nawet na której półkuli. Może w Singapurze była właśnie pora koktajlu.

– Zastanawiałem się, czy nie znalazłbyś trochę czasu, żeby się ze mną

spotkać? – mówił jego ojciec. – Przejechałem kawał świata, synu, żeby cię zobaczyć.

Jon wzruszył lekko ramionami. Jeśli ojciec mówił do niego „synu”, znaczyło to, że niechybnie stało się coś niedobrego. Jego ojciec nigdy nie miał ochoty przyznać się, że miał więcej niż trzydzieści pięć lat, w świetle czego dość dziwny wydawał się fakt, że miał tak dorosłego syna. Chociaż sam się starzał, jego kobiety się nie starzały, jakkolwiek widać było przerażający spadek jakości. Jon westchnął i miał nadzieję, że ojciec tego nie usłyszał.

– Jasne – powiedział. – Jasne, że mogę się z tobą spotkać.

Cholera jasna! – zawołała Tracie, patrząc na gazetę rozłożoną na podłodze pokoju dziennego.

– Chodź, te jego jajka nie są takie złe – odezwała się Laura. Jedli późne śniadanie, przygotowane – o dziwo – przez Phila, który uparł się, że musi je zrobić. I choć jajka były usmażone na brązowo, a kartofle niedogotowane i nieprzyjemnie chrzęściły w zębach, Tracie nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, cała skupiona na opłakiwaniu spustoszeń, jakich Marcus dokonał w jej artykule na Dzień Ojca. Niełatwo było wymyślić jakiś oryginalny punkt widzenia, ale Tracie była dość zadowolona ze swojego tekstu, odkąd wpadła na pomysł, żeby napisać o alternatywnych ojcach. Ksiądz, który pomógł wychować kilkunastu osieroconych chłopców, yuppie odgrywający rolę starszego brata dla dziewięcio-latkę przykutego do inwalidzkiego wózka, facet, który prowadził obóz letni i występował in loco parentis dla kilkudziesięciu chłopców, oraz kilku dziadków, którzy wychowywali swoje wnuki. Artykuł zajmował cztery kolumny, jednak został skrócony do niecałej jednej, na której mowa była tylko o dziadkach, podczas gdy pozostałym bohaterom poświęcono zaledwie po jednym zdaniu. Ktoś inny dopisał tradycyjną sieczkę o tym, gdzie to „normalne” dzieci zabierają tego dnia swoich „normalnych” ojców, uzupełnioną o listę restauracji serwujących specjalny świąteczny lunch. Rozwścieczona spojrzała na podpis i odkryła, że wprawdzie u dołu zamieszczono jej nazwisko, ale obok dodano „współpraca Allison Atwood”.

– A niech to szlag! – wykrzyknęła Tracie i cisnęła gazetą przez pół długości pokoju.

Phil, zupełnie nieświadomy jej udreki, postanowił właśnie w tym

momencie zapytać ją o zdanie na temat śniadania.

– Czy ci smakowały jajka?

Tracie usłyszała stłumiony śmiech Laury, zdołała jednak powstrzymać wybuch swojej wściekłości na gazetę przynajmniej na tyle, by obdarzyć Phila wymuszonym uśmiechem.

– Naprawdę dobre, dzięki.

Nie oparła się jednak przy tym refleksji, że zrobiła Philowi ze sto śniadań – bez większego zamieszania i zwykle bez słowa podziękowania z jego strony. Tymczasem facet, jak już usmażył jedno cholerne jajko, to zaraz wyobraża sobie, że należy mu się za to Nagroda Nobla.

– Naprawdę? Smakowały ci jajka? – spytał znowu Phil, prawdopodobnie ciągle niesyty pochwał, i Tracie nie po raz pierwszy pomyślała, czy nie potrafiłaby jednak w jakiś sposób żyć bez seksu. Jon nie tyle żałował, że będzie musiał na jakiś czas oderwać się od Allison, ile raczej obawiał się, jaką to małą rozrywkę przygotował dla niego tym razem Chuck Delano.

Jon nie żywił do ojca nienawiści. Byłoby mu o wiele łatwiej, gdyby potrafił się na nią zdobyć. Jednak ojciec budził w nim głównie jakąś irytację pomieszaną z litością. I to właśnie z powodu tej litości poderwał się z łóżka, ubrał i wskoczył do taksówki. Jeszcze raz spróbował sobie wyobrazić, co tym razem może go spotkać.

Kiedy Jon był nastolatkiem, ojciec kilka razy zabrał go na swoje małe wyprawy. Chuck – nie chciał, żeby nazywać go ojcem – siedział naprzeciw jakiejś młodej kobiety, ale zwracał się do niego:

– A teraz, synu, chciałbym, żebyś poznał moją nową dziewczynę. Czyż nie jest wystrzałowa?

Trzeba przyznać, że było ich wiele, ponieważ – choć Jon nie lubił o tym pamiętać – jego ojciec był przystojnym facetem i potrafił być bardzo czarujący. Tyle że kiedy Jon miał kilkanaście lat, Chuck był w szczytowej formie. Później, kiedy jego kariera zaczęła chylić się ku upadkowi, to samo stało się z jego urodą i Chuck coraz częściej zaczął znajdować pociechę w whisky Southern Comfort – większą niż cała Konfederacja razem wzięta. Coraz częściej też posługiwał się Jonem jako rekwizytem przy okazji zdobywania kolejnych kobiet. Jon nie miał większego wyboru – ojciec miał prawo się z nim spotykać – a poza tym jakaś część jego istoty pragnęła widywać się z ojcem. A jaki dzieciak

by nie chciał? Kiedy Jon osiągnął wiek dojrzałości, Chuck z pewnością nadal pozostał nastolatkiem. Tuż przed swoim wyjazdem z Seattle po raz ostatni zabrał Jona do miasta. Właśnie kolejna z jego prac skończyła się katastrofą i po kilku drinkach w przyływie żalu nad sobą Chuck uderzył w sentymentalną nutę.

– Muszę gdzieś zacząć wszystko od początku – powiedział. – Mam wszystko zaplanowane. I chcę, żebyśmy to zrobili razem. Jesteś moim rodzonym synem, z krwi i kości.

Jon od kilku lat pracował już w Micro/Conie, ale ojciec kazał mu rzucić tę pracę.

– Nigdy nie dojdiesz do pieniędzy, pracując dla kogoś innego – powiedział Chuck. – Weź przykład ze mnie. Postanowiłem się usamodzielnąć.

Jon nie zwrócił wtedy uwagi na bardzo młodą kobietę przyglądającą się im zza baru, dopóki ojciec mu na nią nie wskazał. Wyglądała, jakby chodziła do dziewiętej klasy. Niewiele brakowało, a Jon pomyślałby, że dziewczyna jest nim zainteresowana, ale był pewny, że jej plakietka musiała być fałszywa.

– Myślałem, czyby jej nie spytać – powiedział ojciec.

– O co spytać? Jak jej poszło na teście PSAT? * – spytał Jon.

– Nie, nie. Czyby za mnie nie wyszła – odparł ojciec rzeczowo. Jon kazał taksówkarzowi zatrzymać się na rogu, niedaleko

miejsca, gdzie miał spotkać się z ojcem. Okolica zaczęła robić się nieciekawa, niedaleko od dworca autobusowego. Co, u diabła, mógł kupić ojcu? Fiaszkę Southern Comfort? Bilet w jedną stronę do Ameryki Południowej? Wszedł do sklepu w połowie ulicy.

Zdecydował się na wodę po goleniu – klasyczny, kretyński prezent na Dzień Ojca. Przypomniał sobie, że Phil mieszka gdzieś w tej okolicy i że Laura zastanawiała się, czyby się gdzieś tutaj nie osiedlić, dopóki Tracie jej przed tym nie przestrzegła. Mimo wiatru, który wyciskał mu łzy z oczu, uśmiechnął się. Będzie miał o czym opowiadać Tracie dziś wieczorem.

Mieli się spotkać w restauracji o nazwie „Howdies”. Na rogu następnej przecznicy Jon dostrzegł budynek restauracji, jedno z tych dużych, ponurych, hałaśliwych miejsc, w których ludzie, podróżujący dalekobieźnymi autobusami, zatrzymują się, żeby coś zjeść.

W drzwiach wejściowych powitał go automat powtarzający

* Preliminary Scholastic Aptitude Test – Testy zdawane przez uczniów amerykańskich szkół średnich (przyp. tłum.).

„Howdie”. Jednak na tym szczęśliwie poprzestał. Wnętrze restauracji stanowiło przynębiające zbiorowisko laminowanych stolików i plastikowych krzeseł. Było długie i mroczne. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się lady z podgrzewanymi blatami, oferujące wczorajszego klopsa, makaron z serem oraz groszek z marchewką. Jon poczuł się równie opuszczony jak misy przez nikogo nie chcianej, brązowiejącej sałaty lodowej, stojące rzędem na górnej półce działu z sałatkami. W głębi sali zamigotał jak duch zarys białej twarzy pod czapką i równie biała ręka zamachała w jego stronę. Przeszedł przez całą długość sali w stronę stolika, przy którym siedział jego ojciec.

Jon starał się nie wołać do ojca ani nie przyglądać mu się zbyt intensywnie od chwili, gdy zobaczył go wyraźnie, ale równie okrutnie byłoby odwracać spojrzenie. Chuck wyglądał, jakby postarzał się o dwadzieścia lat w ciągu tych dwu lat, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania. Ojciec próbował wstać, ale Jon machnął ręką, żeby tego nie robił, i usiadł naprzeciw niego. Nie pocałował go ani nie objął, ale wyciągnął do niego rękę. Ręka ojca była bardzo chuda. Miał skórę białą jak papier. Jon był zbyt zaszokowany tym widokiem, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Cześć, Jon – powitał go Chuck. – Dobrze wyglądasz.

Nie były to najlepsze słowa na powitanie, skoro Jon nie mógł odwzajemnić standardowego „Dzięki, ty także”. Pogrzebał w kieszeni i w milczeniu wręczył Chuckowi prezent. Ojciec wziął paczkę i spojrział na nią pustym wzrokiem, jakby trzymał w ręku meteoryt albo kulę sera mozzarella.

– Co to jest? – spytał.

– To... to... prezent. Wiesz, na Dzień Ojca.

Chuck spojrział na pakunek, ale nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby go rozpakować, tylko kilka razy pokręcił głową.

– Jesteś naprawdę dobrym chłopcem, Jonathan. Odziedziczyłeś to po matce. – Jon mimowolnie skinął głową. – Dobrze wyglądasz. Wciąż szalony, po tych wszystkich latach, co?

To był fragment starej piosenki „Still crazy after all those years”, którą matka i Chuck śpiewali razem, kiedy byli w dobrym nastroju. Jon przypomniał sobie, jak kiedyś w drodze do

Vancouver rodzice radośnie śpiewali tę piosenkę, a on wtórował im z tylnego siedzenia.

– Wciąż nie stać cię na samochód? – spytał ojciec, ale kiedy Jon zamierzał zaprotestować, Chuck powstrzymał go gestem swojej białej, kościstej ręki.

– Żartowałem – powiedział. – Wiem, jak dobrze ci się powodzi.

– Naprawdę?

– Twoja matka przesyła mi na bieżąco wiadomości o tobie – odparł. – Przez Internet. Dzięki, że przyszedłeś się ze mną zobaczyć, synu – dodał Chuck i Jon poczuł lekki skurecz w sercu.

Słowo „syn” zwykle stanowiło wstęp do prośb natury finansowej. Ale tym razem Chuck nie przeszedł do tego etapu konwersacji, tylko zaczął opowiadać o swoim domu w Nevadzie, o ogrodnictwie i Seahawks, Donaldzie Trumpie i zbliżających się wyborach oraz epizodzie z Frazierem, w którym wydawało się, że i Miles, i jego ojciec chcą się umówić z Daphne. Wszystko to nie składało się w jakąś logiczną całość i Jon ciągle czekał na jakąś wskazówkę, kiedy nagle ojciec uniósł brzeg czapki i przejechał ręką po krótkiej szczecinie swojej niemal łysej głowy.

– Śwędzi jak cholera – skrzywił się Chuck. – Powiedzieli, że to normalne po chemii.

Dopiero teraz wszystko ułożyło się w jasny obraz. Jednak zanim Jon zdążył powiedzieć cokolwiek, Chuck pochylił się do niego i po raz pierwszy spojrzał mu prosto w oczy.

– Mam spore szanse – wyszeptał. – Nie ma przerzutów. Mam jeszcze przed sobą trochę naświetlań, a po nich, przy odrobinie szczęścia, wszystko będzie w porządku.

– To dobrze – zdołał wydusić z siebie Jon. Nie miał dość siły, żeby zadać proste pytanie, jaki to rodzaj raka, czy można go było operować i jaki procent szans lekarze... wszystko to w ułamku sekundy przemknęło mu przez myśl, ale spojrzał tylko na wyniszczoną postać swojego ojca i nie zapytał o nic.

– Wyglądasz dobrze, Chuck – powiedział i jego ojciec po raz pierwszy się roześmiał.

– A ty aż za dobrze, cholera – zawołał Chuck i pokręcił swoją kruchą głową.

Zawsze był taki próżny. Ciekawe – pomyślał Jon – czy nadal zależy mu

na swoim wyglądzie, czy też koncentruje się już tylko na przetrwaniu. Ale i tym razem uznał, że to zbyt osobiste pytanie.

Prawdę mówiąc, nie miał wiele do powiedzenia.

– Powodzenia – zdołał wreszcie wymamrotać. – Jeśli jest coś, co mógłbym....

– No cóż, zastanawiałem się, czy byłaby jakaś szansa, żebym mógł skorzystać z twojego ubezpieczenia? – powiedział Chuck. – Bardzo by mi to pomogło. Nie mam tych wszystkich udogodnień, które dają człowiekowi pierwszeństwo w poczekalni.

– Słuchaj, o to się nie martw – odparł Jon. – Mogę jutro porozmawiać z moim agentem od ubezpieczeń.

Jon wąpił, czy może uzyskać zwrot kosztów leczenia ojca, człowieka, który miał zaawansowaną chorobę i nie mieszkał z nim od piętnastu lat, ale z pewnością mógł zapłacić za każdą kurację, która mogłaby ojcu pomóc albo choćby ulżyć mu w cierpieniach.

– A może twoja matka mogłaby przyjąć mnie u siebie? – dodał Chuck.

– Zastanawiałem się, czyby do niej nie wpaść, skoro tu jestem. Czy ma teraz kogoś na stałe?

– Tak – skłamał Jon tak gładko, jak gdyby mówił kłamstwa przez całe życie. Ostatnią rzeczą, jakiej jego matka teraz potrzebowała, było niańczenie umierającego byłego męża aż do grobu. – Polubiłbyś go. To zawodowy zapaśnik.

– Nie powinienem był rzucać twojej matki – przyznał Chuck.

– Tak jak nie trzeba było jej zdradzać – powiedział Jon i zaraz pożałował swoich słów, ale jego ojciec tylko skinął głową.

– Nie popełniaj moich błędów, Jon — dodał. – Znajdź sobie dobrą kobietę i zostań z nią. Nigdy tego nie pożałujesz.

Molly rozmawiała właśnie z jednym z klientów i nie zauważyła, kiedy Tracie weszła do kawiarni. Dzięki Bogu. Phil był dziś wyjątkowo rozmowny i przez cały wieczór namawiał ją, żeby została w domu. Mimo to przysłała na czas i jak zwykle skierowała się do stolika, przy którym siadali z Jonem. Kiedy zdejmowała płaszcz przeciwdeszczowy, zjawiła się Molly z dwoma parującymi kubkami kawy.

– Nie możesz winić za to, co się stało, nikogo poza sobą – odezwała się Molly

Postawiła oba kubki na stole i usiadła naprzeciw Tracie.

– Przepraszam, ale nie przypominam sobie, żebyś cię zapraszała.

– No cóż, jeśli się nie przysiędę, spędzisz ten wieczór samotnie – powiedziała Molly i popchnęła cukiernicę w stronę Tracie. – Robimy jakieś pączki w kuchni. Będziesz mogła je nasączyć. Swoimi łzami – dodała. – Rozumiem, że bilety nie zadziałały. I pomyśleć, że musiałam się pieprzyć z jednym typem z obsługi, żeby je dostać. Zmarnowany dobry uczynek, tak bym to nazwała.

– Och, myślę, że trochę za bardzo dramatyzujesz – powiedziała Tracie, starając się zachować maksimum godności, na jaką było ją stać. – A poza tym nie mam powodu do płaczu.

– A nie martwi cię, że przyjaciel wystawił cię do wiatru po tych wszystkich latach?

– O czym ty mówisz? Przyszłam dzisiaj wcześniej, a Jonny trochę się spóźnia. Wielkie mi co.

– Nie, złotko. Spóźnił się tydzień temu. I trochę się spóźnił dwa tygodnie temu. Założę się, że dziś jest właśnie ten dzień, kiedy wcale nie przyjdzie. Mogę się założyć o bilety na „Radio-head”, że tak będzie.

– Nie bądź śmieszna. Spotykamy się w każdą niedzielę, niezależnie od okoliczności. Z jednym jedynym wyjątkiem, kiedy miał atak wyrostka – wyjaśniła Tracie, jak gdyby Molly nic o tym nie wiedziała. – Jestem jego najbliższą przyjaciółką.

– Jesteś kimś o wiele więcej. – Molly wstała i popatrzyła Tracie głęboko w oczy. – Spójrz prawdzie w oczy: jesteś dziewczyną, która lubi jajecznicę, a wydaje jej się, że powinna lubić coś innego. Nawet nie wiesz, co do niego czujesz, prawda? Był na twoje każde skinienie, a ty

byłaś za głupia, żeby to docenić.

– Tak było?

– Tak, doktorze Higgins – powiedziała Molly z niesmakiem, po czym wstała i odeszła do kuchni.

Tracie siedziała samotnie przy stoliku i patrzyła w okno. Jednak za oknem nic się nie działo, więc zaczęła z nudów bawić się torebkami cukru „Sweet'n'Low”. Torebek było jedenaście – bardzo niezadowolająca liczba. Próbowwała je ułożyć w trzy rzędy po cztery, ale irytował ją ostatni, krótszy rząd. Ułożyła więc je w dwa rzędy: na górze pięć, a na dole sześć, ale wyglądało to jak piramida z uciętym wierzchołkiem. Ułożyła więc jedną na górze, pod nią położyła dwie, niżej trzy, a na dole cztery. Ale wtedy została jej jedna torebka. A co tam – pomyślała i rozdarła torebkę, robiąc z niej gwiazdę, którą umieściła na szczycie trójkąta, zamieniając go teraz w świąteczną choinkę. Cukier „Sweet'n'Low” porozsypywał się po całym stole. Pokrywający wszystko cukier „Sweet'n'Low” mógłby być śniegiem. Szkoda tylko, że jest początek czerwca, a nie Boże Narodzenie – pomyślała kwaśno.

– I jak, dobrze się bawisz? – spytała Molly, przechodząc obok jej stolika.

Tracie westchnęła. Może Molly ma rację. Może rzeczywiście jest dziewczyną, która woli jajecznicę. Dziewczyną, która woli pisać na termin, na zadane tematy i nawet nie wie, że kogoś kocha. W końcu Laura powiedziała jej to samo tydzień temu. Spojrzała na zegarek – minęło tylko dziewięć minut. Gdzie on się podziewa, do cholery? Zawsze była pewna, że Jon się zjawi. Ale on przychodził wcześniej, ponieważ.... kochał ją najbardziej na świecie. Poczula, jak wilgotnieją jej oczy. W jakiś niejasny sposób zawsze liczyła, że tak jest. A teraz? Kogo teraz woli? Z kim teraz jest? Minęło kolejne dziesięć minut. Tracie nie mogła dłużej znieść tego czekania. Wstała i poszła na zaplecze kawiarni, gdzie znajdował się automat telefoniczny. Wystukała numer Jona, ale nikt się nie odzywał.

– Cholera!

Odwiesiła słuchawkę i zadzwoniła do pracy – mógł zasnąć przy swoim komputerze – ale usłyszała tę samą wiadomość, że jego poczta głosowa jest pełna.

– Cholera jasna!

Pomaszerowała z powrotem do swojego stolika, mijając po drodze

Molly, która przyjmowała właśnie zamówienie od innego klienta. Molly spojrzała w jej kierunku i posłała jej nieznośny uśmiech pod tytułem: „A nie mówiłam?” Tracie wzięła swój płaszcz i torbę, przeszła dumnie przez salę, popchnęła drzwi i wybiegła na zewnątrz. Nakryła torbą głowę, żeby osłonić włosy przed deszczem, i szybko podeszła do samochodu. Przez chwilę manipulowała kluczykami przy drzwiach, po czym wreszcie je otworzyła i wskoczyła do środka. Czemu, do kurwy nędzy, mieszka w mieście, w którym zawsze pada? Co się z nią dzieje? Niczym Mario Andretti przemknęła przez złane wodą, opustoszałe ulice centrum Seattle. Lało tak mocno, że deszcz spadał jak kurtyna na przednią szybę samochodu. Spojrzała na deskę rozdzielczą: zegar wskazywał, że Jon – gdziekolwiek się teraz znajdował – był już spóźniony na spotkanie z nią czterdzieści osiem minut.

Z piskiem opon podjechała pod dom, w którym miał swoje mieszkanie. Zaparkowała nielegalnie przed budynkiem, włączając awaryjne kierunkowskazy. Wybiegła z samochodu i pomknęła po schodach do jego apartamentu. Komiczne! Płacił tu jakiś obłąkany czynsz, a nie miał nawet windy czy innych udogodnień. Cały Jon! Kompletnie przemoczone włosy – a raczej to, co z nich zostało – przylepiły jej się do głowy. Co to ma za znaczenie – pomyślała i przesunęła po nich dłonią, żeby zebrać nadmiar wilgoci. Kiedy wreszcie dobiegła do jego drzwi, dyszała ciężko, ale natychmiast zaczęła głośno walić w nie pięściami. Jeśli jest w łóżku, wyciągnie go na dwór i zostawi na deszczu jak mokrego szczeniaka. Ale nikt się nie odezwał. Mimo oczywistości faktu, że nikogo nie ma w środku, waliła nadal. No cóż, musiała jednak coś zrobić. Zaczęła grzebać w torebce. Znalazła pisak, ale nie mogła znaleźć kawałka papieru. W końcu musiała poprzestać na bloczku żółtych karteczek samoprzylepnych. Na pierwszej zmieściło się: „Nie mogę uwierzyć, że...”. Przywaliła pięścią karteczkę do drzwi. Słowa rozmazały się od wilgoci, ale można je było odczytać. Na drugiej napisała: „po tych wszystkich latach...”. Znowu zabrakło jej miejsca, więc wyrwała kartkę z bloczka i przykleiła do drzwi. Na następnej pisała dalej: „zupełnie zapomniałeś o naszym...”. Przykleiła i tę kartkę obok pierwszych dwu. Miała tyle do powiedzenia. Na szczęście zostały jej jeszcze dwa bloczki żółtych karteczek. „Niewdzięczny”. „Egoista”. „Cham”.

Pisała, wrywała i dalej pisała. W pustym korytarzu słyszała jedynie łomot deszczu o szybę, własny ciężki oddech i skrzyp flamastra po papierze.

Ostatecznie przykleiła do jego drzwi, od góry do dołu, dwadzieścia trzy karteczki, na których powiedziała mu, że jest ostatnią świnią i że nigdy więcej nie chce go widzieć na oczy.

W końcu poczuła, że gniew z niej spłynął, pozostawiając jedynie osad smutku. Spojrzała na jego drzwi. To było takie żałosne. Zupełnie jak ona sama. Za grosz godności. Jak ona. Prawdopodobnie na ich widok Jon tylko się roześmieje. Może będą się śmiali razem z Allison. Na chwilę ogarnęła ją pokusa, żeby to wszystko zerwać. Wrzuciła resztę bloczka do torby i zeszła na dół.

Wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę domu, chociaż łzy napływające jej do oczu zamazywały widok. Dojeżdżając do North Street, łkała już tak mocno, że z trudem chwyciła powietrze. Zjechała na bok, zatrzymała się przy krawężniku i częściowo ściągnęła sweter, zasłaniając sobie głowę. Teraz mogła wytrzeć zapłakaną twarz pod swetrem.

Kiedy wreszcie odjęła ręce od oczu, w lusterku mignęła jej sylwetka przejeżdżającego obok rowerzysty. Co za miasto! Cały czas leje i do tego ci wariaci płaczący się po deszczu. Nadal płakała, głośno szlochając, aż ją zaczęła męczyć czkawka. Jednak w końcu, w odróżnieniu od deszczu, łzy przestały jej płynąć. Wytarła opuchniętą twarz, wrzuciła bieg i nacisnęła pedał gazu. Po chwili wyprzedziła rowerzystę, który minął ją niedawno.

– Ty idioto! – zawołała na głos. – Nie słyszałeś o transporcie publicznym? – rzuciła w swoje lusterko wsteczne, oddalając się od rowerzysty.

Dość szybko znalazła się na swojej ulicy, ale miała wrażenie, że ta krótka podróż przez opustoszałe miasto trwała tydzień. Była wyczerpana, jakby całą drogę pokonała biegiem. Kiedy w końcu dojechała do domu, szybko zaparkowała i wysiadła z samochodu, trzasnęła drzwiami i pobiegła przez deszcz w stronę wejścia do budynku.

Pożegnawszy się z ojcem, który musiał poczekać na swój autobus, Jon wrócił do siebie. Z trudem wszedł po schodach, czując, jak nogi uginają mu się w kolanach. Nigdy nie lubił wizerunku swojego ojca jako beztrudnego podrywacza, ale obraz ojca jako żałownego, chorego człowieka, który żałuje swojego życia, nie był dużo lepszy. Jon z trudem powstrzymywał łzy. Tymczasem wchodząc do domu, zobaczył leżącą na kanapie Allison. Ubrana jedynie w ostatnią firmową koszulkę Micro/Conu, jaka mu została, oglądała telewizję. Zmieszany, musiał szybko ukryć swoje zaskoczenie, ponieważ zupełnie zapomniał, że może ją zastać w swoim mieszkaniu.

– Gdzie byłeś? – spytała bez cienia wyrzutu w głosie.

A potem zasypała go pytaniami i Jon musiał poddać się tej całej głupiej paplaninie, odpowiadając, od jak dawna jest w Micro/Conie, czy ma akcje firmy i jaka jest jego pozycja w stosunku do jej założycieli. Nawet nie próbował kłamać, łamiąc kolejne zasady, jakich nauczyła go Tracie. Starał się po prostu zachowywać przyzwoicie, czekając na moment, w którym Allison wróci do sypialni. A wtedy, kiedy schyliła się, żeby podnieść but, poczuł, że wreszcie wie, co ma zrobić, i zaczął szukać u niej jedyne rodzaju pocieszenia, jakie mógł u niej znaleźć.

– Myślałam, że już nigdy nie poprosisz – powiedziała Allison z wyniosłym uśmiechem.

Cóż, może jeszcze raz na drogę – pomyślał Jon i spojrzął na swój przegub. Nadal nie nosił zegarka, więc popatrzył na zegar stojący po drugiej stronie łóżka. Wstyd powiedzieć, ale narkotyk ciała Allison wymazał dojmującą realność wspomnienia o ojcu i Jon nie żałował sobie tego narkotyku, zatracając się w wyczerpującym akcie miłosnym. Przestał myśleć o czymkolwiek i był jej za to wdzięczny. Szekspir nie miał racji: to nie muzyka miała w sobie moc łagodzenia dzikich namiętności. To horyzontalne spotkanie dwojga ciał miało tę moc. Ale kiedy ocknął się z postcoitalnej drzemki, obraz jego ojca zdejmującego czapkę, żeby podrapać się po tyłej głowie, wrócił ze zdwojoną siłą. Niezły Dzień Ojca, nie ma co. I wtedy przypomniał sobie, że jest niedzielny wieczór, że jutro ma naradę w sprawie „Parsifala” i zebranie na temat postępów... Boże! Tracie! Usiadł, jakby napędzał go procesor IK-megahertzów. Był już spóźniony prawie czterdzieści minut.

Wyskoczył z łóżka i zaczął się gorączkowo ubierać.

– Gdzie idziesz? – spytała Allison sennym głosem.

– A... właśnie sobie przypomniałem... – zaczął.

Co miał jej powiedzieć? Właśnie przypomniałem sobie, że zapomniałem o mojej przyjaciółce? Właśnie przypomniałem sobie, że muszę cię zostawić dla innej kobiety? Właśnie sobie przypomniałem, że nie chcę się z tobą kochać?

– A... że zostawiłem swoje ubrania w suszarce – powiedział bez sensu, wsuwając prawy but i chwytając sweter. Pobiegł do drzwi.

– Zaczekaj! – zawołała za nim Allison – Kiedy się... Mocował się z zamkiem i łańcuchem przy drzwiach, więc nie dosłyszał, co powiedziała. Tracie będzie wściekła! Nie do wiary. Przez siedem lat nie opuścił ani jednego spotkania... podobnie jak ona. Nie licząc jego operacji wyrostka. Otworzył zasuwę, przekreślił gałkę w drugą stronę i wreszcie otworzył drzwi.

– Kiedy się znowu zobaczymy? – spytała Allison, stojąc w drzwiach sypialni.

Była luźno owinięta prześcieradłem, spod którego wyglądał różowy sutek; splecione-blond włosy opadały jej na ramiona. Wyglądała jak bogini. Bogini, którą czcił swoim ciałem. Jon pokręcił głową.

Zdumiewająca! Zdumiewająca!

– Zadzwoń do ciebie – rzucił.

Tracie czekała, naprawdę musiał już iść. W jednej chwili był za drzwiami. Zbiegł ze schodów prosto w ulewny deszcz.

Miał szczęście. Akurat w tym momencie przejeżdżała wolna taksówka. Zamachał ręką. Już był przemoczony, ale bez wahania wskoczył na tylne siedzenie.

– „Java, the Hut”, nad Kanałem – rzucił kierowcy. – Szybko! Na desce rozdzielczej zobaczył zegar. Było jeszcze później, niż myślał. Co zrobi, jeśli okaże się, że Tracie już wyszła? Zostawił rower na zapleczu u Molly, więc weźmie rower i pope-dąluje do jej domu, a jeśli jej tam nie będzie, to będzie jeździł po całym mieście tak długo, aż ją znajdzie i przeprosi.

Z jakiegoś powodu uznał, że może mu się nie udać. Nie dlatego, że jej nie znajdzie, ale dlatego, że Tracie nie zechce przyjąć jego przeprosin. Prawdopodobnie musiała wysłuchiwać przez całe czterdzieści sześć minut docinków Molly, Potwora z Manchesteru. Skrzywił się na myśl,

co Molly może naopowiadać Tracie, jeśli będzie miała okazję zobaczyć się z nią sam na sam.

Domyślał się, że Tracie może być na niego wściekła, i nie byłby wcale zdziwiony, gdyby puściła lokal Molly z dymem, podobnie jak wszystko, co spotka na drodze. Kiedy taksówka zwolniła, dojeżdżając do kawiarni, Jon, nie czekając, aż się zatrzyma, rzucił pieniądze na przednie siedzenie, podziękował za resztę i wyskoczył z jadącego pojazdu. Ominął taksówkę z tyłu i wpadł do kawiarni. Spojrzał w stronę stolika, przy którym zawsze siedzieli z Tracie. Rozglądając się po sali, zauważył Laurę w drzwiach kuchni i Molly siedzącą przy stoliku.

Co Laura tutaj robi? Czy Tracie była tak na niego wściekła, że w ogóle nie przyszła? A może wcale się nie spóźnił? Może to Tracie wystawiła go do wiatru? Albo, i to był najlepszy scenariusz, poszła do łazienki, albo dzwoni właśnie do Phila. Podeszedł do Molly, która skubała jajecznicę z talerza. Chwycił ją za ramię. Spojrzała na niego beznamyślnie, ale Jon wiedział już wszystko.

– Była, prawda? – spytał i serce w nim zamarło.

– Tak – odparła Molly i wróciła do swojej jajecznicy.

Nie mógł w to uwierzyć. Zniszczył wieloletnią tradycję. Poczuł, że robi mu się niedobrze, a równocześnie był kompletnie roztrzęsiony.

– Molly, jestem durniem i wiem o tym – wyrzucił z siebie. – I ty wiesz o tym, ale proszę, błagam, powiedz, czy ona pojechała do mnie, czy do siebie?

Molly wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odparła. – Ona raczej mi się nie zwierza. Laura powoli wyszła z kuchni. Jon zwrócił się do niej.

– Lauro, proszę – zdołał wydusić.

– Nie widziałam, jak wychodziła, ale sędzę, że pojechała do ciebie – powiedziała Laura. – I pożyczyła nóż – dodała.

Jon nie miał pojęcia, czy żartowała czy nie, ale nie dbał o to.

– Biorę mój rower – krzyknął do Molly, zawrócił, przebiegł przez restaurację, dosłownie przeskakując przez siedzenia pustych ław przy stolikach. Przemknął przez kuchnię, niemal przewracając tacę maślanych babeczek. Jego rower stał przypięty do poręczy na zewnątrz przy tylnych drzwiach wejściowych. Z pośpiechu upuścił klucz, gorączkowo majstrując przy kłódce. Wreszcie odpiął ją, wsiadł na rower i popedałował po mokrych kamieniach drogi dojazdowej. Kiedy

znalazł się na jezdni, deszcz lnął ze zdwojoną siłą. Jon skulił się i popędził w stronę swojego domu.

Droga w lodowatym deszczu wlokła się w nieskończoność i bez swojego poncho szybko przemókł do kości, na długo zanim dojechał do domu. Ale Jonowi nie było zimno. Prawdę mówiąc, zalewał się potem, zarówno ze strachu, jak i z wysiłku. Musiał ją złapać, zanim odjedzie. Kiedy dojeżdżał do swojego domu, z trudem łapał oddech, ale musiał jeszcze wbiec na

te pieprzone schody. Popędził więc na górę, przeskakując po dwa stopnie, żeby szybciej dotrzeć do Tracie. Bez tchu otworzył drzwi przeciwpożarowe na korytarz i wydawało mu się, że jego serce stanęło na moment, kiedy zobaczył, że korytarz jest pusty. Poszła już i jeśli zdoła ją odnaleźć, będzie na niego jeszcze bardziej wściekła. Podchodząc do drzwi, zorientował się, że już jest wściekła. Zobaczył dziesiątki żółtych karteczek i nie czytając ich, obrócił się i zbiegł na dół.

U dołu schodów chwycił swój rower, przeklinając się w duchu, że nie ma samochodu, przecisnął się przez drzwi wejściowe i ruszył znowu w deszcz.

Zaczął przeklinać wszystko, co zrobił i kim był – całe swoje życie.

Czemu musiał urodzić się akurat w Seattle i nadal tu mieszka, w mieście, gdzie leje na okrągło? I czemu jest taki uparty? Dlaczego nigdy nie kupił sobie samochodu? Dorośli mają samochody. I jak mógł być takim idiotą, żeby zapomnieć o spotkaniu z Tracie?

Zawsze miał takie wrażenie, jakby Tracie była sierotą, a on jej całą rodziną. Jej matka nie żyła, a ojciec zachowywał się tak, jakby też już nie żył. Tracie czekała na niego, Jona, kiedy on leżał obok jakiejś nagiej, zupełnie obcej sobie kobiety. Przez te wszystkie lata i przy wszystkich narzeczonych, jakich miała, Tracie nigdy, ani razu nie zapomniała o ich niedzielnym spotkaniu. Co ma zrobić, jeśli nie pojechała do siebie do domu? Czy pojechała do Phila? Czy on zna jego adres? Nie mógł go sobie przypomnieć, o ile w ogóle kiedykolwiek go znał.

Deszcz ściekał mu po twarzy, kapiąc z policzka na pierś. Ulewa przybrała na sile, widoczność pogorszyła się jeszcze bardziej. Był już tylko jedną przecnicę od jej domu. Nacisnął mocniej na pedały i nagle zobaczył z przodu, dosłownie tuż przed sobą, czerwone światła

hamującego samochodu. Zrobił ostry manewr kierownicą, żeby go ominąć, i uświadomił sobie, że kierowca zjechał na bok z powodu ulewy. Niewiele brakowało – pomyślał. Powinien uważać. Nie mógł sobie pozwolić, żeby teraz nie dojechać do Tracie.

Kiedy wyjeżdżał zza zakrętu przed jej domem, zobaczył, że jej samochód zajeżdża na parking. Widział, jak Tracie wysiada z wozu. Rzucił rower na ziemię. Rower upadł w kałużę, ale Jon nie dbał o to. Zaczął biec w jej stronę.

– Tracie! Tracie! – zawołał, ale albo go nie słyszała, albo celowo nie zwracała na niego uwagi.

Tracie pędem pobiegła do wejścia, ale i tak zdążyła przemoknąć. Teraz stała, trzęsąc się z zimna, przed drzwiami swojego mieszkania i usiłowała otworzyć zamek. Musiała się śpieszyć. Słyszała wołania Jona i widziała go kątem oka, wbiegając do holu, ale nie chciała go oglądać, będąc w takim stanie – a może nigdy. Chciała tylko dostać się do siebie, zamknąć za sobą drzwi, wczłgać się do łóżka i nigdy z niego nie wyjść. Niestety ręce jej się trzęsły, a Jon zdążył wysiąść z windy i podbiegł do niej, zanim zdążyła wejść do środka.

– Tracie.... – powiedział, ale zignorowała go, zajęta nadal otwieraniem drzwi. Jon podszedł bliżej. Był przemoczony jeszcze bardziej niż ona, ale za nic nie chciała się do niego odwracać. Próbował chwycić ją za rękę, ale odepchnęła go gwałtownie. Jak śmiał jej dotykać!

Wreszcie drzwi ustąpiły i Tracie próbowała wślizgnąć się do środka, zostawiając Jona na korytarzu, jednak okazał się szybszy i wsunął ramię między drzwi.

– Idź stąd! – krzyknęła, nadal odwracając od niego swoją zaczerwienioną, opuchniętą twarz. – Wynoś się!

– Tracie, masz wszelkie powody, żeby się gniewać, ale musisz...

– Nic nie muszę – przerwała mu.

– Ale ja...

Odwróciła się do niego. A co jej szkodzi? Niech sobie zobaczy, jak źle wygląda. Nic dla niej nie znaczy.

– Czy znowu wycięli ci wyrostek? – spytała, starając się być maksymalnie złośliwa. – To byłaby jedyna dopuszczalna wymówka.

– Czy nie sądzisz, że to trochę za ostre? – spytał.

– Nie – odparła i usiłowała zamknąć drzwi, nie zważając na jego ramię.

– Aucz! – wciągnął powietrze przez zęby i pchnięciem otworzył drzwi.

– Nie wchodź do środka – ostrzegła go. – Nie chcę cię widzieć.

Spojrzała za siebie. Gdzie się podziewają Laura i Phil, kiedy naprawdę ich potrzebuje?

– Zraniłeś mnie. Naprawdę mnie zraniłeś – powiedziała.

– Przepraszam. Naprawdę nie chciałem – próbował ją udobruchać.

– Z kim byłeś? – spytała. – Z Beth? Kolejne pieprzenie z litości, tak?

A może z Ruth? Jeżeli znowu byłeś dla niej bezlitosny, to pewnie byłeś z Carole z Sacramento.

Odwróciła się do niego plecami i podeszła do zlewu. Ciągle miała czkawkę. Kobieta traci całą godność, kiedy ma czkawkę.

– A może posuwałaś Enid. Jestem pewna, że to był niezły aerobik.

Ta czkawka. Nalała sobie wody z kranu do szklanki i właśnie miała się napić, kiedy Jon się odezwał.

– Prawdę mówiąc, to była Allison – powiedział – ale widziałem mojego...

Tracie bez namysłu chlusnęła wodą przez całą kuchnię w jego i tak już mokrą twarz. Zakrzuszył się i podniósł do góry rękę, jak gdyby chciał osłonić się przed ciosem. Przez chwilę oboje stali bez ruchu, jak skamieniali.

– Zasłużyłem na to – powiedział. – Wiem, że źle postępowałem. Ale nie zachowuj się, jakbyś nie miała z tym nic wspólnego.

– O, świetnie, no dalej, możesz mnie oskarżać – zaczęła. – Następnym razem kogoś zgwałcisz i powiesz, że sama się o to prosiła. – Chwycił ją za ramiona. – Odczep się – warknęła i usiłowała mu się wyrwać.

– Ale dopiero jak ze mną porozmawiasz. Jak się uspokoisz, posłuchasz mnie i ze mną porozmawiasz.

– Idź sobie rozmawiać z Allison! – krzyknęła do niego. Znowu próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Nie mogła już tego wszystkiego znieść. Była taka rozczarowana, taka zła i zawstydzona, że odwróciła głowę, zakryła twarz rękami i zaczęła płakać.

A wtedy Jon zwolnił swój uścisk, objął ją swymi ramionami i – wreszcie – jak gdyby czekał na to latami, zaczął ją całować, najpierw delikatnie, a potem dziko, gwałtownie, namiętnie. W pierwszym odruchu Tracie, zaszokowana, próbowała mu się wyrwać, ale zaraz odwzajemniła pocałunek. To było niebiańskie. To było... wszystkim. Poczula, że drży na całym ciele. Jon zaczął całować jej twarz, a potem zliział łzy, które wisiały jej jeszcze na rzęsach. Jego rzęsy były mokre od deszczu i czuła ich dotyk na policzku, czuła, jak muskają jej wargi i jej brwi. A potem znowu zaczął całować jej usta.

Zadrzała jeszcze mocniej i nie wiedziała już, czy z zimna, czy z podniecenia. Czuła na sobie dotyk jego mokrego ubrania, ale wyczuwała przez nie ciepło jego gorącego ciała. Nie mogła już o niczym myśleć. Stała się samym odczuwaniem i to było takie naturalne, a równocześnie takie niezwykle, takie nieoczekiwane.

Ostatnie ślady myśli ulotniły się z jej głowy.

– Zimno ci – powiedział i ujął jej twarz w swoje dłonie. – Czy już wiesz dość, żeby wreszcie to wszystko zrozumieć?

– Nic nie wiem – wyszeptła i przytuliła głowę do jego piersi. Była zaskoczona, ale wdzięczna, kiedy wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i zdjął z niej mokrą kurtkę i koszulę. Delikatnie okrył jej ramiona kocem.

– Ty także drżysz – powiedziała.

– Ale nie z zimna – odparł.

– Chodź do mnie – poprosiła, a on zdjął wszystkie mokre ubrania, z szortami włącznie, i wsunął się do łóżka obok niej. Objęła go ramionami i przez chwilę leżeli nieruchomo pod kocem. Czuła jego ciało tuż przy swoim. Oddychał płytko, pospiesznie; po chwili uświadomiła sobie, że oboje oddychają w tym samym rytmie. Jak na znak, jak gdyby się wcześniej umówili, odwrócili się ku sobie. Czuła, jak przywarł mocno do niej całym swoim ciałem, i znowu zadrżała.

– Zimno ci jeszcze? – spytał, a ona w odpowiedzi mocno go pocałowała.

Tracie obudziła się w poczuciu błogiej rozkoszy po cudownym seksie z Jonem. Obróciła głowę na poduszce. Jon leżał obok, nie śpiąc, i patrzył na jej twarz z miłością i zdumionym podziwem.

– Jesteś taka piękna – powiedział.

– Och, daj spokój. Ja... Zasłonił jej usta ręką.

– Jesteś taka piękna. Taka piękna – powtórzył i chociaż myślała, że wypłakała już wszystkie łzy, oczy znowu się jej zaszklily. Ze zdumieniem przesunął dłonią po wgłębieniu w tali, a potem po wypukłości jej biodra.

– Jesteś taka piękna – powiedział. – Twoje piersi są takie doskonałe, takie miękkie, takie delikatne. Jak małe szczeniaczki – jeszcze ślepe, ale takie żywe, wrażliwe.

– Szczeniaczki! – Roześmiała się. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem. Moja matka zawsze mi mówi, że powinienem sprawić sobie psa. – Oboje roześmiali się, a potem Jon znowu pocałował ją długo i mocno.

Wreszcie oderwała usta.

– Jon, byłam naprawdę głupia – zaczęła.

– Jesteś zachwycająca – szepnął i Tracie wiedziała, że całe życie czekała, żeby ktoś tak właśnie to powiedział.

Ale musiała mu to powiedzieć. Musiała przeprosić go za to, jak nedorzecznie się zachowywała. Jaka była ślepa i głupia.

– Nie, nie. Nie wiedziałam, czego chcę. Molly powiedziała mi, że... wolę jajecznice... – Jak miała to wyjaśnić? – ...po prostu nie wiedziałam...

Jon znowu ją pocałował. Kolejny wspaniały pocałunek. A potem na nią spojrzął.

– Czy zdawałaś w szkole egzaminy z urody? Czy jeszcze bierzesz lekcje? – spytał. – Czy wiesz, że kocham twoje płatki uszu? Zawsze je kochałem. – Chwycił zębami delikatnie jeden z nich i Tracie zadrżała. – Są cudowne.

Wyciągnął się z zadowoleniem na łóżku.

– Czuję się tak, jakbyśmy byli sami na świecie. Jak Adam i Ewa na tratwie. – Uniósł się na łokciu. – Czy teraz pozwolisz mi jeść jajka w koszulkach? – spytał.

– W tej minucie? – spytała szybko.

Pomyślała, że może ona sama jest niebrzydka, ale Jon jest oszałamiająco przystojny.

– Nie, nie w tej minucie – odparł. – Jest coś innego, co chciałbym zjeść najpierw.

– Znowu? – spytała i objęła go.

Była tak szczęśliwa, że aż ją bolało w piersiach. Przedziwna myśl przemknęła jej przez głowę. Zapragnęła nagle umrzeć w tej sekundzie, żeby już na zawsze mogła pozostać taka szczęśliwa.

– Możesz zjeść wszystko, na co masz ochotę – powiedziała. – Ale obiecaj, że mnie nigdy nie opuścisz.

Spojrzała mu głęboko w oczy. Jon spojrzął na nią z całą powagą.

– Muszę cię opuścić – powiedział. – Muszę się wysuszać. Roześmiała się z ulgą.

– No dobrze, ale tylko ten jeden raz. I pospiesz się.

Jon wstał i przeszedł obok jej biurka. Zmierzał do łazienki, ale po drodze zauważył wszystkie polaroidy przypięte na ścianie. Były ułożone w formie opowieści na zasadzie przed-i-po. Tracie szeroko otworzyła oczy i w sekundę usiadła na łóżku. O mój Boże! Że też nigdy nie zebrała się, żeby mu o tym powiedzieć... zapytać go... Przed oczami

stanęło jej wszystko, co tam było, każda głupia, płytka uwaga, każdy głupi przymiotnik, a co najgorsze – zakład z Philem. Zamknęła oczy i zaczęła modlić się, żeby Jon po prostu odwrócił się i poszedł do łazienki, ale Jon został. Przeczytał kilka notatek na żółtych karteczkach. Potem zobaczył wydruk artykułu. Znowu zaczęła modlić się w duchu, żeby go nie wziął do ręki, ale wziął. Twarz mu się wydłużyła. Tracie nie mogła uwierzyć, że w jednej chwili można przejść od tak doskonałego szczęścia do tak skrajnego nieszczęścia. Chciała zawołać do Jona, żeby rzucił artykuł, żeby na niego nie zważał. Och, tak dawno powinna była mu o nim powiedzieć.

Jon pobladł jak ściana i odłożył wydruk na biurko. Podszedł do sterty mokrych ubrań leżących na podłodze koło łóżka i zaczął nakładać szorty, potem dżinsy.

– Jon, nie rób tego – powiedziała głupio.

– Muszę iść – odparł martwym głosem.

Teraz spojrział na nią po raz pierwszy, odkąd zobaczył fotografie.

– Nie lubię zostawać na noc – dodał. – Wolę spać sam. Tracie poznała swoje własne słowa, których go nauczyła.

Zerwała się, owineła się prześcieradłem i wstała z łóżka.

– Chcesz mnie potraktować, jakbyś był „złym chłopcem”, wypróbować na mnie swoje sztuczki? – spytała.

Nagle przyszło jej do głowy, że to wszystko – wystawienie jej do wiatru, ściganie jej, uwiedzenie – mogło być tylko wyszukaną grą jego nowej osobowości. Boże, czy to możliwe? Czy to wszystko to było tylko przedstawienie? Łyk mikstury sporządzonej przez nią samą? Znowu zaczęła się trząść.

– Kim ja dla ciebie jestem? Kolejną zatyczką na twojej dyskietce? – spytała.

Jon zakładał już koszulę.

– A ja, kim jestem dla ciebie? Szansą na to, by zostać drugą Anną Quindlen? – rzucił.

Wbił ręce w marynarkę, chwycił artykuł i cisnął w jej stronę.

– Zrobiłaś mi to wszystko po to, żeby sobie wyrobić nazwisko, tak?

– Oczywiście, że nie. Zrobiłam to, bo mnie o to prosiłeś. – Jak mógł tak pomyśleć?

A nawet jeśli częściowo to była prawda, czy to, co przed chwilą przeżyli, nie przekreśla wszystkiego, co było wcześniej?

– Zaczęłam pisać ten artykuł, bo...

Jon odwrócił się do niej tyłem i wyszedł z sypialni. Pobieгла za nim, przytrzymując prześcieradło, którym się owinęła.

– Jon! Zaczekaj.

Był już przy drzwiach, ale odwrócił się do niej.

– Nie mogę w to uwierzyć. Jestem dla ciebie foto-objektem. Tematem? „Techno-dupkiem”. Tak na mnie patrzyłaś? „Korporacyjny fiucik”.

Bardzo pochlebne, nie ma co.

– Jon, jak tylko zaczęłam pisać ten tekst, zaraz wiedziałam, że nigdy go nigdzie nie złożę.

– Ale tak na mnie kiedyś patrzyłaś – powiedział Jon, przyglądając się fotografii, którą wciąż trzymał w ręce. Potrząsnął głową, zgniótł zdjęcie i rzucił je na podłogę. – Wiesz, trochę się bałem, kiedy się kochaliśmy, że może robisz to z niewłaściwych pobudek. Ale aż do tej chwili nigdy nie myślałem, że byłem dla ciebie tylko szansą na zrobienie kariery. Uśmiechnął się, ale był to złowrogi uśmiech, jakiego nigdy u niego nie widziała.

– I co to miało być? Kulminacja artykułu?

– Jon, ja... Potrząsnął głową.

– Mówisz, że mnie kochasz, a sztydziłaś ze mnie i wykorzystałaś mnie w tym głupim artykule do gazety. Musieliście się z Marcusem dobrze przy tym bawić. A Beth? Czy ona też należała do spisku? A Laura? Widziała to? Czytywaliście to sobie z Philem na dobranoc, tak?

– Jon, kiedy zaczęłam ten tekst, myślałam, że to dobry pomysł.

Włożyłam w niego dużo ciebie i dużo mojej miłości do ciebie. I to jest dobry tekst. Ale zaraz go podrę na kawałki. Zawsze chciałam poprosić cię najpierw o zgodę, a potem, tak jakoś, cała sprawa zrobiła się taka jakaś delikatna...

– I ty mówisz o delikatności! Można się uśmieć! – zawołał. –

W Nightline będzie specjalna relacja na ten temat w dniu, w którym dowiesz się, co to jest delikatność. To ty nauczyłaś mnie, jak ranić ludzi

– przypomniał jej. – To ty nauczyłaś mnie, jak fajnie być Panem Jeśli-cię-okłamię-będę-mógł-cię-pieprzyć-i-po-rzucić. I to ma być delikatność?

– Do diabła z artykułem

– Do diabła z tobą! Odwrócił się do wyjścia.

– Zaczekaj! Pięć minut temu obiecałeś, że mnie nigdy nie opuścisz.

Przez siedem lat byłeś moim przyjacielem. Powiedziałam ci, że artykuł był błędem. Zamierzałam go wyrzucić. A ty mnie teraz tak traktujesz? Jon podszedł do drzwi.

– Słuchaj, przecież lubisz, żeby cię tak traktować. Czy sama mnie tego nie nauczyłaś? Wszystkich sztuczek. Kobiety chcą cierpieć, tak? Chcą, żeby je źle traktować. Jestem dobrym uczniem, chociaż nie pozwoliłaś mi robić notatek.

– Proszę, Jon, kocham cię.

– Co dla ciebie znaczy miłość? Zdradę? Zapomnij o tym. To... nic nie znaczy.

Otworzył drzwi, po czym jeszcze raz odwrócił się do niej.

– Zamierzasz powiedzieć o tym Philowi?

– O czym? Nic się nie stało, prawda?

Jon odwrócił się i zamknął za sobą drzwi. Tracie zdołała odczekać tylko, aż się oddalił na bezpieczną odległość, po czym wybuchnęła straszliwym płaczem.

Tracie nie spała całą noc, ale wyglądała, jakby nie spała przez tydzień. Została przyłapana na spóźnieniu – przyszła naprawdę późno – i nawet nie miała siły schować głowy w tradycyjnym geście przeprosin. Kiedy więc godzinę później Marcus zawołał ją do swojego gabinetu, wiedziała, że wiadomości nie będą dobre. Poza tym słyszała od Beth, która dowiedziała się o tym od Sary, która z kolei podsłuchiwała rozmowę Allison z Marcusem, że Marcus był wściekły, ponieważ Allison go rzuciła. Na pewno nie poprawiło to jego nastroju. Był takim beznadziejnym dupkiem.

Jednak cokolwiek by mówić o Marcusie i jego żalonym życiu uczuciowym, jej życie uczuciowe było jeszcze gorsze i Tracie wiedziała, że nie ma prawa nikogo osądzać. Molly miała rację we wszystkim – ona, Tracie, była głupią idiotką i na samą myśl o tym, jak bardzo skrzywdziła Jona, jak została przez niego zraniona, jak zniszczyła najważniejszą przyjaźń w swoim życiu oraz szansę na prawdziwą miłość, wpadała w skrajne przygnębienie.

Albowiem prawda była taka, że Tracie kochała Jona. I to nie dlatego, że zrobił się teraz taki przystojny albo że przekonała się wreszcie, jakim jest czułym i utalentowanym kochankiem. Ale dlatego, że zawsze go kochała. Tylko po prostu była za głupia, żeby się tego domyślić. I za to poniesie zasłużoną karę, prawdopodobnie do końca swoich dni. Dzwoniła do Jona dziesiątki razy, zupełnie jak Beth. Ale los nie poskąpił jej ironii. Jon nie oddzwonił i nie odbierał jej telefonów w pracy. Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła go przekonać, żeby jej przebaczył.

Teraz jednak musiała zobaczyć się z Marcusem, który prawdopodobnie przydzielił jej jakieś kolejne beznadziejne zadanie. Marcus siedział za swoim biurkiem z podwiniętymi rękawami. Zajęty był właśnie redagowaniem jakiegoś większego tekstu. Jego niebieski ołówek rozciął już żyły i tętnice w ciele jakiejś nieszczęsnej historii. Ciął tak energicznie, że zrobił sobie niebieską kreskę koło ust, jak gdyby próbował redagować nawet wypowiedane przez siebie słowa, choć Tracie wiedziała, że aż tak daleko się nie posuwał.

Popatrzyła na niego i nagle poczuła, że nie zniesie już ani jednej złościwości, ani jednej zniewagi więcej. Weszła do gabinetu i stanęła

tuż za progiem.

– Tak? – spytała.

– Ten artykuł na Dzień Ojca był całkiem niezły – przyznał Marcus. – Z pomocą Allison – dodał.

Tracie nie odezwała się ani słowem. To dziwne – pomyślała. – Kiedy już zdarzyło się to, co najgorsze, wszystko inne, czego się przedtem bałaś, nie ma nad tobą żadnej władzy. Przypomniała sobie, że już kiedyś ogarnęło ją podobne uczucie – po śmierci matki. Nie bała się wtedy ani prześladowających ją dwu dziewczynek z szóstej klasy, ani nauczycielki od matematyki, która wprawiała ją w przerażenie, ani nawet rottweilera mieszkającego na końcu jej ulicy w Encino. Mogli sobie robić, co chcą – jej i tak było wszystko jedno. W pewnym sensie dogłębne poczucie opuszczenia dawało jej wtedy jakiś wewnętrzny spokój, i podobnie było teraz. Spojrzała spokojnie na Marcusa. Nie istniało nic, czym mógłby jej zaszkodzić.

– Tak. Bez niej nie dałabym sobie rady. Ale szkoda, że tak mało z niego zostało – powiedziała spokojnie. – Może przy następnej okazji da się ocalić nieco więcej. W każdym razie spróbuj nie przerabiać ich na świąteczne kawałki.

– Dobra, w porządku – rzucił ugodowo.

Zebrał papiery, nad którymi pracował, i rzucił je na szafkę.

– Usiądź – zwrócił się do niej.

– Nie, dzięki – powiedziała i oparła się o framugę drzwi. Kiedyś miała ochotę zrobić coś takiego, żeby go obrazić, ale teraz było jej wszystko jedno.

– Słuchaj, zamierzam puścić tekst o przemianie komputerowca. Prawdę mówiąc, jest bardzo zabawny – powiedział. – Myślałem, żeby dać obok w ramce uzupełnienie, wiesz, Ted Waite, Steve Balmer, nowy szef MicroSoftu i może Marc Grayson – wiesz, szef NetScape'u. I może jeszcze Kevin Mitnick, ten haker, który właśnie wyszedł z więzienia. Pomyślałem, że pokażemy go w pomarańczowym kombinezonie w wersji „przedtem”, a następnie chłopcy z działu fotograficznego zrobią fotomontaż z nich wszystkich w wersji „potem”. Mitnick będzie musiał znaleźć sobie jakąś dziewczynę, żeby go utrzymywała, skoro nie pozwolą mu pracować nawet w McDonald'sie. Smętny dupek. Kto komputerem wojuje, ten od komputera ginie.

W tym momencie Tracie życzyła Marcusowi, żeby zginął od własnego

komputera. Słuchając jego wywodów, w jednej chwili straciła całą wewnętrzną równowagę i stoicki spokój. Jon pewnie jej nigdy nie wybaczy, ale jeśli jej artykuł ukaże się w gazecie, na pewno ją zabije – albo siebie.

– Nie możesz puścić tego tekstu – powiedziała.

– Słuchaj – odparł. – Wiem wszystko o twoich małych konszachtach z „Seattle Magazine”. Ale nie możesz u nich nic opublikować, jeśli pierwszy wyrazę gotowość publikacji tekstu. Opcja należy do nas, a poza tym jestem pewien, że pisałaś to w godzinach pracy.

– Marcus, nie możesz tego opublikować – powtórzyła z naciskiem. Wzięła plik kartek z szafki i pomachał jej nimi przed nosem.

– Po tym, ile pracy w to włożyłaś? I ile czasu ja w to włożyłem? To jedyny dobry tekst, jaki napisałaś.

– Marcus, nie możesz tego puścić... – Jak miała mu to wyjaśnić? Czemu musiała się tłumaczyć przed takim idiotą? – To może... to może wyrzucić komuś krzywdę – powiedziała.

– A, to co innego – odezwał się tonem pełnym sarkazmu. – No, jeśli to może wyrzucić komuś krzywdę...

Spojrzała na niego i poczuła, że nie zniesie jego widoku ani sekundy dłużej. Był takim ego tycznym, nadętym, chamskim pismakiem, że zrobiło jej się niedobrze, kiedy tak na niego patrzyła. Miała tego wszystkiego dość i była śmiertelnie zmęczona.

– Słuchaj, jeśli to opublikujesz, odchodzę – powiedziała.

– Naprawdę? – rzucił tym samym przemądrzałym tonem. – Mam lepszy pomysł. Jesteś zwolniona.

– Świetnie – odparła.

Odzyskała cały swój spokój. Czasami kompletne opuszczenie, całkowicie pusty krajobraz jest najlepszy.

– Pójdę zabrać swoje rzeczy – powiedziała.

Na widok bałaganu na jej łóżku każdy bez trudu doszedłby do wniosku, że Tracie leżała w nim już od kilku dni. Wszędzie wały się resztki pizzy, puste pudełka po lodach, na wpół opróżnione pudełka płatków zbożowych, kolorowe magazyny, zgniecione gazety i książki. Tracie nie za bardzo mogła czytać. Głównie płakała, spała i oglądała program Ricky Lake w telewizji. Czasami oglądała Jerry'ego Springera, ale robiło jej się od tego jeszcze gorzej, kiedy pomyślała o sobie.

W dzisiejszym programie Ricky gościł braci i siostry, którzy śpią ze

sobą i pragną, aby świat uszanował ich miłość. Albo talk-show, albo lody czekoladowe, które jadła, przegryzając krakersami Ritz, przyparły ją o lekkie mdłości. Wyłączyła pilotem telewizor, odwróciła się na bok i naciągnęła koc na głowę. Zadzwonił telefon. Zaczęła nasłuchiwać, kto chce zostawić wiadomość, ale to nie był Jon, więc nie odebrała.

Musiła się przez chwilę zdrzemnąć, bo zbudziły ją odgłosy otwierania zamka u drzwi. Zanim zdążyła wygrzebać się spod koców, do sypialni weszła Laura i rozejrzała się po pokoju.

– No, no. Gorzej, niż myślałam. Przyniosłam wszystko, o co prosiłaś, oprócz lodów z ciastem waniliowym. To już byłaby rozpusta.

– Nie twoja rzecz pytania zadawać, twoja rzecz to kupić i spadać – powiedziała Tracie.

Laura usiadła w nogach łóżka, wstała, żeby usunąć talerz z resztkami tostu, i znowu usiadła.

– Na razie to ty wyglądasz jak ktoś, kto zamierza umrzeć. Słuchaj, rozumiem, że czujesz się naprawdę podłe. Może nawet spieprzyłaś na dobre sprawę z Jonem, choć sądzę, że oboje możecie jeszcze się jakoś dogadać...

Tracie w odpowiedzi tylko jęknęła.

– Niemniej musisz w końcu wstać z łóżka – dodała Laura.

– Nie muszę – rzuciła Tracie. – Nie mam pracy, więc nie muszę iść do biura. Nigdy więcej nie pójdę na siłownię. Poza tym upłyną ze dwa lata, zanim będę znowu potrzebowała strzyżenia u fryzjera. To wszystko.

Laura zajrzała do torby z zakupami, wyciągnęła paczkę krakersów Goldfish, otworzyła i wsypała sobie garść do ust, resztę podając Tracie.

– I co z tobą będzie? – spytała.

– Dopóki przynoszą pizzę do domu i wystarczy gotówki, trzymam się materaca i nigdzie się nie ruszam – obwieściła Tracie. – Zrujnowałam sobie życie. Molly miała rację. Jestem kompletną kretynką.

Laura podniosła się z łóżka, podeszła do komody i wyciągnęła z torby chleb, kremowy serek i słoik winogronowej galaretki Welcha, ozdobiony postacią Mickey Mouse jako ducha. Otworzyła oba naczynia, rozłożyła chleb i posługując się palcem zamiast noża, zaczęła przygotowywać dwa sandwicze.

– Molly to mądra kobieta. I dobry szef. Wręczyła Tracie kanapkę.

– Mhmm.

Miękki, biały chleb, kremowa konsystencja sera i słodycz dżemu przyniosły Tracie trochę ukojenia. Zanim przełknęła, podciągnęła się do góry do pozycji siedzącej. Chciała umrzeć, ale nie tak jak Mama Cass. Laura usiadła obok i zaczęła jeść swoją kanapkę.

– Więc co powiedziała Molly? – spytała.

Trochę galaretki spadło Tracie na koc, więc zebrała ją palcem i oblizwała.

– Powiedziała, że traciłam czas na idiotów, gdy tymczasem Jon mnie kochał. Przez cały czas miałam go tuż obok, na wyciągnięcie ręki. I nie potrafiłam tego docenić.

Ugryzła kawałek kanapki. Jeśli się skupi na swoim żalu, że kanapka zaraz się skończy, nie będzie mogła myśleć o swoim żalu z powodu straty Jona.

– Czemu kobiety uganiają się za „złymi chłopcami”? – spytała Laurę. – Czemu same ściągamy na siebie nieszczęście, kiedy wokół mamy porządnych facetów? Czemu ich nie widzimy?

Laura wzruszyła ramionami.

– Ponieważ Bóg jest sadystą? – spytała, zbierając się z łóżka, żeby zrobić następne kanapki.

Tracie zignorowała jej wisielczy humor.

– Czemu myślałaś, że kochasz Petera, czemu ja wyobrażałam sobie, że kocham Phila, a Beth była przekonana, że warto szaleć na punkcie Marcusa?

Laura podała jej następną kanapkę, usiadła na krześle i skrzyżowała nogi.

– Myślę, że to jeszcze jeden paskudny żart natury, jaki sobie zrobiła kosztem kobiet. Etap w życiu, który musimy przejść, jak menopauzę czy okres. – Ugryzła kawałek drugiej kanapki. – Ale najgorsze, jak na ironię, jest to, że za jakieś pięć lat same zaczniemy rozglądać się za porządnymi facetami, żeby wyjść za mąż. A wtedy okaże się, że wszyscy, których olałyśmy w szkole średniej, na studiach i przez kilka następnych lat, są już zajęci, wiesz, mózgowcy tacy jak Bill Gates, Steven Spielberg czy Woody Allen. Faceci, którzy przez dwadzieścia lat nie mogli poderwać dziewczyny, a potem śpią z gwiazdami kina i modelkami, ponieważ są tacy inteligentni i potężni.

Tracie opadła z powrotem na swoje pomięte poduszki, pozwalając, żeby kanapka z galaretką i serkiem spoczęła jej na piersi.

– Spieprzyłam całe moje cholerne życie. Umrę nieszczęśliwa i samotna.

Laura wzruszyła ramionami.

– A co z Philem? Nie musisz być sama. Pewnie możesz zostać z Philem, nawet jeśli nie może znaleźć wydawcy dla swoich utworów, nie ma pracy i ma nierealistyczne poczucie własnej wartości.

Tracie z uwagą wysłuchała opisu Phila.

– No nie, zdaje mi się, że zaczynam się w nim znowu zakochiwać.

Zamilkła na chwilę, po czym pokręciła głową.

– Phil! Od dawna byłam nim znudzona. Tylko tego nie zauważyłam.

– Sama nie wiem – powiedziała Laura. – On nie jest taki zły. Trochę go...

Tracie nagle przerwała Laurze – wracając do pozycji siedzącej. Dwie połówki sandwicza poleciały wzdłuż łóżka, trafiając Laurę w rękę, po czym z powrotem opadły na koc.

– Wiesz, co mnie naprawdę męczy? Nie mogę pojąć, jak mogłam nie zauważyć Jona, zanim go nie zmieniłam w takiego modnego typa, że zaczęły za nim latać wszystkie dziewczyny w mieście. – Pokręciła głową. – Nie widziałam, kim jest, zanim go nie zniszczyłam.

Laura wzięła obie połówki sandwicza i podała je przyjaciółce, ale Tracie tylko pokręciła głową. Czowała, że jeśli jeszcze coś zje, to zwymiotuje, a ponieważ nie zamierzała wstawać z łóżka, wołała nie myśleć o konsekwencjach takiego obrotu sprawy.

– Kocham go, ale zasługuję na to, żeby żyć samotnie do śmierci – uzależniła się od Laury. Znowu opadła na poduszki. – Możesz mi wierzyć, że tak będzie lepiej dla świata – dodała, wpatrując się w sufit.

– Och, popatrz na to z innej strony – powiedziała Laura pogodnym tonem. – W końcu uświadomiłaś sobie, że go kochasz. Ja wiedziałam o tym przynajmniej od roku.

– Świetnie, trzymaj tak dalej. Mądralo. Gdybyś mi wtedy powiedziała, Jon byłby teraz ze mną. A tak, muszę się ustawić w kolejce za Allison, Beth, Samantha, Enid i Ruth...

– Rany! – przerwała jej Laura. – Wszystkie świrują? Dobrze przynajmniej, że nigdy nie spał ze mną.

Zamilkła na chwilę, jak gdyby zastanawiała się, czy powinna powiedzieć coś, co ma na końcu języka. Jak zawsze, odrzuciła pokusę dyskrecji.

– Czy był taki dobry w łóżku, jak mówiła Beth?

– Lepszy – jęknęła Tracie, zaczęła płakać i naciągnęła koc na głowę.

Kilka minut później opanowała się, wytarła oczy i nos o koc i wysunęła głowę. Laura wciąż siedziała na brzegu łóżka.

– Tracie, nie sądzę, żeby to było bardzo zdrowe – powiedziała, wspinając się zapewne na wyżyny niedomówienia. – Jesteś pewna, że z Jonem wszystko skończone? Że nigdy nie wyjdiesz już z tego mieszkania?

Tracie skinęła.

– To nie są negocjacje, Lauro. Wzięłam siebie jako zakładniczkę i nikt nie wyjdzie stąd żywy.

Laura kiwnęła głową i wzruszyła ramionami.

– A zatem, jak rozumiem, nie zrobi na tobie większego wrażenia wiadomość, że stało się coś naprawdę niedobrego. Coś gorszego niż twoja kłótnia z Jonem.

– Co? Czy może być coś gorszego? – spytała Tracie.

– Artykuł się ukazał.

Tracie podskoczyła jak porażona prądem.

– Spadaj! To nieprawda! – wykrzyknęła. – Marcus mnie wyrzucił, ale nie ośmieliłby się...

Laura wyjęła z papierowej torby gazetę i rzuciła ją na łóżko.

– Prawda. Ośmielił się.

Tracie złapała gazetę i zaczęła przerzucać strony.

– Dział „Życie codzienne”, strona pierwsza – powiedziała Laura.

Tracie znalazła artykuł, oszacowała rozmiary katastrofy i jęknęła.

Artykuł zajmował całą pierwszą stronę oraz ciągnął się na trzeciej i czwartej. Opisywał także żałosne przemiany wizerunku hakera i potentatów z branży elektronicznej. Tracie jęknęła.

– O Boże! Teraz już nigdy nie pogodzę się z Jonem. Nigdy się do mnie nie odezwie. Pieprzony Marcus! Kłamliwy łajdak.

Zaczęła wzrokiem przebiegać tekst.

– O nie. Nie. Najlepszy człowiek na świecie, a ja zrobiłam z niego pośmiewisko.

I właśnie w tym momencie rozległ się chrzęst zamków w drzwiach, które ktoś kolejno otwierał. Tracie w pierwszej chwili pomyślała, że to może Jon, ale zaraz uprzytomniła sobie, kto to może być.

– O Boże! Phil przyszedł. – Tracie usłyszała chrzęst ostatniego zamka, dźwięk otwieranych drzwi i kroki Phila w salonie.

Phil wkroczył do sypialni. Ale Phil, którego zobaczyła, to już nie był

ten sam Phil. Wyglądał jak obiekt diabelskiej przemiany a rebours. Ściął włosy i wyglądał na pewno schludniej, ale całość zmierzała w zupełnie niewłaściwym kierunku. Nadal nosił dżinsy, ale do tego założył jakąś żalozną, sportową marynarkę. Do tego miał aktówkę. Podszedł do łóżka, jak gdyby nie zauważył ani stanu ducha Tracie, ani całego bałaganu. Po prostu odgarnął śmieci, zrobił sobie wolne miejsce i usiadł koło niej. Tracie była zbyt wyczerpana, żeby się odezwać. Jednak Laura aż przetarła oczy ze zdumienia.

– Phil, to ty? – spytała.

– Cześć, Laura – zawołał wesoło. – Hej, Tracie, zauważyłaś jakąś zmianę?

– Ostrzygłeś się? – spytała. – Też masz za krótkie. Uśmiechnął się.

– Przyzwyczaisz się. Ale to nie jedyna zmiana. Mam pracę. Laura podniosła się z łóżka.

– No dobra, chłopaki. Chyba sobie pójdę. Mam wieczorną zmianę u Molly. Tracie, zadzwoń do mnie później.

Schyliła się, potarła stopę przyjaciółki i wyszła z pokoju.

Zostawszy sam na sam z Philem, w brudnej pościeli, Tracie poczuła nagły przypływ ostrej klaustrofobii.

Phil uśmiechnął się do niej, jak gdyby z potarganymi i przetłuszczonymi włosami, w najstarszej koszuli nocnej i w brudnej pościeli wyglądała ślicznie jak z obrazka.

– Tracie, wygrałaś zakład – powiedział. – Widziałem artykuł. I jestem gotowy spełnić warunki.

– Wygląda na to, że oboje jesteśmy – zdołała wydusić z siebie Tracie.

– Świetnie. Jestem twój. Tak jak stoję. Spakowałem się, żeby się do ciebie przeprowadzić.

Tracie jęknęła i przewróciła się na łóżku.

– W porządku, Phil. To był głupi pomysł z tym zakładem. Nie można igrać ludzkim życiem, żeby wygrać zakład.

– Co tam, głupi czy nie, jestem gotów się przeprowadzić – rzucił lekko Phil.

Tracie nie odpowiedziała. Jej życie zamieniło się w koszmar. Po prostu naciągnęła koc na głowę, obiecując sobie, że już nigdy się nie odezwie ani słowem.

– Hej. Jesteś chora, czy co? – spytał Phil.

Tracie wiedziała, że był okropnie skoncentrowany na sobie, ale nigdy

wcześniej nie przyszło jej do głowy, że jest imbecylem. Phil ściągnął jej koc z głowy i chociaż próbowała go przytrzymać, okazał się szybszy. Sięgnął do swojej aktówki i wyjął z niej papierową torbę oraz czarne aksamitne pudełeczko. Wręczył je Tracie.

– Zaraz poczujesz się lepiej. Tracie przewróciła oczami.

– Phil, już nie jem czekoladowych babeczek i nie potrzebuję w tej chwili następnej kostki do gry.

– To nie kostka – powiedział. – Otwórz pudełko. Otworzyła posłusznie.

W środku znajdował się pierścionek

z małym diamentem w tradycyjnej, zaręczynowej oprawie.

Starła się nie zrobić głupiej miny. Nic dziwnego, że Phil nie zrobił kariery jako gitarzysta basowy. Miał najgorsze wycucie tempa na świecie.

– Wyjdź za mnie, Tracie – powiedział. – Kocham cię. Tracie spojrzała na pierścionek, potem na Phila i załapała się

łzami. Była tak zdruzgotana i zła z powodu swojej własnej głupoty, że gdyby mogła, najchętniej urwałaby sobie głowę. Phil z czułością wziął Tracie w ramiona.

– Och, dziecinko. Wiem, ja też cię kocham – wyszeptał. – Przepraszam, że miałaś ze mną takie piekło. Myślę, że musiałem po prostu trochę dorosnąć. To znaczy, wiesz, zacząć myśleć o innych ludziach.

Tracie zaczęła łkać jeszcze głośniejsze. Objął ją mocniej.

– Już dobrze – uspokajał ją. Ale oczywiście nie było dobrze.

– Dzięki, że wytrzymałaś ze mną tyle czasu. Poklepał ją po plecach.

Tracie nie znosiła poklepywania.

– Wiesz, Laura bardzo mi pomogła to wszystko przemyśleć. Mam teraz nowe priorytety i ty, Tracie, jesteś moim numerem jeden.

Załkała jeszcze mocniej, ale Phil jakby tego nie zauważał.

– Wiesz, ten twój artykuł jest naprawdę dobry. Jesteś lepsza niż Emma Quindlen.

– Anna – załkała Tracie na granicy hysterii. Phil spojrzał na nią zatroskany.

– Uspokój się, kochanie. Musisz przymierzyć pierścionek.

Nie. Nie mogła. Prędzej odrąbie sobie rękę. Człowiek, o którym tak długo myślała, że go pożąda, że jej na nim zależy, był nie tylko żaloszny, ale do tego był dla niej kimś zupełnie obcym.

– Ja... ja... – Usiłowała powstrzymać płacz, wytarła sobie oczy i nos

palcami i spojrzała na niego. – Phil, czy uważasz, że płatki moich uszu są zachwycające?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie przyglądałem się.

Zaczęła znowu zawodzić. Phil wstał, sięgnął do komody i podał jej chusteczkę higieniczną. A potem odwrócił się tyłem do łóżka i zdjął swoją marynarkę. Położył ją ostrożnie na krześle przy łóżku i poklepał, jakby była psem.

– Muszę dbać o tę dziecinę – powiedział. – Myślę, że to dzięki tej marynarce dostałem pracę.

– Jaką pracę? – zdołała wykrztusić.

Phil odwrócił się i dopiero wtedy zobaczyła podkoszulek, który miał na sobie pod marynarką. Widniało na nim ogromne logo Micro/Conu. Bez słowa wskazała na podkoszulek i zaczęła w panice wygrzebywać się z łóżka.

– Co? Jak? – wyjąkała. – Dlaczego... ty... Phil spojrzał z dumą na swoją pierś.

– A... tak – powiedział. – Nie tylko że dali mi pracę. Dali mi też podkoszulek i papiery warte tysiąc dolarów. Czy to nie miłe?

Jon zalewał się potem. Starał się iść możliwie najszybciej, jak tylko potrafił. Ostatni raz był tak przestraszony, kiedy ścigał go pies sąsiadów, znany z tego, że gryzł każdego, kto zbliżył się na odległość pięćdziesięciu metrów do podwórka jego właściciela. Ale tym razem Jon sam usiłował uciec. Przyszedł do pracy na tyle wcześnie, że udało mu się wejść do budynku, zanim ktokolwiek go zobaczył, i wszedł na bieżnię w sali gimnastycznej Micro/Conu. Jednak teraz do siłowni zaczęli napływać ludzie i Jon wiedział, że nieprzyjemne poczucie, że stał się obiektem powszechnego zainteresowania, nie jest wyłącznie wytworem jego wyobraźni. Zwykle, kiedy ludzie ćwiczą na stacjonarnym rowerze, podnoszą ciężary albo biegają na bieżni, patrzą na ciebie nic nie widzącym wzrokiem. Ale tego ranka w ich oczach widział błysk zdumienia, rozpoznania, ciekawości, jaką budzi sława. Tak, tego właśnie można się spodziewać, kiedy twoja najlepsza przyjaciółka obsmaruje cię na kilku stronach w lokalnej gazecie. Nie chciał uwierzyć, że Tracie mogła być taka mściwa, żeby z powodu ich kłótni opublikować swój artykuł. Doszedł jednak do wniosku, że być może nigdy jej dobrze nie znał. Czuł się tak fatalnie, że pojechał przespać się do swojej matki, ale i tam nie było mu wcale łatwiej. Wprawdzie matka nie pochwałała artykułu Tracie, ale ciągle namawiała go, żeby się do niej odezwał.

– Zadzwoń do Tracie – mówiła. – Nie wiem, czemu to się wszystko stało, ale wiem, że taka przyjaźń jak wasza nie może się skończyć w ten sposób. Zadzwoń do niej.

Potem mówiła dużo o wybaczeniu i odwiedzinach u jego ojca w szpitalu. Jon czuł się na tyle podle, że pomyślał – choć nie powiedział tego na głos – że o wiele łatwiej przyszłoby mu wybaczyć komuś, kto zniszczył jej życie, niż komuś, kto zniszczył jego własne.

Prawdę mówiąc, psychicznie wciąż jeszcze nie uporał się z wizytą ojca. Kiedy przeszło mu uczucie litości, pomyślał, że jest wściekły na Chucka. O co właściwie chodzi z tym Dniem Matki i Dniem Ojca? Dlaczego nie ma Dnia Dziecka? Chuck po prostu wykorzystał święto jako klin, sposób na to, żeby zmusić Jona do spotkania, a równocześnie żeby sam nie musiał wprost przeprosić syna za całą nieodpowiedzialność i egoizm, na jakie sobie pozwalał przez te

wszystkie lata. Matce Jona łatwo było mówić o przebaczeniu. Dziadek był rzeczywiście dobrym ojcem i porządnym facetem. Wielokrotnie zastępował Jonowi Chucka – tak często, że Jon wolał nawet o tym nie pamiętać. Jon postanowił, że następnym razem w Dniu Ojca pójdzie na grób dziadka i mu podziękuje. To znaczy zrobi tak, jeśli do tego czasu nie umrze ze wstydu.

Jon usiłował nie patrzeć w stronę innych pracowników, którzy przyszli do sali gimnastycznej poćwiczyć – albo pogapić się na niego – ale nie przychodziło mu to łatwo. Prawdę mówiąc, rozpaczliwie pragnął walczyć w przycisk z napisem „stop”, zeskoczyć z gumowej taśmy i opowiedzieć im wszystkim, co Tracie mu zrobiła. Jak go skrzywdziła. Jak go wystawiła na publiczne pośmiewisko. Jak zrobiła z niego maskotkę Mic-ro/Conu. Jednak biegł dalej. Każdy krok odbijał się w jego głowie gromkim echem. Jak ona mogła mi coś takiego zrobić – pomyślał. Po raz ostatni czuł taki ból w piersi wiele lat temu, kiedy ojciec ich opuścił, jego i matkę. Oczywiście wiele razy było mu bardzo przykro z powodu wszystkich innych kobiet porzuconych przez Chucka, ale z tym uczuciem osobistej krzywdy Jon nie umiał sobie poradzić.

Otarł krople potu z czoła, nim spłynęły mu do oczu i zaczęły szczypać. Chociaż nie byłoby to wcale takie złe – pomyślał. – Widziałbym zamazany obraz i nie dostrzegałbym, jak wszyscy się na mnie gapią. Zastanawiał się, czy podobne poczucie krzywdy dręczyło z jego powodu wszystkie kobiety, z którymi spał od czasu rozpoczęcia transformacji. Zwłaszcza Beth – najbardziej wytrwałą z nich wszystkich. Cóż, był jednak nieodrodnym synem swojego ojca – dzięki panie Higgins.

Dlaczego Tracie postanowiła pójść z nim do łóżka dopiero wtedy, gdy przespał się z tyloma innymi kobietami? Czy była o nie zazdrosna? Czy pragnęła go przez cały czas? A może chciała się najpierw przekonać, czy potrafi zachować się w łóżku jak należy i na ten temat też robiła sobie notatki? Jon nie mógł już dłużej znieść presji spojrzeń tylu ludzi, więc zszedł z bieżni i opuścił salę gimnastyczną. Zasłonił twarz rękawnikiem, udając, że ociera pot spływający mu z czoła.

Przynajmniej w szatni było pusto i miał chwilę oddechu na zebranie sił, zanim nieuchronnie będzie musiał stąd wyjść. Udało mu się dojść do połowy korytarza w drodze do swojego biura, kiedy spotkał Samanthę.

Jon niemal zateęsknił za dawnymi dniami, kiedy myśl o tym, że podchodzi do niego, była jego największym marzeniem. Ale tego, co zrobiła na jego widok, nie przewidział w najśmielszych marzeniach. – Ty wstrętny, mały łajdaku! – rzuciła i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, uderzyła go w twarz.

Pięknie. Jeśli wszystkie inne kobiety pracujące w Micro/Conie zareagują tak samo, do wieczora będzie siny. Przyłożył dłoń do policzka i ruszył dalej. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerkać w drzwi mijanych pomieszczeń. Na szczęście większość z nich była pusta i szczęśliwie dotarł do głównej sali, w której znajdowały się wszystkie boksy pracowników z jego działu. Jedyna wizja, jaka mu w tym momencie przyszła do głowy, to powtórka sceny z filmu Jerry MacGuire, w której Tom Cruise odchodzi z pracy i wszyscy wstają, odprowadzając go wzrokiem do windy. Ba, byłoby pięknie, gdybym miał teraz wyjść – pomyślał. Przyszło mu do głowy, żeby się po prostu do nich

zwrócić i powiedzieć, że artykuł, który Tracie napisała do gazety, nie był jego pomysłem i że nie ma z nim nic wspólnego. Wszyscy wróciliby do swoich zajęć i raz na zawsze przestaliby o tym myśleć. Zatrzymał się u wejścia do sali. Wszyscy robili swoje i nikt mu się specjalnie nie przyglądał – po prostu każdy robił to, co zawsze każdego ranka, kiedy Jon przychodził do biura. Mogło być gorzej – pomyślał i wszedł do gabinetu.

Postanowił, że dzisiaj zamknie drzwi dzielące go od reszty pracowników. W ten sposób każdego, kto będzie chciał do niego wejść, najpierw będzie musiała zaanonsować jego sekretarka. Kiedy jednak odwrócił się od drzwi, ze zdumieniem zobaczył Carole siedzącą na jednym z foteli.

– Dzień dobry, Panie Zły Chłopiec – powiedziała z głupawym uśmiechem. – Wszyscy dziś o tobie mówią.

Jezus! Tylko tego brakowało. Jakby miał mało nieszczęść do tej pory.

– Dzień dobry – odparł cicho i podszedł do swojego biurka. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Wracam dziś do domu i chciałam powiedzieć, że miło mi było poznać „błyskotliwego pustelnika” z Seattle. – Uśmiechnęła się znowu.

– Nie miałem... – zaczął, ale Carole wstała z fotela i przykładając palec do ust, dała mu znak, żeby siedział cicho.

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać, Jonny – powiedziała nieco wyniosłym tonem. – Chłopcy muszą robić swoje. Przeżyjesz. Podeszła bliżej do jego biurka i wskazała na leżącą na nim kartkę.

– Sądząc z tego, co tam napisano, powinieneś być poświęcać o wiele więcej czasu „Parsifalowi” niż mnie i wszystkim innym dziewczynom. Jon spojrział na kartkę. Cholera! Od Dave'a, jego bezpośredniego zwierzchnika. Przebiegł oczami tekst i w drugim akapicie dostrzegł napisane dużymi literami słowo: „Niepowodzenie”. Odepchnął fotel od biurka. Carole podeszła do drzwi.

– Powodzenia – powiedziała. – Może się jeszcze kiedyś spotkamy, na jakimś lotnisku przy karuzeli B.

Wreszcie dzień pracy dobiegł końca. Jon wyszedł z budynku biurowego i ruszył w stronę swojego roweru. Obok roweru stała Tracie i trzymała rękę na siodełku. Kiedy ją zobaczył, zatrzymał się na moment, po czym odwrócił się z powrotem w stronę wejścia do Micro/Conu.

– Jon, proszę – zawołała Tracie i dogoniła go. – Pozwól mi tylko wyjaśnić i przeprosić.

Potrząsnął głową.

– Nie wiedziałem, że jesteś kłamcą.

– Jon, przysięgam. Chciałam poprosić cię o pozwolenie, zanim...

– Pozwolenie na to, by mnie upokorzyć? – zapytał, przerywając jej. – Nie sądzę, żebym komuś na to pozwolił, nawet tobie.

– Posłuchaj! Marcus odrzucił ten pomysł wiele miesięcy temu. Byłam...

– Ale kiedy zmienił zdanie, nie zawahałaś się ani chwili, co?

– Marcus obiecał, że go nie puści...

– Za kogo ty się uważasz? – spytał. – Za kogo? Co daje ci prawo do odgrywania Pana Boga...

Nie potrafił uwierzyć, jak mogła być aż taka bezduszna, jak mogła posłużyć się nim jak pionkiem, żeby zbliżyć się do Phila. Na moment ogarnął go taki gniew, że był w stanie pojąć, jak to się dzieje, że mężczyzna bije kobietę.

– ...prawo do ingerowania w życie innego człowieka. Zmieniania go całkowicie.

– Ale sam mnie o to poprosiłeś – przypomniała mu.

To była prawda. O czym wtedy myślał? O co mu chodziło?

Przypomniał sobie ojca i to wszystko, co przez niego przeżyła jego matka i inne żony Chucka – te wszystkie cierpienia. Potrząsnął głową,

żeby ocknać się z tych rozmyślań.

– Wiesz – powiedział do Tracie – może Molly ma rację. Jak na inteligentną dziewczynę, jesteś naprawdę durna. A może prosiłem cię o coś zupełnie innego. Może zadałem ci o wiele ważniejsze pytanie niż to, dlaczego Samantha mnie olała.

– Jakie? O co mnie pytałeś?

Jon odwrócił się do niej plecami i odszedł. Pragnął, żeby stopiła się i znikła bez śladu. Jednak poszła za nim. Chryste! Chyba już dość tych dramatów w jego życiu. Nie chciał, żeby go ktoś teraz oglądał. Jednak nie potrafił zachować milczenia.

– Skoro przez siedem lat byłaś moją najlepszą przyjaciółką, może powinnaś była wiedzieć, o co cię pytam. I dlaczego – rzucił ze złością.

– Jeśli mnie pragnąłeś, czemu nie dałeś mi tego poznać? Czemu mi tego nie powiedziałaś? Nie zrobiłaś najmniejszego gestu? – spytała. – Nie umiem czytać w cudzych myślach.

Aż go zabolęła niesprawiedliwość tych słów.

– A czemu miałbym to zrobić? Po to, żeby usłyszeć, że mnie kochasz, ale nie w „ten sposób”?

Poczuł ból i wściekłość, których istnienia nawet nie podejrzewał.

– Czy wiesz, jakie to jest obraźliwe? Czy myślisz, że chciałem to usłyszeć od ciebie, wypowiedziane na głos? – zapytał. – Nie zabrakło ci inteligencji, żeby ułożyć tę całą szaradę tylko po to, żeby kobiety za mną szalały. Byłaś dość bystra, żeby zrobić ze mnie nową, lepszą wersję mojego własnego ojca. Dość bystra, żeby napisać artykuł pokazujący mnie jako dupka, którym jestem. Ale nie dość bystra, żeby odczytać podtekst tej całej historii. Co z ciebie za pisarka?

Po jej policzkach płynęły łzy. Po tych samych policzkach, które kiedyś pokrywał pocałunkami.

– Jon, Kocham cię. Kochałam się z tobą...

– Ale dopiero wtedy, kiedy zmieniłaś mnie w kogoś innego. Dopiero jak się ze mną przespała połowa kobiet w Seattle, nie wcześniej.

Wreszcie otworzył tę pieprzoną kłódkę do roweru. Tracie stanęła obok niego i delikatnie dotknęła jego ramienia. Tak gwałtownie wyszarpnął rękę, że aż cofnęła się o krok.

– Wcześniej nie byłem dla ciebie dość dobry. Nie zwracałaś na mnie uwagi albo uważałaś, że i tak jestem twój... czy coś w tym stylu. Tak czy inaczej, nie chciałaś się wtedy ze mną kochać.

Tracie zwiesiła głowę i objęła ją rękami. Jon nie zamierzał przejmować się tym, jak żałośnie teraz wyglądała. Widywał ją już w takim stanie, kiedy zamartwiała się z powodu różnych dupków, z którymi chodziła. W końcu odezwała się, szeptem.

– Myślę, że zawsze chciałam się z tobą kochać. Byłeś jedynym człowiekiem, który wiedział, jaka jestem naprawdę, Jon. Ale byłam głupia. I myślę, że się bałam. Czy wiesz, jak wiele nasza wspólna noc dla mnie znaczy? Czy wiesz, jaka byłam wtedy szczęśliwa, jak bardzo cię kocham?

Jon odwrócił się w jej stronę.

– I nie obawiałaś się Phila? – spytał.

Tracie uniosła głowę i w jej oczach zobaczył poczucie winy. W jednej chwili wszystkie jego nadzieje znowu przysły, ponieważ znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że zrobiła coś bardzo złego. Wbrew jego oskarżeniom nie była kłamcą. Może cała ta sprawa z artykułem była błędem. Ale wobec tego, z czym się teraz zdradziła w tym spojrzeniu? Co takiego zrobiła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, czego robić nie powinna...?

– Z kim spałaś ostatniej nocy, Tracie? – spytał.

Tracie zwiesiła głowę, ale zdążył zauważyć, że się zaczerwieniła, i wiedział już, że ma rację.

– Z Philem, ale ja... ale on tylko... my nie... – wyjąkała.

Nie chciał już słyszeć ani słowa. Zrobiło mu się niedobrze i pomyślał, że zaraz wymiotuje prosto na jezdnię.

– Byłem sam, Tracie. I teraz też chcę być sam – powiedział szorstko, wsiadł na rower i odjechał.

Matka Jona ciągle dawała mu dwie bezużyteczne rady.

– Zadzwoń do Tracie, Jonathan – mówiła. – I spraw sobie psa. Może golden retrievera? To takie miłe pieski.

– Nie chcę do niej dzwonić. Chcę, żeby ją piorun strzelił – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Jonathanie Delano! – zawołała matka, ale w końcu dała za wygraną. Problem polegał jednak na tym, że nie mógł znaleźć niczego, co złagodziłoby jego ból. Jon nie czuł się już tak upokorzony. Ludzie byli strasznymi kretynami i sam fakt, że zamieszczono jego zdjęcie w gazecie, uczynił go lokalną sławą na kampusie. Paru jajogłowych potraktowało nawet rzecz na tyle poważnie, że próbowali naśladować jego „styl”. Jon położył temu kres, wracając do firmowych podkoszulków i spodni khaki. Nieważne, z zaszewkami czy bez. Jednak najwyraźniej nie potrafił uwolnić się od bólu, który go dręczył. Pewnego wieczoru, w skrajnej desperacji, sięgnął po telefon. Ale nie zadzwonił do Tracie. Zadzwoił do Allison.

Miał wrażenie, że Allison jest zachwycona tym, że się do niej odezwał. Ze swojej strony próbował – dla dobra ich obojga – nie okazywać szczególnego entuzjazmu, ale w końcu poczuł, że perspektywa kolejnej długiej, samotnej nocy jest ponad jego siły. Kiedy sięgnął po telefon, było już za późno, żeby nawet udawać, że chce się z nią umówić na obiad, więc spytał, czy nie poszłaby z nim na drinka, co, jak sądził, było właściwym dla „złych chłopców” sposobem wyrażania prostego pragnienia, że chce się z nią pieprzyć. A może właściwym dla „złych chłopców” sposobem wyrażania tego pragnienia było pytanie, czy ona chce się pieprzyć. Nie był pewny. Ale wiedział, że musi wypić jednego drinka albo dwa, albo sześć i że potrzebuje czyjś towarzystwa.

Umówił się z nią w „Rico’s” i zanim się zjawiała, zdażył już wychylić kilka szklaneczek Southern Comfort. Zamówiony przez niego Dewars smakował ostro, ale pił dziś ku pamięci ojca – nawet jeśli ojciec jeszcze nie umarł. Jon nie mógł pojąć, jak można było lubić coś tak paskudnego, ale po trzech drinkach musiał przyznać, że wybór ojca miał swój sens. Ulubiona trucizna Chucka smakowała wprawdzie jak rozpuszczalnik do farby olejnej, ale miała swoją skuteczność. Co nie

znaczy, że Jon był pijany. Żeby skutecznie wymazać z pamięci zdradę Tracie i jej zakład z Philem, Jon musiałby wypić co najmniej butelkę Southern Comfort – jeśli nie samego rozpuszczalnika.

Zajrzał do swojej szklanki i zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek znał Tracie naprawdę. Nie mógł uwierzyć, że ta sama, znana mu Tracie, mogła kochać się z nim tak, jak się z nim kochała, a równocześnie cały czas pracować nad tym, jak skłonić Phila, żeby się do niej wprowadził. Phil! Jon zamówił następnego drinka i barman z radością przyjął zamówienie. Jon pragnął przyłożyć sobie chłodną szklankę do czoła, ale tylko wypił następny łyk. Może gdyby Tracie wybrała kogoś innego niż Phila, Jon potrafiłby to jakoś przeboleć. Może. Ale Phil był prawdziwym idiotą, pretensjonalnym i skoncentrowanym na sobie dupkiem, a do tego – bądźmy szczerzy – niezbyt byстрыm. Jon przysiągł już sobie, że nie chce nigdy więcej oglądać Tracie na oczy, ale dałby głowę, że widział dzisiaj Phila na kampusie Micro/Conu. Z pewnością coś mu się zdawało, ale obiecał sobie, że jeśli rzeczywiście jeszcze raz go tam zobaczy, postara się dać temu głupiemu łajdakowi solidny wycisk.

I właśnie w chwili, kiedy był już wystarczająco pijany, by pragnąć upić się jeszcze bardziej, spojrzął znad swojej pustej szklanki w stronę baru i zobaczył idącą ku niemu Allison. Wszyscy faceci śledzili wzrokiem jej kroki. Jest piękna, wiedział to. Ładniejsza od Tracie. Zdecydowanie ładniejsza od Tracie – powtórzył sobie. Wyższa i ma większy biust.

Każdy z facetów siedzących przy barze pragnął dotknąć tych piersi, ale Jon był jedynym, który miał na to szanse tego wieczoru. To znaczy, jeśli nie wypije za dużo Southern Comfort.

– Cześć – powiedziała i położyła rękę na jego ramieniu.

Wszyscy pozostali faceci, wszyscy Philowie i wszyscy przegrani frajerzy przełknęli wraz ze swoim alkoholem gorycz zawodu. Znał smak tego trunku. Problem polegał jednak na tym, że w ogóle go nie obchodziło, że odniósł nad nimi zwycięstwo.

– Czym się trujesz? – spytał dokładnie tak samo, jak jego ojciec.

Zamówiła Absolut z lodem i Jon miał nadzieję, że nie będzie piła za dużo, ponieważ musiała zawieźć ich oboje do niego, wspiąć się z nim na schody, zdjęć swoje ubranie, a potem jego. Sorry, chłopcy, niemal powiedział na głos. Ale to ja zabieram ją do siebie. Pieprzyć Tracie.

Przez chwilę myślał o pieprzeniu Tracie. Zamknął oczy, ale nie dlatego, że pragnął zatrzymać ten obraz, tylko dlatego, że chciał go odegnać. Będzie spał z Allison; będzie ocierał się o nią swoim ciałem i oboje będą czuli, że jest im dobrze. Miał nadzieję, że po drugiej stronie Seattle, gdzie Tracie i Phil będą się o siebie ocierać, Tracie będzie myślała o nim.

Allison jęknęła i Jon przesunął dłoń na jej ramiona, unosząc się nieco do góry, żeby móc lepiej w nią wejść.

– Och, Jonny – jęknęła.

Zatrzymał się i po chwili Allison, czując, że zamarł w bezruchu, otworzyła oczy.

– Nie Jonny – powiedział. – Nazywam się Jon. – Jednak w międzyczasie stracił erekcję, podobnie jak stracił wszelką ochotę, żeby się z nią kochać drugi raz. Zresztą jeden raz aż nadto wystarczył. Pieprzył ją ze złością, pieprzył ją „za chłopców w barze”, nic, tylko wściekłość i wrzask, bez znaczenia. Choć musiał przyznać, że mimo całej złości i rozgoryczenia było to w jakiś niezdrowy sposób przyjemne. Najgorsze, że Allison też najwyraźniej sprawiało to przyjemność. Zsunął się z niej.

Czuł się zawstydzony samym sobą. Był gorszy od własnego ojca. Jego ojciec – o ile wiedział – nie sypiał nigdy z kobietami po to, żeby je ukarać. Jon nie mógł ruszyć się z łóżka, i to nie dlatego, że był taki wyczerpany seksem.

W czasie, kiedy leżał, Allison obeszła jego mieszkanie. Teraz rozumiał mądrość zasady głoszącej, że nie należy nigdy zabierać ich do siebie. Czy miał ją teraz poprosić, żeby sobie poszła? Byłoby to dość bezwzględne.

– A więc pracujesz w Micro/Conie prawie od samego początku – mówiła.

– Niezupełnie – powiedział. – To znaczy, nie należę do założycieli. Przyszedłem po pierwszej publicznej emisji akcji.

– Ale teraz masz już pewnie mnóstwo akcji – dociekała. – I mnóstwo opcji.

– Tak – odparł i zaczął się zastanawiać, czy ma jej powiedzieć, że robi mu się niedobrze. Nie byłaby to metafora. Ale czy to wystarczy, żeby sobie poszła?

– Wiesz, Marcus nie ma nawet żadnych akcji – powiedziała. – I nie

należy do kadry kierowniczej.

Czy ona mówi o tym gnojku z redakcji Tracie?

– Naprawdę? – spytał, jak gdyby go to cokolwiek obchodziło. – Ten facet, który napastuje Tracie?

Allison spojrzała na niego bystro.

– Ją też molestuje? – zdziwiła się. – Przysięgam, że jeszcze trochę, a złożę na niego skargę w sądzie. Ale przypuszczam, że teraz, odkąd Marcus wie, że Tracie jest zaręczona, pewnie da jej spokój. Zdaje się, że mężatki go nie interesują.

– Zaręczona? – spytał Jon.

Mógłby przysiąc, że czuł, jak serce mu stanęło. Może to tylko coś z płucami. Nie mógł złapać oddechu.

– Tracie jest zaręczona?

– Och, nie wiedziałeś? – rzuciła mimochodem. – Myślałam, że jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi.

Allison podeszła do łóżka i delikatnie przesunęła ręką po jego kroczu. Bez rezultatu.

– Nieważne – powiedziała łagodnie. – Wiesz, wcale nie uważam, żeby seks był najważniejszy.

Ułożyła się obok niego i położyła mu rękę na piersi. Na ramieniu czuł dotyk jej idealnej piersi, ale równie dobrze mogłaby to być poduszka albo gumowa kaczuszka. Ani drgnął, kiedy znowu przesunęła mu ręką między udami.

Tracie była zaręczona z Philem. A więc gitarzysta basowy był kimś więcej niż tylko idiotą, z którego Tracie szybko wyrośnie.

W najlepszym razie będzie jej mężem, w pierwszym nieudanym małżeństwie, a do tego prawdopodobnie ojcem jej dzieci. Na tę myśl Jon nie mógł już dłużej zapanować nad sobą. Przewrócił się na drugi bok, wyswobodził spod ręki Allison, przeturlał się na brzeg łóżka i zwymiotował na podłogę.

Tracie spojrzała przez okno na niebo nad miastem. Jak niemal zawsze, spowijała je szara warstwa chmur, ale akurat w tej chwili pojawiła się w niej niewielka przerwa, przez którą wdarły się promienie srebrzystego światła, nadając niebu niezwykle, magiczny wygląd. Jednak tego dnia nad Seattle musiały wiać silne wiatry, bo już po chwili postrzępione chmury zaczęły się łączyć ze sobą, początkowo pojedynczymi pasemkami mgły, by po chwili niczym tkanka zarastająca gojącą się ranę przesłonić słońce jednolitą szarą opończę. Tracie nie pozwoliła sobie nawet na malutkie westchnienie – Laura odnotowywała wszystkie i każde z nich opatrywała komentarzem – tylko odwróciła się od okna, kucnęła i zanurzyła wałek do malowania w naczyniu z farbą, którą razem z Laurą miały nanieść na ścianę. Nowe mieszkanie Laury zapowiadało się bardzo obiecująco, jeśli nie liczyć wybranej przez nią żółtej farby, która zdaniem Tracie była okropna. Woląla jednak nie komentować decyzji przyjaciółki, ponieważ za bardzo cieszył ją entuzjazm, z jakim Laura wzięła się do remontu nowego domu. Ulubionym miejscem poszukiwań potencjalnych facetów był teraz dla Laury supermarket budowlany Home Depot. Jak dotąd zdążyła już umówić się z poznanym tam policjantem, handlowcem oraz kierownikiem działu farb. „Kochasz go, bo ma zniżkę na farby”, żartowała z niej Tracie, dopóki Laura nie odkryła, że facet wcale nie jest rozwiedziony, tylko żyje z żoną w separacji. Laura rzuciła go jak gorący przenośny grill. Zgodnie z instrukcją Laury, Tracie zrobiła farbą dwie ukośne linie przecinające się w kształcie litery „x”, po czym zmarszczyła nos, widząc dziesięć tysięcy żółtawych piegów na swoim ramieniu.

– Za dużo farby na wałku – powiedziała Laura, malując drugim wałkiem sąsiednią ścianę. Popatrzyła na nią i potrząsnęła głową. – Kandinsky to z ciebie nie będzie – dodała.

– I co z tego? – odparła Tracie. – Nigdy nie chciałam grać na skrzypcach.

Przewróciła oczami, nabierając nową porcję farby, i tym razem większość z niej pozostała na ścianie. Światło wpadające przez okno rzucało żółte refleksy i w tym świetle skóra Laury nabrała niezdrowego żółtawego koloru. Tracie pomyślała, że ten kolor z pewnością nie

nadaje się do malowania sypialni, chyba że następny facet, jakiego Laura spotka w Home Depot, będzie nie tylko samotny w świetle prawa, ale do tego będzie daltonistą. Ponieważ oboje będą wyglądali w tej sypialni jak chorzy na żółtaczkę.

– Wiesz, myślałam ostatnio sporo o tobie i sędzę, że nadszedł czas, żebyś sobie znalazła jakąś pracę – powiedziała Laura.

Stała tyłem do Tracie i bez chwili wytchnienia jeździła wałkiem w górę i w dół, w górę i w dół.

– Próbuję napisać powieść – przypomniała jej Tracie. – Możesz mi wierzyć. To jest praca.

Jako początkująca pisarka, stawiająca pierwsze niepewne kroki w nowym fachu, Tracie uczyła się nowego rozkładu dnia: pisanie rano i redagowania po południu. Pisała o dziewczynie dorastającej w miejscu przypominającym Encino, która musi uporać się emocjonalnie ze śmiercią swojej matki. Powieść nie była dokładnie autobiograficzna, ale przynajmniej Tracie mogła powiedzieć, że prace przygotowawcze nie wymagają od niej zbytniego wysiłku.

– Wiem i jestem z ciebie dumna. I wcale nie zamierzam zarzucać ci lenistwa – powiedziała przyjaciółka. – Chodzi mi o to, że powinnaś zacząć wychodzić z domu.

– Tak, a potem zaczniesz mnie namawiać, żebym dała ogłoszenie do rubryki towarzyskiej – rzuciła Tracie i nieco zbyt energicznie włożyła wałek z powrotem do pojemnika. W rezultacie rozlała trochę żółtej farby na podłogę.

– Ups – syknęła i wytarła farbę jednym z papierowych ręczników. Na szczęście to był lateks. Czyszczenie zajmie tylko godzinę, a nie dwa dni.

Laura odwróciła się do niej, nie zwracając uwagi na rozlaną farbę.

– Słuchaj, dałam ci spokojnie rozpaczać – powiedziała. – Czy wtrącałam się, przeszkadzałam? Czy mówiłam, że nie możesz leżeć samotnie w swoim mieszkaniu jak martwy łoś po tarle?

Laura była dla niej rzeczywiście zaskakująco wspaniałomyślna – a może tylko nie miała czasu. Tracie spędziła wiele dni, a może nawet tygodni, starając się zapamiętać i równocześnie zapomnieć każdy szczegół, każdą cudowną chwilę spędzoną z Jonem. Kiedy powiedział jej, że ją kocha, że zawsze ją kochał, to było jak magiczny taniec, coś, co zdarza się tylko we śnie, kiedy zakładasz baletki i nagle okazuje się,

że nie tylko potrafisz bez wysiłku tańczyć na pointach, ale znasz na pamięć choreografię Jeziora łabędziego. Oboje z Jonem poruszali się, jakby stanowili jedno. Każde dotknięcie było takie spodziewane, a zrazem tak spontaniczne i takie nowe, że Tracie potrafiła zachować je w żywej pamięci przez wiele tygodni.

Kiedyś czytała, że kobiety nie pamiętają bólu porodu, bo gdyby go pamiętały, za nic nie chciałyby rodzić po raz drugi. Tracie nie wiedziała, czy to prawda, ale nie potrafiła przypomnieć sobie radości ani piękna swojej miłości z Jonem, ponieważ nie zniósłaby potem bolesnej świadomości, że to już się nigdy nie powtórzy. Spędziła wiele czasu, oddając się potępianiu siebie, oddając się nienawiści do Marcusa, obwinianiu Phila i wszystkim innym jałowym i niesprawiedliwym emocjom. Ale w końcu musiała dać temu spokój i z czasem bardziej zaczęła

skupiać się na teraźniejszości niż na przeszłości. Nie żałowała pracy w „Timesie”. Nie żałowała swoich mikroskopijnych dochodów. Nie żałowała nawet tego, że naruszyła niewielki fundusz, jaki pozostawiła jej matka. Po raz pierwszy doceniła wartość pieniędzy odziedziczonych po matce.

– Nie potrzebuję pracy, a poza tym, jeśli się gdzieś zatrudnię, nie będę mogła pisać – przypomniała Laurze. – Jeśli będę żyła oszczędnie, mogę pociągnąć do końca roku, a do tego czasu powinnam mieć gotową książkę.

– Tak, ale jeśli będziesz miała pracę, która nie wymaga żadnego wysiłku umysłowego, będzie ci się lepiej pisało i będziesz mogła pociągnąć nie rok, ale dwa lata – zauważyła Laura. – Na wypadek gdyby pisanie zajęło ci nieco więcej czasu, niż początkowo planowałaś. Uśmiechnęła się szeroko, wzięła pędzel i zaczęła malować linię wzdłuż sufitu. Tracie patrzyła zdumiona na jej spokojne i pewne ruchy. Laura była taka wysoka – albo sufit tak nisko – że mogła malować bez użycia drabiny.

– Myślę, że lepiej będzie, jak się weźmiesz do sprzątanía – powiedziała Laura.

– Dlaczego? Wcale tak źle nie maluję – zaprotestowała Tracie.

– Tak, ale przychodzi Phil, a nie sędzę, żebyście się mieli ochotę zobaczyć.

– Co racja, to racja.

Laura dość często widywała się ostatnio z Philem. A w każdym razie tak to wyglądało w oczach Tracie, która nie widywała nikogo poza Laurą. Oczywiście Laura nie miała jeszcze zbyt wielu przyjaciół czy nawet znajomych w Seattle. Niemniej, wyglądało na to, że powoli zapuszcza korzenie. Będzie miała bardzo ładne mieszkanie – jeśli nie liczyć żółtawej sypialni – i najwyraźniej czuła się szczęśliwa, pracując w „Java, the Hut”. Tracie nie była tam od czasu zerwania z Jonem, ale Laura opowiadała jej dokładnie o wszystkich bywalcach. Najwyraźniej Jon także przestał tam przychodzić. Chyba że Laura na użytek Tracie cenzurowała swoje relacje. Tak czy owak, Tracie była zadowolona, że Phil ma odwiedzić Laurę. Trochę dlatego, że miała wobec niego wyrzuty sumienia, a trochę, że z rozkoszą mogła odłożyć żółtawy wałek do malowania.

– Wiesz, jeśli chcesz z nim chodzić, nie zgłaszam sprzeciwu. To skończone.

– Nie. Jesteśmy tylko parą starych złych przyjaciół – powiedziała Laura, próbując gorzkiego dowcipu. – Spotykamy się mniej więcej raz na tydzień, żeby popsioczyć na nasz podły los. Trochę to potrwało, zanim Phil się wciągnął, ale ostatnio idzie mu całkiem nieźle.

Na moment Tracie zanurzyła się we wspomnieniach podobnych sesji, jakie urządzali z Jonem, ale szybko wypchnęła go z pamięci – tak jak to robiła ostatnio kilkadziesiąt razy dziennie.

– Tak czy inaczej – Laura wróciła do przerwanej wątku – naprawdę uważam, że powinnaś zatrudnić się jako kelnerka. Szukają u nas kogoś do pracy. To tylko parę godzin dziennie. Za to będziesz miała okazję wyjść z domu. Zbierzesz więcej materiału. A napiwki są nieźle.

– O czym ty mówisz! – prychnęła Tracie. – Nie jestem uczennicą z college'u, żeby pracować za grosze albo jakieś dobre rady. Kupić akcje Micro/Conu, zanim się znowu podzieli? Wcześniej zasadzić kukurydzę? Daj spokój.

Laura popchnęła Tracie do łazienki i wręczyła jej mydło.

– Tu masz dobrą radę – powiedziała – zmyj te plamki, zanim zaschną. I rób wszystko, co ci mówię. Ja zawsze mam rację.

Tracie znowu prychnęła.

Laura zaciągnęła niezadowoloną i rozczochraną Tracie do „Java, the Hut”. Zmusiła ją, żeby podeszła do Molly. Tracie ewidentnie nie miała na to zbyt wielkiej ochoty.

– Potrzebujecie drugiej kelnerki? – spytała Tracie.

– Taa, tak jak ja potrzebuję szerszego tyłka – powiedziała Molly, po czym zmierzyła Tracie od stóp do głów. – A co? Szukasz pracy?

– No tak, właściwie to wyleciałam z gazety, ale mój szef twierdzi, że sama odeszłam, i nie jestem pewna, czy dostanę zasiłek...

Molly uniosła prawą rękę do góry, jak gdyby chciała pokazać, że nie chce nic więcej słyszeć. Lewą wręczyła Tracie firmową podkoszulkę „Java, the Hut”.

– Przynajmniej znasz menu na pamięć – powiedziała.

– Widzisz, mówiłam ci – zwróciła się Laura do Tracie.

– Że co? – spytała Tracie.

– Przyjmiesz Tracie? – spytała Laura.

– Mogę spróbować – odparła Molly i westchnęła. – Prawdopodobnie położy to kres moim marzeniom, żeby pójść w ślady Starbucka, ale co tam.

Molly może ją zatrudnić?

– A nie muszę porozmawiać z kierownikiem? Czy coś w tym guście? – spytała. – Chodzi o to, że nie mam doświadczenia.

– Nic się nie martw, za to też zostaniesz ukarana, moja owieczko. Mam nadzieję, że będziesz dostawała takie napiwki, jakie mi sama dawałaś – powiedziała Molly z odrobiną sarkazmu. – Czy nie widzisz jeszcze, że w tym lokalu nie ma żadnego kierownika? – dodała.

– A więc ty jesteś właścicielką? Nie wiedziałam... – zaczęła Tracie.

– Złotko, nie masz pojęcia, ile jest rzeczy na świecie, których nie wiedziałaś. Ale myślę, że zaczynasz się uczyć. – Zrobiła pauzę. – A więc z Jonem wszystko skończone, tak?

Tracie skinęła głową.

– Jakoś tak...

– Nic nie mów.

Molly skierowała swoją uwagę na Laurę.

– Spóźniłaś się. Kuchnia woła. I nie mamy pomidorów.

– Nie ma sprawy. – Laura posłała Molly uśmiech, po czym pokazała Tracie kciukami znak zwycięstwa.

Tracie spojrzała w stronę frontowego okna, na którym wisiały już flagi z okazji Dnia Niepodległości. Nawet nie zauważyła, kiedy na drzewie za oknem z pączków rozwinęły się liście. Nadal pracowała u Molly, kiedy liście zrobiły się pomarańczowe, a potem opadły, odstaniając

nagie gałęzie, które przez prawie miesiąc były pokryte lodem. To była zima jej niezadowolenia.

W pierwszy wiosenny dzień Jon szedł ze swoim psem o imieniu Lucky przez Pike Market. Ulice były pełne ludzi, a Lucky z ożywieniem chwycił wszystkie zapachy, jak gdyby w powietrzu kryło się coś nowego. Jon nawet nie zauważał spojrzeń kobiet, które odwracały głowę, żeby na niego popatrzeć. Od tamtej ostatniej nocy z Allison z nikim się nie spotkał. Nie odpowiedział na telefony Sam i Ruth. Nawet Beth w końcu przestała dzwonić. Zamiast tego szukał zapomnienia w pracy, ale było już za późno, żeby uratować „Parsifala”. Samotnie musiał stawić czoło swojej pierwszej zawodowej porażce. Przywiązał smycz do poręczy przed jakąś kafejką pod gołym niebem. Prawdę mówiąc, nie musiał. Pies i tak by na niego czekał cały dzień i noc, na smyczy czy bez. Jon wszedł do sklepu kupić kawę. Stojąc w kolejce, zobaczył, że etykiety pod pojemnikami z bułkami i ciasteczkami są zrobione z żółtych karteczek samoprzylepnych. Pogłaskał jedną z nich palcem, ale zaraz potrząsnął głową. Nie pozwalał sobie na żadne myśli o Tracie. Miał teraz dość silnej woli, żeby konsekwentnie przestrzegać tej zasady. Początkowo samotność opadła go niczym gęsta mgła zalegająca nad Puget Sound. Wolał nawet nie myśleć, ile nocy spędził u matki, usiłując jakoś przetrwać ten mały kryzys. Matka nie wspominała o jego kłopotach, zawsze witała go radośnie i nie zadawała żadnych pytań. Ograniczyła się tylko do jednej sugestii. „Czemu nie pójdziesz do schroniska dla zwierząt?” – pytała. Jon nigdy nie uważał się za jakiegoś szczególnego miłośnika zwierząt, ale sam czuł się w tym okresie jak pies w schronisku. Samotny, zamknięty w klatce – w każdym razie uczuciowo – i stęskniony czyjegoś ciepła. Kiedy patrzył na klatki w schronisku, widział przed sobą wszystkie odmiany psiego nieszczęścia, wszystkich przegranych w grze miłości: zbyt ruchliwe szczenięta, psy, które okazały się za duże albo nie były dość ładne, albo dość bystre, albo zabrakło im szczęścia. Jon kupił kawę i słodką bułeczkę, którą podzielił się z Luc-kym. Pies powitał go z prawdziwym nadmiarem radości, merdając nie tylko ogonem, ale całą tylną częścią ciała. Kiedy Jon odwiązał smycz i odwrócił się, zobaczył Beth siedzącą samotnie przy stoliku. Mógł udać, że jej nie widzi, ale poczuł się w tym momencie – i nawet Lucky niewiele mógł na to zaradzić – tak samotnie, że do niej podszedł.

– Mogę? – spytał Spojrzała na niego.
– Och, jasne. Jak się masz, Jonny?
– Jon, po prostu Jon – powiedział. – A to jest Lucky.
– Nie wiedziałam, że masz psa.
– Mam go od niedawna. Jeśli chodzi o mnie, wszystko w porządku.
A co u ciebie?

– Och, to samo co zawsze – odparła.
Upiła trochę kawy z filiżanki. Na stoliku leżał także napoczęty Milky Way.

– W gazecie nie jest zbyt wesoło. Allison oskarżyła Marcusa o molestowanie i odkąd nie ma Tracie...

– Tracie nie pracuje w gazecie? – przerwał jej. Ograniczał się do czytania tekstów informacyjnych, żeby nie natrafiać na jej imię.

– Nie wiedziałeś, że odeszła? – spytała Beth.

– Nie.

Jon naprawdę starał się nie zadawać więcej pytań, jednak mimo całego wysiłku woli nie zdołał się pohamować.

– Kiedy ona wychodzi za mąż? – spytał, zawstydzony i przerażony brakiem panowania nad sobą.

Za nic nie mógł sobie na to pozwolić, żeby znowu dopadła go cała udręka minionych miesięcy.

– Allison?

– Nie, Tracie – zmusił się, żeby wymówić jej imię.

Nie wymówił go od chwili, kiedy widział ją po raz ostatni, i obiecał sobie, że nigdy więcej go nie wymówi. Jego matka przestała go pytać, co u niej słyhać, chociaż nigdy nie spytała, co się właściwie między nimi stało.

– Słyszałem, że jest zaręczona z Philem.

– Może była przez minutę – powiedziała Beth z grymasem na twarzy. – Zerwali ze sobą.

Jon ze wszystkich sił starał się niczego po sobie nie okazywać. Ale kręciło mu się w głowie. Nie dosłyszał kilku następnych słów wypowiedzianych przez Beth.

– ...i Tracie pracuje w „Java, the Hut” – dotarło do niego. –

A przynajmniej tam pracowała, kiedy się ostatnio z nią widziałam.

Jak na jeden raz, to było aż nadto informacji. Miał wrażenie, że chyba

coś źle zrozumiał.

– Jako kto? – spytał.

Może to jakiś niedorzeczny żart.

– Nie jestem pewna – powiedziała Beth. – Ale myślę, że powinieneś sam to sprawdzić. Wiem, co ona do ciebie czuje.

– Niby skąd?

– Daj spokój. Kochała cię od lat. Tylko po prostu o tym nie wiedziała – odparła Beth. – Wiesz, w pewnych sprawach nie jestem taką zupełną idiotką.

– Ona mnie kocha? – spytał Jon.

– Dziewczyna nie spotyka się z facetem przez siedem lat, jeśli go nie kocha – powiedziała Beth. – Ty też wciąż ją kochasz. Czy nie sądzisz, że przyszedł czas, żeby się pogodzić i zawiązać węzeł?

– Chyba po to, żeby się powiesić.

Jon zajął stolik przy oknie i przesłonił sobie twarz menu. Lucky leżał na zewnątrz, schowany dla bezpieczeństwa pod ławką, żeby umknąć kontaktowi z przechodniami. Jon nie mógł nie zauważyć przyklejonych do menu żółtych samoprzylepnych karteczek, na których wypisano nazwy dań specjalnych. A więc Beth miała rację. Odstające od menu żółte karteczki były dla niego piękniejsze niż żółte żonkile na wiosennym zboczu pagórka. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Ukradkiem obserwował ją z daleka, jak przyjęła od kogoś zamówienie, dołała klientowi kawy, po czym wytarła stolik.

Jego świadomość buntowała się na widok Tracie w roli kelnerki. Przez wszystkie lata ich znajomości nigdy nie widział, żeby choć raz zwinęła serwetkę. Więc kiedy teraz na nią patrzył, doświadczał, jak sądził, czegoś, co psychologowie nazywają „dysonansem poznawczym”. Jednak w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin już wiele razy musiał zrewidować swoje najgłębsze przekonania na temat tego, co widział i co, jak sądził, niezbicie wiedział.

Po rozmowie z Beth wrócił do domu i usiłował zorientować się, co naprawdę się wydarzyło – a nie co mu się jedynie wydawało, że się wydarzyło – między nim a Tracie. W końcu doszedł do wniosku, że Allison go okłamała, mówiąc o zaręczynach Tracie. Nie wiedział przy tym, czy zrobiła to celowo, żeby ostatecznie rozdzielić go z Tracie, czy z jakichś innych powodów, i prawdopodobnie nigdy się nie dowie. Odnalazł Phila i chociaż spotkanie z rywalem kosztowało go trochę wysiłku, wiedział, że dla Phila także nie było przyjemne.

Phil siedział w niewielkim boksie, w dziale, do którego go przydzielono, i zapewne musiał poczuć się upokorzony, kiedy głowy wszystkich kolegów odwróciły się w jego stronę, żeby zobaczyć, czemu taki szeregowy pracownik zawdzięcza wizytę jednego z bossów. Phil z goryczą potwierdził słowa Beth.

Tracie podeszła do stolika.

– Czym mogę służyć? – spytała.

Jon opuścił menu i spojrzął na nią. Tracie wzdrygnęła się zaskoczona.

Widać było, że nie ma odwagi, żeby na niego ponownie spojrzeć.

Jednak dzielnie przemogła się. Ich oczy spotkały się i wszystko, co do niego czuła, zajaśniało na jej twarzy.

– Co tutaj robisz? – spytała.

– Co ty tutaj robisz?

– Pracuję tu – powiedziała. – Nie ułożyło mi się w gazecie.

– Słyszałem, że jesteś zaręczona z Philem.

– To też się nie ułożyło. Nie wyszłabym za faceta, którego właśnie rzuciła dziewczyna.

Ugryzła się w wargę, jak gdyby chciała się ukarać za to, że powiedziała za dużo. Spojrzała na swój bloczek. Widział, że stara się zapanować nad swoimi uczuciami.

– A więc, czym mogę służyć? – spytała.

– Adam i Ewa na tratwie – powiedział.

Tracie zamilkła jak porażona. Łzy zakręciły jej się w oczach i musiała na chwilę odwrócić głowę. Jednak kiedy znowu na niego spojrzała, Jon nie mógł uwierzyć własnym oczom: była wściekła.

– To niesprawiedliwe! – zawołała. – Wiem, że cię skrzywdziłam, ale ja tu pracuję. Drażnienie się ze mną...

– Nie drażnię się z tobą – powiedział Jon najłagodniej, jak tylko potrafił. – A kto ciebie porzucił?

– A jak myślisz?! – wykrzyknęła i cisnęła bloczkiem o blat. Odwróciła się od stolika, jakby zamierzała odejść. Jon zerwał się z miejsca i chwycił ją za rękę. Próbowwała się wyswobodzić. Odwrócił ją do siebie. Tracie zwiesiła głowę, żeby uniknąć kontaktu z jego wzrokiem. Łzy popłynęły jej po policzkach. Jon spojrzał w stronę Molly.

– Czyż ona nie ma najpiękniejszych oczu na świecie? – spytał.

– Och! Nie dręcz mnie, proszę! – zawołała Tracie i w jej pięknych oczach znowu zaszkliły się łzy. Jeszcze raz spróbowała się oswobodzić.

– Zachowuj się! – ostrzegła go Molly. – Żadnych głupich sztuczek.

– Więc kiedy wychodzisz za mąż? – spytał Jon.

Molly skinęła na Laure, żeby wyjrzała z kuchni zobaczyć, co się dzieje. Laura otworzyła usta ze zdumienia. Tracie odwróciła się do Jona.

– Mówiłam ci już: nie wychodzę za Phila.

– Zgadza się – powiedział. – Wychodzisz za mnie.

Przez moment Tracie stała jak skamieniała i Jon miał dość czasu, by pomyśleć, jak piękna, jak doskonała jest każda linia jej ciała. Gdyby miał ją sam wyrzeźbić, nie zmieniłby ani jednej najdrobniejszej kreski.

– Wychodzisz za mnie – powtórzył, tym razem z całą miłością, jaką do

niej czuł.

– Ja? – spytała i Jon widział, jak zaczyna się zmieniać wyraz jej twarzy, jak gdyby napływająca krew stopniowo ożywiała marmurowy posąg.

– Oczywiście, że tak, głuptasie – powiedziała Laura stojąca w drzwiach do kuchni.

– Jesteście bandą kompletnych wariatów – odezwała się Molly tonem udawanego oburzenia. – Więc lepiej się pobierzcie, bo w całym okręgu Seattle nie znajdzie się nikt, kto by któreś z was zechciał. – Potrząsnęła głową.

– Wychodzę za ciebie? – spytała Tracie ponownie. Zamrugła oczami.

– Dlaczego?

– Ponieważ mnie kochasz – powiedział. – I kochałaś mnie od dawna.

Tylko że dopiero teraz tak naprawdę się o tym przekonałaś – dodał, wyjaśniając to jej i sobie samemu równocześnie.

Tracie otarła grzbietem dłoni swoją twarz zalaną łzami.

Jon podał jej serwetkę i mówił dalej.

– Ponieważ będziemy mieli piękne dzieci. I ponieważ będę wspaniałym ojcem, a ty wspaniałą mamą. I ponieważ oboje kochamy Seattle i chcemy zostać tu na zawsze. I ponieważ możesz wziąć sobie kogoś do pomocy przy dzieciach i moja mama pragnie tego zajęcia. A do tego chce mieć wnuki.

Tracie przełknęła ślinę, jeszcze raz otarła twarz i rzuciła mu się w ramiona.

– To są wystarczające powody – wyszeptwała.

Przytuliła się do jego piersi i Jon poczuł zapach jej ciepłej skóry, jej czystych włosów. Spojrzała na niego, a potem westchnęła i przytuliła głowę do jego piersi. Pasowała idealnie.

Jon objął ją ramionami. Pasowali do siebie jeszcze lepiej.

– Kocham cię, Jonathan – powiedziała.

– Zawsze cię kochałem – powiedział Jon. – I zawsze będę.

I miał rację.